„SFINKS"

2466

PISMA

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

III

„SFINKS"
Żelazna 30, tel. 6-95-76.

Czytelnia „VITA"
Warszawa-Grochów

PISMA
ZYGMUNTA KRASINSKIEGO

2466

WYDANIE NOWE ZUPEŁNE

UŁOŻONE, OPATRZONE WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI

PRZEZ

HENRYKA GALLEGO

TOM III

Czytelnia „VITA"
Warszawa-Grochów

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1907

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 58446
BGZs 58446

58446
884-1-9(081) Radomsko

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

2-9/84/153

DROBNE UTWORY POETYCZNE

Ks. Dr Jan Jastads
Prof Seminarium

O BIEDNA...

O biedna, czegóż ja mam życzyć tobie,
Co wzbudzić w potęg czarnoksięskiem kole,
By świeżość wiosny w posępnej żałobie
Nie marła jeszcze na twem drogiem czole?

Jak odbić czasu niewstrzymane fale,
Które pląsają koło twego czoła,
Aż wreszcie z chwały i szczęścia anioła
Zostaną tylko nędzne, ludzkie żale?

Każda mi chwila, która w przeszłość goni,
Cięży na sercu przeczuciem goryczy,
Bo ona, lecąc, drogę swoją liczy
Na róże, spadłe z wieńca twoich skroni.

. . . . . .

Gdzie oczy zmienne, co, kiedy zawrzały
Ukryte w piersiach czary uniesienia,
Z błękitnych nagle w czarne przeiskrzały,
Aż znów wróciły lazury cierpienia?

Gdzie czoło, kędy ożywione myśli
Snuły się jedne po drugich, jak cienie,
Które na wodach mgła przelotna kryśli
I maże wiatru wiosenne powienie?

O biedna, czegóż ja mam życzyć tobie?
Co wzbudzić w twem czarnookiem kole
By świeżość wiosny w posępnej żałobie
Nie marła jeszcze na twem drogiem czole?

(1836.)

Własność Czytelni „SFINKS"
za całość ksiązki ponosi W. P. cał-
kowita odpowiedzialność materialna

JEŚLI MI KIEDY...

Jeśli mi kiedy przewodniczyć miały
Na drodze ziemskiej szczęście albo chwała,
Zrzekam się szczęścia i nie chcę tej chwały,
Byś tylko dłużej piękną mi została.

Za każdy uśmiech, co na twojej twarzy
Zostawi, mdlejąc, drobny ślad radości,
Los niech mi wzamian długi smutek zdarzy,
Niech mi dnie życia wytrąci z przyszłości!

Bo życie moje przeplatałem twojem,
Jak dwie złączone, niezmieszane rzeki,
Co płyną zgodnie różnofarbnym zdrojem,
I, gdy ty zwiędniesz, ja zgasnę na wieki.

(1836.)

Czytelnia „VITA
Warszawa-Grochów

BÓG MI ODMÓWIŁ...

Bóg mi odmówił tej anielskiej miary,
Bez której ludziom nie zda się poeta;
Gdybym ją posiadł, świat ubrałbym w czary,
A że jej nie mam, jestem wierszokleta.

Ach, w sercu mojem są niebiańskie dźwięki,
Lecz, nim ust dojdą, łamią się na dwoje;
Ludzie usłyszą tylko twarde szczęki,
Ja dniem i nocą słyszę serce moje.

Ono tak bije na krwi mojej falach,
Jak gwiazda, brzmiąca na wirach błękitu;
Ludzie nie słyszą jej w godowych salach
Choć ją Bóg słyszy od zmroku do świtu.

(Kissingen, 7 lipca 1836.)

MÓGŁEM BYĆ Z TOBĄ...

Mógłem być z tobą na ziemi szczęśliwy,
Mógłem uwierzyć, że tu czasem wiosna,
Spływając z niebios na śmiertelne niwy,
Bywa, jak w niebie, świeża i radosna.

Lecz teraz konam w próżniach ducha mego,
Teraz sam jestem wśród nieskończonego
Okręgu cieniów — i stróża anioła
Śpiew, co mnie dawniej obwiewał dokoła,
Choć dotąd jeszcze gdzieś w górze ulata,
Zda mi się ginąć na kończynach świata.

Niegdyś świat Duchów zdawał się otworem
Stać duszy mojej i zstępować ku mnie;
Wśród cieniów nocą, wśród zmierzchów wieczorem
Z braćmi na chmurach witałem się dumnie,
Wlepiałem oczy w jasne ich źrenice.
Tam błękitniała spokojność wieczności,
I, zagubiony w tchnieniach ich miłości,
Kładłem me dłonie w ich rąk błyskawice,
Aż, ogniem zewsząd i światłem oblany,
Rąk nieśmiertelnych spalony uściskiem,
Znów opadałem na podniebne łany
Z sercem szczęśliwem, bo skonania blizkiem.

(Listopad, 1836.)

CHCIAŁBYM ANIOŁA WIDZIEĆ...

Chciałbym anioła widzieć na tym grobie,
Kędy sny nasze leżą pogrzebane,
Coby mi czasem zaśpiewał o tobie,
Jak śpiewa tułacz pamiątki kochane;
Coby na chwilę pochodnią schyloną
W tę noc okropną i nierozgarnioną
Rzucił skier kilka na przyszłości fale
I blaskiem chwały ozłocił me żale.
Ach, głos twój, gdyby ponad mojem czołem
Ozwał się, lecąc od dalekiej strony,
Choć raz się ozwał, wiatrami niesiony,
Ten głos twój byłby mi takim aniołem!
. . . . . .

Przed nocą wieczną niech głos twój usłyszę,
Jak pieśń nadziei w godzinie konania,
A może wtedy ponad grobu ciszę
Wejdzie mi blady księżyc zmartwychwstania!
A jeśli, płacząc, na zgasłych źrzenicach
Złożysz, jak kwiaty, twoje ciche ręce,
Grób spłonie ogniem i w stu błyskawicach
Słońc nieśmiertelnych obleją mnie wieńce.

(Listopad, 1836.)

DO...

Czy pomnisz jeszcze na dożów kanale
Gondolę moją w weneckiej żałobie?
Czy pomnisz, jakem ja wiosłował tobie,
Patrząc na ciebie, patrzącą na fale?

Pod »Mostem westchnień« i moje wstchnienia
Słyszane były. Krew moja płynęła
Blizko krwią ofiar zlanego więzienia,
Lecz, jak krew ofiar, w głazy nie wsiąknęła;

Wróciła nazad i szałem mi płonie
W sercu głęboko, na nieszczęście moje,
Bo ty daleko, a ja w innej stronie
I dla nas szczęścia wyczerpnięte zdroje!

Bądź mi spokojna, patrząc na tej twarzy
Posępne rysy! — Jeśli zginąć trzeba,
Po mojej śmierci niechaj ci się marzy,
Zem był szczęśliwy i wrócił do nieba!

30 semptembra, posyłając w wieczór. (1836 ?)

SERCE MI PĘKA...

Serce mi pęka, światło się umyka
Z przed oczu moich. Wszystko, co kochałem,
Jak Bóg dalekie, lub jak chmura znika;
Pierś jednak żyje i oddycha — szałem,
Choć ręka śmierci przytknięta do serca.
Chyba czas przyjdzie, czas, uczuć morderca,
Co wszystko zjedna, pogodzi, zabije,
Na starych gruzach z róż świeżych uwije
Nową koronę, lub nauczy szydzić
Z ułud młodości i młodość pochowa;
A pierś ma wtedy, dawnych marzeń wdowa,
Co czciła dawniej — będzie nienawidzić!
. . . . . .

Iskra geniuszu na cóż mi się zdała?
Tliła się tylko w głębiach mojej duszy.
Dziś nie dojrzana, już tak wątła, mała,
Że może jutro wśród Ducha katuszy
Wymrze, jak perła długo nie noszona,
Zniknie, jak kropla w południowym skwarze,
Jako kwiat, w pączku nie rozwity, skona,
I sam zostanę, jak stare ołtarze,
Na których leżą węgle i popioły,
Lecz Bogów nie ma, ni ofiar ni woni —

Przechodząc obok, szydzi lud wesoły,
Starzec lub dziecię chyba łzę uroni.
Gdybym nie kochał śmiertelnej piękności
I ust nie złożył na widomem czole,
Byłbym tą iskrą, spadłą mi z wieczności,
Pożar rozniecił na ziemskim padole
I duszę moją pozaludniał tłumem
Żyjących myśli, z nich skleił postaci
Wspaniałe, wielkie, boskich skrzydeł szumem
Byłbym się wyniósł nad głowy współbraci.
Dziś już za późno! Dusza jest jak ciało:
Gdy się raz psuje, a nadpsutej części
Od zdrowych siłą nie oderwiesz całą,
Złe się rozbiegnie i wszędzie zagęści.
Lecz ciało tylko, szczęśliwe, umiera,
Ciała, przebrane, tylko cichną jęki;
Duch nieśmiertelny sam siebie rozdziera,
Niema dla niego ostatecznej męki!
Ból, co w nim rośnie, róść musi, jak życie,
Krzewić się, bujać, szumieć i rozlegać,
Wciskać się gwałtem lub wdzierać się skrycie
I, jak krew żyły, tak myśli obiegać.
. . . . . .

Duch na dwie tonie ciągle się rozkłada:
Z szczytów otchłani sam woła na siebie
I sam z jej głębi smutno odpowiada;
Rozdarty wiecznie, myślą siedzi w niebie,
A sercem w piekło coraz niżej spada
Z pochodnią w ręku na własnym pogrzebie!
Bo zlać się w jedno i zgodzić nie zdoła,
Ani też całkiem rozpaść się na dwoje.
Do wskazanego raz wepchnięty koła,
Sam z sobą toczy nieśmiertelne boje,
Nie mogąc skonać, a co chwila kona

Podwójnym bólem. Jedna jego strona
Niszczy się jadem śmiertelnych miłości,
A druga żalem niebieskiej litości.
Rozum, co w górze, choć, sądząc, przeklina,
Równie samotny, jak przeklęte serce;
Wszędzie nieznośnie, bo wyrok i wina
W każdej się życia zmieszały iskierce.
Ah, życie wtedy szydertwem się zdaje!
Ręce wznosimy ku widmu nicości —
Ah, tam, wśród nocy, tam gdzieś leżą raje,
Zwane grobami, kędy nasze kości
Wraz z Duchem zasną! Nam się tylko marzy
Nieznana dotąd wiecznej ciszy niwa;
Sen nieprzespany i pokój cmentarzy
Równe to fałsze, jak dola szczęśliwa!
Świat, jako wielki, jest przegranej polem,
Świat, jako wielki, jest rozbicia skałą,
Trudem bez końca, wiekuistym bolem!
Wszystko się dzieje i wszystko się stało.

(1857.)

DLA CIEBIEM WSZYSTKO...

Dla ciebiem wszystko straciła na ziemi,
Dla ciebiem drobne porzuciła dzieci,
Choć Bóg przykazał pozostać się z niemi —
Teraz w ich stronę moje serce leci.
Gdzie ich kolebka? gdzie śliczne wejrzenie?
Gdzie jasne pukle moich biednych dzieci?
Choć głos twój dźwięczny i boskie natchnienie,
On tyle szczęścia w sercu mi nie wznieci,
Co sen ich niemy lub jedno westchnienie!
Patrz! Ja być mogła tak czysta, tak święta!
A teraz będę na wieki przeklęta
I dzieciom moim ojciec nie odpowie,
Gdy się spytają: »Jak się matka zowie?«
Tak gorzko, zimno, tak ciemno mi w duszy,
Że czasem myślę, iż płacz mój poruszy
Serce aniołów. Lecz nie — już godzina
Śmierci nadciąga i wkrótce uderzy,
Już ból konania w tych piersiach się wszczyna,
Już palec Boga na tem czole leży!
Czy i ty zdradzisz tę, którą kochałeś,
Tę, której nigdy żoną nie nazwałeś,
A która była ci więcej, niż żona,
Siostra, kochanka, niż wszystkie imiona,
Któremi ludzie kochanie przezwali?

Bo ludzie nigdy kochania nie znali.
Ja wiem, co miłość, co długa tęsknota,
Co bój zacięty z myślą o kochanym,
Co szczęście niebios, co piekieł zgryzota
I brak łzy cichej w oku wypłakanem.
Daj mi twą rękę, niech czuję, żeś blizki!
Tyś wielki, piękny, ty masz wzrok anioła,
Gdy plama pychy nie kazi ci czoła,
A same prawdy zdobią go połyski.
Daj mi twą rękę! Słuchaj — w tych dolinach
Ty mnie pochowasz przy Rzymu ruinach,
A grób mój będzie otoczon wzgórzami,
Zakryty zewsząd bluszczem i głogami —
I ty wyryjesz na białym kamieniu
Prośbę do Boga, by w cyprysów cieniu
Ten kamień za mnie modlił się w milczeniu!

(Rzym 1818.)

JAK KAWAŁ LODU...

Jak kawał lodu skrzepło serce moje,
W oczach mi wyschły dawnych płaczów zdroje,
Zadnych już ułud nie zapragniam nowych,
Spokój mój wielki, jak głazów grobowych;
Wszystko marnością — i tem słowem koję
Duszę, gdy jeszcze wpada w niepokoje.
Co miłość — nie wiem, z przyjaźni się śmieję,
Straciłam wiarę, straciłam nadzieję.
I tak przed ludzi jak Boga obliczem
Nic mi jest wszystkiem — i wszystko mi niczem!
Choć ziemia jęknie, niebo się zachmurzy.
Choć świat się wzruszy, jak morze śród burzy,
Wszystek rozpienion klęsk i wścieklizn zlewem,
A z góry przykryt czarnym, bożym gniewem —
Zimną zostanę — ni będzie powodu,
Coby odlodnił mą istotę z lodu;
Zimną zostanę, jak owi umarli,
Co z siebie całkiem człowieczeństwo zdarli,
I bez współczucia patrzą z wichrów gdzieści,
Z mgły, z za chmur, z czyśca na ludzkie boleści,
Sami męczarnią bez życia tak zdjęci,
Że tylko życia ten brak im w pamięci.
Ja taka sama umarła, jak oni —
Nic już ziemskiego w serca mego toni

I tak przed ludzi jak Boga obliczem
Nic mi jest wszystkiem — i wszystko mi niczem!
Choćby krzyknęła nagle wokół tłuszcza:
»Oto na chmurach sam Chrystus się spuszcza,
Oto już trąbią na sąd aniołowie!« —
Duch mój i na to już nic nie odpowie.
W ciemnym pokoju moim pozostanę,
Ani wybiegnę na próg, spojrzeć w górę
W niebo rozprysłe, w zachwianą naturę
I na dół, w tłumy, strachem rozdeptane.
Choćbym i chciała ręce w modlitwiany
Krzyż jaki złożyć — serca zeschłe rany
Nie dadzą rękom — chyba, jak kolumna
Ścięta, upadnę — i tak się potoczę
Bezuczuciowa, trupia, bezrozumna;
Bo duszy we mnie zagasło przeźrocze
I tak przed ludzi jak Boga obliczem
Nic mi jest wszystkiem — i wszystko mi niczem!
Nic — nic — niestety, oto słowo moje,
Oto ma wiara, moja tajemnica!
Przez nią niczego w świecie się nie boję,
Przez nią mnie w świecie już nic nie zachwyca!
Ach, jakże dawniej lękać się umiałam!
Ach, jakież dawniej rwały mnie zachwyty!
Kochałam morze, ląd, gwiazdy, błękity,
Cała z strun drżących — a dziś z głazu całam!
Ach, bo jednego człowieka kochałam
I świat mi wszystek wyglądał od niego
Rajem dóbr świętych — dziś pustynią złego,
Złego i nudy, ciemnością, milczeniem,
Wszechzmartwiałością, a nie wszechstworzeniem.
Trumna bezdenna mi się wydrążyła
W tem sercu, kędy nie mieszka już siła
Dawnych przywiązań — i najgorzej rani
Mnie, że ran dawnych niema w tej otchłani.

Poki ból, póty duch się jeszcze pieści,
Lecz bezbolesność — to piekło boleści!
Ach, za łzę jedną, z tych oczów mych lejną,
Dziesięć lat życia! Bo bez tej łzy jednej
Jam potępioną już i beznadziejną
Na wieki wieków — i chleb mój powszedny
Będzie: śmierć wieczna. O, ja biedna, biedna!
Boże mój, Boże, gdzie jest ta łza jedna?
Niech mi ją anioł jaki tam wyjedna,
By mi przed ludzi i Twojem obliczem
Wszystko nie było — tak, jak jest — ach, niczem!

(1838.)

JAK ANIOŁ SPADŁY...

Jak anioł spadły, leżący w piękności,
Lecz z kary bożej popiołem na czole,
Italia drzemie wśród naddziadów kości,
A lud spodlony w czarodziejskiem kole
Mórz zwierciadlanych i sklepień światłości,
Jak proch pokuty, leży na jej czole.
W kształtach już nie ma dawnej treści ducha
I rzymska hardość i chrześciańska skrucha,
Tą samą obie purpurą odziane,
Skonały obie — a kształty strzaskane,
Gdy słońce wschodzi z błękitnych mórz łona,
Szemrzą na brzegach westchnieniem Memnona
Skargę nieszczęścia, hymn dzikiej żałoby,
Co wyszedł z grobów i powraca w groby,
Bo mu serc dzielnych nie wtórują bicia
I w ziemi bogów — duch ludzki bez życia!
. . . . . .

W Kampanii rzymskiej taki spokój wielki,
Że człowiek każdy i że anioł wszelki,
Przechodząc, duma nad dniami przeszłości.
Tu żywych nie patrz — tu umarłych włości:
Pałace dumnych, w żółty piasek wryte,
Kościoły bogów, na szczątki rozbite,

Zielonym bluszczu całunem obwite!
Czas poćwiertował posągi Cezarów,
Czas zmienił Forum na błotnisty parów,
Gdzie zaspy gruzów piętrzą się warstwami,
Gdzie odkopane korynckie kolumny,
Jak dusze, nawpół wychylone z trumny,
Sterczą wysmukłe nad Rzymu lochami
— — — — — — — — — —
świątyń prochami.

(8 grudnia 1838.)

LEDWOM CIĘ POZNAŁ...

Ledwom cię poznał, już cię żegnać muszę.
A żegnam ciebie, jakgdybym przez wieki
Żył z tobą razem i kochał twą duszę,
A teraz jechał w jakiś kraj daleki
I nie miał nigdy już zobaczyć ciebie,
Chyba gdzieś — kiedyś — po śmierci — tam, w niebie!

Gdybym przynajmniej zostawił cię żywą,
Nie strutą jadem, nie śpiącą w żałobie,
Jak senna Julia sama jedna w grobie —
Gdybym mógł marzyć, że będziesz szczęśliwą,
Że choć raz jeszcze oczyma czarnemi
Spojrzysz radośnie na błonia tej ziemi
I rzekniesz z cicha: »Świat ten piękny, Boże!« —
Płakałbym jeszcze, lecz mniej gorzko może.
A teraz płaczę, choć suche me oko,
Płaczę łzą serca, co, skryta głęboko,
Jak szloch dziecinny, nie lśni u powieki,
Lecz serce pali i truje na wieki.
Nikt jej nie widzi, nikt jej nie obaczy,
Bóg tylko jeden wie, co ona znaczy,
Bóg jeden tylko — bo On jeden zdoła
Policzyć ciernie w wieńcu twego czoła.
Ja ich nie liczę, ja tylko je czuję,

Bo wziąłem wszystkie w głębie mojej duszy,
Jakgdyby moje; każden z nich mi pruje
Serce kolcami i twoich katuszy
Odbite widmo tak stoi nade mną
W dzień każden biały i w każdą noc ciemną,
Żem, całkiem twoją okryty żałobą,
Przelał się w ciebie i przestał być sobą.

* * *

Temu, co czuję, nie szukaj imienia!
Na co słowami kazić świętość myśli?
Co nikt nie dozna i nikt nie okryśli,
To żyje we mnie, jak wieczność cierpienia.
Daj mi twą rękę w tej chwili rozstania —
Ta chwila nigdy już dla mnie nie minie,
Ten dzień w mej duszy nigdy nie upłynie,
Bo w świecie Ducha niema pożegnania!...

(Neapol, 14 lutego 1839.)

CZYZ Z TOBĄ WTEDY...

Czyż z tobą wtedy raz ostatni byłem?
Smutnem przeczuciem dusza mi się żali,
Bo na tym świecie wszystko, co marzyłem,
Przeszło, jak chmura, i znikło w oddali.

I dla mnie rozdział jest godłem kochania,
Bom ile razy w życiu nienawidził,
Los ze mnie wtedy połączeniem szydził
I, gdziem przeklinał, nie było rozstania!

Tych tylko wiecznie ze łzami żegnałem,
Których me serce czciło lub kochało;
I teraz, patrzaj, podobnie się stało —
Znać, gdzieś została, tam kochać musiałem!

Gdzież jesteś teraz? czy sama w komnacie
Dumasz nad dniami ubiegłych radości?
Gorzko ci w duszy po anielskiej stracie
I rozpacz matki na twem czole gości?

A możeś poszła chodzić ponad brzegiem
Wód zwierciadlanych, gdzie fala spieniona,
Konając, stopy głaskała ci śniegiem?
Ja byłem wtedy przy tobie — jak ona!

Jak ona, dzisiaj rozbity, daleki,
Nie wiem, gdzie jestem, przed ludźmi się kryję;
Ona gdzieś w morzu przepadła na wieki —
W twojej pamięci czy ja dotąd żyję?

Ona szczęśliwsza, bo poszła w głębiny,
Nie czując żalu, nie znając miłości;
Dla niej nie było uroku godziny
I dla niej niema rozstania wieczności.

Ona śpi teraz na koralu łożach,
Żaden jej wicher rozbicia nie wróży —
A ja się błąkam po życia bezdrożach,
Miota mną burza i skonam wśród burzy.

(Neapol, 1839.)

ZNASZ, CO NAMIĘTNOŚĆ?...

Znasz, co namiętność? Czy ty wiesz, co piekło?
Gdy myśl, jak skorpion, w ogniu się przewraca,
Gdy serce kipi żądzą szczęścia wściekłą
I w jadzie marzeń dusza się zatraca?

Czy wiesz, co próżnia? Czy znasz świat nicości,
Gdzie wszystko zmarło, a żyć jeszcze trzeba,
Żyć bez nadziei i żyć bez miłości,
Patrząc się w niebo, nie wrócić do nieba?

Serce się moje w perzynę rozwiało.
Byłem ponury, jak nocy milczenie —
Byłem tak zimny, jak umarłych ciało —
I tak samotny, jak umarłych cienie.

Na ustach moich drgał śmiech żartobliwy,
Ludzie go mieli za radości znamie —
Ludzie mówili: »Jaki on szczęśliwy!«
Jam jeden wiedział, że ten śmiech mój kłamie!

Tak długom błądził na życia pogrzebie,
Nie znając duszy, coby mnie pojęła —
Anim jej szukał, aż spotkałem ciebie,
I wtedy — słuchaj! — ach, żądza mnie zdjęła

Raz jeszcze w życiu spojrzeć w twarz anioła,
Raz jeszcze w życiu, nim zamknę powieki,
Nim darń cmentarzy dotknie mego czoła,
Wyrzec do ciebie: »Teraz i na wieki!«

Znów czuję węża, który mnie oplata,
Znów czuję Boga, który mnie porywa —
Sen śmierci pęka i na błoniach świata
Hymn wniebowstąpień dla mnie się odzywa.

Jakaż to przestrzeń kwiecista pode mną!
Jakież sklepienie błękitu nade mną!
Wszystkiemi marzeń zasiane tęczami,
Wszystkich aniołów zasute skrzydłami,
Słońc, gwiazd, księżyców okryte rojami!

* * *

Znów serce bije. To wiosna nadchodzi —
Słyszę śpiew ptaków i czuję woń róży —
Bujam po morzu gdzieś w skrzydlatej łodzi —
Wody tak ciche — ach, nie będzie burzy.

Żagiel mój biały jak sztandar powija,
Przestwór lazuru ciągnie się przede mną;
Ta, którą kocham, może płynie ze mną,
Może w jej myśli mój Duch się odbija?

Może, gdy patrzy na te śliczne fale,
Głos tajemniczy szepce jej do ucha
Spowiedź mej duszy i duszy mej żale?...
— Tylko czyż ona tego głosu słucha?

A może teraz, gdy oczy zwróciła,
A ja me czoło schyliłem w cierpieniu,

Mówić co chciała? — Lecz nic nie mówiła —
Rękę jej tylko ścisnąłem w milczeniu. —

Czy to nie widmo, które ja stworzyłem
I w chwili natchnień sam wywiodłem z siebie?
O, nie! Postaci tej nie wymarzyłem!
Sam Bóg ją tylko mógł wymarzeć w niebie!

I tu na chwilę tak krótką zleciała,
Jak anioł siadła przy mej łódki sterze;
Ach, gdyby ze mną na wieki została!
— Śmiejcie się, wiatry, że ja w szczęście wierzę!

Śmiejcie się, fale, lecz płyńcie powoli!
Żaglu mój biały, nie pędź tak do brzegu,
Bo ten brzeg dla mnie jest progiem niedoli
I chciałbym wstrzymać każdą chwilę w biegu!

Gdy lądu dotkniesz, ona zaraz wstanie
I powie: »Żegnaj, bo wracam wśród ludzi!«
Cóż mi na świecie w tej chwili zostanie?
Niech więc mnie jeszcze ta chwila nie budzi!...

Niech jeszcze marzę, że mi ten dzień bogi
Bez końca dali — na tych wód krysztale
Nieprawdaż? razem losów naszych drogi
Popłyną w wieczność — razem, jak te fale!

Jutro dopiero ja będę przeklęty!
Niech gwóźdź, jej dłonią z piersi mi wyjęty,
Znów ostrzem padnie i piersi przebije
I jędza bolu, która we mnie żyje
Mózg mój wydrąży na otchłań piekielną,
Jak śmierć wystygłą — jak czas nieśmiertelną!

Lecz jutro — jutro, a nie teraz, Boże!
Tej reszty życia będę bronił wściekle —
Rozpacz mnie jutro czeka w mojem piekle,
Zostaw mi dzisiaj to błękitne morze!

(Roma, 20 lutego 1839.)

Z NAD WÓD...

Ks Landesarchiv

Z nad wód, gdzie nigdy nie zaszumią burze,
Z dolin, gdzie nigdy nie więdnieją róże,
Tę, którą kocham, wywiodłem za rękę,
Tę, którą kocham, powiodłem na mękę
Do północnego i smutnego kraju,
Gdzie bledsze niebo i ciemniejsze chmury,
Gdzie głębsze jary i olbrzymie góry,
Porosłe bluszczem niedoszłego maju.

* * *

Szedłem z nią razem dzień jeden i drugi,
A z tych dni każden był cierpieniem długi;
Szedłem z nią razem po alpejskich śniegach,
Wśród sosen wielkich, szumiących wichrami,
Jakby się Bogu modliły hymnami,
Szedłem z nią razem po przepaści brzegach,
Kędy potoków rozerwane fale
Huczą pod ziemią, jak przeklętych żale.
A ona do mnie ze smutkiem głębokiem:
»Patrz ty się w otchłań, czy nie dojrzysz okiem
Grobu cichego tam na dnie, tam w dole,
Gdziebym już mogła odpocząć, jak w domu,
I spać na wieki, nieznana nikomu,
Z żwirem pod głową i z żwirem na czole!«

* * *

A ja ramieniem kibić obwiązałem
Tej smutnej mojej, którą tak kochałem,
I nad przepaścią w górze ją trzymałem;
Ona, z rąk moich napół wychylona,
Całkiem ponętą przepaści znęcona,
Jakgdyby głosem tych fal urzekniona,
Długo patrzała z dziwną żądzą w oku
Na skał spadzistość i wiry potoku.
A twarz jej była blada nad blademi,
Jak te, na których już sen śmierci gości,
Twarz najpiękniejsza, com widział na ziemi,
Anielsko śmiała myśli spokojnemi,
Co na nią spadły od strony Wieczności.

* * *

»Nie, ty nie znikniesz z widomego świata,
Póki masz we mnie na tym świecie brata,
Póki w tym sercu dom pozostał tobie!
A jeśli zginąć mam w walce z dumnemi,
Dopiero wtedy szukaj domu w grobie,
Gdy sama będziesz na tej wielkiej ziemi,
Ale nie wprzódy! — Bo nie oddam ciebie,
Choćbyś już dzisiaj miała zasiąść w niebie
Pośród aniołów, zbawiona i święta —
Samym aniołom ja nie oddam ciebie!
Słuchaj — o, słuchaj — niech będzie przeklęta
Ta chwila teraz! — Boś opuścić chciała
Dobro jedyne w tym świecie cierpienia,
Gdzie serc samotnych oddzielne westchnienia
Jednem się tylko nastrojem miłości
Przemienić mogą w wielki krzyk radości,
Co z dwojga nieszczęść jedno szczęście rodzi
I z jęków dwojga pieśń jedną wywodzi!
Ah, póki iskra w moich piersiach pała,
Póki krwi kropla w tym ręku została,

Ty będziesz ze mną — póki mogą wschodzić
Myśli w tej głowie a z nich czyn się rodzić,
Ty będziesz ze mną! — Teraz i na wieki,
Sercem, gdym blizki, myślą, gdym daleki,
Ty będziesz ze mną! — Odwołaj twą duszę,
Co już twe blade lice opuściła,
Co już, odchodząc, w te fale się skryła,
Bo ty żyć będziesz, póki ja żyć muszę!«

* * *

I dalej niosłem tę omdlałą moją
Przez wieczne śniegi, przez jasne lodniki,
Gdzie skał zamarzłe piramidy stoją,
Gdzie jaskiń błyszczą kryształowe bramy,
A siatką srebrną rozbiegłe strumyki
Skaczą przez głębin lazurowych jamy. —
I zszedłem niżej w jakieś mgliste strony,
Coraz to niżej, w posępne doliny —
Tam księżyc wschodził, mgłami otoczony,
Jak cmentarz złoty nadziemskiej krainy,
Płynący wolno nad ziemi cmentarzem;
I tamem stanął pod kaplicą ciemną,
Gdzie Chrystus krwawy nad wielkim ołtarzem
Konał — u Jego stóp tam świętą moją
Złożyłem śpiącą — a zewsząd nade mną
Mgieł się tumany do księżyca pięły
I, jak sen znika, w powietrzu niknęły.
Ona śpi ciągle, na jej twarz anielską
Kładły się chciwie księżyca promienie,
Padając z góry przez bluszcze i zielsko,
Co tam się wiły po gotyckiej ścienie. —
A kiedym ujrzał jej postać uśpioną
Tak cicho piękną i opromienioną,
Bogum dziękował za tę szczęścia chwilę.
. . . . . .

O, wyście zimni, wy tego nie wiecie,
Co twarz kochana, gdy zaśnie w pokoju
I tak wygląda, jak szczęśliwe dziecię,
Co nie wie jeszcze o smutkach i znoju.
. . . . . .
I dalej potem, gdy się przebudziła
. . . . . .

* * *

Aż w ciemnej nocy na brzegach jeziora
Tę, którą kocham, porzucić musiałem,
Tę, którą kocham, bez łez pożegnałem,
Bo łzy już wszystkie nad nią wypłakałem. —
Kiedyż to było? Ah, to było wczora —
Albo przed laty — może przed wiekami —
Bo czas się w Duchu nie liczy chwilami,
Lecz serca pieśnią lub serca jękami!
A odkąd świętą moją porzuciłem,
Wszędzie znak śmierci wyzierał mi z czoła
I trumnę ciężką w piersiach tych nosiłem:
Własne me serce — bez mego Anioła.
Aż ci, co niegdyś znali mnie na ziemi,
Kiedy ja, dumny, walczyłem z dumnemi,
Wszyscy mówili: »Czyż przed czasem zginie?
Czyż znak boskiego już nad nim przekleństwa,
Że jad tajemny w jego żyłach płynie
I myśli jego tak blizkie szaleństwa?«
A jam ich słuchał i w duszy się śmiałem,
Bo, kiedy wrócę w oddalone strony,
Gdzie moją smutną, świętą pożegnałem,
Ja wam powiadam: »Będę przemieniony —
I wy powiecie, że z grobu powstałem«.

Drezno, 18-go lipca. (1839).

ROZPACZ–SZYDERSTWO–WIARA

ROZPACZ.

Kto mi ją wróci, a z nią odda chwile
Lepsze, niż reszta życia mego cała,
Niż przeszłość zbiegła — przyszłość pozostała?
Bo przeszłość niczem — a przyszłość w mogile!

Jutro, ty mówisz — może jutro zginę!
Może już dzisiaj nad zmierzchem wieczora,
Jak cień, co znika, zniknę i przeminę —
A znajdęż w trumnie to, com kochał wczora?

Nie — nigdy — nigdy już szczęścia nie będzie!
Tam gniją trupy — wiją się robaki —
Tam marne leżą zmartwychwstania znaki —
O, tam jej postać przy mnie nie usiędzie!

Gdzie moje niebo — gdzie morza błękity?
Gdzie gwiazd girlandy dyamentowe w górze?
Gdzie moje w dole cyprysy i róże
I miasto kwiatów i wulkanu szczyty?

O ziemio włoska! W tobie sam Bóg gości!
Tyś sercem świata, w którem wrą płomienie —
W grobach twych mieszka nie śmierć, lecz natchnienie
I stróż twój wieczny — to Anioł Piękności!

Na twoich lądach ja szczęśliwy byłem,
Na twoich morzach gwiazda mi świeciła,
Której tu niema — a tak boską była,
Że chyba zginę, kiedy ją straciłem!

SZYDERSTWO.

Ona się tylko na mej życia fali
Jedna odbija — inne wszystkie ciemne!
I tę mi ludzie — i tę odebrali!
Ludzie bez ducha, jak gady nikczemne,

Co mają oczy do klamek przybite,
Co uchem słyszą westchnienia ukryte
I ćwiczą język, by, jak żądło wiotki,
Chwytał w lot kłamstwo i roznosił plotki.

A każdą plotkę, nim rzucą z wiatrami,
W motyle skrzydła oczepiają sami
I wprzód ją sokiem utuczą skorpiona!
A bajka wtedy, jak smok, wystrzelona

Kręci się, lata i syczy i truje —
Oni się patrzą i klaskają w ręce;
Co im do tego, że gdzieś kona w męce
Duch, który myśli, lub dusza, co czuje?

Oni nie myślą — nie czują — nie wiedzą,
Co serce zdoła wycierpić na ziemi —
Bo anioł serca nie był nigdy z niemi,
Szatanki zabaw tylko przy nich siedzą!

Haniebne słowo ich dusz nie obraża —
Kto pieśń natchnioną usłyszy w ich kole?
Jeden się tylko pomysł na ich czole,
Pomysł wygody, jak plama, wyraża!

Życie ich — mierność, a wiara ich — złoto!
Szczęścia nie znali — nigdy nie zaznają,
Bo gwiazdy szczęścia tylko duchom wstają
I promień bogów nie pada na błoto!

Świat wasz brzmi ciągle, jak pusta butelka,
Muchami żartu i jadłem się dymi —
Zgniła rozpusty podpiera go belka,
Na której stoi duch głupstwa olbrzymi.

Z tego, co piękne, zysk tylko mieć chcecie,
Wyssać woń z róży i pogardzić kwiatem —
Lecz wy pięknego pojąć nie umiecie,
I miłość waszym nieodkrytym światem!

Ot! — tam — tam patrzcie, gdzie nie dojrzy oko:
W górze, nad mgłami, a w niebie głęboko
Kryje się księżyc, nazwany Pięknością,
I przy nim słońce, nazwane Miłością!

Lecz cóż wam prawię? — dla was jest kobieta —
Mylę się — raczej są dla was kobiety!
Wyście tu pany — a mnie się, niestety,
W mózgu zaćmiło. — »Ah, biedny poeta,

»Co patrzy w chmury, a prawdziwych zdarzeń
Nie widzi nigdy na istotnym świecie —
Dziki samotnik z lutnią pełną marzeń,
Co kwiat pustyni w marny wieniec plecie;

»Z przed ócz którego świat mdleje i znika,
Mrze gospodarstwo — nawet polityka,
Jak tylko ujrzy gdzie śnieżną spodnicę,
Pukle z jedwabiu lub z atłasu lice —

»A to, co ujrzał, wraz zmienia na cuda —
Każe tym paniom, by w niebie mieszkały,
Kiedy tu zostać na ziemiby chciały,
Bo w niebie święci — a gdzie święci, nuda.

»Na co czcić, kochać, gdy można używać?
Na co rozpacze, gdy można się bawić,
A po zabawie opuścić, zostawić? —
My cię nauczym, jak miłostki zrywać.

»Nasamprzód każda — wdowa, czy dziewica,
Czy też mężatka — czysta kapryśnica!
Tam się przekręci, skąd jej wiatr zawieje,
Z rana ci płacze, a w wieczór się śmieje.

»Los je tu stworzył dla mężczyzn zabawy;
Miły puhar wina — dobra szklanka kawy —
I one smaczne, tylko trochę więcej
Łudzą i trzeba lubić je goręcej.

»Dalibóg, prawda! Anielskie stworzenia,
Lecz póki tylko silne i rumiane,
Zanim się sztuczek wyuczą cierpienia! —
Bo ich łzy, widzisz, to żarty, nam znane.

»Bierz tylko cukier i złote uśmiechy —
Zasię od westchnień! — Gdzie płacz się poczyna,
Niech twej wierności skończy się godzina —
I leć gdzieindziej rwać róże pociechy!

»Zmiłuj się tylko — sam nie wpadaj w tkliwość!
Jeśli ci smutno, zabij smutek szałem,
Hulaj, graj — z nami, ot, pij gardłem całem,
A minie zaraz mdłych pamiątek ckliwość!

»A po tygodniu lub też dwóch tygodniach
Wyjdziesz na miasto w nowomodnych spodniach
I znów się w jakiej zalubisz kobiecie.
Wierz — tak się dzieje na tym prawdy świecie!«

WIARA.

Oni mówili. — Jam pilnie ich słuchał,
O stół zielony, gdzie lśniły się karty,
Jak posąg człeka wśród zwierząt, oparty —
Aż w sobiem iskrę szyderstwa rozdmuchał:

»Waszą jest prawda, przezacni panowie!
Dziś mi dopiero zaczyna dnieć w głowie,
Lecz mi pozwólcie na jedno pytanie —
Co się też w końcu z naszym światem stanie?

»Widzę w nim postęp — cuda — wynalazki.
Para, galwanizm, miedź, żelazo, ołów
Służą mu nakształt spętanych aniołów —
Samo już światło maluje obrazki!

»Przytem wojsk dosyć i długów stokrocie,
Ogrom też szpiegów — policya wyborna —
A ludzkość sobie, jak dziecię pokorna,
Umiera z głodu lub pracuje w pocie!

»Gdzie stały niegdyś bitnych zamków wieże,
Dziś loch pod ziemią i blade warsztaty;
Tam jedwab kupcom wywija się w kwiaty,
Tam przędzą sukno na wasze odzieże.

»Gdzie niegdyś szumne od hymnów kościoły,
Dziś giełdy, szumne od krzyków handlarzy,
Lub cytadele na miast wielkich straży,
Tych miast jedyne — lecz śmierci — anioły.

»Zgoda na wszystko. — Ucisk z góry tłoczy,
W dole tam jęczą, zgrzytają miliony,
Pytając, z jakiej wejdzie Mściciel strony —
Nam nic do tego! — Alboż mamy oczy,

»By drugich widzieć? — Patrzajmy na siebie!
Grą i przemysłem złota nazbierajmy,
I ziemię całą, całą zużywajmy!
Bo, kto używa, ten tylko był w niebie!

»Przecię już rozum dawno się przekonał,
Że wiara w duszy to śmieszność i zgroza —
Bóg kar i nadgród właśnie w tym dniu skonał,
W którym się zabił wielki Żyd, Spinoza,

»Którego nowa filozofia uczy,
Że całość światów jedynym jest Bogiem
I że Duch ludzki za grobowym progiem
W żadno się inne życie nie rozwnuczy.

»Z tej strony grobu jest wieczność jedyna,
Z tej tylko strony mogą żyć nadzieje —
Niech więc się złoto w kubek graczy leje —
I byt nasz przejdzie, jak tej gry godzina!

»Wiwat panowie! — Niech to potrwa tylko,
Niech to nie będzie jedną czasu chwilką,
Lecz całym czasem — a gdyby przypadkiem
W dom nasz się Nędza wczołgała ukradkiem?...

»Gdybyśmy nagle u stóp giliotyny
Boso stanęli — lub w pustyniach śnieżnych
Żyć gdzie musieli wśród wilków drapieżnych —
Kto wie? — w kajdanach kopać kruszcu miny?

»A jeśli trzeba bić się dniem i nocą,
Bez odpoczynku, o głodzie, o skwarze,
By strzał przez piersi wziąć od wroga w darze
I nie paść wtedy — lecz ostatnią mocą

»Ścisnąć karabin i pójść na bagnety?
Lub w sali radnej, wśród krzyków tysiąca
Plwać na przytknięte do serca sztylety,
Z śmiechem pogardy czekać sprawy końca?

»A może przyjdzie umierać z choroby
Pośród ciał ludzi, już umarłych wprzódy?
Dziwne są mózgu gorączki wyroby!
A nuż się wyda, że tam jakiś chudy

»Szatan przybywa całować nas w twarze
I, ze szpitalu wywlókłszy za rękę,
Wiedzie zbolałych na puste cmentarze?
Może się przyśni — że na piekła mękę?

»A cóż, panowie — czyż to być nie może?
Dziksze się jeszcze zdarzały wypadki,
Z wnioślejszych posad ogromniejsze spadki
W dolinę smutku lub nicości morze!

»Czy nie słyszycie, jakoby w oddali
Jęk konających na lądzie, na fali?....
Czy nie widzicie jakby kruków stada,
Co czarno lecą tam, gdzie człowiek pada?

»Ot z głębin ziemi zagrzmi krzyk: »Do broni!«
I duch litości, jak w dniu bożej męki,
Na szczytach niebios łzę — gwiazdę uroni,
By tam świeciła, skąd wzbiją się jęki.

»Bo nocą cichą, jak z nór ciemnych węże,
Z lochów podziemnych wyroją się męże —
I każdy w ręku nieść będzie pochodnię,
I każdy w oczach jakąś przyszłą zbrodnię.

»I stąd i zowąd i tam i w oddali
Rąk tysiąc razem, jakby jedna ręka
Gmach świata burzy i gmach świata pali!....
A szał mnie objął i serce mi pęka!

»Krew wrząca wodzów i krew panów wielkich,
Krew biała kupców i krew ludzi wszelkich
Pada tam w ogień, jak olej rzucony,
I ogień bucha, jak ta krew, czerwony!

»Widzę dzieciątka, co się z matek ręku
W pożar stoczyły i zgasły bez jęku —
Widzę żołnierzy, co nigdy nie drzeli,
A teraz leżą, jak posągi, bieli!

»I was też widzę, ciągnących w ohydzie
Wśród przekleństw ludu, o hańbie, o biedzie;
Darmo — zapóźno wołacie o Boga!
Bóg wasz wszechmocny, jedyny — to Trwoga!

»Dziś wam dopiero kochać się zachciało,
By wasza pamięć nie zginęła całkiem,
By kto się z wami choć chleba kawałkiem
Podzielił, mówiąc: »Bierzcie, choć tak mało!«

»By łza kochanki, uścisk przyjaciela
Was odprowadził na kończyny świata,
Gdzie trumna czeka i błyszczy nóż kata,
Ostatni promień tylu dni wesela!

»Patrzcie! I siebie widzę z wami razem:
Te same pęta stopy nam związały,
Na śmierć tę samą za jednym rozkazem
Wiodą mnie — ale nie wiodą bez chwały!

»Twarz u was sina — powiedzcie, czy zbladłem?
I drżą wam ręce — czy u mnie zadrżały?
Czy, jak wy, martwy w progach sądu padłem,
Gdy lud rzekł: »Na śmierć!« a sędzie przystały?

»W tej chwili jeszcze czyż zgiąłem kolana?
O, wy klękajcie przed dzikiemi tłumy!
Proście o łaskę choć do jutra rana,
By tę noc przeżyć, jak życie — bez dumy!

Niechaj się ze mną, co los kazał, stanie —
Niechaj mi głowę odetną od ciała!
Alboż myśl moja w tym nożu zostanie?
Z pod ich rąk w niebo nie wyrwie się cała?

»I grób mój tutaj nie będzie bez kwiata,
Ni pamięć moja bez łez też nie będzie —
Jutro tu przyjdzie Siostra i usiędzie,
Gdzie dzisiaj stało rusztowanie brata.

»Anielską postać będzie tu płakała,
Serce anielskie tu mnie wołać będzie
Teraz i potem - na wieki i wszędzie,
Aż do mnie wróci — jak ja — zmartwychwstała!

»Bom w Piękność wierzył, bo byłem szczęśliwy!
Szczęście i wiara dały, że umieram
Nie, jak wy, podle — a was się wypieram!
Ot, w nieskończoność idę po me dziwy,

»Po kwiaty moje, po moje natchnienia,
Gdzie wszystkie lutni dociągnione tony,
Gdzie wszystkie duszy dopełnione brzmienia,
Tam, gdzie Duch jeden — gdzie duchów miliony....

»— I tak się z wami żegna tu poeta,
Ów słaby wietrznik, to dziecię złudzenia.
Co z kwiatów tylko brał jady cierpienia
I nie chciał wierzyć — że to rzecz — kobieta!

»I tak się z wami żegna tu szaleniec,
Co, patrząc w chmury, splatał pustyń wieniec —
Bądźcie mi zdrowi, wygody czciciele,
Wy, świata prawdy cudni stworzyciele!

»A teraz ciebie żegnam, o jedyna!
Chociaż z daleka, ten głos cię doleci,
Błysk krwi z tej szyi w oczy ci zaświeci,
W serce uderzy ta śmierci godzina!

»Za chwilę ciało moje będzie w trumnie,
Głowa na piasku lub w tych ludzi ręku.
Żyłem samotny i umieram dumnie —
Przy tobiem płakał — tu skonam bez jęku.

»Imie twe tylko ostatniem westchnieniem
Przeszlę do nieba. — Tylko myśl o tobie
Skryję głęboko, by mi była w grobie,
Jak tutaj, siostrą — kochanką — zbawieniem!«

Frankfurt, 1839, w sierpniu.

NIE KŁUJ MNIE W SERCE...

Nie kłuj mnie w serce wyrzuty cierpkiemi!
Ten tylko pisze, kto żyje na ziemi:
Ja nie na ziemi żyłem, ale w niebie,
Dlategom, drogi, nie pisał do ciebie.
Znów wąż mnie opłótł, wąż, jak świat nasz, stary,
Znów piłem szczęście z złotej trucizn czary:
Gdy księżyc wschodził, szedłem na gór szczyty,
Czoło me kładłem na śpiące błękity,
Gwiazdym brał w piersi i tysiąc serc miałem —
Wszystkiemi czułem, wszystkiemi śpiewałem
I nad mórz włoskich złoconą otchłanią
Witałem inną duszy mojej panią!

Freiburg, 19 septembra 1839.

WZYWAM CIĘ,..

Wzywam cię w boskiej wspomnienia godzinie,
Stań tu przede mną — nim ta chwila minie —
Stań tu przede mną — lecz, jak wtedy, cała
Lekkiemi szaty błękitna i biała,
Z dumy ponurem na ustach znamieniem,
Z smutku na czole niewymownym cieniem,
Piękna w tym smutku i dumie zarazem —
Napół stworzona potęgi obrazem,
Napół nieszczęścia! O, stań tu przede mną
W tej samej chwili, raz jeszcze bądź ze mną!
Niech głos twój słyszę, niech ujrzę twą postać,
Choćbym miał potem w wiecznym szale zostać
I wołać wiecznie: »Gdzie ona? gdzie ona,
Ta cudna moja — ta moja stracona?!«

(Rzym, 24 grudnia 1839.)

DO...

In the stable nurs'd, in the
kitchen brod.

Byron.

Przekleństwo podłym — przekleństwo tej babie,
Co, z mołdawskiego wywnuczona rodu
I od podłego podlejsza narodu,
Trzyma wciąż oczy, jadowite, żabie,
Wbite w twarz śliczną mojego Anioła,
I uszy nosi drgające do koła,
Jak pajęczyny — pełne much zatrutych,
Kłamstw, oszczerstw, bajek — z jej mózgu wysnutych!
Przekleństwo babie, co, karmna brudami,
Praćby powinna za pralni stołami
Lub stać i czekać wśród służących roju,
Aż ją zawoła pani z przedpokoju —
Lub w kurtce greckiej o igrzysk godzinie
Skakać na koniu i tańczyć na linie,
Lecz nigdy, nigdy na szlachetnych progi
Nie rzucać oka, nie postawić nogi,
Słowa nie mówić z dobremi, z pięknemi —
Tylko, jak żmija, czołgać się po ziemi,
Jak skorpion, zmykać w głębokie ukrycia,
Gdy się posoką lub trucizną najé

Stajnię lub kuchnię mieć za pałac życia
I tam królować — ale wśród lokai,
Jak mądra — nawet jak dobrze ubrana,
Z wschodu przywoźna — lecz garderobiana!
Przekleństwo babie, co w bielmo się stroi,
Ludzi nie wstydzi ni Boga się boi,
Igra wśród oszczerstw, jak niewinny kotek,
Cedzi głosikiem powolny rój plotek,
Aż się, jak tygrys, podniesie zuchwała,
Chuda — okropna i piekielna cała!
Kłamie bezczelnie i kłamstw się wypiera,
Zabija — truje — klnie — szarpie — rozdziera,
Ma mężem szpiega, ma bratem szatana,
Kradzież za siostrę i pieniądz za pana.

Bodajby w piekle jej krwią mi płacono
Każdą z chwil szczęścia, przez nią tu straconą!
Chciałbym po śmierci zostać jej upiorem
I drzeć jej duszę na pasy — na szmaty,
Bo mi tu wszystkie moje struła kwiaty
Gorszym od dżumy — kłamstw i szpiegostw morem!
Przeklęta wiecznie niech będzie na ziemi!
A kiedy umrze — między umarłemi,
A gdy powstanie — przeklęta na niebie,
Bo mnie w w tej chwili rozdziela od ciebie!

Neapol, 10 lutego 1840.

ZNÓW ŻEGNAM CIEBIE...

Znów żegnam ciebie, jak przeszłego roku,
W tych samych miejscach, o tej samej porze —
Brzegi te same i to samo morze,
Lecz nie ta sama łza już w mojem oku.

Wtedym cię żegnał jak sen — co, znikomy,
Nigdy już może w życiu nie powróci,
Tęsknotą tylko resztę życia skróci;
Dziś cię opuszczam — jakgdyby Bóg w niebie
Długo mi jaśniał, na oczy widomy,
A teraz zniknął — gdy porzucam ciebie.

Ha, niegdyś mogłem smutkiem duszy rządzić,
W przepaści woli spętać serca mękę,
Odchodząc, tobie tylko ścisnąć rękę
I odejść — milczeć — pójść w Kampanii błądzić —

Lecz dzisiaj darmo — w rozumu kajdany
Nie zdołam dłużej wiązać serca rany —
W szron zwierzchni oblec wrzące krwi mej fale —
Łzy zabić w oczach — zdławić w piersiach żale,
Być jako posąg lśniący, a zlodniały —
Mieć duszę z żaru, a czoło ze skały
I, gdy cię żegnam — żegnać jak nieznaną,
Bardziej nad siebie i Boga kochaną!

Jak tu nie upaść w tej ostatniej chwili,
Kiedy mnie rozpacz na dziecię zbezsili,
Kiedy mózgowi wśród piekielnej spieki
Ten dzień się wyda ostatnim dniem z tobą,
To pożegnanie — jak rozbrat na wieki,
I przyszłość cała — jedną żalu nędzą,
Z żmij, zwitych razem, tkaną cierpień przędzą,
Serca zabójstwem — rozumu chorobą —
Bytem nicości — wiecznym ciebie brakiem,
Nocą, gdzie wiecznie, bez powrotu słońca
Ja konać będę, a bez konań końca,
Z nieskazitelnym potępienia znakiem,
Nigdy niezmiennym w zmiennych zdarzeń kole,
Jak skorpion duszy, wyrytym na czole!?

Neapol, 17 lutego 1840.

OT, DUCH MÓJ CAŁY...

Ot, duch mój cały chyli się w świat szału,
Jak tylko wspomni o chwili rozdziału,
A gdy dni lepszych uchwyci nadzieję,
Wierzyć nie zdoła i, jak trup, blednieje.
Tak żyję śmiercią i umieram życiem,
Że skonem dla mnie już wszystko się stało;
Mógłbym psów nocnym, wściekłym, smutnym wyciem
Żalić się Bogu — bo płaczem za mało!
Lecz księdza spowiedź ni świętych ołtarze
Ni ziemia cała nic mi nie pomoże;
Ile chcę razy krzyknąć w sercu: »Boże!«
Imię twe tylko wymawiam lub marzę!
Pójdę się modlić — wejdę do kościoła:
Gdy chcę uklęknąć — nie gną się kolana,
Żaden głos na mnie z tych kaplic nie woła —
Nie znam, prócz ciebie, świętej lub anioła —
Niebo me tylko, gdzie ty, o kochana!

Więc jedna tylko — zmiłuj się nade mną,
Nie mów mi nigdy o dniu pożegnania!
Gdy coraz głębiej zapadam w noc ciemną,
Gdzie potępieńców tylko słychać łkania,
Ty jedna tylko zmiłuj się nade mną,
Ty przyobiecaj mi dzień zmartwychwstania!

Zstąp w piekło moje i ciemność podziemną
Rozświeć, jak aniół, jednem ócz promieniem —
Bądź mi opieką — nadzieją — zbawieniem!
Ty jedna tylko zmiłuj się nade mną!
I tak cię żegnam tą modlitwą Ducha,
Tą myślą serca, tym serca wyrazem,
Tym jednym niebios na ziemi obrazem,
Co, jak świt szczęścia, z duszy mej wybucha —
Ah, tym ostatnim: »Bądź przy mnie — bądź ze mną!
Ty jedna tylko zmiłuj się nade mną!«

(1840.)

ZNÓW WRACA WIOSNA...

Znów wraca wiosna — przeszłe wraca życie
I dawna radość i dawna podnieta.
Patrz! W śnie pamięci razem po błękicie
Znów płyniem w stronę Molo di Gaëta!

Rankiem schodzimy w cytrynne ogrody
I, przechadzając się nad morza tonią,
Róż i cyprysów upojeni wonią,
Dziękujem Bogu za świat ten urody.

Każda nam chwila dobra i szczęśliwa,
Milczenie nawet nam pieśnią, co śpiewa.
Z skał zstępujemy na wodne lazury
I z barki naszej znów patrzym na góry

I, patrząc, pijem z przestrzeni puharu
Złotem powietrzem gór błękitnych zdrowie,
Słońca promieńmi wieńczeni na głowie,
Pierś poim w świetle i falach nektaru.

W wieczór wracamy pod rozkwitłe gaje;
Po nich błyszczące w rój wiją się muszki,
Jakby róż śpiących uwolnione duszki...
Na zmierzchłem niebie Mars i Wenus wstaje.

Mars krwawą zbroją błyska i czerwieni
I z giermkiem-gwiazdką sunie się w przestrzeni,
Aż księżyc wejdzie i czarem spojrzenia
Świat dnia przebłędni w świat złoty marzenia.

Ty, patrząc w górę, pytasz się żałośnie:
»Duch nasz na miarę bezmiaru czy wzrośnie?
Czy będziem kiedy, my smutni, wiedzieli,
Jacy mieszkają po gwiazdach anieli?«

Skrą ciekawości czoło twoje płonie —
Wspinasz się wzrokiem w eterowe tonie...
I drżysz i pragniesz — to ufna... namiętna,
To znów w zwątpieniu trwóg pełna i smętna.

A ja cię pieśnią kołyszę nadziei,
Ja ci zwiastuję lot Ducha, przepłynny
Przez ciąg postępnych wszechświata kolei,
I świat nareszcie wieczny — boży — inny.

O, pojmiesz kiedyś i obaczysz okiem,
Jak wieczność płynie tych fal — gwiazd potokiem.
Z słońca na słońce, coraz wyżej, trzeba
Tym, co umarli, wdzierać się do nieba!

Bóg, co nas stworzył, stworzył nas na Bogi
I stopom naszym poddał mleczne drogi...
Duch, co nam dzisiaj już tu w piersiach gości,
Nie duchem ziemi, lecz nieskończoności!

* * *

I przez te wschody świata dyamentowe
Wstępować będziem na Królestwo nowe...

(1840.)

KIEDY KWIATY...

Kiedy kwiaty przyszłą wiosną
Tam na wzgórzu znów porosną,
Tam po wzgórzu zmierzchnią dobą
Ja nie wrócę błądzić z tobą!

Kiedy księżyc nocą ciemną
Błyśnie srebrem na wód grobie,
Będziesz wołał nadaremno —
Nie odpowiem ja już tobie!

Więc nie wołaj po imieniu
Tej, co z tobą nigdy razem
Już nie będzie — lecz w milczeniu
Pójdź do grobu, siądź nad głazem!

Tam wspominaj gorzką dolę
Życia mego — zatrutego
I nabożnie moje bole
Złóż w pamięci serca twego.

Münich, 1840.

ZIMNY ROZSĄDEK...

(Improwizacya)

Zimny rozsądek w tobie się opiera
Wierze, że w sobie karmię solitera,
I mnie zarzucasz, na kształt jakiej kaźni,
Że noszę w mózgu tęczę wyobraźni.
Mówisz: »Tam, w mózgu, robak twój prawdziwy:
Złudzenie, mara, co ci naprzemiany
W białe kamelie przetwarza pokrzywy,
Wiejskie w chór duchów przemienia organy.
Ale też znowu, gdy się pchła urodzi,
Na ogrom słonia ci tę pchłę rozwodzi
I dniem i nocą wiecznie ściga ciebie
Piekłem na ziemi i piekłem na niebie«.
A zatem twierdzisz, że imaginacya
Dobra — lecz tylko w poezyi waryacya,
Co, jak się tylko tu, w życiu, rozplemi,
Choć piękna w niebie, jest śmieszną na ziemi?
O, nie rozdzielaj tak ziemi od nieba!
Jeden Duch tylko wszędzie wre i żyje;
Chmura, jak gołąb, rosę ziemi pije,
I pić deszcz chmury ziemi też potrzeba.
Kto jedną tylko zna życia połowę,
Ten mi wygląda na odludną sowę,
Co wiecznie siedzi w wyłącznej ruinie,

Czeka, by wzlecieć, aż światło przeminie.
U tego tylko nieśmiertelność w mocy,
Kto pojął równie blask dnia i mrok nocy,
A, oba w jednem zspoliwszy natchnieniu,
Promień gwiazd przejrzał w czarnych zmierzchów cieniu
I siedm barw cienia w słonecznym promieniu,
A wszystko zgodził i nazwał »pięknością«,
A wszystko uczuł i nazwał »miłością«,
I nędzę życia pochłonął w otchłanie,
Z których dna kiedyś prawda życia wstanie.
Bo życie dzisiaj — to kłamstwo, to mara —
Natchnienie wieszczów — to życie przyszłości,
Co dotąd tylko w sercu luteń gości,
Lecz przyjdą czasy i wcieli się wiara!

(Roma, 18 maja 1840.)

O ŻYCIA RANKU...

O życia ranku, o wiosen jutrzence,
Pod takim brzegiem i na takiem morzu
Jam ciebie ujrzał w błękitów przestworzu
I obwiódł ciebie w włoskich kwiatów wieńce.

I strach mię chwytał, gdym ci rzucał róże,
A z nimi myśli, natchnienia i pieśni ..
Gdym kładł me serce za stóp twych podnóże,
Jam drżał wśród szczęścia: czy się szczęście nie śni?

Tyś przy mnie była, a ja ciągle marzył,
Że ty złudzeniem, co odleci wkrótce...
I z westchnieniami przed tobą-m się skarżył,
Żeś anioł nikły na mej lotnej łódce...

Bo w słońca blasku lśniła twoja postać,
Nie jak codzienne i trwałe postaci,
Lecz jak duch, który tu nie zdoła zostać,
Bo nie ma tutaj ni sióstr, ani braci...

I długo, dziwną mamiony żałobą,
Chociaż przy tobie, jam się nie czuł z tobą,
Długo tęskniłem gdzieś dalej — do ciebie,
Bom zawsze myślał, żeś ty tylko w niebie!

Na każdej fali i na każdej skale,
Na każdem miejscu i w każdej godzinie
Wieczniem powtarzał: »Ach, to szczęście minie...
Przepłynie Anioł, jak płyną te fale,

I na tem morzu odejdzie ta mara
I wśród tych wichrów pryśnie mi jej wiara
I śmierć — niestałość, albo los zabierze
To, co dziś kocham i w co dzisiaj wierzę!«

Lecz ty zostałaś na łódce milcząca,
Nie wzięła burza ciebie w niebo nagle —
Dotąd w promieniach widomego słońca
Ty rudel trzymasz, ja rozpuszczam żagle —

I tak płyniemy na wieki .. bez końca!

(1840.)

ROK MOJ, ROK SZCZĘŚCIA...

Rok mój, rok szczęścia, czego mi umiera?
Czemu go wieczność z rąk moich wydziera,
Czoło mu wieńcząc umarłych pokojem?
Jam go tak kochał! — On był dobrem mojem...

A teraz anioł ten zdejmie koronę,
Skrzydła nad twarzą zamknie, jak zasłonę,
I zstąpi w trumnę — ot, bije godzina...
Inna się zorza tam, na niebie, wszczyna,

Inny się anioł ludzkim oczom zjawi...
A ja nie patrzę, ja tylko przeklinam —
Bo ten dzień nowy bez ciebie zaczynam
I serce moje krwią wspomnień się krwawi...

(1840.)

POETA

Wierzę w nadzieję, w miłość nieskończoną,
W dobroć i piękność — w straż duchów nade mną —
W światło niebieskie i w wiosnę zieloną —
Lecz wierzę razem w potęgę podziemną,
Co morzem trucizn na świat ten wylana —
W żart losów wierzę i śmiechy szatana,
W nędzę, w ubóstwo i w ból i w chorobę,
W męczeństwo ciała i ducha żałobę,
W rozdział na wieki i samotne zgony.
— Świat złego także bywa nieskończony!
Darmo się zżymać — czy później, czy wcześniej
W jęk się przełamią marzonych słów pieśni.
Bo los nas skazał z odwiecznej rachuby
Życiu, co wiedzie — przez mękę — do zguby.
Miecz temu pęknąć, lutnia prysnąć musi,
Kto się o chwałę lub o cześć pokusi,
Bo, do wiecznego wtrącony więzienia,
Skąd nie zawrócą na świat jego pienia,
Mrzeć w więzach będzie, aż w tej czarnej nocy
Przeklnie sam siebie i padnie bez mocy.
Lub, jeśli zdoła rozerwać kajdany,
To pójdzie błądzić ubogi — wygnany —
Po cudzych krajach, samotny śród świata,
Aż kiedyś wróci na rodzinną ziemię

Z wielkiej tęsknoty — i sam w ręce kata
Odda swą głowę, jak nieznośne brzemię.
Bo na granicy moich zbóż i borów,
Moich chat wiejskich, mych szlacheckich dworów,
Moich rzek wartkich i stawów mych szklistych,
Wdzięcznych mych wzgórzów i łąk mych kwiecistych,
Z czaszek mych braci, co polegli w boju
Lub w czarnych lochach poschli na szkielety,
Wzniesiona brama wiecznego pokoju
Błyszczy z daleka skrzącemi bagnety,
Orłów rozdartych powiewa skrzydłami,
Pnie się w arkady głów trupich słupami,
A w górze kości, pod słońcem tające,
Sączą z jej szczytów krwi krople kapiące.
A po jej środku stanął kat z toporem
I czeka wiecznie — nuż wróci wygnaniec? —
I strzeże wiecznie — nuż smugiem lub borem
Uciekać będzie za bramę tę braniec? —
By tych nie puścić do ojczyzny raju,
A tych odegnać od wolności kraju.
W miarę, jak biegną z tej lub owej strony,
On ich zatrzyma i, skuwszy ich w pęta,
Pierś im rozedrze żelaznemi szpony
I głowę ścina. — Każda głowa ścięta
Nie idzie zasnąć pod ziemię, do trumny,
Lecz węgłem nowej stanie się kolumny
Lub cegłą więcej na arkad sklepienie.
Codzień przybywa tych żywych kamieni,
Piętro po piętrze wyrasta w przestrzenie
I śród błękitu zdala się czerwieni —
Trupie filary coraz wyżej lecą,
Błyski bagnetów coraz górniej świecą,
I tak się w niebo brama ta podnosi,
Co krwią mych braci moją ziemię rosi. —
A na jej czole, z suchych, ludzkich kości

Wyryty, napis codzień ogromnieje,
Codzień się groźniej nad światem czernieje
Przestrogą światu: »Tu próg spokojności.« —
Śpiewajże teraz, o poeto młody,
Ty, synu światła — kochanku swobody!
Ty, gwiazdą ducha na czole znaczony,
Powstańże teraz i bądź mi natchniony!
Patrz na tę bramę — czy wiesz, co ci wróży?
Tam cel twej drogi, tam koniec podróży.
Bo, jeśli w piersiach myśli tej nie zdusisz,
Co wiecznych skrzydeł od ciebie wygląda
I śpiewną prośbą twojej zguby żąda,
W tej bramie kiedyś ty gardło dać musisz.
A gdybyś z podłej przed losem bojaźni
Stłumił tę iskrę, co w duszy ci płonie,
Nie ręka śmierci, ale piętno kaźni,
Jak robak, stoczy twe wywiędłe skronie.
W przepaści serca pieśni twe wstrzymane
Zeżrą ci serce, jak jady rozlane,
I, choć żyć będziesz pośród żywych ludzi,
Choć nieść otwarte przed słońcem powieki,
Zaprawdęś umarł, tyś umarł na wieki,
Już imię twoje nigdy się nie zbudzi!
A za toś umarł, żeś w otchłań wieczności
Rzucić się nie śmiał w całej życia sile;
Tyś się wycofnął od nieśmiertelności,
Boś nie chciał głowy w grób złożyć na chwilę!
I zlękły, drżący nad przepaści progiem,
Tyś mniej niż człowiek — choć mogłeś być Bogiem.
Teraz pójdź z lutnią, na rękach uśpioną,
W całun zapomnień obleczony cały,
Ponad ocean wieków, kędy płoną
Lampy wspomnienia na grobowcach chwały —
A z morza tego i z onych smętarzy
Głos wielkich zmarłych wstanie i zawoła:

»Czemuś tak zwiędłej i nikczemnej twarzy
Ty, coś miał niegdyś wdzięczną twarz anioła?«
A ty, to słysząc, padniesz, jak rzecz blada,
Ostatniem tchnieniem całując ich kości —
A głos powtórzy: »Biada temu, biada,
Kto z strachu upadł w pustynię nicości!«
Hańby więc takiej czeka na cię dola,
A jeśli nie chcesz — to śmierć lub niewola.
Strój ty więc lutnię — lecz na pieśń pogrzebu,
I miecza chwytaj — na walkę daremną!
Bo, skoro serce roztworzysz ku niebu
I z serca wyjmiesz ową pieśń tajemną,
Posłaną w skargę na ziemi twej wroga
Z braci twych grobu do ojców twych Boga,
Wnet — patrzaj! — zewsząd światło słońca znika,
Nad głową twoją cień chmur się przemyka,
Widnokrąg blednie i niebo trupieje,
W górze sto wichrów zrywa się i śmieje,
Śród cieniów krwawe z ziemi larwy wstają,
O zdradę ciebie przed sąd pozywają
I brzękiem kajdan twojej głowie łają —
Aż oczy twoje taka noc obrośnie,
Aż koło ciebie stanie się tak czarno,
A w sercu twojem tak gorzko — tak marno —
Że, choć ty niegdyś śpiewałeś o wiośnie,
Że, choć ty kochał, nie wspomniesz miłości —
Że, choć ty wierzył, nie pojmiesz ty wiary
I, w tan porwany piekielnemi mary,
Ty zwątpisz nawet o bogach piękności!
Obaczysz tylko twoich braci zwłoki,
Sine ich miecze i krwi ich potoki,
Płynące zwolna — a na wzgórzach świata,
Patrz, tam samotna stoi postać kata!
Patrz, wzniosła topór śród wichrów zawiei
I tym toporem wskazała na niebie

Gasnące gwiazdy ostatnie nadziei
I, schodząc, stąpa, jak olbrzym, do ciebie!
Lecz ty nie klękniesz, nie zadrżysz w tej chwili;
Bracia ją twoi przed tobą przeżyli —
I wszyscy rzędem pogrzebowym, długim,
W krew własną jeden opadli po drugim,
A, gdy padali, nie znali, co trwoga,
I z wzgardą dumy patrzyli na wroga.
Ból śmierci mija — ta chwila przepłynie.
Dopiero teraz, na zawsze mi dzielny,
Ty z grobu wstaniesz młody, nieśmiertelny,
A proch twój tylko w grobie tym zaginie.
I wdzięczność ludzi postawi twe imie
W ducha ludzkiego ponadziemskim Rzymie,
Gdzie tym, co legli z namiętnej miłości
Dla chwały świata, dla dobra ludzkości,
Posągi stawią od pory do pory
Na szczeblach wieków jasne, widne zdala,
By czasu nigdzie nie wstrzymana fala
Tam się wstrzymała, gdzie tryumfatory.
I czas tam staje, niby patrzy, słucha —
I dziwną pieśnią, wieczności westchnieniem
Oblewa, płacząc, te posągi ducha,
Niemarmurowym wykute kamieniem.
Śpiewaj więc teraz, o poeto młody,
Ty, synu światła, kochanku swobody!
Choć znakiem śmierci na czole znaczony,
Powstańże teraz i bądź mi natchniony!

1840.

73

JA CIĘ NIE ŻEGNAM...

JA CIĘ NIE ŻEGNAM...

Ja cię nie żegnam — Przez to, co świętego
Czczę na tej ziemi, przez cześć kraju mego,
Nie żegnam ciebie — przez Boga żywego,
Nie żegnam ciebie — chyba z fali szumnej
Wyrośnie dla mnie płynne wieko trumny,
Chyba mnie porwą i pójdę, okuty,
W zamarzłą wiecznych męczarni krainę
Znieść karę za to, żem jedną miał winę:
Że z czci nie byłem — jak podli — wyzuty!
Lecz się nie lękaj! Mam stróża-anioła,
Mam gwiazdę moją — miłość twą — na niebie,
I choć mnie gwałtem los dziś w drogę woła,
Ja cię nie żegnam, bo wrócę do ciebie!

Ściśnij mi rękę, jak codzień bywało,
Gdyś mnie na krótką chwilę porzucała,
Wiedząc, żeś do mnie wnet powrócić miała —
Ni myśl, żem zniknął — bo ze mnie zostało
Przy tobie wszystko, co godne miłości,
Lecz co nas zspala w nieśmiertelnych dwoje —
To, co nie z prochu — ty wiesz: serce moje!

Molo di Gaeta, 30 czerwca 1840.

DWIE PIOSNKI.

I.

Od łez moich się zaduszę!
Ja ci dałem całą duszę,
A dziś w drogę jechać muszę!
Ja tak cię kochałem!
Ah, rozdział śmiercią — tak, jak śmierć rozdziałem!

Wczora jeszcze tak radośnie,
A dziś, patrzaj, tak nieznośnie!
Coraz gorzej żal mój rośnie —
Ja tak cię kochałem!
Ah, rozdział śmiercią — tak, jak śmierć rozdziałem!

Tam gdzie jadę — pustki, ciemno,
Bo nie będzie ciebie ze mną,
Ty, aniele mój nade mną!
Ja tak cię kochałem!
Ah, rozdział śmiercią — tak, jak śmierć rozdziałem!

Lecz, na Boga, ja powrócę,
Dni żałoby wolą skrócę
I pieśń szczęścia znów zanucę
Nowym natchnień szałem:
Ni rozdział śmiercią — ni śmierć jest rozdziałem!

II.

Rankiem, wieczorem na wyspy bezdroże
Patrzę samotna w skały — w niebo — w morze
I codzień mówię: »On dziś wróci może!«
Taki mój los!

Dni kilka tylko, lecz już cierpień wieki,
Odkąd tak czuwam z płaczem u powieki,
A on co chwila bardziej mi daleki.
Tak mnie przebił cios!

Czyż ptak się jaki nie wróci z oddali
Lub żagiel jaki nie błyśnie na fali,
O nim doniesie i mnie się użali?
Jnż czuję zgon!

Kiedyż on wróci? Czyż jeszcze dni wiele
Tak patrzeć będę na smutne topiele?
O szepnij — szepnij mi, stróżu aniele:
»Wkrótce wróci on!«

Neapol, 3 lipca 1840.

KAMPANIA RZYMSKA.

Kampania rzymska, gdzie tak pusto, smętno,
Gdzie, jak nagrobek, starty czasów nogą,
W proch się rozpadło wszelkiej pychy piętno
I gruzy tylko stoją ponad drogą!

Kampania rzymska — to świat mej młodości!
Duch mój wzrósł w siłę tam, gdzie Tyber płynie,
Hafry strunami na natchnienia włości
Podbiłem sobie wiekową pustynię.

Nieraz, dosiadłszy prędkiego rumaka,
Jak błyskawica, w trój złaman nad siodłem
I lotem, lotem podobny do ptaka,
Tę, którą kocham, przez te smugi wiodłem.

Przez groby konno! Tam, gdzie urna skryta,
Pod kopytami stękały cmentarze.
My, dalej gnając tętniące kopyta,
Ku bogom-manom odwracali twarze.

Jakżeż tam wzniośle i dobrze mi było,
Gdym rwał dla lubej jaśminy, rosnące
Nad grobem ludzi i bogów mogiłą,
I w piersiach nosił jakby wrzące słońce

Na miejscu serca i, wieńczony kwieciem,
Marzył, że życie jest wiosen stuleciem!

Kampanio rzymska! Tęcza przypomnienia
Twe stopy dla mnie w raj boży zamienia!
Chciałbym przed śmiercią wrócić na te niwy,
Gdziem tyle razy wołał: »Ja szczęśliwy!«
Raz jeszcze spojrzeć na te wielkie błonia,
Skądem w świat patrzał — jak król świata — z konia,
I żył możniejszy, niźli ziemskie pany,
Bo w lat mych kwiecie, kochając, kochany!

(1840?)

O ZIEMIO WŁOSKA...

O ziemio włoska, dziś mi nie żal ciebie
Za to, że wieczną ty się maisz wiosną,
Że po twych drogach święte mirty rosną,
Że jak archanioł twe słońce na niebie —
I że jak anioł bladawszego lica
Świeci twój księżyc, niebios twych dziewica —
Że z każdej, w zmierzchu tkniętej, mórz twych fali
Bryzgnięta piana jak dyament się pali —
Że po twych brzegach lecące luciole
Tańczą noc całą w sennych kwiatów kole,
Świecąc w powietrzu skrzydełek iskrami —
Aniołki-stróże nad twych łąk różami!

O ziemio włoska, dziś mi żal jest ciebie
Za to, żeś smętną przeszłości królową,
Nieszczęsną duchów nieśmiertelnych wdową,
Zyjącą dzisiaj o żebraczym chlebie —
Że z twoich wzgórzów, jak bogi żałoby,
Płaczą nad tobą mężów twoich groby!
Bo myślą tylko, a nie sercem całem
Jam pojął odblask zmarłych twych wielkości,
A wyższą piękność od twojej piękności
Jam sercem poznał — i odtąd kochałem.
Nie kuta z głazu, ani malowana

Choćby nadziemskim pendzlem Rafaela —
Lecz dusza żywa, z pośród duchów wiela
W twarz anielicy od Boga ubrana
I cierpieć — kochać na świat ten posłana.

O ziemio włoska, gdy w serca żałobie
Rzucam twe błonia, nie płaczę po tobie,
Lecz za tą płaczę, którą zostawiłem
Tam, na twych brzegach, gdzie z nią razem żyłem,
Gdzie w każdej chwili, przez dni błogich wiele,
Jam jej powtarzał: »Kocham cię, aniele!«

O ziemio włoska, strzeż tego anioła —
Gdy, wysp łańcuchem zamknięta dokoła,
Patrzy z skał twoich na błękitne fale
I może na mnie łzą tęsknoty woła —
Mów jej północnym wiatrów twych powiewem,
Żeś na ostatniej granic twoich skale
Słyszała także mej rozpaczy żale —
I żem cię żegnał miłości westchnieniem!

(Splügen, 11 lipca 1840).

DO D...

W starożytnym tym kościele,
U stóp smętnych tych ołtarzy,
Ah, pamiętam, o aniele,
Tyś klęczała z łzą na twarzy.

I w tym domku wiejskim, małym,
Kiedy nocna cisza była,
Tyś, konając sercem całem
Gorzko także się skarzyła.

I tam później na wyżynach,
Uwieńczonych ruinami,
Ty, siadając na ruinach,
Hymn śpiewała — westchnieniami.

Dziś na brzegu mórz bez końca,
Gdzie świat w wiecznym kwitnie maju,
Tobie jednej niema słońca,
Tyś samotna w wiosen raju.

Nad twą duszą jest potęga
Niewidzialna, która truje,
W przeszłość, w przyszłość po jad sięga,
Teraźniejszość jadem psuje.

W każdem miejscu, w każdej dobie,
Pośród krzyżów świętych święty,
Nad twem sercem — jak na grobie —
Krzyż nieszczęścia — ach, zatknięty!

Boś z niebieskich gwiazd zesłana,
Więc na ziemi, gdzie, aniele,
Nie świat Boga — lecz szatana,
Łzy masz tylko, łzy w podziele!

Jeśli kochasz, nieszczęśliwa
Wiecznie będziesz, bo kochanie
Wszystkie związki z ludźmi zrywa,
Bolem tylko płaci za nie.

Ale, jeśli kochasz święcie,
Choć ci serce w proch się skruszy,
Ty uczujesz wniebowzięcie
W każdym bolu twojej duszy!

I ja także już znękany —
Świat ten u mnie w poniewierce,
Odkąd hańbą wziąłem w serce
I wróg okuł mnie w kajdany.

Gdzie niewola — tam w rozpaczy
Człowiek żyje na swej niwie,
Ciąg dni krótkich buntem znaczy
I umiera nieszczęśliwie.

Mnie się marzy wśród wspomnienia
Snów przedziemskich, że gdzieś w niebie,
Wśród mar błędnych przedstworzenia
Jam cię widział, jam znał ciebie;

Mnie się marzy, żeś w koronie
Z meteorów tam siedziała,
W sukni srebrnej, na chmur tronie
I żeś harfę w ręku miała;

Mnie się marzy, że księżyce
Pod twą stopą się tam lśniły,
I że wszystkie anielice
Nie tak piękne, jak ty, były;

Mnie się marzy, żeś twym śpiewem
Gwiazdy w biegu wstrzymywała
I umilkłszy, znów zalewem
W noc błękitną je rzucała;

Mnie się marzy, że w tem niebie
Tyś mnie zwała bratem, droga.
Dziś powraca brat do ciebie —
Znów cię woła w imie Boga.

Daj mi rękę, pójdziem razem
W puszcze wielkie, precz od ludzi,
Gdzie nas jednym śmierci głazem
Bóg przywali — nikt nie zbudzi!

Chyba słowik siądzie wiosną
I konwalie tam porosną —
Chyba w nocy, jak gromnica,
Grób omignie błyskawica —

I znów potem cicho będzie
Nam obojgu ponad czołem...
Kwiaty — błękit — wieczność wszędzie
Nad człowiekiem i aniołem!

Splügen, 26-go Augusta 1840 r.

ZAWSZE I WSZĘDZIE.

O, nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że ciebie tylko goryczą zraniłem,
Bo ja goryczy kielich także piłem
Zawsze i wszędzie!

O, nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że tobie tylko los życia przepsułem,
Bo własną dolę sam także zatrułem
Zawsze i wszędzie!

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że Bóg jest dobry, że mnie schował w grobie,
Bo byłem sobie nieszczęsny i tobie
Zawsze i wszędzie!

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Żem żył na świecie dzikim serca szałem,
Bo z serca ciebie, choć gorzko, kochałem
Zawsze i wszędzie!

86

DO DUCHÓW — PRZY ŚWIETLE KSIĘŻYCA.

Ja was wyzywam, duchy i anieli,
Co na błękitu gwiazdach królujecie,
Coście na wieki z czoła smutek zdjęli:
Bom dziś szczęśliwszy na tym smutnym świecie,

Niż wy w niebiesiech — Nie lękam się wzroków
Waszych tęczanych i skrzydeł z płomienia —
Jak wy, dziś płynę wśród światła potoków —
Jak wy, wznieść mogę nieśmiertelne pienia!

Tę, którą kocham, płaczącą widziałem —
Łzą rozrzewnienia powrót mój witała —
Odtąd sam cały na zawsze skonałem,
Bom zlał się z duszą tej, która płakała.

Mówcie wy teraz, duchy i anieli,
Czy w nierozłącznej z jej sercem jedności
Duch mój niebiaństwa waszego nie dzieli,
Choć pije ziemskiej trucizny miłości?

Wyście spokojni, trwałem wasze szczęście —
Na ziemi radość, choć nie z ziemi rodem —
Dwa serca spaja w wznioślejsze zamęście,
Bo zagrożone boleści rozwodem.

Są chwile ludzkie, o, wam niedościgłe!
Wy od nas górniej i piękniej mieszkacie,
Lecz serca wasze wśród niebios wystygłe —
Co piorun szczęścia w nieszczęściu — nie znacie.

Co kropla rosy wśród piekielnej spieki,
Co twarz kochana po długim rozdziele,
Co zmartwychwstanie po śmierci na wieki,
Co kwiat w pustyni, co iskra w popiele,

Co wzrok, łez pełen — co ściśnienie ręki,
Co wspólna bojaźń — co boleść dzielona —
Nie, — wy nie wiecie, co na krzyżu męki
Rozkwitająca, cierniowa korona!

I ten kwiat głogów na tej smutnej ziemi
Wszystkie wytrzyma słoty, wichry, burze —
On z trosk wyrasta — on z smutków się plemi —
Świeży i piękny, jak edeńskie róże;

Stokroć rozdarty, rozszarpany, zmięty,
Na czas upadnie w głąb duszy człowieka;
Tam, niewidzialny, ale równie święty,
Znów listki puszcza, pory słońca czeka.

Takiego kwiatu, duchy i anieli,
Wy nie znajdziecie po waszych błękitach,
Bo się odświeża tylko w łez kąpieli,
Bo rośnie w głębi, a nigdy na szczytach.

Patrzcie na wieniec, co krwawi mi skronie!
To znak mój ludzki, ta z purpury wstęga,
To kwiat męczarni, co wre w moim łonie —
I duch mój cierpi, lecz do was dosięga.

A kiedy nagle rozwidni się wkoło,
Gdy blask uniesień uderzy mi czoło,
Gdy noc tak jasna, cicha, nieskończona
Tę krew osrebrzy, co płynie mi z łona —

Wtedy ja silniej od was wszystkich czuję,
Wtedym prawdziwie syn nieskończoności —
I wdzięczniej Bogu za chwilę dziękuję,
Niż wy, gwiazd pany — za szczęście wieczności!

Sept. 1840.

DO D.

PO ŚMIERCI.

Gdy wkrótce, droga, śmierć wiatrom rozrzuci
Serce me, w popiół ogniem mąk spalone,
Niech twój głos o mnie jeszcze pieśń zanuci,
Niech wzrok twój spojrzy w grobu mego stronę!

Gdy się rozwieję i zniknę ci z oczu,
Grob mój nie tutaj, mój grób tam, na niebie;
Szukaj mnie w nocy miesięcznych przezroczu
O chwili, w której jam tu szukał ciebie!

Gdy ty piętrami ciemnego ogrodu,
Modląc się, zejdziesz i staniesz w żałobie,
Jak posąg biały, u chłodnika wchodu,
Może ja wrócę lub przyśnię się tobie.

Gdy spojrzysz w wulkan, w księżyc i na morze,
Duch mój tam będzie w tej srebra przestrzeni
Gwiazdeczką, falą, albo listkiem może,
Listkiem tak błędnym, jak liście jesieni.

Bo ja na zmiany i gwiazdą i listkiem,
Gdym żył, błądziłem po tej smutnej ziemi;
Dla ciebie byłem gwiazdą — pieśnią — wszystkiem,
Dla ludzi niczem, bom ja gardził niemi.

Nigdym nie zasiadł do biesiad ich stołów.
Co świat ten cieszy, mnie tylko hydziło —
Żyłem w twych oczach i w oczach aniołów —
Ty i Bóg wiecie, co mi w sercu biło.

Jam bardzo kochał — zanadto, za wiele!
Jam bardzo kochał — aż, znękan rozdziałem,
Duszęm wypłakał. Jam nie mógł w rozdziele
Żyć z tobą tutaj — więc tutaj skonałem.

Jam się stał teraz dźwiękiem, szumem, tchnieniem;
Do harfy twojej dziś mój duch przylega
I pod twą ręką drzy strun twoich drżeniem,
Aż znów ucicha, omdlewa, odbiega.

Jam się stał iskrą, sinem błyskiem, mgnieniem;
Gdy chmura, pędząc, czarną pierś roztworzy
I krwi się swojej obleje promieniem —
To duch mój błyska w tej piorunnej zorzy.

Gdy księżyc wznidzie — cały rozmieszany
Z powietrzem, płynę, rozzłacam się wkoło;
A gdy cię ujrzę, zbliżam się stroskany
I, milcząc, światłem całuję cię w czoło.

Ty mnie nie słyszysz, choć jestem przy tobie,
Ty mnie nie widzisz, gdy zrywam ci kwiaty
Z łąk, wzgórzów, lasów i rzucam na szaty —
Ty je otrząsasz i depczesz w żałobie.

Proszę się duchów, archaniołów, Boga,
Bym mógł raz jeden objawić się tobie,
Gdzie chłodnik, wschody, gaj i w gaju droga,
Stanąć widzialny o wieczoru dobie.

Lecz darmo proszę. — Tylko pozwolono
Mi skroń twą pieścić wietrzyka powieniem
I, bladych iskier wieńcząc cię koroną,
Niedosłyszanem żegnać cię westchnieniem.

Próżno mnie wabią gwiazdy i lazury;
Ja zbiegam ciągle na dół, tam, ku tobie
I smętny wracam w niebieskie tortury:
W nieskończoności pusto mi, jak w grobie.

Nieszczęsny jestem, choć gwiazdy i słońca
Przy mnie się kręcą w pierścieniach z promieni,
Cierpię bez miary i tęsknię bez końca
Do niższych, ziemskich, do twoich przestrzeni.

Samotny jestem wśród toni wszechświata.
Co mi po nurtach tej elektryczności,
Która dziś wieńcem siły mnie oplata?
Co mi po sile, która we mnie gości?

Co mi, że latam i wieję i płynę?
Że mnie witają po drodze komety?
Że, gdy na tęczę ciało me rozwinę,
W łuku mych ramion przechodzą planety?

Jedna mi tylko pociecha się stała:
Twarz gdzieś anielską raz jeden spotkałem,
Co mi twą piękność, jak snem przypomniała.
I to mi było w niebie szczęściem całem!

O, płacz nade mną gorzką łzą pamiątek,
Płacz nad nieszczęsnym, coby wolał z tobą
Dzielić łzy, bole i ziemski zakątek,
Niż, świateł marną spętany ozdobą,

Wśród tych ogromów, tak rozbłękitnionych,
Tak dniem i nocą Bogiem oświeconych,
Latać i błądzić, tęsknić i narzekać,
I ciebie wiecznie — tylko ciebie czekać!

Neapol, 1840. Pomyślane w nocy z 19—20 septembra.

83

TO MIASTO WIECZNEM...

To miasto wiecznem, w tych grobach jest życie,
Które pod ziemią spokojnie i skrycie
Krąży krwią wieków i serce spokoi,
A może czoło w laur wieków ustroi.
Może kto kiedyś na jednem z tych wzgórzów,
Wśród prochu bogów i gruzu podmurzów,
Gdzie róż i bluszczu powiązane zwoje,
Bluszcz, gdy odchyli, znajdzie imię moje.

(Sorrento, 29 septembra 1840.)

LISTKU, DZIŚ SUCHY...

Listku, dziś suchy, przypomnij mi strony,
Gdzie nad błękitnym Albana jeziorem
Tłum drzew jesiennych zawieszał się wzorem
Szczęścia zwiędłego uwiędłej korony!
A w głębi cisza. W dole śliczne wody,
Wiecznie te same — niebiańskiej pogody.

Choć na ich krzewach zwiędły kwiaty Boga
I płaszcz się rozdarł zielonej natury
I ludzkich zamków zapadły się mury
I liściem zżółkłym pokryła się droga —
One powietrza światło odbijały
I w nich był znajom — obraz nieba cały.

Tak w głębi serca, tak w przepaściach duszy
Drga jakieś Boga przeczyste odbicie;
Choć wewnątrz pełno mąk, trosk, łez, katuszy,
Choć serce zżółkło — tam, w sercu, trwa życie
I niewidzialnym, ukrytym błękitem
Głąb wód i serca związan z niebios szczytem.

Albano, 1840.

TAK WIĘC CIĄGLE...

Tak więc ciągle z burz na burze
Wśród błyskawic, po otchłani,
Bez wytchnięcia, bez przystani —
Aż się wreście w głąb zanurzę!

Ilem razy wśród zawiei
Oczy smutne wzniósł do góry
I gdzieś szukał gwiazd nadziei,
Cóżem ujrzał? — tylko chmury.

»Oto cisza, wiatr już kona!«
Ile razy rzekłem sobie,
Głos mi odgrzmiał z burzy łona:
»Ciszy niema, jedno w grobie!«

I tak dalej i tak wszędzie,
Od kolebki urodzenia
Aż do trumny zapomnienia
Wir trosk sercem miotać będzie.

Aż przepadnie wszystko razem,
Myśl i ciało — a na skale
Drzymać będą tylko fale
Wieczności obrazem.

Roma, 23 novembra 1840.

NAD MORZEM NA SKALE.

O Boże, Boże! Rozemknę ramiona,
Jakgdyby skrzydła — i skrzydłami temi
Polecę na dół, w głąb błękitów łona —
Polecę w morze — w to niebo na ziemi.
Bo wznieść się w górę nie wolno — nie dano,
W dół tylko cięży me ludzkie kolano.
A chcę odepchnąć ten ląd taki szary,
Chcę się przerzucić w jakiebądź bezmiary.
Duch mój rad ujrzeć niewidzialnych gości,
Dobro i piękno, w blaskach wszechmiłości,
Dobro i piękno, ze złem nie złączone —
Coś wszechstronnego — w czemby się nie kryła
Przy mocy bożej i piekielna siła,
Coś, coby płaczem nie było zroszone.
Bo za dni naszych i najświętsze cele
Brzydoty bolu, nędzy mają wiele.
Mrok zawsze blizki czystego błękitu
I łza, krwi pełna, blizka łzy zachwytu.
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . nożem.

O, tak marzyłem na wzgórzu, nad morzem,
I chciałem, chciałem rozemknąć ramiona,

Jakgdyby skrzydła — i skrzydłami temi
Na dół się zepchnąć w głąb błękitów łona —
Polecieć w morze — to niebo na ziemi.
Tak dobrze lecieć — tak ciągnie planeta,
Radby do serca przytulił człowieka —
Tak otchłań wabi i ludzi z daleka —
W nerwach tak dziwna budzi się podnieta!
Zdaje się: w dole przepłynne kryształy —
Tak miękko będzie — tak lubo — tak miło —
Człowiek na falach rozciągnie się cały,
I coś boskiego będzie mi się śniło,
Aż w nieskończoność poniosą te wały
I księżyc wejdzie i w srebrnych promieniach
Kochane wejdą przywitać mnie duchy,
Zewsząd owieją niebiańskie podmuchy;
Wesprę się, płynąc, na wysmukłych cieniach —
I coraz dalej — ach, dalej od ziemi,
Już w wieczność będę po morzach wraz z niemi,
Jako szedł Chrystus przez niegrzązkie fale
Do źródła ziemi, nie ciężki już wcale,
W wewnętrznej duchów lekkości i chwale!

A jednak, jednak ja tu się zostanę,
Choć wszystko smutne, choć wszystko stroskane.
Dopóki żyją moi ukochani,
Duch mój ich nagłem odejściem nie zrani.
Wiem, że ty lepsza, błękitna otchłani,
Niż zgotowana przyszłość, co mnie czeka —
W tych falach spokój, a tam są tortury —
Lecz precz ode mnie, kuszące lazury! —
— Przez ból hartują się piersi człowieka —
Ja ból obieram — w każdej chwili ranę
Do piersi przyjmę. Ach, ja tu zostanę!

(1840 r.)

UKLĄKŁBYM MOZE...

. . . . . .
. . . . . .

Ukląkłbym może, błagał przebaczenia,
Lecz wy przebaczać nigdy nie umiecie.
Daj mi więc jeszcze tu, na żywych świecie,
Co zmarłym dają: pokój zapomnienia!

(1840?)

NADGROBEK Z. K.

O Lindo moja, jeśli zginąć trzeba,
Niech dusza moja nie pójdzie do nieba,
Niech się na ziemi przy tobie zostanie —
Już tem, że z tobą, już tem zmartwychwstanie.

Nie żądam, Lindo, gdy zamknę powieki,
Ni żalu ludzi, ni świętych opieki —
Niech zapomniany będę pod mogiłą!
Tylko po śmierci, jak za życia było,
Chcę być kochanym i chcę kochać ciebie.

Grób łożem mojem, póki dzień na niebie,
Lecz skoro tylko pierwsze zmierzchy padną,
Ja grób porzucam i płynę do ciebie —
Oni już wtedy, gdzie jestem, nie zgadną.

Oni już wtedy nie będą wiedzieli,
Że wstałem z zimnej cmentarzów pościeli,
By głuchą nocą, udając anioła,
Składać me usta na smęt twego czoła.

I póki zorza wschodu nie rozpłoni,
Póki skowronek pieśni nie zadzwoni,
Szczęśliwszy stokroć, niż anieli w niebie,
Będę cię widział — będę kochał ciebie.

(1840 r.)

100

LECZ WSZYSTKO ŚWIECKIE...

(Na sprowadzenie zwłok Napoleona).

. . . . . .

Lecz wszystko świeckie dziś pełne podłości...
Ludzie, zagrzązłszy na wygód mieliźnie,
Gorzej umarli, niż umarłych kości,
Świecą dusz próchnem po życia płaszczyźnie...
Świat dziś kałużą rozmiękłego błota,
W której się wala — Bóg ich — cielec z złota.
Wszędzie stek kupców, wszędzie ród kramarzy,
Ze wszystkich plemion najnędzniejsze plemie...
Z czołem pogodnem, gdy je hańby brzemie
Tłoczy, z natchnieniem, gdy o zysku marzy —
A wtedy tylko z rozpaczy wyrazem.
Gdy w giełdach wszystkich spadną ceny razem...
Żaden z nich w świętej miłości lub dumie
Za miecz nie chwyci — bo walczyć nie umie;
Żaden umierać już nie jest gotowy,
Więc umrą wszyscy — i o złej godzinie,
Bo gdy myśl zgasła, świat tej myśli zginie
I na ruinach powstanie świat nowy!...
Darmo ich mowa kwiecista i szumna —
Czas ich — za niemi! — Jedno tylko ciało,
Ocałunione dni ubiegłych chwałą,
O Boże wielki!... jedna tylko trumna,

Co weszła z morza nad świat, jak wschodzące
W ostatni świata dzień sądny, gasnące,
Zaćmione, zmarłe u stóp Boga — słońce!...
Ha! — jedna trumna — jedno zimne ciało
Na całej ziemi jednem pozostało
Ducha ludzkiego godłem ocalonem!
Bo w dzień pogrzebu ponad głów milionem,
Gdy szła ta trumna, cała zachowana,
W srebrnej kadzideł palących się chmurze,
Z mieczem zwycięstwa — w cesarskiej purpurze —
Koroną świata ukoronowana,
Taka z jej głębi zmartwychwstania siła
W skrzepłą pierś ludu gromem uderzyła,
Że ta pierś ludu na chwilę ożyła —
I milion kolan przypadło do ziemi,
I wszystkie razem wzniosły się ramiona
W stronę tej trumny, co szła ponad niemi —
Jakby z niej wstawał duch Napoleona!
I głos tysiąców, jak piorun, gdy bije,
Grzmiał umarłemu: »Niechaj Cesarz żyje!«
Lecz trumna przeszła — życia błyskawica —
A już do śmierci powrócił świat cały,
I ten rok skonał — tak, jak żył — bez chwały,
Zgasł, jak zdmuchnięta pogrzebu gromnica...

(1840 r.)

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka Radom

MYŚLAŁEM NIERAZ...

Myślałem nieraz przez znak dotykalny
Wyrazić tobie ten świat idealny,
Cudowny, skryty, własny twego ducha.
Skąd życie twoje co chwila wybucha,
W którym twa dusza, łamiąc się na dwoje,
Jakimś podziemnym i wewnętrznym okiem
Patrzy przed sobą w własne myśli swoje,
Wiecznym z jej głębi rwące się potokiem,
A choć się w przepaść sama rozstępuje,
Zawsze się jedną, zawsze całą czuje.

Tak eter niebios, choć tylko promieniem
Gwiazd swoich widny, gwiazdy owe rodzi,
Przedziela, łączy i wszystkie obwodzi,
Rozbłękitniony wieczności pierścieniem;
Każda w nim żyje, koluje, umiera,
One są jego myślami na niebie,
On ich rodzicem, a jednak sam siebie
W ich barwy stroi, w ich ognie ubiera,
Dopiero, niemi roziskrzony cały,
Zowie się niebem i drży w blaskach chwały. —

Jak eter w świecie, tak jest w twojej duszy
Błękit odwieczny, niebieski, kryjomy,

Co wtedy tylko staje się widomy,
Gdy się napoprzek rozedrze i wzruszy —
Gdy się w wir myśli rozbije, rozłamie
I w myślach własnych, jakby w gwiazd szeregu,
Ujrzy odwieczne światła swego znamie,
Sam siebie porwie do życia i biegu.

Lecz twój ten błękit, co wszystko kojarzy,
Co raz jest źródłem, to znowu łańcuchem,
Co razem z tobą i nad tobą marzy,
Wieszli, ten błękit jak się zowie? »Duchem!«
Duch twój, na wieki boskiego odnoga,
Dzieli się w Trójcę, jak wielki Duch Boga,
Nawzajem patrzy i sam jest patrzony
I w każdej chwili życia ma trzy strony,
Z których się jedna na myśli rozkraja,
A druga patrzy — trzecia wszystko spaja.
Lecz, ciebie godząc połączeń miłością
I myśli twoje odnosząc do ciebie,
Czyż duch ten trzeci nie jest twą całością,
Gwiazd i błękitu zlaniem się na niebie?

1 stycznia 1841.

GDYBYM DZIŚ, JUTRO...

Gdybym dziś, jutro, lub dnia z tych jakiego
Nagle miał przynieść się do snu wiecznego,
Chciałbym spokojnie, lekko, bez boleści
Rozsnuć, do świata wiążące mnie, nicie,
Zniknąć bez śladu i przepaść bez wieści,
Jak łza w potoku, jak mgła na błękicie.
Lecz nim spór chwili wyrocznej przeminie,
Nim, skądem wyszedł, powrócę do Boga,
Chciałbym być z tobą w ostatniej godzinie
I cicho konać na twym ręku, droga.
A gdy już zrzucę wszelkiej troski brzemię
I ty me ciało będziesz kładła w ziemię,
Proszę cię, nie chcę dusznego sklepienia
Klasztornych murów mieć nad mojem czołem —
Dość mi już było na świecie więzienia!
Śmierć niech łąk wolnych otoczy mnie kołem!
Gdzie na zielonem i otwartem polu,
Pod niebios wiecznie błękitnym pierścieniem
Złóż moją głowę senną, pełną bolu,
I marmurowym przykryj ją kamieniem;
A marmur ochłódź wonnych krzewów cieniem!
Zasiej tam, zasadź bluszcze, rozchodniki,
Stulistne róże, podwójne gwoździki,
Niezapominki i nieśmiertelniki,

Italskie mirty, podalpejskie dalie,
I borów naszych pamiątkę — konwalie!
Wszystkie, co kochasz i com ci przynosił
Za życia, kwiaty oddaj umarłemu!
Pomnij, żem o nie, zasypiając, prosił,
I rzuć je wieńcem na głowę śpiącemu!
Niech, przytłoczony tym ostatnim darem,
Pchan coraz niżej tym kwiecia ciężarem,
W wieczność zapadam, aż w niej się przetworzę
Na drobne listki, gałązki, kielichy
I z głębi grobu wyrosnę — kwiat cichy,
I serce wonne przed tobą roztworzę!
Tak każdej wiosny ócz wonnych tysiącem
Będę wyzierał za śmierci okręgi
I rósł tam jeszcze przy tobie pod słońcem,
Stopy ci w miękkie obwiązując wstęgi.

Rwij mnie, bierz — rwij mnie, przyczepiaj do skroni!
Co ciało zdoła, to ciało da tobie;
Nic się już z niego nie zostało w grobie,
W kwiat się zmieniło, a kwiat zniknął w woni.

I duch mój czeka, aż woń ta powróci,
Przez smugi niebios niesiona wichrami,
I znów go ciałem dokoła obrzuci,
Lecz innem, światłem, spólnem z aniołami.

Przenoś więc dalej na tej dziwnej drodze
Z głębin grobowych do jasnego nieba
Wszystkie te kwiaty, które w grobie rodzę!
Nim mnie obleką, zwiędnąć im potrzeba
Na piersi twojej; bo stamtąd dopiero,
Uniewidnione, w niebo się wybierą
Do ducha mego — i ciało me w niebie
Będzie z tych kwiatów, co zwiędły u ciebie.

(Roma, 26 maja 1841.)

NIECH MOJA DUSZA...

Niech moja dusza będzie cicha — czysta,
Jak ta noc letnia — spokojna, przejrzysta!
Niech, gwiazd tych złotych oblany pokojem,
Idę w świat — z światem walczyć wstępnym bojem!
Choć w głębi serca żar się palić będzie,
Niechaj powagi oblecze mnie szata!
Niechaj się stanę na zawsze i wszędzie
Niewzruszon w ruchu — jak ten krąg wszechświata!
Niechaj podobny będę do tej nocy,
W której śpią wrzkomo ciała — duchy — mocy —
I każda skała na ziemi jest cieniem,
I każda fala na wodach — milczeniem,
A jednak wszystko skrytych sił tysiącem
Rwie się ku zorzy i stąpa za słońcem! —

Takim być pragnę — lecz nie na to, Panie,
Bym świat uwodził i władał bliźnimi.
Niech rząd dusz ludzkich innym się dostanie!
Ja jedną tylko chcę zbawić na ziemi —
Tę jedną tylko, co, gdy skonam, skona,
A gdy żyć będę, ze mną zmartwychwstanie —
Bo mi na wieki dana, powierzona,
Boś Ty mą siostrą uczynił ją, Panie!

Więc mnie wysłuchaj, miłosieruy Boże!
Idę w świat straszny, gdzie miłości niema —
Daj mi spokojność i siłę olbrzyma,
A duch mój wtedy tej duszy pomoże!
Niech wśród męczarni stanę się aniołem,
By cień mych skrzydeł pływał nad jej czołem
I wiecznie, wszędzie ochładzał jej skronie
I niósł ją lekko ponad życia tonie!
Choć sam z nadziei i z szczęścia wyzuty,
Choć sam rozdarty, przebity, przekłuty,
Niech będę dla niej, jak żywa opieka,
Czemsiś na ziemi — z blizka czy z daleka —
Jak duch świętego i serce człowieka:
Wszelkiego bolu pociechą, osłodą,
Nadzieją przyszłą i przeszłem wspomnieniem,
Gdy zechce płakać — ach, płaczu swobodą,
Gdy śpiewać zechce — ach, jej duszy pieniem!
Na to niech żyję — na to mi daj siłę,
Bobym inaczej prosił o mogiłę!

24 czerwca (1841).

JEDNĄ CIĘ TYLKO...

Jedną cię tylko prawdziwym aniołem
Znałem na świecie... zresztą wszystko — ludzie.
Przed tobą tylko rozjaśnię się czołem,
A przed innemi zwiędnie czoło w nudzie.
Im dalej idę po drodze żywota,
Tem twój ideał się bardziej nade mną
Rozszerza, rośnie, gdyby tęcza złota,
Rzucona w ukos przez świata noc ciemną.

(22 sierpnia 1841 r.)

ADAMOWI SOŁTANOWI.

Co u ciebie długo spało,
Ze snu tutaj zmartwychwstało:
Duch tej pieśni przybrał ciało.
Niech więc cały, dopełniony,
Dziś powróci w twoje strony
I znów mieszka w dawnym domu —
W sercu twojem pokryjomu!...
Choć wciąż smętnem szumi jękiem,
Aż z łez wielu śmierć wyjęczy,
Jednak strunnem wreszcie dźwiękiem
Woła w niebo: »Zmartwychwstaną!«
Niech tym dźwiękiem ci odwdzięczy
Za gościnność, niegdyś daną,
I niech powie z cicha tobie,
Że my dotąd żyjem — w grobie!...
Choć po serce w grób wkopani
Koło ciała naszej Pani,
Co umarłym jest aniołem —
Dotąd patrzym w niebo czołem,
Dotąd śpiew nasz wrogów rani
I nam w sercu śmierci niema —
Pieśnią buntu pierś się wzdyma

I pieśń buntu posełamy
Od naszego równie zgonu,
Aż pod stopy Boga tronu...
I tak żyjem — tak czekamy...

(1841, Münich 29 Novembra).

IM DALEJ IDĘ...

Im dalej idę, tem się okolica
Młodości mojej bardziej rozsmętniwa;
Z jej pogrzebnego wyczytam już lica,
Jaki się koniec w losach mych ukrywa.

A zewsząd tłoczy się stek ludzi, zdarzeń,
Co rwie mnie dalej w dalszą przestrzeń bytu,
Lecz we mnie samym wymiera świat marzeń,
Schną łzy miłości, gasną skry zachwytu.

Bo gdzie tknę ręką, płazy napotykam
Ruchome, chłodne — moich bliźnich dłonie;
Gdzie wzrokiem sięgnę, głąb dusz ich przenikam —
A tam fałsz czyha lub żar złości płonie.

Wszyscy szlachetni! Tak brzydzą się złotem
Tacy gotowi poledz w świętej walce!
A każden miota na drugiego błotem
I każden równy wiotką duszą — lalce!

Myślą, że, maskę wdziawszy karnawału,
Miedziane czoło cofną mi z przed oka —
O, jest szał święty, co pada z wysoka —
Lecz wyście tylko arlekiny szału!

Nos bohatyrski, z papieru lepiony,
Głos, grzmiący męstwem, dopóki w przyłbicy,
Płaszcz, wzorem togi przez pierś przerzucony,
Oczy jarzące z dwóch dziur, jak knot świécy,

Lub bladość smętku, pędzlem bielmowana,
Niewieścia słodycz na lipkim kartonie —
Myśl jakaś wzniosła — szkoda, że udana —
O cierniach ziemi i o wczesnym zgonie,

Skrzydła anielskie z dwóch złotych arkuszy,
Do ramion spięte szpilkami, wiszące —
Wszystko to, pany i panie, mnie wzruszy
Tyle, co mucha, brzęcząca na łące!

O, znam się na was, wiem, co komu siedzi
Pod lewą piersią, gdy o czuciu gada
Lub nad ojczyzną umarłą łzy cedzi
I z swych przede mną spisków się spowiada!

Gdyby w tej chwili, w tym samym pokoju,
Gdzie tak rozprawiasz, drzwi się otworzyły
I wszedł duch powstań, wołając: »Do boju!«
Padłbyś na krzesło blady i bez siły.
Lub też znienacka, gdyby straż więzienia
Przyszła cię pojmać i okuć w kajdany,
Tybyś przysięgał na Chrystusa rany,
Żeś syn niewoli — dziedzic poniżenia —
I, w stotysiączne gnąc się tłómaczenia,
Sto razy wrogów nazwał twemi pany!
I nic to jeszcze: gdyby tylko trzeba
Dla grobu tego, nad którym tak płaczesz,
Zżymasz się, krzyczysz, sejmikujesz, skaczesz,
Mniej łez umarłym, tylko trochę chleba
Dać ich sierotom, by, porósłszy w siłę,

W gmach życia ojców zmienili mogiłę
I nad nią sztandar zmartwychwstań zatknęli —
Ja ci powiadam, ty, z Bergamu rodem,
Żebyś ty zemknął w łóżko do pościeli,
Okrył się cały malowanym wrzodem,
Jęczał bez zmysłów, a trzos, pełen srebra,
Złożył tymczasem pod poduszką w głowach
I strzegł go lepiej, niż strzegł Adam żebra,
Bobyś w malignie wciąż śpiewał o wdowach,
Dzieciach, kalekach — a sam Bóg wszechmocny
Nie mógłby spuścić na ciebie sen nocny
Tak twardy, głuchy, by ktokolwiek z świata
Z pod głów ci wyjął dla wdów tych dukata!
Choćbyś i skonał, to jeszcze twa mara
Trzosby ten z sobą uniosła do trumny,
Polszcze jednego nie dawszy talara!
Widzisz — znam ciebie — tyś człowiek rozumny —
Napis ci nawet wyryją na grobie:
»Cny obywatel — dobry mąż — żył nie sobie;
Co mógł z dóbr zebrać, poświęcał krajowi —
Choćby swój nawet ostatni grosz wdowi.
Po nim rodzina i Ojczyzna płaczą —
Niech tu przechodnie pacierz zmówić raczą!«

Zwódź ich za życia i zwódź ich po śmierci —
Lecz mnie nie przychodź omamiać kłamstwami!
Jam twoją duszę rozebrał na ćwierci;
Nikt nas nie słyszy — jesteśmy tu sami —
Słuchaj więc mojej o tobie spowiedzi,
Gdyś mnie tak długo spowiadał się z siebie!
Możesz być cudem — dla głupiej gawiedzi,
Możesz być gwiazdą — na studentów niebie,
Lecz ty nie złudzisz równego mi ducha,
Gdziekolwiek ciebie spotka i wysłucha —
Bo z twoich oczu dla mnie podłość bucha

I poetyckiem odgadnień spojrzeniem,
Strasznem przeczuciem — z gwiazd spadłem natchnieniem
Kiedy się wdzieram w jamę twego serca,
Widzę, żeś skąpiec, matacz i oszczerca!
Zedrzeć twej maski nie myślę przed światem,
Bom się nie rodził mordercą, ni katem;
Wolno cię puszczam, lecz, na mojej drodze
Ile cię razy spotkam — zbledniesz w trwodze!
A twojej pustej, samochwalnej mowy
Oszczędź mym uszom — bo mnie twój fałsz parzy,
Bo mnie twe oko rani wzrokiem sowy
I gardzę ogniem kłamanem twej twarzy!
Nie taki płomień idzie z serca ludzi,
Gdy ich myśl wielka do czynu pobudzi;
Inny koloryt wdziewa dumne czoło,
Gdy miłość w sercu — a śmierć naokoło.
Spojrzyj w źwierciadło — samo szkło ci powie,
Że wawrzyn takiej nieprzychylny głowie!
Komikiem jesteś — wróć cicho do domu,
Ja mej pogardy nie powiem nikomu!
Chybabyś dusze ufne, mdłe, dziecinne
Chciał wieść do zguby przez chętkę próżności
I, na łup wrogom wydawszy niewinne,
Po nich wziąść w zysku blask popularności;
Chybabyś znowu ze strachu sprośnego,
Z trwogi o pieniądz lub z bojaźni kary,
Gdy, długo skryte, dojrzeją zamiary,
Gdy zacznie wołać głos grzmotu boskiego
I blizko będzie już tej wielkiej chwili,
W której grób pęknie, a złe się przesili —
Chciał wstrzymać fale rwące się potoku —
Jednych przerazić, drugim w krzyż spleść dłonie,
Jak duch doradczy stanąć przy ich boku —
Zawrócić w lochy puszczonych na błonie,
Hasła wpół łamać i szable odbierać,

I nigdy — nigdy w polu nie umierać...
Wtedy cię znajdę i takiem imieniem
Przywitam wobec zgromadzonych ludzi,
Że mi się staniesz pyłem, mgłą, tchem, cieniem —
I jak trup padniesz i nikt cię nie zbudzi!

...Teraz cię żegnam, bo mi inne mary
W rzeczywistego życia okrąg wchodzą —
Innego rodzaju upiory, poczwary
Na drodze mojej tłumami się rodzą!
. . . . . .

(1847)

116

SMĘTNEJ NOCY...

Smętnej nocy nade mną kir,
We mnie tęskna żądz, bolu wir,
Dziś być razem nie dano nam —
Sam tu jestem — ah, strasznie sam!
Gdzież nasz zniknął szczęścia smug?
Tyś daleko — wysoko Bóg!
A na świecie, choćby lew,
To mu z serca pójdzie krew,
Gdy uczuje, że w świecie — sam!
Co w tej chwili robisz tam?
Gdy w ten patrzę smutny mur,
Może śpiewa ci mężczyzn chór,
Lub wśród świeckich siedzisz dam?
Nie tak było przeszłych lat!
Dzień ten z tobą spędzał brat,
O dwunastej, ah, nie był sam!
Ot, zaczyna dwunastej dzwon
Bić na roku starego zgon
I bić będzie, aż z zmarłych zwłok
Wyprowadzi ten nowy rok!
W ciąg dwunastu tych brzmiących chwil
Chciałbym przebiedz te trzysta mil,
Co mnie dzielą od ciebie tam.
Ale, choćbym stokroć chciał,

Nie polecę, jak leci ptak —
Ni, jak chmura, popłynę tak —
Nie przemogę tu prawa ciał!
A więc tylko przez myśli ruch
Stąd mój dąży ku tobie Duch.
Już rok nowy wszczął się nam,
Już przeleciał dzwonu dźwięk,
Lecz mi w piersiach drga dotąd jęk,
Ze tu jestem — bez ciebie — sam!

Daj mi rękę! — Bóg widzi nas —
Wszystko jedno, jak zwie się czas,
Wszystko jedno, ów rok, czy ten —
Naszym duchom to jeden sen,
Naszym sercom to jeden czar!
Z tychże samych żądz — uczuć — wiar
Będzie naszej przyszłości skład
Czas tu musi w nasz wchodzić ład,
Być, jak wieczność, Jednością nam!
Prędzej tylko ten rozdział skróć,
Prędzej tylko, ah, do mnie wróć,
Bym, jak dzisiaj, tu nie był sam!

O samej północy — po połowie 1841 i 1842 r.

TAM, GDZIE SPOKÓJ...

Tam, gdzie spokój i grób pychy,
A nad grobem złota, drżąca
Wśród szafiru twarz miesiąca
I chrześciański krzyż ten cichy,
Krzyż zwycięski — czemuż smętno
I już na nim wieków piętno?
I gdy wokół fiołki rosną,
Maj powraca, gruz zieleni,
On — nie kwitnie z ruin wiosną?
Stoi czarno — sam w przestrzeni!

Lecz nadchodzi czasu fala,
Co mu stopy pocałuje
I, jak płomień, co przepala,
Z więzów stopy te rozkuje.
Głos na Cyrku słyszan będzie
I drżeć będą, piane z trwogi,
Starożytnych ścian krawędzie.
W błyskawicach krzyż ten cały
Nagle stanie jasnobiały,
Pan wierzącym — a złowrogi
Tym, co sercem w miłość skąpi,
Z marmurowych stopni zstąpi
I w anielskich gwiazd koronie

Wyjdzie z Cyrku. — Idzie — płonie,
Idzie — dawnej torem drogi
Deptać w Rzymie Rzymu bogi!
I znów wzniesie się jęk bolu —
W Watykanie, w Kapitolu.
Lecz przebrzmi jęk
Na hymnu dźwięk!
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

(Monachium, 18 lutego 1842.)

WSPOMNIENIA.

Gdy się przeszłość w duszę wnęci,
Lśni anielskim w niej obliczem,
W porównaniu z snem pamięci
I nadziei snem jest niczem.

Czy zasypiasz czasem, zdjęta
Magnetyczną wspomnień siłą,
I rozrywasz czasu pęta
Koło tego, co już było,
Aż ci stanie przed oczyma
Widmo tego, czego niema?

Czy ty czujesz, jak powoli
Swiat zamglony przypomnienia
W tobie budzi się z niewoli?
Jak z chmur — mroków — z zaćmień — z cienia
Otrząsając się pomału,
Wreście w duchu twym się zmienia
Na miesięczny świat z kryształu?

Czy w nim widzisz, jak po ziemi,
Splótłszy serca — myśli — dłonie,
Chodzim ścieżki samotnemi
Po odludnej świata stronie?

Lub, gdy przyjdzie mur rozdziału,
Jak wśród świata schniem pomału,
Jak w nas mowa obcych ludzi
Serce boli — umysł nudzi?
Jak serc naszych całość żywa,
Co w jednego przeszła ducha,
Znów na dwoje się rozrywa
I tak ranna — krwią z ran bucha?
Jak w tęsknocie — jak w żałobie
Nazad dążym więc ku sobie?

Bo, jak gwiazdy, rozłączeni
My szukamy się w przestrzeni
I na naszem dusznem niebie
Wiecznie ciążym my do siebie —
Aż spotkamy się znów razem
Gdzieś nad rzymskich ruin głazem
Lub na gockiej gdzie wieżycy,
Na cmentarzu lub w kaplicy —
Lub w pustyni, w górach, skałach —
Lub na morza grzmiących wałach —
Lub na cichem gdzie jeziorze.
I obwiążą nas błękity,
Zamkną w wieniec opok szczyty
O jesiennych tęsknot porze.

Złotym wspomnień my łańcuchem
Powiązani razem z sobą —
I nam przeszłość nie żałobą,
Ale wiecznie żywym duchem.

I ten żywy duch się nieraz,
Gdym bez ciebie, sam wśród ludzi,
Jak stróż-anioł we mnie budzi.
Ot, w tej chwili — ot, patrz teraz:

Złożył skrzydła mi na duszę
I w niej tęczę skrzydeł kręci!
Patrz, zapadam w sen pamięci,
I już przez sen mówić muszę!...

(1842?)

123

NA SKALE

Czy ty widzisz? — gdzieś na skale
W dzień słoneczny stoim sami.
Czy ty widzisz, jak pod nami
Śpią w przepaści jezior fale?

Stoim, milczym i oczyma
Przebiegamy wód kryształy,
Skazy jednej na nich niema,
Snem z błękitu krąg ten cały
A gdzie kończy się zatoka,
Naprzeciwko — siwe skały,
Wyżej — niebios toń głęboka,
Ten sam szafir, co na dole,
Równa cisza — i bez chmury,
W niej się tylko czernią góry,
Bo rozbita na gór czole.

Czy pamiętasz? My patrzyli,
Aż odrazu, w jednej chwili
Coś błękitów krąg zacieni —
Inne światło już w przestrzeni
I już inne jezior lica;
Wiatr spadł skądeś w okolicę
I, jak upior, po niej goni.

My już widzim z szczytu skały
Na pryśniętej jezior toni,
Jak fal brózdy poczerniały,
Jak je powiew wiatru goni.
Lecz tam żaden szum nie wzlata,
Wiatr ten dziwnym milczkiem wieje,
Ruch i ciemność w świat ten sieje,
A nie mówi nic do świata.

Czy pamiętasz? — My spojrzeli,
A tu w głębi jezior, nagle
Wstają widma jakieś w bieli!
Patrzaj! Widzisz? — W oka mgnieniu
Ot, tam wielkie — wielkie żagle
Z wód podniosły się w milczenin
I, w łabędzich skrzydeł pychę
Rozpostarte — rozskrzydlone,
Szły nad wodą — jak sen ciche —
Wszystkie razem w naszą stronę!

Czy pamiątasz, jak z oddali
Coraz śnieżniej i wspanialej,
Znacząc fale bladym torem,
Po wierzchołkach fal stąpały,
Chrystusowych stąpań wzorem?
O, pamiętaj! — Promień chwały
Kwitł w olbrzymiej ich urodzie,
A w ich ruchach kwitł wdzięk cudu,
Gdy tak wiotko — tak bez trudu
Po tej się ślizgały wodzie,
Niby zmarłych orszak biały
W nadpowietrznym już pochodzie.

Niby dusze wracające
Tych, co niegdyś nas kochali,

Jak nowiny dobrej gońce,
Patrz, po szklanej jezior fali
Do nas znowu przyszły w gości,
Znowu do nas — z stron wieczności!
Ot, nas porwą w gwiazd bezmiary,
W inną przestrzeń — w inne dole,
W łzy przejrzyste, w lżejsze bole
W szersze myśli, w świętsze wiary!

Czy pamiętasz, jak w tej chwili
My się bosko roztkliwili?
Napół w grobie — napół w raju
My już byli w martwych kraju.
Magnetycznych widzeń siła
Dusze nasze pochwyciła,
W oczach naszych — łzy zachwytu,
W sercach naszych — raj błękitu,
I w tej chwili nam się zdało,
Że te żagle już westchnieniem
Nas wołają, tam, pod skałą
Szemrzą do nas wiatru tchnieniem,
Byśmy poszli precz z tej ziemi,
Gdzieś do Boga, razem z niemi.

Lecz wiatr powiał — wszystkie społem,
Wszystkie, wszystkie przepłynęły
Tak, jak anioł za aniołem —
I gdzieś znikły — nas nie wzięły!

I ten nawet, ten maleńki,
Taki cudny żagieleczek,
Co nad wodą srebniuteńki
Stał, jak z pary aniołeczek,
I on także — choć ty cała
Się ku niemu przechylała,

I on także znikł w błękicie,
Jak duch mniejszy — jak duch-dziećcie,
Jak córeczki dusza święta,
Ukazana chwilę tobie,
Byś wiedziała, że nie w grobie,
Że napowrót wniebowzięta!
O, pamiętaj! My po fali
Wzrok za niemi tęskno słali,
Długo jeszcze, patrząc, stali;
Ale one, wiatrem rwane,
Coraz bardziej nieznaczniały,
W widnokręgu roztapiane,
Jak mgły mdleją, omdlewały.
Wszystkie białym tam przewodem
Weszły w niebo — z nieba rodem!

O, pamiętaj, jak, natchnieni
W nieśmiertelne po nim żale,
W barwach zmierzchu, pośród cieni
My płakali na tej skale!

(1842?)

DO CEZAREGO PLATERA.

Jeślim ci kiedy był przykro przeciwny
I miał twe zdanie w dziwnej poniewierce,
To, żem nie wiedział, żeś taki przedziwny,
Że tak szerokie bije w tobie serce.
Przebacz, bo teraz, blizki czy daleki,
Już znam twą duszę — i znam ją na wieki!
Dnie smętne bolu ten kwiat mi wysnuły,
Żem poznał ciebie. — Tyś dobry i czuły,
Dam ci więc rękę — w uścisku tej ręki
Nie fałsz, lecz prawda — i raz jeszcze dzięki.
Bądź szczęsny w życiu i wspomnij czasami,
Że twoje szczęście chwilę szczęścia da mi!

(Monachium, 1842.)

NA GROBIE K. DANIELEWICZA.

Niech śmierć i stokroć tu zwłoki twe grzebie,
Ty żyjesz, żyjesz! Pod zimnym kamieniem
Nie jesteś prochem, ni snem, ni milczeniem!
I ty wiesz w niebie, jak ja kochał ciebie.

Kwiecień 1842.

FRYBURG

(PO ŚMIERCI KONSTANTEGO DANIELEWICZA.)

Troje nas było w tym gockim kościele,
Zdało się losom, że jest nas za wiele;
Więc z trojgu jeden, losem naznaczony,
Odszedł z tej ziemi w zagrobowe strony.
Dwoje nas tylko na świecie zostało
I czujem dzisiaj, że nas jest za mało!

My nie wiedzieli pod tych wieżyc cieniem,
Okien tych barwnych wieńczeni tęczami,
Że lat trzy minie — a będziemy sami
I on nam w sercu już tylko wspomnieniem!
Nie przeczuwali ani pomyśleli,
Że lat trzy minie — a grób nas przedzieli,
Że czoło jego, to śnieżne, to dumne,
W myśl tak promienne, pójdzie spocząć w trumnę!
A gdy grał z tobą tę pieśń Mozartową,
Pieśń nieśmiertelną śmierci, pieśń królową,
On sam nie wiedział, że samemu sobie
Kładzie akkorda — jak napis — na grobie!

Czy ty pamiętasz tę szlachetną postać?
Ten wzrok, tak pełen ukrytej katuszy?
Te słowa mądre, co musiały zostać,
Gdy raz słyszane, w słuchającej duszy?

I te przepiękne, blade, smętne lica,
Z których wewnętrzna biła tajemnica?
Ten chód, tak lekki, jak nie z tego świata,
Ten ruch łagodny, a razem wspaniały?
Czy ty pamiętasz postać mego brata,
Kształt ten, co w trumnie dziś zanurzon cały?
On zniknął — zniknął — my dotąd pod słońcem
Z tej strony grobu, przed łez, trosk, mąk końcem,
Boga się pytaj, czy nie przeznaczeni,
Jak żagle w burzy, zdzierać się w przestrzeni
I bez spoczynku na zawsze skazani
Płynąć po falach — nie znaleźć przystani!

Patrz na ten kościół, on spokojnie stoi!
Tam z wami żyłem, wy drodzy, wy moi!
Dzień schodził w górach po winnic zieleni,
Gdzie bory szumią i potok się pieni,
A w wieczór razem, w cichym razem domu,
Razem we trojgu... Tak zawsze i wszędzie
Kiedyś być miało... Już nigdy nie będzie,
Bo weń uderzył bożego cios gromu!
Nie piorun burzy, co łamie hart głazu
I serce ludzkie rozrywa odrazu,
Lecz cichy, zdradny zwolna — żmijowaty,
Grom, co się wciska popod samo serce,
Aż wyssie z lica wszystkie lica kwiaty
I zgasi życie w ostatniej iskierce.

Oczy otworzył po wielu dniach męki,
A nie mógł ścisnąć mi, konając, ręki
I, choć przytomny, zeszedł bezprzytomnie,
Bo spojrzał tylko — a nie rzekł nic do mnie.
Wzrok jeden rzucił — w górę — w niebo — w Boga
I czoło schylił. Zmartwiał wzrok, rzucony
Raz stąd ostatni w ponadziemskie strony —

Skrzepł wzrok ostatni — i wszczęła się droga,
Co, duszę jego porywając z ziemi,
Złączy śmiertelną tam z Nieśmiertelnemi,
Tam — w tych przestworach, bez miary, bez końca,
Kędy szlak każden po gwieździstem niebie
Wiedzie, o Panie, w blask Twojego słońca
I ma na końcu, Ojcze, tylko Ciebie!
A ciało martwe zostało mi w ręku.
I padłem obok bez łzy i bez jęku
I takem leżał przy tem ciele długo,
Jakby sam zdjęty przy niem śmiercią drugą.
A gdym się ocknął i spojrzał w te zwłoki,
Tlał na tem czole wyraz tak wysoki,
I twarz ta była tak piękna na nowo,
Że mi się zdała twarzą chrystusową —
I, klęknąwszy nazad przed trupem w pokorze,
Krzyknąłem pewny: — »On Twój, Panie Boże!«
Wtedym zapłakał — nie nad nim — nad sobą,
Bo, samolubną ogarnion żałobą,
Pustynię życia ujrzałem dokoła.
Twój obraz tylko podniósł się z oddali,
Jak kształt drugiego losów mych anioła,
I płynął ku mnie na dni moich fali;
Zresztą głos żaden już na mnie nie woła
I żadno czucie wzruszyć mnie nie zdoła.
Czy kwiatki kwitną, czy świat w proch się wali,
Wszystko mi jedno... i jedno na wieki,
Bo duch mej duszy ode mnie daleki.
On, co miał wspierać mnie wśród nawałnicy
I dźwigać ze mną z grobowej ciemnicy
Cień zmarłej Matki — by, Chrystusów wzorem,
Bóg nasz pogrzeban wstał tryumfatorem,
On, co miał ze mną — — — ach, serce marzyło,
Lecz o tem wszystkiem już dzisiaj nie marzy!
Przybyło więcej tą jedną mogiłą

Do mogił naszych bezdzietnych cmentarzy!
Mniej coraz duchów na Matki obronę;
Wszystkie precz idą — a w tę samą stronę:
Za świat — za Polskę — w niewidzialność grobu
I nam tu walczyć już niema sposobu!
Serca podniosłe pękły. — I myśl wszelka,
Byleby tylko wolna, silna, wielka,
Żegna się z nami. Wszystko, co jest boże
Tu nas opuszcza i o złej godzinie
Przepada w jakieś zagubienia morze,
W oczach się naszych rozpływa i ginie!
Los mi przeciwny. — Życia mego chwała
Śpi w jego grobie: bez niego ja niczem.
On mi był siłą, co mi rozum dała,
Bo mnie gnał naprzód wiecznym prawdy biczem,
On serce moje umiał wyżej męki
Stroić, jak lutnię, w mąk zwycięskie dźwięki,
On jednem słowem tłómaczył mi wiele,
Milczeniem nawet mówił życia cele!
I gdym posłuchał głosu jego chwilę,
Czułem, żem w duchu odrodzon na sile.
Wtedy mi w piersiach dzikie biło męstwo,
Świat mi wyglądał jako pole czynu,
Już mi w oddali jaśniało zwycięstwo
I kwitł na skroni przyszły liść wawrzynu!
A teraz?... w czarze nad brzeg już trucizna,
On w grobie jednym — a w drugim ojczyzna
Z tobą się jedną, o Siostro, zostałem,
Z tobą już tylko!
Aniele niewieści,
Tyś przy mnie dotąd, nie odeszłaś jeszcze!
Ja w w twych spojrzeniach rozpacz moją pieszczę,
Lecz w twoim ręku, ah, miecz się nie zmieści!
Tyś anioł piękna, tyś Seraf pokoju,
Dłoń twa ze śniegu nie krwawi się w boju,

W dzień sądny zemsty ty wśród twego ludu
Nie staniesz przy mnie — i kiedy w noc ciemną
Grom śmierci spotkam miasto zwycięstw cudu,
Padnę sam jeden — ty nie padniesz ze mną!
Ni z konia nawet, schylona z ukosa,
Nie ściśniesz ręki mi wśród trupów stosa,
I na tym krwawym żołnierza pogrzebie
Przy bracie twoim, ah, nie będzie ciebie!
Lecz nim ta chwila nadejdzie — a może
Nie przyjdzie nigdy — tyś mojem zbawieniem,
Tęczą jedyną w zaćmionym przestworze,
Miłości mojej tyś ostatniem pieniem!
Niech głos twój słyszę, niech dotknę się dłoni!
Ta dłoń mnie może od zguby obroni,
A głos twój jeszcze może w tchnienia wieszcze
Pierś tę samotną zaludni, rozdzwoni...
Chodź płakać razem ponad grobów głazem,
A z łez tam naszych wzrosną smętne, duże,
Jako krew, spiekła z smutku — czarne róże!
Z nich wieniec rzucim na Polski mogiłę,
A drugi jemu złożymy w ofierze.
On wtedy z niebios zeszle tu nam siłę,
Byśmy żyć mogli i umierać w wierze —
O siostro moja, w wierze, że ta Święta,
Co śpi w więzieniu, zerwie w końcu pęta,
I że Bóg świata — to Pan miłosierny,
Na pyszne pyszny, ale wiernym wierny.

(1842.)

FALA.

Zwrotki do muzyki.

Czy ty nie słyszysz, jak na morskiej skale
Fala się męczy i skarży i kona?
Tak serce polskie śród polskiego łona
W wieczne rozpaczy męczenni się żale,
Rozbite, jak ona.

Patrz, u stóp skały nazad fala cała
Znów błyszczy, wraca i szumi w zawiei!
Tak serce, stokroć rozdarte, się klei —
Tak znowu w piersiach krwią promienną pała
Wiary i nadziei.

(1842 ?)

TĘSKNOTA.

Zwrotki do muzyki.

Gdziekolwiek pójdę, coś mnie boli, nudzi,
Widmem mnie ściga stracona ojczyzna,
Nie mogę spocząć pośród obcych ludzi,
W czarach ich świata wre dla mnie trucizna.

Tak zawsze i wszędzie,
Choćby nawet w niebie,
O Polsko, bez ciebie
Mnie źle i źle będzie! } bis.

Jęśli usiędę na znikomą chwilę,
Wnet mnie coś zrywa i pędzi i goni;
Zda się, gdzieś płaczą w ojczystej mogile,
Gdzieś słyszę jęki — to znowu dźwięk broni.

Tak zawsze i wszędzie,
Choćby nawet w niebie,
O Polsko, bez ciebie
Mnie źle i źle będzie! } bis.

Nawet gdym z tobą, o siostro mej duszy,
Leżę grobowym u stóp twych kamieniem.
Ty chcesz uśmiechem wyrwać mnie z katuszy,
Ja odpowiadam — rozpaczy milczeniem!

Tak zawsze i wszędzie,
Choćby nawet w niebie,
O Polsko, bez ciebie
Mnie źle i źle będzie! } bis.

(1842 ?)

ZWROTKI DO MUZYKI.

Konstantemu Danielewiczowi.

Łzę rozpaczy roń!
Oto blada skroń,
W biały strojna kwiat;
Wkoło trumny kir
I gotowy żwir —
I cmentarzów świat!

Błyśnie światła dzień,
Nie uderzy weń —
Pryśnie złego świat,
Lecz nie pryśnie ten
Nieprzespany sen,
Którym zasnął brat.

Choć ze wszystkich stron
Do nas wróci maj,
Na ludzkości raj
Już nie wróci on —
Nam zwycięstwo z prób,
Jemu tylko grób.

Syt trosk, łez i mąk,
Zstąpił z życia łąk

W tę grobową cieśń —
Znikł, jak znika dźwięk,
Przełamany w jęk —
Jak przerwana pieśń.

1842.

JESZCZE KIELICH...

Jeszcze kielich mojej doli
Wiele kropel ma;
Muszę cierpieć, pić powoli,
Wypić aż do dna.

144

DLA ELIZY.

Dopełnienie jej żądania.

Nieraz żądałaś, bym złożył ci wiersze.
Może ostatnie to — choć razem pierwsze.
Otoczon śmierci skrzydły ponuremi,
Dziękuję Bogu, żem cię znał na ziemi,
I idę śmielej w zagrobowe koła —
Bo, jeślim spotkał w tobie tu anioła,
Znać, że Bóg dobry, znać, że Bóg na niebie —
Ufam w moc Jego i miłość — przez ciebie.
Daruj mi wszystkie, oh, doznane bole,
Któremim duszę twą szarpał na ćwierci,
Odprowadź wiernie aż na bójki pole
I weź me dzięki aż z westchnieniem śmierci!
Kochaj, cię proszę, tych, których kochałem,
I myśl mą kochaj, gdy upadnę ciałem
I ciało moje zniknie w ciemnej głębi!
Bo myśli mojej i zgon nie wyziębi —
Trup się rozwieje, a ona zostanie;
Jej dotrwać może wiernem twe kochanie,
Bo nic w niej nigdy szpetnego nie było,
Przed żadną nigdy nie klęczała siłą,
Przed Bogiem tylko i Polską w pokorze
Szła niespodlona przez podłości morze

I ludziom brudnym proroczo wołała,
Ze w cnocie tylko szlachetnej jest chwała.
A teraz amen — błogosławię tobie. —
Smutnem jest życie — może jaśniej w grobie!

(1843 r.)

PO MĘKACH ŻYCIA...

Po mękach życia, po długim pogrzebie
Serce tu leży — pokój sercu w grobie!
Umarłe wszystkim — tylko nie dla ciebie,
Ponure wszędzie — tylko nie przy tobie,
W ten grób wstąpiło, by nie żyć z innemi,
A z tobą jednak zostać się na ziemi.

Dziś w tym kamieniu jak duch się ukrywa
I tobie tylko pieśń miłości śpiewa,
A światu wiecznem stało się milczeniem —
Świat też je odtąd zwać będzie kamieniem.

Ty jedna tylko wiesz, że ono żyje,
Bo dniem i nocą czujesz, jak tu bije
Dla ciebie tylko — dla ciebie — dla ciebie!

Serce tu leży — pokój sercu w niebie!

(1843 ?)

W ALBUMIE KONST. GASZYŃSKIEGO.

Może ja umrę daleki od ciebie,
Nie będziesz nawet na moim pogrzebie —
Gdzieś na sybirskiem potępienia polu
Złożę mą głowę, pełną smutku, bolu,
Moskiewskie pęta przed zgonem mi ręce
Związą — i skonam u stóp kata w męce...
Gdy serce moje w trumnie się spopiela,
O zmarłem sercu pamiętaj niezłomnie
I morzom włoskim mów też czasem o mnie,
Powtarzaj falom: »Miałem przyjaciela!«

(Aquae Sextiae, 30 marca 1843.)

DO K. B.

Ty wiesz, żeś piękna, ty czujesz, żeś młoda;
Jak dwa skrzydełka, młodość i uroda
Unoszą ciebie po ziemskim błękicie
I wiosną tobie, co nam męką — życie.
Lecz ty nie dziękuj latom twej młodości,
Że wszystko w duszy śni się tobie majem,
Lub, że wdzięk kwiatu na twem czole gości,
Bo innym, wyższym obdarzą cię rajem,
Innym, o, innym! Twe młodzieńcze lata
Dadzą ci ujrzeć przemienienie świata:
Przyjdzie do ciebie, potargawszy pęta,
Ta, której płaczesz: twa Polska, twa święta,
W nieznane tobie barwy przystrojona,
Bo na jej czole nie z cierniów korona,
Lecz wieniec z światła wiecznego już będzie,
I przed nią ludy na twarz padną wszędzie
I świat, jej duchem wyrwany z otchłani,
Zawoła do niej: »Zbawicielko, Pani!«
A wszystkich Ojców twoich wstaną kości,
Ubrane w szaty z promieni i w kwiecie...
Za to więc, za to dziękuj twej młodości,
Że takiej chwili doczekasz na świecie!

(Rzym, kwiecień 1843 r.)

DO KOBIETY.

Choć serca znęcisz skrawych ócz kryształem
Lub je podeptasz czczej myśli suchością,
Nie będziesz jeszcze żywym Ideałem,
Nie będziesz jeszcze niewieścią pięknością.

Skromność bez wiedzy lub bezwstydne lice
Równie się dzisiaj na mało przydały.
Nie być — lecz wyrość musisz na dziewicę,
Przechodząc zwolna świat ten bolu cały.

A gdy z twych natchnień i mąk i łez mnóstwa
Wybłyśnie w końcu święty promień bóstwa
I twarz ci zleje światłem wiecznotrwałem —

Gdy na twem bladem, marmurowem czole
W wieniec się mocy splotą życia bole:
Wtedyś pięknością, wtedyś Ideałem!

(1843.)

PRZY BRANSOLETCE,

w dzień św. Katarzyny.

Łzy wiecznej pragniesz! A wiesz, na co łza ta?
By przerdzawiła żelazne kajdany,
By przerdzawiła nawskróś topór kata
I nią był polski kraj twój odzyskany.
Łzą więc jej wieczną nie nazywaj wcale,
Lecz łzą doczesną — co płynąć przestanie,
Gdy Bóg rozbije złych na kary skale,
A da nam, zmarłym Swoim — zmartwychwstanie!

(1843 r.)

DO A. P.

Choć pierś twa żywych synów nie porodzi,
Niech czyny żywe zostawi po sobie!
— Oto synowie, wieczną wiosną młodzi,
Co kochać będą ciebie i w twym grobie!
O, wiedz ty o tem: o tej świata porze
Powołan w Polsce choćby Duch niewieści
Do arcy-trudu i arcy-boleści —
Lecz nieśmiertelność nagrodą wziąć może!
Bo, gdy się losów zdrada na nas wściekła,
Gdy szatan piekłem osaczył nas wszędzie,
Wszelki czyn święty, dokonan śród piekła,
Na wieki wieków pamiętany będzie

(1843 r.)

POD CHRYSTUSEM,

w niebo wstępującym.

Nie tak, jak dawniej — w cierniowej koronie,
Nie tak, jak dawniej — z gwoździami u ręki,
Pan bolu tylko i Bóg tylko męki —
Innym już wiekom inny Chrystus płonie:
Od ramion krzyża na zawsze odpięty,
Jak Duch świetlany, wyzwolony, święty,
Zawisł na Ojca wszechbłękitnem łonie
I w światów nowych wschodzącej jutrzence
Macza wzniesione — wniebowstępne ręce.

(1843 r.)

MÓDL TY SIĘ ZA MNIE...

Módl ty się za mnie, gdy przedwcześnie zginę
Za winy ojców i za moją winę!
Módl ty się za mnie, by mnie i w mym grobie
Nie opiekielnił żal wieczny po tobie!
Módl ty się za mnie, bym u Boga w niebie
Po wieków wiekach kiedyś spotkał ciebie
I tam przynajmniej odetchnął wraz z tobą,
Bo tu mi wszystko trudem i żałobą!
Módl ty się za mnie! Jam żył nadaremnie,
Bo serce twoje odpada ode mnie.
Módl ty się za mnie! Jam cię kochał wiernie
I tak, jak bezmiar bezmierny, bezmiernie.
Módl się ty się za mnie, bom ja nieszczęśliwy —
Serce me proste, ale los mój krzywy!
Módl ty się za mnie, nie mów do mnie ostro,
Boś ty mi tylko na tym świecie siostrą!
Módl ty się za mnie, bo od żadnej duszy
Modlitwa za mnie serca mi nie wzruszy,
Tylko podwoi gorycz mej katuszy!
Módl ty się za mnie, ja ciebie nie trzymam,
Bo na tej ziemi prócz ciebie nic nie mam

I nic prócz ciebie nie marzę za światem!
Tylko to marzę, by z mą duszą biedną
Twoja spłynęła w nieśmiertelność jedną;
Więc módl się za mnie, bo ja twoim bratem!

1844 r.

NA »FRANCESKĘ« SCHEFFERA.

I w piekle nie jest bez Boga opieki,
Kto z ukochaną, choć w piekle, na wieki;
Bo wyższem szczęściem, niźli samo szczęście,
Dla kochających wieczne dusz zamęście.
Niech lud szatanów nad niemi się sroży,
Gdy kochać mogą, w nich żyje Duch Boży!
Patrz, w tym burzliwym potępienia lesie
Wszyscy na dole jęczą obaleni —
Tych jednych dwoje w powietrza przestrzeni
Powiew miłości nieśmiertelnej niesie!
Mimo łez gorzkich, mimo krwawych znamion
Coś zbawionego wygląda z ich twarzy,
Tak, że myśl twoja wokoło ich ramion
Skrzydła anielskie — których brak im — marzy.

1844-go r. nad obrazem »Fr. di Rimini.«

NA SYBIR!

Z przed ócz wam zniknę — jak fala z przed łodzi,
Z przed ócz wam zniknę — jak ptak, co odlata,
Z przed ócz wam zniknę — jak sen, co odchodzi,
Odejdę od was w nieskończoność świata.

Odejdę od was cicho, niespodzianie,
Odejdę od was pewnie nocą ciemną,
Nikt mi nie ściśnie rąk na pożegnanie
I, jak z umarłym, nikt nie pójdzie ze mną.

Napróżno składać będziecie narady,
Pytać się, płacząc: »Kędy jego droga?«
Bo wam ukryte zostaną me ślady,
Jak ślad dusz, z trumny lecących do Boga.

Lecz nie polecę ku wiecznej krainie,
Lecz nie odejdę ku kwiecistym brzegom!
Kat mnie popędzi ku Sybiru śniegom,
I pamięć moja z serc waszych upłynie.

1845 r.

PRZEPASANA ZŁOTĄ SZARFĄ...

Przepasana złotą szarfą,
Siedmiobarwnej równa tęczy,
Siostro moja, wynidź z harfą,
I niech hymn twój dziś rozdźwięczy!

Pieśnią twoją słodką, cudną,
Spływającą jak woń kwiatu,
Napełń ziemię tę wszechludną,
Dzień radości ogłoś światu!

Z Alpów szczytu, z nieb błękitu
Na odległe zwiastuj końce,
Że już przeszedł czas *Przedświtu*,
Że już całe weszło *Słońce!*

Kojącemi bóle słowy
Krzep nadzieję w ludzie polskim,
Gdyż Namiestnik chrystusowy,
Siadł na tronie apostolskim!

Chylę czoło, dzięki składam,
Rozczulenie oko łzawi,
I zaprawdę ci powiadam,
Że on Matkę naszą zbawi.

Już nie walką o byt krwawą,
Morderczemi zbrojną godły,
Odzyskamy nasze prawo,
Lecz przez święte jego modły.

Przyszły dnie zapowiedziane,
Prawdy ziszczą się odwieczne,
Że nie temu będzie dane
Tu zwycięstwo ostateczne,

Kto, przyzwawszy zło do spółki,
Uzbroił się w mur puklerzy,
Otoczył mnogiemi pułki —
Ale temu, kto uwierzy.

Napełnioną żółcią czaszę
Wypiliśmy, siostro, do dna
I zbawienie w tem jest nasze,
Przyszłość świeci nam pogodna.

Niechaj gromy cię nie trwożą,
Srogie burze i zawieje,
Gdyż idziemy z wolą bożą,
Mamy ufność i nadzieję!

Wypłyniemy z ciemnej nocy,
Którą Pan nam zesłał w gniewie;
Tylko czas jest w Jego mocy,
I ostatnich chwil nikt nie wie...

(Czerwiec, 1846.)

RESURRECTURIS.

Świat ten cmentarzem z łez, ze krwi i błota,
Świat ten, jak wieczna każdemu Golgota!
Darmo się duch miota,
Kiedy ból go zrani;
Na burze żywota
Niema tu przystani!
Los z nas szydzi w każdej chwili:
Dzielnych strąca do otchłani —
Giną święci, giną mili,
Żyją niecierpiani!
Wszystko się plącze — i nierozgmatwanie.
Śmierć w pobliżu — a w oddali
Gdzieś na wieków późnej fali
Zmartwychwstanie.

* * *

Więc trzeba skrzepnąć, stwardnieć, być bez serca,
Pośród morderców stanąć jak morderca,
Pośród zbrodniarzy wystąpić zbrodniarzem?
Kłamać — nienawidzić —
Zabijać i szydzić —
Tak świat tem samem, co dawa, obdarzem!
Oto potęga — lub stańmy się niczem!

Jedzmy i pijmy, bądźmy śmiecią złotą,
Ciała wygodą, a myśli nędzotą —
Tak się do głupich i szczęśliwych wliczem!

* * *

O, nie! O Duchu mój,
Wstecz się cofnij, stój!
Nie takąć to bronią
Na ludzkości czele
Z złem na ostre gonią
Zła Okróciciele!
Jedna tylko w świecie
Moc ofiary cicha
Los gniotący zgniecie —
Oto dziejów lew!
A podłość czy pycha
To jednakie śmiecie,
Które w otchłań spycha
Lada dziejów wiew!

* * *

O, poznaj sam siebie,
Nie żądaj być panem,
Jak Pan, który w niebie!
Ni chciej, jak bydle, gnić nad paszy łanem!
Z tej strony grobu przed zmartwychwstań wschodem
Bądź ty w człowieku męką z niebios rodem,
Bądź arcydziełem nieugiętem woli,
Bądź cierpliwością, tą panią niedoli,
Co gmach swój stwarza z niczego — powoli!
Bądź tą przegraną, której cel daleki,
A która w końcu wygrywa na wieki!
Bądź spokojnością śród burz niepokoju,

W zamęcie miarą i strojem w rozstroju —
Bądź wiecznem pięknem w wiecznym życia boju!
Dla podłych tylko i Faryzeuszów
Bądź groźbą, gniewem lub świętem milczeniem
I nie miej żadnych z obłudą sojuszów!
Dla wszystkich innych bądź anielskiem tchnieniem,
Bądź tym pokarmem, który serca żywi,
Bądź im łzą siostry, kiedy nieszczęśliwi,
A głosem męskim, gdy się w męstwie chwieją,
Tym, którzy z domu wygnani, bądź domem —
Tym, co nadzieję stracili, nadzieją,
A śpiącym trupio bądź przebudzeń gromem!
W walce z tem piekłem świata, co się złości,
Zawsze i wszędzie bądź siłą, co skłania,
Nad śmierć silniejszą siłą ukochania —
Bądź piekłem miłości!

* * *

W ciągłej przykładu i słowa postaci
Rozdawaj siebie samego twej braci!
Mnóż ty się jeden przez czyny żyjące,
A będą z ciebie jednego — tysiące!
Bądź i w kajdanach niestrudzonym trudem —
Niech ból cię każden, choć boli, nie boli!
W jednej twej piersi bądź twym całym ludem —
Bądź niebo z ziemią spajającym cudem —
Świętością w niewoli!

* * *

Ni śpiesz się na śmierć, aż, jak ziarno w ziemi,
Myśl twa się w serca wsieje — i rozplemi!
Póki męczeństwo nie pewnią zwycięstwa,
Twem dobrem tylko, a nie człowieczeństwa —

Unikaj męczeństwa!
Marnej sławy wieńce
Chwytają szaleńce,
W niebezpieczeństw wiry
Skaczą bohatyry —
Lecz wyższa moc Ducha
Tych ułud nie słucha.

* * *

Dopiero, kiedy jęczący dokoła
Dzwon zdarzeń wszystkich na ciebie zawoła,
Byś ty się w odkup ofiarował za nie,
A, usłyszawszy to ziemi wołanie,
Ty padniesz duszą w pokornianej skrusze
U rozstajnego obu światów proga
I w twą, rozsłaną tam przed Bogiem, duszę
Spłynie śród ciszy natchnienny głos Boga:
Wstań i, jak szermierz dobiegły do mety,
Ze stóp twych strząśnij pył tego planety —
Wstań i z miłości, co, gdy kocha, kona,
Odlatujące wznieś w niebo ramiona —
Wstań i do katów, co śpieszą ku tobie,
Sam śpiesz się naprzód i witaj tych gości
Cicho — spokojnie — błogo — w bezżałobie,
Litośnym wzrokiem twej nieśmiertelności!
Wtedy świadectwem skończ w przyszłość obfitem:
Śmiercią bądź życia najwyższym wykwitem!
Co świat przezwał snem i marą,
Uczyń jawem,
Uczyń wiarą,
Uczyń prawem,
Czemciś pewnem i ujętem,
Czemciś świętem,
Co głęboko w serca,

Jak sztylet, się wwierca
I tkwi w nich bez końca,
Choć tylko je trąca
Westchnienia powieniem!...
Aż świat, twój morderca,
Sam klęknie i wyzna,
Że Bóg i ojczyzna
Narodów sumieniem.

* * *

Gdy z krwi płynnej twego ciała
Myśl twa szkarłat będzie miała —
Myśl twa będzie światła prądem,
Skrzącym w górze bożym sądem
Nad bezbożnych dolną zgrają.
Jej nie dotrzymają:
Ni męże, ni działa,
Ni kłamstwa, ni złudy,
Ni geniusz, ni chwała,
Ni króle, ni ludy.
I o trzeciej dobie
Na męki twej grobie
Ze zdarzeń powodzi,
Ponad klęsk otchłanie
Niezrodzone się narodzi:
Sprawiedliwość wstanie!

Nizza, 1846.

DO PRZYJACIELA.

Gdy czyhał na mnie północny morderca,
Gdym nad przepaści już się chylił dołem,
Tyś mnie wielkością swego zbawił serca,
Ty byłeś dla mnie widomym aniołem.
Nie onym, w marzeń wyśnionym godzinie,
Co blichtrem skrzydeł błyska — aż przeminie,
Ale aniołem w duchu, w prawdzie, w czynie —
Tym, co nie łudzi, ani się przymila,
Lecz strzeże wiecznie i zbawia co chwila
Opieką bożą — w człowieka postaci,
Bratem niebieskim — pośród ziemskich braci,
Tarczą, obroną — czemciś nienazwanem,
Za co, dziękując, przyklękam przed Panem
I proszę Pana: niech tobie zapłaci!
Bo sam tę wieczną czuję w sercu trwogę,
Że nic ci oddać, ach, za to nie mogę,
Chyba to jedno, że z wiarą wciąż wołam:
»Strzeż mnie i kochaj!« — Nic więcej nie zdołam.

(15 października 1847).

CZAS MA NADZWYCZAJ...

Czas ma nadzwyczaj coś gorzkiego w sobie!
Ileż go razy zatrzymać ja chciałem,
Gdym dni szczęśliwe przepędzał przy tobie!
Na klęczkach każdą chwileczkę błagałem,
Mówiąc: »Chwileczko, o, zostań na chwilę!
Tak mi niebiesko — tak domowo-mile,
Lecz niech raz czuję, że nie znikniesz lotem,
Niech raz się dotknę ciebie — znikniesz potem!«
I nigdy, nigdy żadna z godzin tyla
Wysłuchać prośby nie chciała serdecznej,
Żadna mi w ręce nie dała się chwila —
Żadnej godziny nie miałem ja wiecznej.
O, czas jest straszny — o, czas jest przeklęty,
O, czas sam z siebie już jest nieszczęśliwy!
Nigdy nie spełnion, nigdy nie dopięty,
Przez zmarłe chwile sam wciąż stąpa żywy.
A jaki pyszny – jaki pan — jak świeży!
Taka wiośnianość na skrzydłach mu leży —
W niej skonać pragniesz, w niej chcesz ukojenia —
Wtem znów się wszystko w mgnieniu chwilki zmienia.
Nie mogłeś umrzeć, odetchnąć, tam zostać,
Gdzie śmierć ci życiem — życie, co ci zgonem,
Rwie się już dalej w inną świata postać —
I tyś jak dzieckiem, znów osieroconem.

I płaczesz — płaczesz szlochami krwawemi,
Żeś nie mógł chwili przytulić do siebie,
Żeś nie mógł w chwilkę zmienić się na ziemi,
Żeś widział niebo — lecz nie poczuł w niebie.
Ach, czas jest gorzki — ach, czas jest okrutny
I człowiek, w czasie żyjąc — żyje smutny.

1847 — December.

OBLĘŻENIE WIEDNIA W 1848 R.

Nad miastem chmury apokaliptyczne,
W mieście waśń, ogień, gwałt, mordy uliczne,
Wiedeń się trzęsie i tarza i zżyma,
Krzyczy »Ratunku, bo biada mi, biada!«
A grzmot Wiedniowi z nieba odpowiada:
»Na dziś, o Wiedniu, Sobieskiego niéma!«

I noc się wzmaga — nie będzie już rana;
Wiedeń zbladł, jęknął — i padł na kolana —
Z nałogu patrzy obłędu oczyma
W stronę łask polskich, w Kalenbergu stronę,
Lecz w wichrach tylko słyszy powtórzone:
»Na dziś, o Wiedniu, Sobieskiego niéma!«

Tłum, zgiełk, strach; ludu pienią się bałwany —
Węgry, Włochowie, Słowianie, Ormiany;
Wewnątrz i zewnątrz murów stronnictw parcie,
Spoju tych plemion sądne wszechrozdarcie,
Szklanne bagnetów pryskających dźwięki,
Gwizd bomb, brzęk siekier, świst kos, dzwonów jęki —
Druga odmętem ginąca Solyma
Za mord proroków, za obłud swych grzechy!
I wciąż wichrowe śpiewają oddechy:
»Na dziś, o Wiedniu, Sobieskiego niéma!«

Krew, krew, krew — płomień, płomień, płomień tylko!
I z każdą coraz pewniejszy zgon chwilką,
Zgon bez zmartwychwstań, ten, co wiecznie wnika
Po niewdzięczności dniach w pierś niewdzięcznika.
Perzyn zasłona naokół się wzdyma —
Dzieci i starce, męże i niewiasty
Pospołem leżą, jak skoszone chwasty;
»Na dziś, o Wiedniu, Sobieskiego niéma!«

Co innych zbawia, znieść tego nie może
Ta bez ojczyzny niemiecka Sodoma!
Wolność, jak pożar, w jej wnętrznościach gorze
I od wolności pójdzie w dym, jak słoma.
W gruz dom po domie — wśród min i dział huku
Pałaców głazy sypią się do bruku.
Gdzie tan był skocznic, fletów syk wesoły,
Jutro pustynia i czarne popioły,
Skończonych dziejów jutro będzie zima —
Lody wieczności — bożych gniewów znamie!
Żadnych już zbawców nie zbawi cię ramie —
»Na dziś, o Wiedniu, Sobieskiego niéma!«

(15 października 1848 r.)

O, WIEM, ŻE POLSKA...

O, wiem, że Polska bój zwycięski toczy,
Że nie zginęła i nigdy nie zginie —
Lecz my czy ujrzym ją w chwały godzinie?
Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy.

I będzie wielka i będzie wspaniała,
Lecz robak trumien wprzód może nas stoczy;
Niejedna w świecie tkwi rozbicia skała —
Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy.

Ah, płyną lata, ah, płyną i wieki,
Nim się myśl boża w ciało przeistoczy;
Zguba wciąż blizka, a tryumf daleki —
Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy.

My tak kochali, a pili truciznę,
My tak żyć chcieli, a żyli w zamroczy!
Inni, ah, będą oglądać Ojczyznę —
Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy.

COŚMY KOCHALI...

Cośmy kochali tak razem
Martwym głazem
I ruiną,
Temu dzisiaj się przyśniwa
Młodość nowa i szczęśliwa,
Dni im życia płyną:
Staremu Rzymowi,
Grobom i lodowi!
A nam, cośmy byli
Na tych grobach młodzi,
Namże w piersiach się nie zrodzi
Życie — w grobów życia chwili?
Dość już mąk!
Niech do dusz
Wrócą już
Nadzieja i miłość i wiara,
A żywota czara
Powróci do rąk!

(Listopad 1848?)

PYTASZ SIĘ, CZEMU...

Pytasz się, czemu ucichły me pieśni
I jęk się często z mych piersi odzywa?
Bo w snach się moich nic dobrego nie śni,
I słowik tylko po święty Wit śpiéwa.

Straszne się w duszy naradza przeczucie,
Wszystko się łamie, rozstraja, rozrywa: —
Nie każ mi śpiewać na rozpaczy nucie!
I słowik tylko po święty Wit śpiéwa.

Ponad krwią, laną mordami, nie bojem,
Nie umie harfa zabrzmieć nieszczęśliwa;
Wtedy milczenie jedynym jej strojem,
I słowik tylko po święty Wit śpiéwa.

(1848.)

DARMO ŚWIAT ZIEMSKI...

Darmo świat ziemski pląsem mnie otoczy,
Motylim skrzydłem chce udać anioła,
Pcha kwiaty w ręce, ciska iskry w oczy —
On wiary mojej przetworzyć nie zdoła.

Przebyłem drogę szczęścia i cierpienia
I nią doszedłem do tych ducha włości,
Gdzie się Ideał serca już nie zmienia,
Bo zna go serce — pięknością piękności.

Do dziś dnia kocham, jak dawniej kochałem,
Tę samą postać, którą-m ścigał szałem,
Tę samą duszę, którą-m wielbił szczerze;

Obie mi widmem — jednem, świętem, białem...
Tylko w kochanin wieczniejszym się stałem,
Bo w wieczność mego Ideału wierzę!...

Monachium, 1849 r.

BURZY GROM...

(Wiersz wyryty na fortepianie D. Potockiej).

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Burzy grom,
Zwalisk łom,
Waśni szczęk
I krzyk i ryk
I stęk i jęk —
To ziemi dźwięk!
W sercu tkwi
Z łez i krwi
Bolu pieśń...
Smutku głos
Rzucił los
W każdą pieśń.
Lecz inny ton,
Ducha wiew,
Rytm i śpiew
Z niebieskich stron
Na strunach lat:
Klawiszem — świat,
Przestrzeń, czas,

Słońc wszystkich chór
I komet wtór,
Miliony nut
W hymnu rzut
Dźwięczą wraz.
Wzdłuż — wszerz — wskróś
Wir i ruch,
A jeden głos,
Bo jeden Duch.
O Boże mój,
Tym strunom, tym
I pieśniom mym
Daj taki strój,
Daj miarę miar,
Harmonii dar!
Dźwięków bój
Zmień w dźwięków cud,
W akkord zgód!
O Boże mój,
Tchu święty, zstąp
W grobową głąb,
W serca cieśń!
Zstąp i wioń —
A zagra-ć dłoń
Anielską pieśń!

(1850.)

O, NIE ZRYWAJ...

O, nie zrywaj — co nas łączy,
O, nie zrywaj — co mnie wspiera!
Nieskończone się nie kończy,
Nieśmiertelne — nie umiera.

(1850 ?)

O PIĘKNA MOJA...

O Piękna moja, bądź błogosławiona,
Że, od piekielnych wrogów wciąż kuszona,
Wciąż tyś deptała po ich kłamstw pokusie!
O Piękna moja, bądź błogosławiona,
Że na twem czole nie pychy korona,
Lecz cierń mąk polskich i myśl o Chrystusie!
O Polko moja, bądź błogosławiona,
Żeś nie wstąpiła do przeklętych grona,
Żeś pozostała na ojców twych grobie
W nietkniętej żadną pociechą żałobie!
O Polko moja, bądź błogosławiona,
Żeś miecz boleści przyjęła do łona
I odtąd idziesz pogrzebowym chodem
Z twoim, pogrzebnie idącym, narodem!
O Polko moja, bądź błogosławiona,
Że, gdy świat ginie i ojczyzna kona,
Tyś uwierzyła wśród czasów zawiei
W nadzieję — przeciw samejże nadziei!
O Polko moja, bądź błogosławiona,
Bo, gdy się czasów rozedrze zasłona,
Co dotąd kryje myśl bożą w przestrzeni,
Nie ci przegrali, co dziś zwyciężeni,
Nie ci nieszczęśni, co łzy dzisiaj leją;
Lecz onym biada, co, karmni weselem,

Pijani pychy codzienną nadzieją,
Mord ojczyzn głoszą życia swego celem!
O Polko moja, bądź błogosławiona,
Bo wszystkim biada, co wznieśli ramiona
Przeciw twej Matce rozbitej na krzyżu!
Czy zwą się »czarni«, czy zwą się »czerwoni«,
Czy zaufali w nożach, czy w dział spiżu,
Czy w carów wierzą, czy republikanie —
Biada im wszystkim, ludziom krwawej dłoni,
Bo Bóg piorunem z świata ich wygoni
I śladu po nich w świecie nie zostanie!

Patrz, wokół ciebie na rzymskiej równinie
Co zostało z Dumy!
Pośród pustyni mętny Tyber płynie,
Wkoło zwalisk rumy.
I tu chadzały w purpurze i złocie
Niesprawiedliwości —
A dziś ich świątyń marmury śpią w błocie
Nad prochem ich kości.
I tu mawiali: »Wytracim narody,
Roma jedna będzie«.
Patrz, po ich cyrkach jak pasą się trzody
I bluszcz pełza wszędzie!
A tchnęli jednak tą siłą bez granic,
Co światu przykładem,
Ale przepadli, bo struli się na nic
Własnych zbrodni jadem.
Wyczytaj z gruzów tej Kampanii Rzymu,
Że Polska nie zginie!
Moc bez miłości podobna do dymu,
Nie my — ona minie.
Jak z tych katakomb, co leżą pod spodem,
Krzyż wzbił się zwycięsko,
Zwycięskim z grobu wyjdziemy pochodem

Nieśmiertelni klęską.
Niechaj mi świadczy ten Forum ludowy,
W pusty zmienion parów,
Niech mi te świadczą pościnane głowy
Korynckich filarów,
Niechaj mi świadczą te bogów posągi,
Pryśnięte w kawały,
Te wieże, termy, łuki, wodociągi,
Przedziczałe w skały —
Niech mi te świadczą grobowce bez końca
Ze wzgórza na wzgórze,
Niech mi krąg świadczy italskiego słońca
Nad niemi w lazurze,
Niech wszystko świadczy, tu, zdala czy zblizka,
W górze czy w nizinie,
Światło niebieskie i ludzkie zwaliska,
Że Polska nie ginie —
Że jest duch mściciel, co z bożej zarady
Tkwi w dziejów głębinie —
Że giną fałsze, wiarołomstwa, zdrady,
Lecz Polska nie ginie —
Że ujarzmiciel, choć dziki i śmiały,
Przeznaczon ruinie —
Że giną rzymskie tryumfy i chwały,
Lecz Polska nie ginie —
Że grom zwycięski wbija w ziemię katy
O sądu godzinie,
Ze giną grzeszne i wieki i światy,
Lecz Polska nie ginie!

(1852.)

187

DO KAJETANA KOŹMIANA.

Czemu, mistrzu, masz siwiznę
Stokroć młodszą mej młodości?
Boś za młodu miał ojczyznę,
A ja tylko proch jej kości.

Czemu, Mistrzu, dotąd tleje
Żar ci w piersiach niezrównany?
Boś za młodu znał nadzieje,
A ja tylko zwątpień rany.

Z grobuś nieraz wyjrzał w górę,
Czuł już dreszcze zmartwychwstania,
Jam wciąż patrzał tylko w chmurę,
Która Boga mi przesłania.

Młodość, Mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć przeminie sama szparko,
Cios jej dłóta wiecznotrwały.

Więc już zwiądłem — gdyś ty dzielny,
Gdyś żyw jeszcze, mrę nikczemnie —
I nie będę nieśmiertelny.
Ach, szczęśliwszyś ty ode mnie!

(1855 ?)

ZIEMSKOŚCI CIEŃ...

Ziemskości cień
To Ducha noc —
Skra bożych tchnień
To Ducha moc!
I natchnienie,
Jak zbawienie,
Zsyła Pan!
Niem ochrzcon, duch
Świat wprawia w ruch,
W niebieski tan:
Sam się łączy
Z Wiecznym w niebie —
Światu sączy
Niebo z siebie.
Kto z natchnienia
Śpiewa, szlocha —
Ziemię kocha,
Ziemię zmienia. —

Siostro moja, coś w żałobie,
Niechaj serce twoje słucha!
Błogosławię tobie
Zwiastowaniem Ducha!

Niech twa dusza smutek zmoże,
Niech ci w piersiach wznijdzie zorze,
Którem życia męty
Otęcza Duch święty!

Wszystko dotąd, co westchnieniem,
Płaczem, męką i żałobą,
Stań się w tobie pieniem,
A to pienie — tobą!

Tworzyć będziesz — kochaj tylko
Ideału święte włości!
Wszystko nikłą chwilką
Prócz wiecznej miłości.

A gdzie ona — tam i siła,
Co świat z Boga wydobyła;
Ta sama w iskierce
Spadnie ci w serce.

Krańce światów się odcieśnią,
Znieskończeni się głąb duszy —
I z życia katuszy
Ty wypłyniesz pieśnią!

Jak w przestrzeni nieskończonej
Nowe słońca — nowe światy,
W piersi przepieśnionej
Błysną natchnień kwiaty.

I ty sypać będziesz niemi,
Ty, coś tyle tu bolała,
Zbolałym na ziemi,
Sama zmartwychwstała.

Nicea 1855 na wiosnę.

DO ELIZY.

Choć lód serc ludzkich świat pod mrozem trzyma
I wszędzie w świecie bezkwietniana zima,
W duszy mi kwiaty wciąż ku tobie rosną
Śród zim boleści, boś ty moją wiosną,
Boś życia mego ty ostatniem słońcem:
Wszystko mnie zwiodło przed dni moich końcem.

Wierzyłem w ludzi — a byli bez ducha,
Wierzyłem w ludzkość — patrzę na zgniliznę,
Wierzyłem w przyszłość — a dotąd łańcucha
Sploty nie pękły, co gniotą ojczyznę.
Ziemia ta cała tak potwornie podła...
Lecz ty mnie jedna na ziemi nie zwiodła.

Kształt twój nie kłamie patrzącym dokoła,
Gdy ócz twych światłem, blaskiem twego czoła
Im wewnętrznego zwiastuje anioła.
Wszystko, com widział, to był sen, wiew, para —
Tyś rzeczywista, tyś jedna nie mara,
A jednak w tobie ideału piękno.

Niech więc kolana me przed tobą klękną,
Niech ci me ręce podadzą te kwiaty

I niech me usta zbolałe wyjękną,
Szukając kornie brzegu twojej szaty:
»Tyś piękną!«

(19 listopada 1856 r.)

186

HYMN.

Królowo polska, Królowo aniołów,
Ty, coś na świecie przebolała tyle,
Gdy Syn Twój zstąpił do ziemskich padołów,
Skróć umęczonej Polsce Twej mąk chwile!
Królowo polska, Królowo aniołów,
Roztocz ponad nią tęczę Twej opieki,
Odwiąż jej ręce od katowskich kołów,
Bądź jej aniołem teraz i na wieki!

Królowo polska, Królowo aniołów!
Lecz wiesz zarówno, jakim blaskiem płonie
Ukrzyżowany — wniebowzięt po zgonie,
Nie daj nas sieciom piekielnym na połów!
Nieśmiertelnemi na śmierć zbrojna leki,
Wykaż znów śmierci na nas, że jest niczem,
Wskrześ nas, o Pani, przed świata obliczem,
Bądź nam aniołem teraz i na wieki!

Królowo polska, Królowo aniołów!
Ten świat się rozpadł i rozdziera siebie —
Lecz żadna z jego rozerwanych połów
Już się nie modli, o Maryo, do Ciebie.
My jedni tylko, paląc się na stosie,
Waiąż ślemy modły w Twój bezmiar daleki —

Poznasz, Królowo, poddanych po głosie;
Bądź nam aniołem teraz i na wieki!

Królowo Polski, Królowo aniołów,
Lilio bez zmazy, Ty Gwiazdo poranna,
Mieczem boleści siedmiokrotnie ranna,
Wiesz, co rozpaczy wrzącej w sercu ołów,
Co krzyż i gwoździe, i rany i ciernie,
Wiesz, co krwi ziemskiej i łez ziemskich cieki
I jak konania ból boli niezmiernie...
Bądź nam królową teraz i na wieki!

(1857)

COKOLWIEK BĘDZIE...

Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
Czy strach i popłoch zdejmie ziemię wszędzie,
Aż świat od osi zadrży po krawędzie,
Czy mądrość święta w pokoju zasiędzie
I pod nią ziemia ta odetchnie biedna,
A ona wszystko zgodzi i pojedna —
Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
Jedno wiem tylko: sprawiedliwość będzie,
Jedno wiem tylko: Polska zmartwychwstanie,
Jedno wiem tylko: na dziejów przestrzeni
Grób nasz nam w życia gmach się przepromieni,
Jedno wiem tylko: krzykniemy serdecznie:
»Bądź Ty pochwalon, święty Boże, wiecznie!«

(14 maja 1857.)

DO ELIZY.

Jam marzył niegdyś, żem na potęg szczycie,
Jam czuł się w natchnień nieskończonych niebie,
A jednak w niwecz przemarniłem życie
Dlatego tylko, żem nie kochał ciebie.

O, biada sercom, którym się wydaje,
Że grzechu żary młodości płomieniem —
Bo sperzynieją ich nieba i raje
I gorycz wieczna będzie im istnieniem!

O, biada sercom przenamiętnym — zginą!
Bo, choć i anioł zstąpi do ich doli,
Przyszłość ich struta, przeszłość ich jest winą
I samo szczęście anielskie je boli.

O, biada sercu mojemu, że żyło
O cierpkim, szału łzą zroszonym, chlebie!
Mów mi, jedyna dziś duszy mej siło,
Czemu ja dawniej nie kochałem ciebie?

Od twej urody szły jakby promienie —
Czemciś, w postaci już wyanielałem,
Świeciłaś oczom, jak świeci widzenie —
Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

Wyższy od ziemskich mętów nawałnicy,
Spokój przeczysty na twem czole białem
I przenajsłodsza rzewność w twej źrenicy —
Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

Lecz kiedy słyszysz ujarzmionych dzieje,
Wnet błyskawica mknie z ócz twych kryształów,
Każden rys twarzy twej bohatyrścieje —
Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

Znać, duch twój bolem nieskończonym ranny,
Znać, dłońby twoja z świętym jęła szałem
Za miecz rycerskiej z Orleanu panny —
Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

Hełm jejby przypadł do kręgu twych skroni,
Oko twe błysło jej ócz światłem całem,
Głos twój jej głosemby wołał: »Do broni!« —
Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

I tak, jak ona, szłabyś aż do końca,
Szłabyś pod oszczerstw i krzywd ludzkich zwałem
Wciąż czysta, śmiała, ofiarna, milcząca —
Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

O, bądź mi odtąd przewodniczką bytu!
O, bądź mi odtąd piękna ideałem!
Truciznym życia napił się do sytu,
A za to tylko, że cię nie kochałem!

Skarb moich potęg mi się rozpadł na nic,
Myśl się rozwiodła z natchnionym zapałem,
Jam zgasł i przewiądł od smętków bez granic —
A za to tylko, że cię nie kochałem!

I nieraz patrzę rozpaczy oczyma
W mą przeszłość, trupim leżącą powałem,
Z której mi czynów nieśmiertelnych niéma
A za to tylko, że cię nie kochałem!

O, spojrzyj na mnie! — Tyś w górze — ja w dole —
Niech śmierć nie będzie na zawsze mym działem,
Dłonią mi z czoła zdejm żywota bole,
Bo już na wieki ja cię ukochałem!

Za to, żeś duszą z światłości uwianą,
Żeś cała sercem, prawdą zamieszkałem,
Żeś przenadobną i niepokalaną,
Ach, już na wieki ja cię ukochałem!

Za to, żeś wzgardą na pyszne orężna,
A smętne kochasz czuciem wiecznotrwałem,
Żeś przeciw wrogom tchnień bożych ty mężna,
Ach, już na wieki ja cię ukochałem!

(W dzień św. Elżbiety, 19 listopada 1857.)

193

UŁAMEK

NAŚLADOWANY Z GLOSSY ŚW. TERESSY.

Vivo sen vivir en mi
Y tan alta vida espero,
Que muero, porque non muero.
Glossa S. Teressy.

Przed życiem czuję — nie przed śmiercią — trwogę,
Bo takie światy widzę tam, przed sobą,
Ze mi ten ziemski grobową żałobą
I tem umieram — że umrzeć nie mogę.

Umrzeć lub cierpieć — a cierpieć bez miary,
Bo mnie się z Tobą trza zlać w Twojem niebie,
Lub, gdy nie można — żyć w piekle dla Ciebie!
Ślij mi więc męki, jak niebieskie dary!
Im sroższe będą, tem mi więcej błogie —
Ja przed spokojem tylko czuję trwogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę.

Jedynej ulgi na moje męczarnie,
— A jedna tylko i »Śmierć« się nazywa —
Śmierci dać sobie nie zdołam bezkarnie...
O, bardzom Panie, bardzom nieszczęśliwa!
Tę jedną szczęścia Tyś zamknął mi drogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę.

Czasem Cię tylko widuję w widzeniu,
Lecz Ty nie raczysz długo ze mną zostać,
Wnet niknie bożo-człowiecza Twa postać
I w gorszem jeszcze konam znicestwieniu.
— Przed chwilą byłam w wieczności rozlana —
— Nikt nie rozeznałby sługi od Pana —

Ty, Bóg, Ty dla mnie stawałeś się mały,
A ze mnie, małej, wyrastał Bóg cały!
Tyś się zamykał w mem sercu, jak w grobie —
— Jam się, jak bezmiar, szerzyła ku Tobie!
Przez nieskończonej Łaski zezwolenie
Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie —
Stworzenie w Stwórcę — przez jedno westchnienie.

Mnie już tak było, jakby po pogrzebie —
Bez ciała byłam na ziemi i niebie,
Na wieki z Tobą — przy Tobie — u Ciebie.
W twarz Ci patrzałam, ale nie oczyma —
Bo na to wzroku ócz śmiertelnych niéma.
Głos Twój słyszałam — lecz nie ziemskim słuchem —
Wszystkom widziała i słyszała — duchem.
A jednak, Panie, Tyś jaśniał przede mną
Jakby słońc słońce, w którem kształt człowieka!
Ach, światło dzienne nocą wiecznie ciemną
Przy tym promieniu, co z Twych skroni ścieka!
— Choć niecielesny — widomszy niż ciało —
I słowo każde, co z ust Twych spływało
Dźwiękiem, dźwięczniejszym, niż dźwięk, ssan przez uszy,
Niebrzmiące, brzmiało, jak pieśń, w mojej duszy!
I byłam z Tobą — oglądałam Ciebie —
Nie ukrytego w przenajświętszym Chlebie,
Nie tajonego przesłonami cudu —
Lecz jakim bywasz śród aniołów ludu,
Tam, gdzie nad światem królujesz z świętymi.
Takim Cię, takim tu miałam — na ziemi!
Lepiej od świętych widziałem Cię, Panie,
Bo silniej kocham, goręcej, niż oni!
— Już w domu wiecznym Tyś dał im mieszkanie —
A ja gdzie mieszkam? — co mnie strzeże, broni?
Gdy mnie porzucasz, zostaję w rozpaczy —
Lecz ból i rozpacz, cóż to dla mnie znaczy?

Im bardziej tęsknię, tem kocham goręcej,
Im więcej męki, tem miłości więcej
W tem piekle bożem bożego kochania,
Gdzie Twa obecność mnie nawet rozrania —
Bo chwilą później Tyś znowu daleki
I, nim powracasz, upływają wieki!
Bez Boga mego — a z Boga wspomnieniem —
Leżę na ziemi grobowym kamieniem,
A pod tym głazem mej niewzruszoności
Smutek przejada do szpiku me kości,
Żądam bez miary — miłuję bez granic —
Miłość i żądza nie zdały się na nic —
Zmienionam cała w jedno upragnienie,
Lecz Twojej woli w tych chwilach nie zmienię;
Pan nieśmiertelny nie zstąpi do sługi,
Aż kiedyś — kiedyś — znowu po raz drugi...
I mimo Twoją, o Ty mój, przestrogę
Ja tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Albo Ty myślisz, o Ty wieczny, żywy,
Że Ciebie kocham za przyszłe nadgrody,
Za obiecane w królestwie Twem gody,
Za palmy — harfy — i cuda — i dziwy —
Za jakąkolwiekbądź w niebie zapłatę,
Którąbyś spłacił mi dni mych utratę?
Ja kocham Ciebie — żeś był nieszczęśliwy,
Że przebolałeś tu wszystko, co boli,
Że zniosłeś wszystko, co tylko poniża,
Ty, Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,
Ty, Bóg, przez katów prowadzon do krzyża!
Ja Ciebie kocham, że Cię o tej chwili
Niebo odbiegło i ludzie zdradzili —
Ja Ciebie kocham — żeś był przymuszony
Wołać do Ojca: »O, Jam opuszczony!« —
Ja Ciebie kocham za Twoje konanie

I za śmierć więcej, niż za zmartwychwstanie!
Bo mi się zdaje, że Ty zmartwychwstały
Nie tyle biednej potrzebujesz sługi;
Już wtedy służy Ci Twój wszechświat cały,
Stopą powietrzne przelatujesz smugi...
Lecz, kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje,
Że wracam duchem w widziane już kraje,
Że oglądałam już wprzódy to wzgórze
I krzyż ten, zbroczon w krwi Twojej purpurze,
Że Magdalena, ta święta, Twa miła,
Co tam tak jęczy — to ja chyba była!
Bo w sercu mojem jej serce mi płacze,
Bo drżą mi w oczach wszystkie łzy jej oka
I rozpacz moja tak straszna, głęboka,
Że być nie mogą dwie takie rozpacze!
Nie — ona Ciebie więcej nie kochała! —
Ja wiem, że ona wielka, a ja mała,
Bom mniej czynami Tobie zasłużona —
Lecz więcej Ciebie nie kochała ona!
Jakżeż to będzie, mój Panie, mój Boże?
Jakżeż rozdzielić sądem Salomona
Tę jedną miłość między te dwa łona?
— Bo dwóch miłości być takich nie może!

Nie — Ciebie więcej nie kochała ona!
Raz tylko w życiu na golgockim pyle
Leżała w płaczu, krwią Twoją zroszona —
Raz jeden tylko, — a ja razy tyle...
Bo co noc prawie dla mnie się odtwarza
Kalwaryjskiego przytomność cmentarza
I z poza wieków upłynionych tyla
Wraca ta do mnie zobecniona chwila,
W której śród niebios i ziemi zaćmienia
Zmarł Wszechstworzyciel wobec wszechstworzenia.
Aż padnie z zorzą pierwszy promień dzienny,

Widuję w celi tej krzyż Twój męczenny
I na tem drzewie oglądam Twe ciało,
Ostatkiem światła jeszcze tlące biało,
Gdy wszystko wokół, jak w grobie, sczerniało.

Ty i ja, Panie — nikt więcej — my sami —
Tak blizcy siebie, a tak rozdzieleni —
Bo ja tu w dole, pod Twemi stopami,
A Ty nade mną, w tej strasznej przestrzeni,
Do kłód tych z cedru przybity gwoździami!
Zrazu ja klęczę w milczeniu — a cała
Drgająca ciałem od mąk Twego ciała;
Kolcują w skroniach mi kolce Twych skroni,
Rwą mnie w mych dłoniach żelezca Twych dłoni —
W boku mnie szarpie boku Twego rana —
I, choć tu-m w dole, takem z Tobą zlana,
Żem z Tobą w górze tam ukrzyżowana!
. . . . . .
. . . . . .

(1858.)

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO »DROBNYCH UTWORÓW POETYCZNYCH«.

O BIEDNA...

Wiersz ten, jak i cały szereg następnych, odnosi się do p. Joanny z Morzkowskich Bóbr-Piotrowickiej.

DO...

Str. 9. »Most westchnień« — słynny most w Wenecyi, gdzie poeta był z p. Bobrową w r. 1838.

SERCE MI PĘKA...

Str. 10. Światło się umyka — poeta chorował wówczas ciężko na oczy.

DLA CIEBIEM WSZYSTKO...

Poeta przemawia tu w imieniu p. Bobrowej, jakgdyby ona mówiła do niego.

JAK KAWAŁ LODU...

Patrz objaśnienie do poprzedniego wiersza.

Str. 16. Jednego człowieka — Z. Krasińskiego.

JAK ANIOŁ SPADŁY...

Str. 18. Memnon — posąg w Egipcie, który wydawał dźwięki, gdy nań padały promienie słoneczne.

LEDWOM CIĘ POZNAŁ...

Wiersz ten rozpoczyna szereg utworów do Delfiny z Komarów hr. Potockiej.

Str. 20 Julia — bohaterka tragedyi Szekspira »Romeo i Julia«.

Z NAD WÓD...

Str. 31. Z nad wód ect. — Włochy.

Str. 31. Do północnego ect. — Szwajcarya.

ROZPACZ.

Str. 37. Miasto kwiatów i wulkanu szczyty — Neapol i Wezuwiusz

Str. 38. Gwiazda — p. Delfina.

WIARA.

Str. 43. Galwanizm — elektryczność.

Str. 43. Światło maluje obrazki — fotografia.

Str. 44. Żyd Spinoza — Baruch Spinoza, słynny filozof (1632 † 1677).

Str. 47. Siostra — D. Potocka.

NIE KŁUJ MNIE W SERCE...

Wiersz do Konstantego Gaszyńskiego.

DO...

Motto z Byrona znaczy: wychowana w stajni, wykarmiona w kuchni.

Str. 51. Mojego Anioła — D. Potocka.

ZNÓW WRACA WIOSNA...

Str. 57. Molo di Gaëta — jedna z tam w porcie Neapolu.

Str 57. Mars i Wenus — planety.

ZIMNY ROZSĄDEK...

Str. 60. W tobie — K. Gaszyński.

O ŻYCIA RANKU...

Str. 62. Anioł — D. Potocka.

POETA.

Str. 68. Wzniesiona brama wiecznego pokoju — Przymierze święte 1815 r.

O ZIEMIO WŁOSKA...

Str. 80. Lucciole — robaczki świętojańskie (włoskie: luccíola).

DO D...

Str. 84. Splügen — słynne miasteczko w Szwajcaryi, w kantonie Graubünden, w bliskości granicy włoskiej.

TO MIASTO WIECZNEM...

Wiersz ten odnosi się do Rzymu, nie zaś do Sorrento.

LISTKU, DZIŚ SUCHY...

Str. 94. Albana jezioro — jezioro albańskie (Lago di Castello) w pobliżu Rzymu.

UKLĄKŁBYM MOŻE...

Dwie pierwsze zwrotki tego wiersza, napisanego dla Delfiny, zaginęły.

NADGROBEK Z. K.

Str. 99. O Lindo moja — D. Potocka.

Str. 99. Oni — t. j. niechętni i oszczercy.

MYŚLAŁEM NIERAZ ..

Str. 102. Eter — mowa tu o eterze wszechświatowym, nieważkiej substancyi, wedle przypuszczeń uczonych, wypełniającej przestrzenie pomiędzy cząsteczkami materyi.

GDYBYM DZIŚ, JUTRO...

Str. 105. Dalie — dalia, roślina, pospolicie zwana georginią.

ADAMOWI SOŁTANOWI.

Był to krewny i przyjaciel poety, pułkownik wojsk polskich (1792 † 1863).

Str. 109. Co u ciebie długo spało — mowa tu o rękopisie »Nocy Letniej,« który Sołtan przechowywał u siebie.

Str. 109. Dopełniony — t. j. dopełniony »Pokusą,« która była drukowana razem z »Nocą Letnią.«

IM DALEJ IDĘ...

Str. 113. Z Bergamu rodem — Bergamo, miasto we Włoszech północnych.

WSPOMNIENIA.

Str. 120. I nadziei snem — zapewne omyłka, miało być: i nadziei sen.

DO CEZAREGO PLATERA.

Był to członek sejmu warszawskiego z r. 1831, powstaniec, potem prezes Towarzystwa Literackiego w Paryżu

NA GROBIE K. DANIELEWICZA.

Serdeczny przyjaciel poety, zmarły w Monachium dn. 27 marca 1842 roku.

FRYBURG.

Str. 135. Cień zmarłej Matki — Polski.

DLA ELIZY.

Elżbieta z Branickich Krasińska, żona poety.

W ALBUMIE KONST. GASZYŃSKIEGO.

Str. 147. Aquae Sextiae — dzisiejsze Aix, miasto we Francyi południowej.

DO K. B.

Wiersz ten napisany dla Katarzyny Branickiej, młodszej siostry żony poety.

MODL TY SIĘ ZA MNIE...

Do D. Potockiej.

NA »FRANCESKĘ« SCHEFFERA.

Mowa tu o obrazie Ary Scheffera, malarza francuskiego (1795 † 1858), przedstawiającym słynną Franceskę di Rimini z epizodu »Komedyi« Dantego.

PRZEPASANA ZŁOTĄ SZARFĄ.

Napisane z powodu wyboru pap. Piusa IX (26 czerwca 1846 r.).

RESURRECTURIS.

Resurrecturis — tym, co mają zmartwychwstać.

OBLĘZENIE WIEDNIA W 1848 R.

Mowa tu o rewolucyi w Wiedniu 1848 r.

Str. 169. Kalenberg — pasmo gór pod Wiedniem, gdzie w r. 1683 rozłożył się obóz Sobieskiego.

O PIĘKNA MOJA...

Wiersz napisany do żony poety.

Str. 179. Czarni i czerwoni — stronnictwa polityczne.

DO KAJETANA KOŹMIANA.

Kajetan Koźmian — poeta polski (1771 † 1856). autor »Czarnieckiego«, »Ziemiaństwa polskiego« i inn.

Str. 181. Dreszcze zmartwychwstania — mowa tu o utworzeniu Księstwa Warszawskiego przez Napoleona.

ZIEMSKOŚCI CIEŃ...

Str. 182. Siostro moja — D. Potocka.

DO ELIZY.

Oba wiersze do Elizy napisane do żony poety.

UŁAMEK NAŚLADOWANY Z GLOSSY ŚW. TERESSY.

Św. Teresa, Hiszpanka (1515 † 1582), autorka poezyi mistycznych.

205

GRÓB RODZINY REICHSTALÓW

POWIEŚĆ ORYGINALNA

Z DZIEJÓW WOJNY TRZYDZIESTOLETNIEJ.

I.

Jej twarz, jak róży blade zawoje,
Skropione jutrzenki łezką,
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiały postać niebieską.

A. Mickiewicz: — Świtezianka.

Tydzień już był upłynął od bitwy, wygranej pod Pragą 8-go listopada 1620 r. przez Maksymiliana, księcia bawarskiego, nad Fryderykiem V., Palatynem Renu. — Wojsko cesarskie, zwycięskie i uradowane z nadziei odpocznienia po trudach wojennych, rozgościło się po całych Czechach. — Rozmaite jego oddziały pod dowództwem Tyllego ścigały broniących się jeszcze protestantów, inne zaś rabowały miasta, żadnego im nie stawiające oporu. Niektóre pułki rozłożyły się po miasteczkach poblizkich Pragi; między temi był pułk hr. Wallensteina, który stanął w Egrze. Najświetniej on swoją waleczność okazał w bitwie pod Pragą, a zachęcony przez młodego a męstwem pałającego dowódcę, najbardziej się do zwycięstwa przyłożył. Po wygranej dostał rozkaz zajęcia miasta Egry i tam w największej spokojności i porządku się zachował. Żeby dać poznać ówczesny stan rzeczy, przytoczymy tu rozmowę dwóch żołnierzy, stojących przed domem, w którym mieszkał młody ich pułkownik, hrabia Wallenstein.

— Do milion szatanów, Maksie — rzekł z nich jeden, młody i żywy — muszę lecieć teraz, kiedy już się ściemnia

i deszcz padać zaczyna, do tego dyabła czyli uczonego, astrologa czyli alchimisty, jak tu go nazywają. Niech go czarny myśliwiec lub upiór porwie; nasz dowódca upodobał go sobie, muszę lecieć.

— Nie masz czego tak narzekać — odparł drugi, nad którego ustami już się wąs siwy zakręcał — ja muszę całą noc tu stać i znosić pod tym dziurawym płaszczem niepogody i słoty. Zniósłbym to jeszcze, wytrzymałbym i deszcze i śniegi, nie zważałbym na wodę, lejącą się z tych czarnych chmur, jakem i na kule nie zważał, gdyby pułkownik pozwolił nam, starym, zadawniałym, powszechnym, wszędzie używanym zwyczajem, porabować trochę. Ale od czasu, a już będzie tydzień, jak tu stoimy, ani zdobyczy, ani łupów nie widzę; niema nawet nadziei. Nie tak, do pioruna, zdarzało się dawniej. Pamiętam w wojnie z Turkami, pamiętam przeszłego roku, kiedy służyłem pod Tillim, ah, to rozkosz była, to uciecha! Przybyliśmy do wsi lub miasta; prędko ognia, prędzej pochodni; zapaliliśmy, wywróciliśmy, zburzyliśmy, złupiliśmy i dalej na nieprzyjaciół! Tak bywało, a teraz pod tym Wallensteinem i bić się trzeba i nie można rabować. Prorokuję, nic z niego nie będzie; bo pierwszą cnotą żołnierza jest: nie przymrużać oczu, kiedy kula leci, a drugą: dobrze rabować.

— Alboż to Wallenstein nigdy nie rabował? — rzekł młody— nie znasz go chyba; prawda, niedawno pod nim służysz, ale zaręczam ci, że przedtem większego nie było rabusia. Ale ten dyabeł czy astrolog, ten czarownik zawrócił mu głowę gwiazdami i mnóstwem rzeczy, których nie rozumiem.

— Młodyś jeszcze, Walterze, nie znasz świata. Nie gwiazdy, choć dosyć w nie wierzy nasz pułkownik, tam go przyciągają, ale czarne oczy córki astrologa.

— Nie może być, to niepodobne do niego, taki dumny!

— Wierz, Walterze, słowom starca! Jeśli to miasto jeszcze nie spłonęło, dzięki powinni złożyć jego mieszkańcy astrologowi lub raczej jego córce.

— Ale z czemże cię posyła pułkownik?

— Kazał powiedzieć, że dzisiaj, nawet niezadługo, przyjedzie odwiedzić astrologa.

— Czyli jego córkę! — dodał Maks z uśmiechem, pokazującym radość z docieczenia tajemnicy — idź więc, śpiesz się, bo Wallenstein nie lubi, kiedy nie spełniają żwawo jego rozkazów!

— Żegnam cię, rzekł młody żołnierz i wśród lejącego deszczu wyleciał szybkim krokiem z dziedzińca. Szedł między dwoma rzędami wysokich domów, z których potoki wody spływały. Ale im mocniejszy był wicher, im gwałtowniejszy deszcz padał, z tem większą siłą opierał się Walter wzburzonym żywiołom i mężnie stawiał im czoło. W prędkim biegu rozmiękła ziemia, bo jeszcze wtenczas bruk nie zdobił Egry, okrywała płaszcz i buty żołnierza, ale nie zważał na to i wśród błota pędził, jak strzała, do domu alchimisty. Przeszedł kilka ciasnych i krętych ulic i przybył do stóp wzgórka, na którym się wznosił dom nizki, ale tak długi, że wziąćby go można z początku za obszerny pałac. Znikało jednak to złudzenie za zbliżeniem się do niego. Jedna część zupełnie była pusta, okna bez szyb, a nieliczne kawałki szkła, pod niemi leżące, dowodziły, że już wiatr rozwiał inne na wszystkie strony. Belki, niedobrze spojone, uginały się pod wichrem, a deszcz rzęsisty dokonywał dzieła niedbałości i czasu. Druga jednak strona w lepszym była stanie, a nawet gdzieniegdzie spostrzegano ozdoby. Ganek podpierały cztery kręcone kolumny, na wzór świątyni Salomona, nad nim wznosiła się kula ziemska, miedzianemi zdobna kołami, których płowy kolor już się był na ciemnozielony zamienił.

Wysoka wieża z cegieł, rozmaicie pomalowanych, dopełniła dziwacznego obrazu, który rozśmieszał Waltera, ile razy tamtędy przechodził. Wszedł więc do budynku środkowego i przez kilka korytarzów dostał się do pokoju astrologa. Dwie lampy oświecały szeroką komnatę, ale ich światło

z trudnością się przedzierało przez gęsty dym, który dopiero się zmniejszył, kiedy Walter drzwi otworzył. Ogromne szafy z półkami opierały się o ściany pokoju, na nich leżały szklanne banie i naczynia wszelkiego rodzaju, to z gliny, to z kruszcu wyrabiane. Nad szafami zaś wisiały, jakby trofea nauki, czaszki i kościotrupy zwierząt i ludzi obok różnokształtnych narzędzi. W głębi, pod zaginającem się sklepieniem, stały na wysokim kominie misy i miednice, piecyki i retorty, gdzieniegdzie porozrzucane żarzące się węgle, flaszki pełne różnokolorowych płynów, sztaby żelaza i miedzi. W środku obszernej komnaty był szeroki stół, pokryty księgami rozmaitej wielkości. Na jego środku stały dwa globy ziemi. Naokoło nich przypatrzyć się można było rozłożonym cyrklom, szkiełkom, medalom. Na obu końcach stołu dwie trupie głowy strzegły leżących na nim skarbów, a między niemi wznosił się mały szkielet z kości słoniowej, który trzymał srebrną lampę w oschłej prawicy. Bladawe jej promienie zlewały się na twarz starca, siedzącego przy stole. Liczne zmarszczki na czole, śnieżne włosy i krótka, biała broda dowodziły wieku sędziwego. Wpatrując się w niego, znać jednak było żywość bystrego wzroku, zatopionego w tej chwili w księdze, zamykającej dziwaczne obrazy i rozliczne systemata astronomów starożytnych. Ubiór jego składał się z szerokiej sukni, podszytej połyskującem futrem, a mała, aksamitna czapka okrywała mu głowę. W jednej ręce trzymał cyrkiel rozwarty, a drugą opierał się na długim teleskopie, który był daleki jeszcze od tegoczesnej doskonałości.

Blizko niego na krześle, dwoma sfinksami miedzianemi podpieranem, siedziała niewiasta wysokiej kibici i kształtnej postawy.

Zdawało się, że dopiero osiemnasta wiosna jej bladawe skronie uwieńcza. Ogień młodości, ogień do błyskawicy podobny, świetniał w jej czarnych oczach, ukrytych pod długiemi rzęsy, a smutek, po nadobnych licach rozlany, bla-

dość, zamieniająca na lilie róże, kwitnące niegdyś na twarzy, wydawały uczucia zbolałego serca. — Jej włosy w wijących się splotach spadały naokoło szyi, otoczonej pięknie wyszytą chustką. — Biała wstążka otaczała głowę. Lekka suknia w spływających fałdach zlewała na ziemię, a niebieska przepaska ściskała dziewicę. — Sprzączka złota, grzebień, błyszczący się srebrem, dopełniały pięknego ubioru. Trzymała w ręku małą książkę. — Jej piękne oczy szybko ją przebiegały, ale zadziwiłby się każdy widząc, że dzieło, czytane przez osiemnastoletnią dziewicę, było rozprawą o śmierci, niedawno wydaną przez pewnego protestanta i dowodzącą, że nie jest zbrodnią zginąć z własnej ręki, żeby uniknąć hańby lub nieszczęścia.

Za ukazaniem się Waltera podniósł się astrolog i znowu zagłębił się w myślach. — Dziewica opuściła na jego widok książkę i jakby wryta czekała, aż żołnierz przemówi tak, jak obwiniony czeka na czytanie swego wyroku.

— Na wszystkich dyabłów piekła, lub jeśli pani się bardziej podoba, na wszystkich aniołów nieba — odrzekł Walter — słowo daję, że łatwiej się dostać do nieprzyjacielskiego zamku, niż do waszego domu. Słuchajże, mości, nie wiem szczerze, jak cię nazwać, mości astrologu czy alchimisto, czy też mości uczony, postaw kogo na warcie, żeby otwierał drzwi pukającym, ale dzisiejszej nocy nie potrzeba tego, bo bramy waszego pałacu wszystkie teraz stoją otworem.

— Jakto? — obudzając się jakby ze snu, krzyknął alchimista. — Jakto? co chcesz, cóż rozumiesz przez te słowa?

— Rozumiem to — odparł Walter — że wybiłem drzwi tym mieczem — i uderzył z pewnym rodzajem dumy o rękojeść miecza.

— Ale niewielka szkoda, bo już były napół zgniłe, a kiedy nowe sprawisz, wiatr nie tak łatwy będzie miał przystęp. — Zresztą hrabia Wallenstein, nasz pułkownik, przysyła mnie z doniesieniem, że tu zaraz sam przybędzie

— Pułkownik Wallenstein? — powtórzył alchimista —

dobrze; — czekam na niego; otworem mu stoją te przybytki nauk, te skarby, zebrane moją pracą, niezmordowanem przez czterdzieści lat staraniem. — Użyczę mu mojego światła, nauczę poznawać gwiazdy, słuch jego przyzwyczaję do harmonii sfer niebieskich, rozłożę przed jego oczyma promienie słońca, pokażę mu pierwiastki wszystkiego — nic mu nie utaję. — Wszystko, co wiem, jego będzie, wszystko co mam, oddam jemu.

— Nie, nigdy to być nie może! — wyrzekła wtenczas głębokiego smutku głosem dziewica — Ojcze...

— Dobrze, dobrze, to są niedorzeczności, które, mam nadzieję, że wyjdą ci z głowy, moja Minno.

Powstawszy chodziła dziewica, kiedy ojciec kazał jej siąść przy sobie — a potem rzekł do Waltera:

— Powiedz pułkownikowi, że go czekam z radością w sercu!

II.

Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła.

Adam Mickiewicz: — Sonety.

— Kochane moje dziecię, ulubiona Minno, córko najdroższa! — rzekł astrolog do dziewicy po wyjściu Waltera — już temu trzeci dzień upływa, jak książę Liechtenstein, znając moją obszerną naukę, przysłał mi kamień, którego nazwiska nie wiedział, i prosił, bym doszedł przez moje wiadomości, z jakich części się składa i jakie jego imię. Włożywszy go w miedziane naczynie, zacząłem ogrzewać, ale ogień mały nie pomógł, większy rozniecilem. — Ale kamień jeszcze się nie chciał rozkładać; wtenczas dobyłem ostatnich sił alchemii, nareszcie zwyciężyłem przyrodzenie. Podobnież, Minno, teraz nie chcesz ustąpić; gardzisz ręką Wallensteina, gardzisz jego ofiarą, ale kiedy lepiej go poznasz, zmiękczysz się. — Umie on także skrytemi miłości drogi ująć sobie serce i, równie jak ja z tym kamieniem, on coraz bardziej nalegając, prosząc, coraz bardziej odkrywając tobie swoje zalety, cnoty, bogactwa, zniewoli cię do ślubu. — A nakoniec pomyśl, Minno, że ta nadzieja jest całem mojem szczęściem!

Tu zamilkł alchimista i czekał odpowiedzi córki. Ale żadne słowo z jej wdzięcznych ust nie wyszło. Promień tylko lampy odbił się o łzę w jej czarnem oku.

— Nic nie mówisz? — znów ozwał się astrolog — nic

nie odpowiadasz? Nicże więc cię wzruszyć, nicże przekonać nie zdoła? A więc ostatniego już się chwycę sposobu. Słuchaj, córko, słuchaj! Gwiazdy, te narzędzia woli boskiej, te oznaki jej gniewu lub dobroci, rozkazują ci oddać rękę hrabiemu Wallenstein. Ty i on pod jedną gwiazdą urodziliście się. — Wasz los jest nierozdzielnym. Nie ojciec, nie względy ziemskie przeznaczyły cię jemu od urodzenia, ale same niebiosa, ale Bóg wszechmogący. —

To mówiąc, podał jej papier, na którym wyciągnął jej i Wallensteina horoskop. Wyobraził tam planetę, wspólnego obu, i wiele innych porobił znaków, mających przekonać dziewicę. Rzuciła mimowoli na papier smętne oko i położyła go po chwili na stole. Obraził się tem jej ojciec.

— Czy za nic nie masz — rzekł — mojej nauki? czy sądzisz, że słaba wola dziecka może zmienić niebios wyroki i naruszyć postanowienie boskie? Los nami rządzi i jemu podlegamy. Twoje łzy ani jęki go nie zmiękczą. Przynosi ci Wallenstein w darze sławne imię, mężną prawicę i chwałę, w bitwach nabytą. Gwiazdy zgadzają się na wasze za mężcie, a ty odmawiasz. Uważaj, córko, same gwiazdy...

— Tu jest najpierwsza gwiazda — przerwała Minna wskazując na serce.

— A więc to serce nie chce Wallensteina?

— Nie chce, nie cierpi, nienawidzi, znieść nie może. Nigdy jego żoną nie będę.

— Smucisz mnie swoim uporem, kochana córko! Powiedz przynajmniej, jakie masz do tego przyczyny?

— Drogi ojcze! — odpowiedziała Minna — życiebym dała dla ciebie. Ale za wielką jest ofiara pójść za Wallensteina. Znam tego człowieka, duma i zemsta panują w jego umyśle, a tymczasowa miłość prędko ustępuje tym dwom namiętnościom. — Nigdy z nim szczęśliwą nie będę.

— Będziesz, będziesz, Minno. Poznaj go lepiej! — Musisz być jego żoną!

Nie odpowiedziała już dziewica, ale jej oczy mówiły, że wolałaby umrzeć, niż połączyć się z Wallensteinem.

Wtem wszedł do pokoju mąż wysokiego wzrostu. Kapelusz, strusiemi ocieniony pióry, okrywał mu głowę. Na pół odwinięty płaszcz, srebrną klamrą spięty, odkrywał bogaty ubiór hiszpański. Szpada, na której rękojeści wyrabiane były ze złota herby rodziny Wallensteinów, strzegła jego boku. Twarz, potem oblana i żywym rumieńcem okryta, dowodziła, że się śpieszył ujrzeć cel swoich pragnień i miłości. Wysokie czoło, na którem rudawe unosiły się włosy, wielką duszę oznaczało. Oczy błyszczały świetnym ogniem, który się podwoił za ujrzeniem Minny. Wyraz wytrwałości w zamiarach i męstwa rozlany był po całej twarzy. Ale razem znać było na niej nienasyconą dumę. Gwałtowne namiętności, często rozrywające jego serce, wyryły swe piętno na bladych zwyczajnie licach i zatarły znaki młodości. Liczył bowiem wtenczas hrabia Wallenstein dopiero trzydzieści kilka lat.

Przybliżył się do stołu i zatrzymał odchodzącą Minnę, zdjął kapelusz i usiadł naprzeciwko astrologa. Oczy jego zwracały się ciągle na dziewicę, ale nikt nie przerwał przez długi czas milczenia. Nareszcie powstał alchimista i poważnym rzekł głosem:

— Błogosławię was i życzę jak najdłuższego szczęścia. — To mówiąc, rozciągnął nad nimi swoje ręce i wzniósł oczy do nieba, jakgdyby chciał wezwać jego łaski i opatrzności nad osobami tak drogiemi.

Uradowany Wallenstein porwał się z krzesła i wziął rękę Minny. Ale dziewica odwróciła łzawe oko i w rozpaczy mocnym wyrzekła głosem:

— Nie masz, nie będziesz miał nigdy mego serca. Przymuszą mię być twoją żoną, ale czyż miło ci będzie pędzić życie z niewiastą, która cię nie cierpi i nienawidzi?

Na to zapytanie stanął Wallenstein jak wryty i najgwałtowniejsze namiętności zawrzały w jego duszy. Smu-

tek i gniew, miłość i wściekłość napełniły jego serce. Nareszcie:

— Nieczuła Minno — rzekł — chcesz mojej śmierci, bo bez ciebie żyć nie mogę.

A po chwili silnym zawołał głosem:

— Mówisz, że mnie poznałaś. Nie, nie znasz, nie znasz jeszcze gniewu Wallensteina. Jedno moje skinienie może ciebie i twojego ojca w proch zmienić. A nie myśl, żeby to były próżne słowa! Zapytaj się Czech całych, a odpowiedzą, że zemsta Wallensteina wszystko pożera! Moja miłość dla ciebie jest bez granic, ale kiedy zemsta zajmie jej miejsce, niebo samo, sam Bóg nie wstrzyma mojej prawicy.

— Minno! każe ci ojciec usłuchać próśb Wallensteina — zawołał Alchimista — nie stawaj się naszej zaguby przyczyną.

— Minno! — krzyknął Wallenstein, zbliżył się do dziewicy i pałasz złożył przed jej stopami, — nie odmawiaj tej ofiary, przyjmij tę szablę, dopóki leży przed tobą, nie czekaj, aż podniesie się mściwa prawica! Oddaję się tobie. Ja hrabia Wallenstein, ja, któremu gwiazdy przepowiedziały zawód najświetniejszy, którego męstwo w tysiącznych już się wsławiło walkach, ja, przed którym kiedyś świat cały, wojska i kraje drżeć będą, przychodzę prosić cię i błagać, byś zwróciła łaskawe na mnie spojrzenie. A za to ci obiecuję szczęście i zaszczyty bez granic.

Tu stanął Wallenstein, rozjaśniło się jego czoło i porwawszy szablę, wyjął ją z pochwy, wzniósł do góry.

— Tak, zaszczyty! obiecuję ci królestwa i państwa, hołd ci złożą dumne pany. Ten miecz kiedyś zabłyśnie nad wszystkiemi Europy koronami, wzniesie się nad wszystkich trony mocarzów. Na jego widok cesarze zbledną i przed nim uniżać się będą! I możesz się jeszcze wahać, o Minno? Możesz jeszcze gardzić mojemi ofiary?

Takim sposobem przepowiadał Wallenstein przyszłe swoje losy wieszczym duchem. W największem uniesieniu

zdawało mu się, że już widzi świat cały klęczący przed sobą. Nie wątpił już, że Minna przystanie na jego żądania.

Okropnem było położenie dziewicy.

Z jednej strony widziała ojca proszącego, błagającego, z drugiej człowieka, którego namiętności żadnej tamy nie znały i w którego sercu szeroko panowała zemsta. Pewną była, że odmówienie ręki Wallensteina będzie wyrokiem śmierci i zguby, nie tylko dla niej, ale i dla ojca i dla wszystkich mieszkańców Egry.

Urodziła się Minna z pięknemi przymioty, z sercem czułem na męki innych, ale jej dusza nie miała tej mocy, której trzeba na poświęcenie się wiecznym cierpieniom i boleściom, żeby ratować i zapewnić szczęście drugich. Przekonała się z czynów i słów Wallensteina, że sercu jego prawdziwa miłość niedostępną była, że jedna w nim tylko władała duma i pycha, niczem niewstrzymana, żadną przeszkodą, żadnym niezrażona oporem. A pędzić życie z takim człowiekiem, zdawało się jej, że to jest zmienić złudzenie i błogie chwile młodości na męczarnie bezdennego piekła. Wtem nowy zamiar urodził się w jej myśli, zbliżyła się do rycerza i słabym odezwała się głosem:

— Wallensteinie, jeśli prawdziwie mnie kochasz, uczyń zadość mojej prośbie, poczekaj jeszcze tydzień, a po jego upłynieniu, przysięgam, że nigdy mojej ręki innemu, jak tobie, nie oddam.

— Nie, to być nie może — krzyknął alchimista.

— Minno — rzekł Wallenstein — zezwalam na twoje żądanie i, żeby dowieść ci mojej miłości i poświęcenia bez granic, jeszcze tydzień jeden w najsroższej niepewności dla mnie upłynie, ale potem żadna władza boska ani ludzka nie zdoła mnie wstrzymać.

Po tych słowach oddaliła się dziewica.

Astrolog przez chwilę stał niewzruszony, nareszcie wziął swój teleskop, porwał Wallensteina za rękę i śpiesznym

krokiem zaprowadził go na wysoką wieżę, z której zwykł był wpatrywać się w niebo i uważać bieg światów.

Ustała burza, księżyc wydobył się z za chmur, powoli ustępujących z nieba, jak pobite wojska, których męstwo jeszcze nie ostygło, zwolna z pola krwawych mordów się cofają.

Zachodnia część nieba błyszczała rozsypanemi gwiazdy. Całe miasto, u stóp wzgórka leżące, ukazało się Wallensteinowi w cichości i milczeniu nocy. Dachy świetniały odbitemi promieniami księżyca o wody, w srebrzystych kroplach z nich splywające.

Z przeciwnej strony wznosił się zamek Egierski na niebotycznej górze. Straże stały po jego wałach i gotyckich wieżach. Gdzieniegdzie błyszczały kopije w ręku mężnych wojowników i działa strzegące warowni.

Spokojnie usiadł astrolog i patrzył na niebo przez swój teleskop Z tyłu stał pułkownik z założonemi rękami, dumał, wpatrując się w gwiazdy, które uważał za najpewniejsze przewodniki w życiu człowieka. Zmieniała się powoli twarz Adalberta de Reichstal. Coraz żywiej iskrzyły mu się oczy i coraz mocniejszy rumieniec pokrywał jego lice. Wstał nareszcie, mocno ścisnął prawicę rycerza, drugą rękę wyciągnął ku gwiazdom, wzrok wlepił w błękity niebios i jakby uniesiony nadludzkim duchem, w takie ozwał się słowa:

— Po wielekroć ogłaszałem ci, Wallensteinie, przyszłe twoje losy, po wielekroć mówiłem, że twoja gwiazda jest najświetniejszą i najżywszym ze wszystkich pali się ogniem. Jeszcze raz powtarzam:

— Powtarzam, że pan świata przeznaczył cię do wysokich dzieł i zaszczytów. Twoje ramię pokona najsroższych wrogów, zrzuci z szczytu wielkości wielkich panów ziemskich, wielu innych wyniesie. Twoje imię głośne na późne wieki zagrzmi w przyszłości, jak trąba anioła, mającego kiedyś obudzić śmiertelnych ze snu śmierci.

— Szczęście skrzydłami cię okryje. Na twój rozkaz całe

Niemcy uklękną, a śmierć i rzeź, postrach i przerażenie ciebie otaczać, tobie splatać wieniec nieśmiertelności będą. Cały twój zawód stoi teraz przed moją myślą. Widzę, jak twoja gwiazda rzuca płomienie złote. Zalewa niemi pół nieba, wszystkie inne giną w tym potopie sławy i zwycięstw. Widzę koronę cesarską blizko twej głowy.

Tu wyraz smutku okrył twarz astrologa.

— Ale nigdy jej nie okryje. Już rękę wyciągniesz po nią, ale wymknie ci się z prawicy, a zabójcze żelazo twój zawód ukończy. Właśnie w tem miejscu spostrzegam bledniejącą gwiazdę przeznaczenia twego, krew zagasza jej świetny ogień. Bladość śmierci po niej się rozlewa. Skończyłem, Wallensteinie. Witam cię, bohaterze, witam cię, zadziwiający człowieku.

— Dzięki ci składam, mój ojcze — krzyknął z radością Wallenstein. — Nie dbam o ostatnie moje chwile, nie dbam o to, czy skonam w purpurze królewskiej lub pod ciosem wroga, dosyć mi na tem, że życie moje świetne, że mój zawód nadzwyczajnym będzie. Bylebym się wsławił, byleby moje imię dobiło się nieśmiertelności, zgadzam się na śmierć okropną i na koniec nieszczęśliwy. Za tydzień wrócę tu po twoją córkę. A potem rzucę się w wojny i zamęt świata i śmiałym zmierzać będę krokiem do korony lub śmierci. — Żegnam cię.

To mówiąc, opuścił astrologa, zszedł z wysokiej wieży i wrócił do swego mieszkania.

III.

Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?
Gdzie miłe burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja, gdzie są przyjaciele?
Wszystko przeszło, a czemuż nie przejdą łzy moje?

Mickiewicz: Sonety.

Żeby rozumieć wypadki naszej powieści, musimy się cofnąć o pięćdziesiąt lat i wystawić Adalberta de Reichstal, okrytego już teraz śnieżnym włosem, w kwiecie młodości i nadziei. Herald de Reichstal, jego ojciec, odumarł go w młodym jeszcze wieku, a przez ciąg życia rozproszył po młodych dworach Europy i świetnych turniejach majątek swych dziadów, wsławionych wieloma czynami. Aż do dwudziestego roku przebywał w Wiedniu Adalbert i wraz z matką starał się dawny majątek do pierwszej wrócić świetności. Wtem matka jego nagle umarła. Smutek ogarnął umysł przywiązanego syna. Porzucił swe włości, które wkrótce zajęli wierzyciele, a sam puścił się w podróż. Z początku nie cierpiał życia i wzywał śmierci. Nie uważał na otaczających go ludzi, a zbolałe serce nie biło ani dla miłości, ani dla przyjaźni. Powoli jednak zmniejszać się zaczął smutek, a coraz nowe okolice, coraz nowe ludzi namiętności zajęły jego umysł. Poznał jednak, że nie będzie mógł w świecie się odznaczyć, że nigdy sławy nie uzyska, jeźli nie posiędzie skarbów, nauk i wiadomości. Przybywszy do Florencyi, zapoznał się z signorem Riccioli, sławnym alchimistą. Oddał się zupełnie tej

nauce, która zapalała żywą jego wyobraźnię i zaostrzała ciekawość. Uczył się także astromonii, ale nie mógł przestać na stałych i niewzruszonych prawach nadanych przez Stwórcę; odwieczne prawdy bez związku z człowiekiem wydały mu się suchemi, a chcąc dojść do ważnych odkryć, do wyższego światła, cofnął się i wpadł w przesądy.

— Gwiazdy są wskazówkami mego życia, rzekł do siebie i zaczął uważać te ogromne sfery, te słońca, rozlewające światłość i promienie, te światy nieskończone za przewodników człowieka. Doszedł nawet w tej nauce do wielkiej biegłości, a kilka jego proroctw, trafem sprawdzonych, potwierdziło go w wierze w astrologię. Przebywając długo na ziemi, nad którą kiedyś ulatywały orły rzymskie, spotykając co krok ślady tych panów świata, co krok depcąc popioły wielkich mężów, nie mógł być nieczułym na te ostatki zgasłej wielkości, wielkości, panującej kiedyś światu i korzącej dumnych mocarzów. Każdy kawałek marmuru, każdy grobowiec, każdy napis zwracał jego uwagę; i zagłębił się w przeszłe i dalekie wieki. Nauczył się języka, którym niegdyś Homer opiewał ostatnie walki ludu, poświęconego na srogą niewolę. A takim sposobem został alchimistą, astrologiem i antykwaryuszem.

Po dwunastu latach opuścił Florencyą i wrócił do Niemiec. Zwiedził Czechy. Zakupił pagórek i dom, w którym go widzieliśmy, upodobawszy sobie położenie Egry. Wystawił wieżę, z której miał uważać nieskończoność. Ale długo nie mógł zostawać na jednym miejscu. Chciwy sławy i nauki, chciał jej szukać po rozległym świecie. Zamknął swój pałac. Przyłożył na jego bramach pieczęć z herbem Reichstalów. Opuścił Egrę. Dziesięć lat nie słyszano o nim; raz tylko jakiś podróżnik, przybywszy do Pragi, mówił, że go spotkał w pustyniach Arabii i że tam nawet poślubił sobie muzułmankę. Właśnie dziesiąty rok dochodził, jak porzucił Egrę, kiedy dnia jednego siedm koni stanęło przed warownią na wzgórku. Właśnie wiosna w całej swej piękności rozwi-

jała kielichy świetnych kwiatów i liście w zieleniejących się ogrodach, słońce, jak bohater po zwycięstwie, wzbijało się w górne niebiosa i wszystko zalewało potopem złotych promieni. Piękna pogoda rozweselała orszak, w którym mieścił się astrolog. Przy jego boku, na pięknym koniu arabskim ukazywała się młoda niewiasta. Jej twarz spalona od gorąca pustyni, jej oczy pełne ognia; zawój głowę jej okrywa, a bogaty ubiór wschodni jej ród oznacza. Na trzecim koniu niewolnik czarny trzymał szeroki kosz, w którym leżało uśpione dziecko. Czwarty rumak, niezmiernie mały, trzymał na sobie syna astrologa, którego wiek sześciu lat nie przechodził. Mała szabelka wisiała u boku, a kołczan i łuk spoczywał na dziecinnych barkach. Za temi osobami jechało dwóch zbrojnych muzułmanów na koniach, pakami i szkatułami obładowanych.

Astrolog zsiadł z konia, zerwał pieczęć, otworzył drzwi, wprowadził do domu muzułmankę z dziećmi. Paki i szkatuły w ukrytej sali zamknął.

Niewolnicy, odpocząwszy kilka godzin, dosiedli koni i jak strzała puścili się ku wschodniej stronie.

Wkrótce w tumanie kurzu zniknęli.

Mieszkańcy Egry nie wiedzieli, co myśleć o tem zdarzeniu; w kilka dni przybył arcybiskup pragski ze stolicy Czech i w kościele egierskim muzułmanka przyjęła chrzest święty wraz z dziećmi, z których jedno było Minną de Reichstal. Drugie otrzymało imię Alana. Spokojnie potem pędził dni szczęśliwie Adalbert de Reichstal z piękną Fatymą. Często mówił o swoich podróżach w Palestynie, Arabii, w pustyniach Azyi.

Często wspominał o swojej miłości ku pięknej małżonce, ale nigdy nikt się dowiedział, jakim ją poznał, jakim zaślubił sposobem. Codzień jednak słabło zdrowie Fatymy, codzień większa bladość rozlewała się po jej licach. Zwolna postępowała do grobu, podobnie jak kwiat przeniesiony z lubej ziemi w odległe strony więdnieje, schyla niegdyś świetną głowę i usycha. Patrzył na to nieszczęśliwy Adalbert. Gwiazd

się poradził. Wróżyły mu nieszczęście. Od tej chwili pewnym już był, że utraci ulubioną Fatymę i że ta perła wschodu niezadługo przestanie razić swym blaskiem.

Całe nocy przepędzał przy łożu ukochanej żony. — Krokodyle, rośliny, mumie, wydobyte z pak i rozwieszone po ścianach, nie zwróciły już jego wzroku. Oczy łzawe zatapiał ciągle w umierającej żonie, w tej pięknej córce dzikiej Arabii, której ani jego miłość, ani nauka zachować nie mogła. Zmieniała się stopniami piękna pora. Deszcze, wichry i śniegi przybycie zimy obwieszczały. Wkrótce pola i miasta śnieg zaległ białym całunem. Czarne chmury zasępiły niebo. A Fatyma, zwyczajna widzieć zawsze jasne słońce, widzieć rozkoszne łąki i doliny okolic Mekki, nie mogła znieść widoku obumarłej natury. Wspomnienie ojczyzny tak dalekiej łzy jej wycisnęło i w ostatniem westchnieniu słyszano słabo wymówione słowa: »Bóg jest jeden, a Mahomet jego prorok.«

Padł bez zmysłów Reichstal przy ciele Fatymy i długo nie mógł wrócić do spokojności. Wiele lat upłynęło, nim się trochę smutek w jego sercu zatarł. Tymczasem Alan de Reichstal wzrastał w siły i męstwo. Zrzucił kołczan i łuk, chwycił za szablę i puklerz. Już ciężka zbroja kryła jego piersi, a nikt lepiej nie kierował koniem, nikt lepiej nie siekł żelazem. Minna, podobna do matki, ulubioną żonę ojcu przypominała. Nie pamiętała tej, która jej dała życie, ale często mówił jej o Fatymie Adalbert de Reichstal.

— O, jakbym chciała widzieć i znać moją matkę — rzekła Minna.

— Chciałabyś? — odparł Reichstal — chodź więc — i silną ręką porwał ją Adalbert i zawiódł do podziemnej komnaty.

Lampa drżącym ją oświecała płomieniem. Na wysokim krześle siedziała niewiasta, czyli raczej ciało niewiasty. Fałdzista suknia je obwijała. Twarz blada, oczy zawarte żelazną ręką śmierci.

— Oto twoja matka, Minno — rzekł astrolog — oto Fa-

tyma, zachowana moją sztuką. Sądź po piękności umarłej, jaką musiała być za życia

Widok ten przezaził Minnę i odtąd czarna smętność opanowała jej duszę, wszystko jej ponurem się wydawało. Astrolog codzień odwiedzał ciało żony, ale w tajemnicy zachowała to jego córka; sam nawet Alan o tem nie wiedział. Kilka lat później wszedł do wojska i był już teraz kapitanem. W wielu walkach odznaczył się męstwem, a imię młodego Reichstala wszędzie głośnem było. Gwałtowny gniew często zapalał jego duszę, a wtenczas nicby go nie wstrzymało; ale zwyczajnie dobrego i usłużnego był serca. Najmniejsza jednak obraza w wściekłość go wprowadzała i niejeden już zginął z jego mściwej ręki w krwawych pojedynkach.

Astrolog przestał odwiedzać ciało Fatymy, nad którem ciągle paliła się srebrna lampa, podsycana najczystszą palestyńską oliwą. Zatopił się już sędziwy Adalbert w naukach. Otoczył się wszystkiemi księgami i narzędziami alchemii i w rozważaniu natury ulgę ciężkich znajdował boleści.

Wielu możnych panów go znało, a Wallenstein, chcąc pojąć jego córkę za żonę, nie zniżał się, bo ród Reichstalów świetniał zawsze blaskiem męstwa i sławy, ich potomek Adalbert szeroko słynął nauką, a nadewszystko młoda Minna anielskiej była piękności.

IV.

A wy dla znaku pierścień tylko nieście.
Nie trzeba więcej, skoro ujrzy godło,
Pozna, kto jestem . . . . . .

A. Mickiewicz: Grażyna.

Kapitan Alan de Reichstal wracał spokojnie na dzielnym koniu do wsi Leitmeritz, gdzie stał pułk, w którym służył. Zrana jeszcze wyjechał na łowy, a zmęczony, śpieszył do niedalekiego pomieszkania. Już noc oblekła niebo i księżyc bielił swemi promieniami ciężkie chmury zimowe. Naokoło ziemia śniegiem błyszczała, a gdzieniegdzie szronem ubielone drzewo wznosiło się wśród pola. Jechał Alan zatopiony w myślach. Przy siodle dwa zabite zające wisiały, a kordelas strzegł boku. Igrał wiatr z piórem czarnem, wznoszącem się nad czapką. Czasami powstawał wicher i tumanami śniegu oczy konia i jeźdźca zasypywał. Zimno wzrastało stopniami. Wtem chmury, złączywszy się, zakryły księżyc. Niedaleka wieś Leitmeritz znikła z oczu Alana, a śnieg gęsty padać zaczął. W tej samej chwili usłyszał za sobą tętent rozpędzonego konia; odwrócił głowę i rozeznał wśród ciemności jakąś czarną postawę, zbliżającą się do niego. Mimowolnie prawie dotknął się kapitan pistoletu i wyjął go z za pasa. W tych bowiem czasach nieszczęść i wojen, na każdego zwracało się podejrzenie, osobliwie jeszcze, kiedy noc i burza sprzyjały zamiarom zbrodniarzów.

Stanął po chwili przy Alanie człowiek wysokiego wzrostu, obwinięty futrem i silnym zawołał głosem:

— Kto jesteś? czy przyjaciel poczciwych ludzi, czy zbójca lub protestant?

— Jestem wojskowym — odparł Alan — i chciałbym wiedzieć, czego się tak błąkasz po nocy?

— Czy daleko do wsi Leitmeritz?

— Nie mogę o tem sądzić, bo znikła mi z oczu, ale zdaje mi się, że niema więcej, jak ćwierć mili.

— Czy tam stoisz, mości panie wojskowy?

— A tobie cóż do tego? twoje pytania już mnie nudzą. Jedź naprzód lub obierz sobie inną drogę

— Moją drogą jest droga wiodąca do Leitmeritz, ale przebacz mi, jeszcze jedno zapytanie: Czy nie wiesz, w jakiej stronie wsi stoi kapitan Alan de Reichstal?

— Kapitan Alan de Reichstal? — powtórzył zdziwiony młodzieniec. — A z jakiemiż do niego jedziesz zamiarami?

— O tem ani słówka więcej, mości wojskowy. Ale oddaj mi, proszę, usługę, którą każdy uczciwy człowiek bliźniemu wyświadcza, to jest: wskaż mi drogę do wsi i powiedz, gdzie w niej mieszka kapitan Alan de Reichstal.

Nie mógł już wytrzymać niecierpliwy Alan i krzyknął:

— Ja nim jestem! — a porwawszy za cugle konia towarzysza, zatrzymał go i pytał się, czego po nim żąda?

— Trzeba mnie jeszcze o tem przekonać — odparł spokojnie nieznajomy, nie mam zwyczaju we wszystko i wszystkim na ślepo wierzyć.

— Do tysiąca piorunów, uparty człowiecze, mówię ci, że jestem Alanem de Reichstal, kapitanem pułku Lichtensteina, synem Adalberta de Reichstal, mieszkającego w Egrze? Cóż chcesz więcej?

— Zaczynam już wierzyć, ale to jeszcze nie dosyć. Proszę mi powiedzieć, jaki jest herb Reichstalów?

— To już zanadto, żeby mnie nie wierzyć, że ja jestem sobą samym! — zawołał rozgniewany młodzieniec.

— Patrzże niewierny, patrz! i to mówiąc, wyciągnął lewą rękę, na palcu której miał bogaty pierścień z swoim herbem, prawą odwiódł kurek u pistoletu, a przyłożywszy go blizko twarzy nieznajomego, wystrzelił. Przy chwilowej światłości, sprawionej przez ogień wybuchający, poznał nieznajomy trzy topory, godło rodziny Reichstalów i wyczytał imię Alana na pierścieniu.

— Poznaję cię teraz, i twarz, już dawno niewidzianą, i herb twych mężnych przodków. Witam cię, kapitanie, ale śpieszmy się, nie mamy ani chwili do stracenia, lećmy do Leitmeritz, żebyś tylko prędzej mógł przeczytać list od siostry.

— Od Minny? — zawołał Reichstal — mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

— W wielkiem jest niebezpieczeństwie i zaraz mam odjechać z odpowiedzią twoją, ale śpieszmy się do wsi!

— Nie trzeba wsi na przeczytanie jej listu — krzyknął Alan. Zeskoczył z konia, wyjął z worka wiszącego przy siodle trochę suchego siana, otoczył niewielką stojącą przy drodze sosnę, a dobywszy drugiego pistoletu, w nią wystrzelił. Przybitka rozogniona padła na siano, które się zajęło jasnem płomieniem. Z początku wilgoć i śnieg odpierały moc ognia, ale jednak wkrótce zapalił się pień przepełniony żywicą i oświecił szeroko pole naokoło siebie. Wyrwał Alan list siostry z rąk towarzysza, zdarł pieczęć i czytać zaczął. Wzywała dziewica jego pomocy. Zaklinała, żeby przybył ją uratować i wyrwać z rąk Wallensteina. Ale poznał z daty listu i z opowiadania siostry, że właśnie dzisiejszego dnia minął nieszczęsny tydzień. Odwrócił się do towarzysza i rzucił się na niego.

— Niegodziwy! już za późno! — zawołał — czemuż prędzej mi nie doniosłeś tych nieszczęśliwych nowin? W jednym dniu mógłeś tu przyjechać, a cały tydzień upłynął od czasu, jak cię moja siostra wyprawiła.

— Nie sądź tak porywczo, mości kapitanie. Wszystkich

bram Egry strzegą żołnierze Wallensteina i przetrząsają wszystkich przejeżdżających. Kilka dni zeszło, nim znalazłem sposobność przejścia tajemnie przez austryackie straże. A zresztą zdaje mi się, żem i tak dosyć się dla was poświęcił.

— Przepraszam cię — odpowiedział Alan, skoczył mu do szyi — dziękuję ci tysiąc razy za to, coś zrobił dla niej. Ale może już ją przymusili? Ni mogę tracić czasu.

To mówiąc, oderwał kawał papieru czystego z listu siostry, napisał na nim kilka słów ołówkiem i oddał towarzyszowi.

— Weź mego konia — rzekł rozkazującym głosem. — Twój nie tak zmęczony, mnie służyć będzie. Ale się obrócisz na lewo, pojedziesz do Leitmeritz i oddasz tam pismo pułkownikowi Lichtenstein. Ja zaś polecę do Egry wyrwać siostrę z rąk niegodziwych. A teraz żegnam cię i dziękuję raz jeszcze. Dokończając tych słów, rzucił mu sakiewkę napełnioną złotem. Wzdrygnął się ją przyjąć nieznajomy.

— Ubogi jestem — rzekł — ale Robert Dojuz nie potrzebuje nagrody za czyn cnotliwy. Nieraz twój ojciec już świadczył...

— Weź Robercie, weź — krzyknął Alan — bo inaczej rzucę te pieniądze w rów ten głęboki. — To mówiąc, nabił pistolety, skoczył na dzielnego rumaka i w jednej chwili zniknął z oczu Dojuza.

V.

Ach! i to jest widok srogi,
Kiedy piękność w życia kwiecie,
Ledwie wschodząca na świecie,
Żegnać się musi z lubym jeszcze światem.

A. Mickiewicz.

22 listopada 1620 roku skończył się tydzień, po którego upływie miała córka Adalberta de Reichstal oddać rękę hrabiemu Wallenstein. Nazajutrz wieczorem mieszkańcy Egry zdziwili się niespodziewanym widokiem.

Pułkownik Wallenstein na czele 40 dobranych ze swego pułku żołnierzy jechał przez miasto. Czapka z wybijającemi się ku niebu pióry okrywała mu głowę. Płaszcz podbity sobolowem futrem ulatywał naokoło. Szabla błyszcząca drogiemi kamieńmi wisiała u złotolitego pasa. Złote ostrogi strzegły nóg, opierających się na srebrnych strzemionach. A na szyi obwijał się złoty łańcuch, utrzymujący medal cesarza Niemiec.

Koń biały w przepysznych, lśniących się szafirami i szmaragdami rzędach, zwolna postępował, dzielną kierowany prawicą. Za nim żołnierze na pięknych rumakach jaśnieli świetnemi ze stali kirysy. Z ich środka wznosiła się chorągiew rozwita i puszczona na igrzysko wiatrom.

Dwóch zaś jeźdźców w srebrnych hełmach, w srebrnych pancerzach jechało obok pułkownika. Jeden z nich na miedzianej tarczy utrzymywał koronę świetną połyskującymi

dyamenty i wieniec z róż kolorowych uwity, drugi zaś na aksamitnej poduszce miał drogie zausznice, perłowe naszyjniki i inne ozdoby. Z takiemi więc dary jechał Wallenstein po piękną oblubienicę. Za tym orszakiem ukazał się sędzia Egry w długiej, czarnej sukni. Czworograniasta czapka kryła sędziwą głowę. W prawej ręce trzymał laskę z jabłkiem złotem, a w lewej pergamin, zawierający układy przedślubne, na którym z jednej strony była pieczęć Wallensteinów, a z drugiej Reichstalów.

Wszyscy zatrzymali się na wzgórku przed domem astrologa. Żołnierze uszykowali się w półkole. Skoczył na ziemię niecierpliwy ich dowódca. Porwał za rękę sędziego i wszedł w podwoje Adalberta. Za nim szli dwaj towarzysze, niosący dary dla Minny. Sędziwy Reichstal przyjął ich w tym dniu uroczystym z powagą, przyjął z twarzą przypominającą więcej świetność i sławę swego rodu, niż alchemię, gwiazdy i starożytności greckie lub rzymskie. Ale w wielkiej sali nie było jeszcze Minny.

Opuścił więc Adalbert gości i przyśpieszonym krokiem udał się do komnaty córki.

Miał czas Wallenstein przypatrzyć się odmianom, zaszłym w szerokiej komnacie. Nie widać było już na jej murach ani kościotrupów, ani naczyń alchemii. Ale wszędzie herby i zbroje Reichstalów świetniały. Tu rogi jelenie dźwigały tarczę i szyszaki, tu znowu na niedźwiedzich skórach błyszczały groty i miecze. Serce mocno biło pułkownikowi. Stary sędzia spokojnie zasiadł w szerokiem krześle, rozłożył pergamin na stole, przysunął pióra i kałamarz. Wtem wrócił astrolog z córką. Ale niktby nie pomyślał, że się ona gotuje do ślubu. Nie wesele, nie słodkie uczucia radości, nie miłości uniesienia, ale smutek, ale śmiertelna rozpacz malowały się na jej twarzy, odbijały się w ogniu ponurym jej czerwonych oczu.

Wiódł ją ojciec za rękę, jak za dawnych wieków kapłan prowadził do ołtarza ofiarę, przeznaczoną bogom. Stanęła

naprzeciwko Wallensteina. Nie miała na skroniach ślubnego wianka. Rozpuszczone włosy wiły się bez porządku naokoło śnieżnej szyi. Jedna tylko suknia biała bez żadnych ozdób, mogłaby być znakiem godowej uroczystości, gdyby w pół ją nie obejmowała czarna przepaska. Długo wlepiał w nią oczy Wallenstein i nie mógł w tej dziewicy wybladłej poznać pięknej, boskich niegdyś wdzięków Minny. Nareszcie zbliżył się, ukląkł i ofiarował przepyszne dary. Pomieszanym okiem rzuciła na nie córka Adalberta, ale nie wyciągnęła ręki, nie schyliła głowy na znak podziękowania. Podobną była do pięknego posągu z marmuru, tylko, że na martwym kamieniu rozpacz się nie maluje. A rozpacz władała jej sercem, władała już nie zdrowym rozumem. Znikały powoli wszystkie jej nadzieje. W każdym świście wiatru słyszała z początku głos Alana, w każdej osobie upatrywała brata, ale brat nie przybywał i sto razy na dzień omylona, już nie śmiała spodziewać się pomocy. Postanowiła jednak w głębi serca, że nie będzie żoną Wallensteina i dochodziła już godzina, w której miała śmierć obrać lub rękę znienawidzonego męża. Widząc jej oziębłość, Wallenstein sam rozłożył swe bogate dary na stole, a ojciec zaprowadził ją do blizkiego krzesła.

Powstał wtenczas sędzia i oświadczył, że nie godzi się przypuszczać niewiasty do ślubu. Ale w tej chwili silna ręka Wallensteina ścisnęła go za ramię i w oddalony kąt pokoju zawiodła. Pośpieszył za nim Adalbert.

— Obieraj! — pocichu lecz mocno rzekł Wallenstein, a prawicą uderzył w pałasz, lewą zaś ręką podawał ciężki worek. Niedługo wahał się sędzia, a wkrótce ręka pułkownika nie spoczywała już na rękojeści miecza, ale też i w drugiej nie było złota. W tej chwili wszyscy odwrócili się od dziewicy. Leżał na stole przed jej oczyma nieszczęśliwy pargamin. Na ten widok jej rozpacz nie znała już granic, a na nieszczęście postrzegła na kominie zapomnianą flaszkę przy wynoszeniu alchemicznych narzędzi. Porwała

ją dziewica. Na długim papierze, przy niej wiszącym, były słowa: »Trucizna«. Ledwo je przeczytała, już do ust przytknęła śmiertelny napój. Potem spojrzała w stronę komnaty, w której naradzał się jej ojciec z sędzią i Wallensteinem; dziki uśmiech wydał jej myśl okropną: »Już nie jestem w waszej mocy«. Po chwili Adalbert wrócił do stołu. Zasiedli przy nim sędzia i pułkownik. Porwał Reichstal zimną rękę Minny i połączył ją z ręką Wallensteina.

— Błogosławię was — rzekł — błogosławię, moje dzieci. Doczekajcie późnych lat...!

— Nie doczekamy ich oboje — przerwała mu dziewica i znów do dawnego wróciła milczenia.

Nie wiedział, co począć, astrolog, kiedy Wallenstein porwał za pióro i podpisał się na pargaminie. Poszli za jego przykładem Adalbert i sędzia. Teraz kolej przychodziła na nieszczęsną Minnę, która już zaczynała cierpieć bóle, śmierć poprzedzające. Z obłąkanemi oczyma wzięła pióro, ale zapomniała go umaczać. Astrolog odebrał pióro, zanurzył w kałamarz i oddał córce. Ale Minna nie miała dosyć mocy do podpisania się. Ojciec więc wziął jej rękę i nią kierował. Nareszcie nieczytelne dziewicy imię zaczerniało na pargaminie. Właśnie kończyła ostatnią literę, kiedy usłyszano tętent prędko biegnącego konia, a wkrótce potem kroki w sieni i głos silny.

— To on! — krzyknęła Minna i pióro wypadło jej z ręki.

Drzwi się otworzyły i wszedł kapitan Alan de Reichstal. Pióra połamane na czapce, cały ubiór w nieładzie, buty okryte śniegiem, pot cieknący z twarzy dowodziły prędko odbytą podróż. Jego ukazanie się wszystkich zadziwiło. Astrolog nie mógł pojąć, dlaczego syn przybywa na ślub siostry, kiedy o tem nawet go nie uwiadamiał, bojąc się, by wzruszony łzami Minny nie wyzwał Wallensteina na śmiertelną walkę. Pułkownik nie znał Alana i z gniewem w sercu porwał się z siedzenia i pobiegł ku niemu.

— Kto jesteś? — silnym zawołał głosem. — Jak śmiesz tu stawać przed hrabią Wallenstein?

— Jestem jej bratem — krzyknął wściekle Alan — i twoim wrogiem śmiertelnym!

— Ty moim wrogiem? — odparł z uśmiechem wzgardy Wallenstein — jej bratem, szaleńcze? Odejdź, bo cię każę pojmać!

— Nikogo się na świecie nie boję. Jestem bratem tej dziewicy. Kiedy wszyscy ją opuścili, mój pałasz zabłyśnie na jej obronę. Chcesz ją gwałtem poślubić?

— Któż ci o tem, najpodlejszy z ludzi, któż ci o tem doniósł?

Nie mógł już takiej zniewagi wytrzymać Alan, dobył szabli i piorunnym zawołał głosem:

— Gdyby nie ten list, jej oczy, jej twarz byłyby mi to powiedziały. Broń się, Wallensteinie!

Krzyknęła przeraźliwie Minna, a na ten krzyk upadła żelazem zbrojna ręka Alana. Podniosła się wtenczas z trudnością dziewica i tak do otaczających przemówiła:

— Wstrzymaj się, Alanie, bo przybyłeś zapóźno! — Wstrzymaj się, Wallensteinie, bo już spełzły twoje nadzieje! — A teraz, mój ojcze, dowiedz się, że ja napisałam list do brata, że ja mu doniosłam o mojem nieszczęściu! Ale spóźnił się Alan, a ja już uczyniłam wybór między śmiercią a tobą, Wallensteinie. Przysięgłam, że nikt oprócz ciebie mojej ręki nie otrzyma. Święcie dochowałam danej wiary. Wypiłam truciznę. — To mówiąc, wskazała ręką na komin i upadła na krzesło. — Żegnam was — dokończyła głosem przerywanym częstemi jęki — żegnam was. Ojcze, daruj winę! Mój bracie, zachowaj Minnę w twojem sercu, kiedy już jej przy tobie nie będzie! Módlcie się za mnie!

Alan przez chwilę wahał się, czy utopić żelazo w piersi Wallensteina, który stał głęboko zamyślony, czy pobiedz do siostry.

— Później zdasz mi z tego rachunek — rzekł nakoniec

do pułkownika. — A teraz wychodź stąd! Nie zatruwaj jej chwil ostatnich twoją przytomnością!

— Nie, zostanę, żadna siła nie zdoła mnie wyprzeć.

— Zostań więc, do szatana! — krzyknął Alan, i rzuciwszy dobytą szablę, pobiegł do siostry, którą ściskał stary Adalbert. Tonąc we łzach, żegnali się oba z ulubioną Minną. — Ale nareszcie kapitan porwał ojca za rękę.

— Ojcze, czy nie posiada twoja nauka sposobów uratowania jej?

— Nie, synu. Trucizna, rozdzierająca jej wnętrzności, nie da się niczem uśmierzyć. Utraciłem w młodym wieku matkę, w późniejszych latach patrzyłem na śmierć Fatymy, a teraz ginie moja nadzieja, moja Minna. Takie moje przeznaczenie! Takie skutki nieszczęśliwej gwiazdy!

Ale umysł Adalberta de Reichstal nie miał już dosyć siły do zniesienia tych nieszczęść. Upadł bez zmysłów na ziemię, a Alan kazał go zanieść do jego komnaty. Sam zaś z Wallensteinem został się przy siostrze. Za kilka chwil już miała Minna ten świat porzucić. Już niedobrze słyszała słowa brata, już niedobrze rozpoznawała rysy Wallensteina, stojącego przed nią. Zatapiał on wzrok w umierającej oblubienicy, śledził na twarzy każdą oznakę boleści, uważał najlekse jej poruszenia, ale żadna łza nie zaświetniała w jego oczach, żadne pomięszanie nie wydało się na jego licach. Boleść rozrywała duszę, ale panem był Wallenstein swoich namiętności i, kiedy chciał je ukryć, darmo szarpały jego serce, daremnie w piersiach się ścierały; nigdy westchnienie, nigdy ogień oczu, nigdy bladość twarzy go nie zdradziła. Alan drżące siostry ręce trzymał w swoich ręku. W okropnej rozpaczy prosił ją, aby nie opuszczała tej ziemi, jakgdyby mógł człowiek śmiertelny swoją wolą oprzeć się wszystko niszczącej śmierci. Wallenstein zbliżył się do Minny.

Alan chciał go odepchnąć.

— Dozwól mu widzieć ofiarę — rzekła dziewica — już

się teraz go nie boję! Prawdaż, nie będę jego żoną? zostanę przy ojcu; nie opuszczaj mnie, Alanie.

To mówiąc, powstała; zdawała się walczyć ze zgonem i, konając, nie przestała mówić o szczęściu. Zbłąkane zmysły stawiały jej w najpiękniejszych farbach umajone kwiatami łąki, pola rozkoszne, pogodę bez końca, słońce, rozlewające czyste promienie, ale nagle zmieniła wyraz łagodności, który dotychczas boleści nie mogły zatrzeć w jej oczach, na wyraz gniewu i szaleństwa; wyciągnęła rękę do Wallensteina, ścisnęła jego prawicę.

— Nieprawdaż? — rzekła do brata — pomścisz się na Wallensteinie mojej śmierci? Nieprawdaż? utopisz mściwe w jego łonie żelazo? Pamiętaj, że on mnie zabił, że wlał truciznę w moje serce!

Na te słowa zmieszał się pułkownik, ale nie oderwał prawicy i, nawzajem ściskając rękę dziewicy, jakby go mogła rozumieć:

— Nie ja — odpowiedział — sprawiłem twe nieszczęście, bo świadczę się niebem, że twoje tylko szczęście miałem na myśli.

— Nie usprawiedliwiaj się — zawołał Alan — przed Minną, kiedy już jej grób się otwiera; zostaw mnie przy siostrze!

Wtem krzyknęła najsroższych cierpień głosem córka astrologa; nagły rumieniec zastąpił śmiertelną bladość, oczy zaświetniały strasznym ogniem, ale ten ogień, do błyskawicy podobny, znikł w tej samej chwili. Jeszcze chciała wyrzec pożegnanie Minna, jeszcze jej usta się otwierały, jeszcze oczy zwracała ku bratu, ale śmierć nie dozwoliła jej ostatni raz ścisnąć ręki Alana; schyliła głowę, zamknęła powieki i padła bez życia. W tej samej chwili wszedł do sali stary Adalbert de Reichstal. Smutek najgłębszy wyrył swe piętno na jego licach; zbliżył się do ciała córki, przy której stał Alan, położył rękę na zimnej twarzy ulubionej Minny:

— To jest Minna de Reichstal — rzekł poważnym głosem — ja jestem jej ojcem i nikt prócz mnie nie ma do niej prawa. Jej ciało po śmierci do mnie należy. Wallensteinie, oddal się stąd! Idź na wojny i walki dokonywać świetnego przeznaczenia i zostaw tyle już razy nieszczęśliwego starca! Nie mam ku tobie żadnej nienawiści. Sam jestem przyczyną... Błogosławię ciebie, idź...!

— Błogosławię! — ciszej powtórzył Alan i napół dobył pałasza.

— Synu, schowaj oręż! Zostaw nas, to jest zostaw mnie z córką, a jutro rano czekam ciebie w mojej komnacie!

Na te słowa ustąpił Alan, ustąpił Wallenstein. Spojrzenia ich się spotkały, a te spojrzenia wróżyły nieszczęście. Na czele żołnierzy wrócił pułkownik; kilkoma godzinami wprzódy jechał do ślubu, teraz wracał ze spuszczoną głową, ze smutkiem w sercu, wracał od grobu oblubienicy.

VI.

Gomez:

Wielbię cię, żeś odważny, żałuję, żeś młody,

Rodryg:

Który to raz, nie pytaj i wychodź! a w tej dobie,
Jak ta ręka zaczyna, doświadczysz na sobie.

Cyd. — przekł. L. Osińskiego.

Sen nie nawiedził powiek Alana; smutek go dręczył, a czarne widma otaczały jego łoże. Zemsty piekieł i niebios wzywał nad Wallensteinem, nad mordercą ukochanej Minny. Raz zrywał się z łoża i, chwytając za miecz, w okropnych wyrazach groził pułkownikowi, drugi raz upadał na ziemię i bez czucia zostawał, a kiedy mocno bijące serce i krew wzburzona znowu go do życia wracały, tonąc w łzach tysiąc razy powtarzał imię siostry.

Mówią nawet, że w tej pamiętnej nocy ukazał mu się szatan w całej potędze. Płomienie wieńczyły skronie dumnego anioła. Twarz była anielską, ale w oczach odbijało się całe piekło, w oczach, które wyrażają ludzkie namiętności, znać było pychę, piorunami Pana niebios nie startą i pragnienie złego. Stanął więc szatan przed oczyma Alana. Kapitan nie przeraził się jego widokiem, bo dla zbolałego serca niema bojaźni na świecie. Ofiarował mu pan nieszczęścia wykonanie zamiarów, obiecał nieszczęśliwy zgon wroga.

Przystał wtenczas syn Adalberta na oddanie duszy w ręce jego i na własną śmierć, mającą zaraz nastąpić po śmierci

Wallensteina. Ledwo ukończył przysięgę, ścisnął go za rękę anioł ciemności. — »Moim jesteś już teraz« — rzekł grobowym głosem, rozśmiał się szyderskim śmiechem i zniknął.

— Zginie nieprzyjaciel! — zawołał Alan.

Choć trudno wierzyć tej pogłosce, pewną jednak jest rzeczą, że Alan de Reichstal nigdy już od tego czasu radości nie doznał. Nigdy miły uśmiech nie osiadł mu na ustach, nigdy łza wesela nie odwilżyła powiek. Ponury, niedostępny, poświęcony na wieczną zgubę, pogardzał ludźmi; nie znalazł na tej ziemi serca, coby go mogło zrozumieć. Nigdy nie ścisnął prawicy przyjaciela, nigdy słodkie uczucia nie przerwały boleści, serce mu rozdzierających. Z nieszczęść w nieszczęścia, z błędów w błędy wpadając, pewnym krokiem zbliżał się do przepaści. A kiedy stanął u jej brzegu, nie wahał się ani chwili w nią rzucić.

Nazajutrz przypomniał sobie ojca rozkazy. Wychodząc z pokoju porwał za miecz i ścisnął go z uniesieniem, jakgdyby w nim tylko jedynego widział przyjaciela, jedyną upatrywał nadzieję. Przeszedł przez salę, w której skonała Minna. Zaćmiło mu się w oczach i mało nie zemdlał. Przebiegł długi korytarz i pchnął drzwi pokoju Adalberta. Otworzyły się podwoje, upadł Alan na progu, okropnym rażony widokiem. Ojciec stał przy ciele córki. Czarna suknia ją okrywała, a płaszcz ciemny, spięty sprzączką, wystawiającą trupią głowę, aż do jej stóp spadał. Korona, z srebrnych liści uwita, wieńczyła martwe czoło, na którem znać było piętno śmierci gwałtownej. Ogromne dyamentowe kolczyki zdobiły jej uszy, a naszyjnik z drogich kamieni skamieniałą szyję obwijał. Ręce miała złożone, a w nich spoczywał krzyż z kości słoniowej. Łzawe oko zwrócił Adalbert na syna i pośpieszył go podnieść. — Z trudnością powstał kapitan, ścisnął ojca prawicę i rzucił się w jego objęcia.

Po chwili poważnie rzekł astrolog:

— Synu! tyś ostatni z rodziny Reichstalów, zatrzymuję cię tylko na chwilę. Potem wrócisz, gdzie cię powinność

i sława wzywają. Wprzódy mam ci odkryć tajemnicę. W podziemnych tego domu sklepieniach jest miejsce, przeznaczone na grób naszej rodziny. W nim spoczywa Fatyma, moja żona i matka twoja, nie podlegając zepsuciu czasu; równie ocaliłem zwłoki mojej córki. Przetrwają one wieki, podobne do mumii starożytnego Egiptu.

Kończąc te słowa, uderzył astrolog nogą w podłogę. Drzewo się na kilka stóp rozstąpiło, ukazały się kręte z kamienia schody. Objął w silne ręce ciało siostry Alan de Reichstal i, przyciskając go do piersi, szedł za ojcem, dobrze znajomym drogi, kręcącej się wśród różnych kolumn i galeryi. Dosyć długo zstępowali na dół. Zewsząd ciemności nacierały na mały kaganiec, trzymany przez Adalberta, jakgdyby nienawidząc światło, chciały wroga zakryć swemi cieniami! Nareście otworzył astrolog drzwi żelazne i wszedł z synem do szerokiego lochu. Srebrna lampa posępne po nim rozsyłała promienie. Siedziała Fatyma na wyniosłem krześle. Przy niej przygotowane było niższe siedzenie, obite w czarny aksamit, nad którem wznosiła się tarcza z herbem Reichstalów. Tu Alan złożył ciało młodej Minny. Klął astronom przed Fatymą i, biorąc jej rękę, tak przemówił:

— Przyprowadzam ci towarzyszkę, Fatymo, mój upór sprowadził ją do ciebie. Ja ją do grobu wtrąciłem. Spoczywaicie tu spokojnie! O wielki Boże, zwróć twój gniew na mnie, ale nie odwracaj oblicza od Wallensteina!

Tak się dręczył smutny starzec. Alan nie mógł ścierpieć, żeby się ojciec oskarżał i wzywał jeszcze łaski niebios na Wallensteina, krzyknął więc:

— Zaczekaj, ojcze, pozwól synowi pomodlić się u grobu matki i pożegnać się z siostrą!

To mówiąc, ukląkł, dobył błyszczącego miecza.

— Przysięgam — rzekł — na wielkiego Boga, na Boga mych naddziadów i na to krwi pragnące żelazo, że całe moje życie, że wszystkie chwile poświęcę zemście nad Wallensteinem. Ścigać go będę, krok w krok za nim postępować

i nie ustanę, nim występnej duszy mu nie wydrę. Serce jego skrwawione tu przyniosę w ofierze, tu złożę przed twojemi stopy, ulubiona Minno, a jeśli mi się powiedzie, dziś go jeszcze zamorduję. Oby twoja śmierć, oby zbrodnie Wallensteina na mnie spadły, oby moję głowę przeklął ojciec, obym nigdy usnąć nie mógł, jeśli danego tu słowa nie dotrzymam, jeśli wszędzie zbrodniarza ścigać nie będę. Śmierć jedna wstrzyma moje ramię, a oprócz niej żadna siła ludzka zemsty zabronić mi nie zdoła. Miałem piękny zawód przed sobą. Ale ja go teraz zamieniam na zawód krwi i rzezi, pomsty i śmierci, a świadczę się Tobą, o Boże, świadczę się tobą, o matko i siostro, że to czynię z mojej woli, nie z czyjego natchnienia lub rozkazu. Więc niech kara moich czynów mnie tylko dosięże, na mnie tylko się zwali. Niech mnie piekło pochłonie, niech mnie piorun zdruzgoce, bylebym dokonał zemsty, bylebym zabił Wallensteina.

Skończył młodzieniec, wzniósł dobyte żelazo.

— Wstrzymaj się synu — zawołał Adalbert — wstrzymaj się! — Ale już tych słów nie słyszał kapitan, już szybkim krokiem wyleciał z ciemnego grobu i zmierzał do mieszkania Wallensteina. Z mieczem błyszczącym, z gniewem i wściekłością w sercu i na twarzy leciał wyzywać wroga.

Pułkownik Wallenstein siedział zamyślony przy szerokim stole, na którym leżał jego pałasz i pistolety. Przed nim był papier, na którym czytał przed chwilą rozkaz wyruszenia tego samego dnia jeszcze z Egry. Smutek duszę jego przejmował i wrażenia dnia wczorajszego zajmowały serce. Wtem silna ręka porwała go za ramię. Obrócił się i poznał Alana. Natychmiast ściągnął rękę do szabli, ale zaraz rzucił broń porwaną i pytał się kapitana o zdrowie ojca.

— Nie pytaj się o zdrowie człowieka, którego poznałeś na nieszczęście mojej siostry — krzyknął Alan — a mam nadzieję i na twoje nieszczęście! Nie odrzucaj tej broni! Owszem weź ją i chodź za mną!

— Kapitanie — odparł, wstając, Wallenstein — dosyć już nieszczęścia z mojej przyczyny spadło na twoją rodzinę. Nie chciej, bym ręce zmaczał w krwi ostatniego jej potomka. Opuść mnie raczej i nigdy nie potykajmy się na drodze życia, lub kiedy się spotkamy, wskaż swoją, a ja przeciwną obiorę!

— Do stu piorunów, wychodź, zbrodniarzu, wyzywam cię na pojedynek! Nie trać czasu na słowach, bierz pałasz i pistolety!

— Mości kapitanie! — krzyknął z iskrzącemi się od gniewu oczyma Wallenstein — mówię ci raz jeszcze, byś mnie zostawił i nie przymuszał do zadania ci śmierci, boś zapewne musiał słyszeć, że tej ręki nikt jeszcze nie mógł zwalczyć.

— Chwal się teraz, chwal się, podły występco, z twojej odwagi! Umiesz zatruwać życie kobiety, umiesz ją do grobu wtrącać, a nie masz dosyć męstwa, byś z jej mścicielem walczył. Ostatni raz ci mówię: wychodź, bo wyzywam cię na śmiertelną walkę!

— To już zanadto! Gotów już jestem, gotów. Idźmy się zabijać. Ale świadczę się niebem, że nie ja do tego powodu dałem, żeś mnie przymusił, niech więc twoja krew nie na moją głowę spływa! Zresztą, rzekł, bądź pewny, że darmo się silisz, bo nie mogę teraz i z twojej ręki zginąć!

Uśmiech, oznaczający wzgardę, zabłysnął na twarzy Wallensteina. Dokończając tych słów, wskazał na niebo.

— Tu — rzekł — jest moja gwiazda i nie przyszła jeszcze chwila, w której ma zblednąć. Ale idźmy, mości kapitanie.

Nie czekał długo Alan i wyskoczył z pokoju. Szedł za nim Wallenstein na śmiertelną walkę.

Ledwo minęli ostatni dom Egry, stanął pod kilkoma drzewami syn Adalberta de Reichstal.

— Nie mamy poco iść dalej — krzyknął do Wallensteina — i tu możemy śmierć znaleźć.

Stanął Wallenstein i oba szabel dobyli.

Spotkały się ich pałasze, jak dwa błyszczące pioruny.

Jeden i drugi nastaje i siecze. Jeden i drugi napada, broni się, naciera i cofa.

Wallenstein z zimną rozwagą odbijał żelazo wroga. Alan wściekle nacierał, ale zawsze jego pałasz spotykał pałasz przeciwnika, a za każdem uderzeniem tysiączne iskry się sypały. Wiedli dosyć długo walkę i Wallenstein poznał moc prawicy Reichstala. Alan nie mógł znaleźć mieczem drogi do serca wroga, rzucił więc broń nieużyteczną.

— Dosyć już tego, mości pułkowniku — zawołał — tą bronią za długo śmiercibyśmy szukali! Lepiej kulom powierzmy nasze życie!

— Dobrze — odpowiedział Wallenstein i dobył pistoletu.

Alan pierwszy wystrzelił, kula przeszyła kapelusz pułkownika i zrzuciła go na ziemię. Wallenstein podniósł pistolet i widocznem było, że mierzył do drzewa, stojącego przy Alanie. Ale w tej chwili zmienił swoje położenie młody Reichstal i raz odebrał w piersi. Upadł bez przytomności.

Wtem ukazał się przybywający na miejsce walki stary Adalbert. Śpiesznie odszedł Wallenstein i wrócił do miasta. Zastał już pułk pod bramą, skoczył na konia, ściągnął wodze i zawołał żołnierza, blizko stojącego.

— Walterze — rzekł naprzód głośno, a potem mowy pocichu dokończał. Skłonił się żołnierz, a kiedy wszyscy wyruszali, on jeden się w Egrze został.

Kilka dni później pułkownik Wallenstein w zadumaniu już nad wieczorem siedział przy ognisku w wieśniaczej chacie. Nagle usłyszał tętent biegnącego konia. Zatrzymał się jeździec przed chatką.

— Czy tu stanął hrabia Wallenstein? — zawołał, a za daną odpowiedzią skoczył na ziemię. Drzwi się otworzyły. Wszedł Walter i, zdjąwszy szyszak, zbliżył się do wodza.

— A cóż? — zapytał się Wallestein.

— Żyje, pułkowniku, żyje! Ojciec go tajemnemi swej

nauki sposobami uratował od zgonu. Ale wczoraj uzbrojony wyjechał z Egry.

— Do pułku Lichtensteina zapewnie?

— Nie, przeciwną udał się drogą, ale zdrów i żyje.

— Dzięki niebu — krzyknął Wallenstein — już mniej o jedną zbrodnię!

VII.

Nowy jego towarzysz nakształt czarnej chmury
Smutny, jak noc jesienna, jak księżyc ponury,
Uśmiech opuścił usta, tylko zapał w łonie,
Tylko dzika chęć zemsty w zgasłych oczach płonie.

Bezimienny.

Piętnaście lat już było upłynęło od sławnej bitwy pragskiej. Wiele odmian tymczasem zaszło w Niemczech, ciągle mieczem i ogniem pustoszonych. Cesarz Ferdynand z początku doszedł do najwyższego szczytu potęgi, poskromił buntujących się panów, starł dumę królów i książąt. Wielkich wodzów liczył w swoich wojskach: Tyllego, księcia Bernarda Bawarskiego, ale nad wszystkich wznosił się Wallenstein — Wallenstein, postrach i śmierć protestantów. Mnogie jego zwycięstwa nagrodził cesarz zaszczytami i mnogiemi dary. Hrabia Wallenstein dostał łupem część kraju książąt meklemburskich, a później mianował go admirałem mórz północnych i księciem Frydlandzkim. Jednak po tylu świetnych czynach coraz wzrastająca naszego bohatera duma i przyczyna, którą dał do wojny z Gustawem Adolfem, znienawidziła go w oczach Ferdynanda. Utracił dowództwo. Pogardził pyszny Wallenstein obmowami nieprzyjaciół zazdrosnych nieśmiertelnej chwale, ale zarazem otworzył serce zemście, którą miał nasycić, zrzucając z tronu cesarza i zasiadając na jego miejscu. Pomimo jednak tych niechęci przyjął jeszcze raz książe Frydlandzki dowództwo nad wojskiem

cesarskiem i pośpieszył uratować chylące się już ku upadkowi państwo.

Zwycięstwa Gustawa Adolfa wszystkich przeraziły strachem, ale to właśnie obudzało męstwo Wallensteina. Wystąpił więc w pole i spotkał się ze strasznym przeciwnikiem. Niepewne zwycięstwo raz jednej, znów drugiej sprzyjało stronie.

Ale nakoniec w krwawym boju pod Lützen starł się z całą swoją potęgą bohater cesarstwa z bohaterem wolności. Gustaw Adolf zginął na polu sławy. Odtąd nie upatrywał już nikogo Wallenstein, z którymby się mógł pomierzyć. Wrócił więc do dawnego zamiaru i, rozgniewany postępowaniem cesarza, pracować usilnie zaczął nad jego upadkiem. Cesarz nie zwiódł się na zamysłach Wallensteina i powtórnie go okrył swoim gniewem. Zemsta najgwałtowniejsza zapaliła serce bohatera i przysiągł zgubę dumnego pana, zawdzięczającego niełaską zbawienie Niemiec i utrzymanie tronu. Opuścił wojsko cesarskie, a ze swojem własnem i z dworem, mogącym wiedeńskiemu się równać, osiadł w Egrze. Zamieszkał w zamku tego miasta, wystawionym na niebotycznej górze. Stąd jak orzeł bystremi spoglądał oczyma na całe Niemcy, śmiało wpatrywał się w słońce, panujące nad niemi, w słońce, świecące przez jego zwycięstwa, i ściskał już szpony na jego zagubę.

Właśnie wtenczas kończył się rok piętnasty od bitwy, pod Pragą stoczonej, i od czasu, w którym pułkownik Wallenstein pierwszy raz poznał Egrę. Wracając do tego miasta, Wallenstein zaledwo przypomniał sobie zdarzenia, których niegdyś był tu świadkiem. Tyle bowiem przypadków, tyle zdarzeń widział od tego czasu, że śmierć Minny, rozpacz jej ojca, pojedynek z bratem jak przez mgłę mu się przypomniały. Ale kiedy ujrzał na wzgórku dom astrologa, kiedy poznał wieżę, z której Adalbert de Reichstal prorokował mu przyszły zawód, wzruszyło się jego serce i ledwo że łza nie zabłysła w oku. Ważne sprawy, w późniejszych dniach za-

chodzące, nie dały mu czasu spytać się o astrologa. Cały dzień bowiem dwieście paziów wprowadzało lub wyprowadzało od księcia Frydlandzkiego książąt, panów i posłów ze wszystkich niemieckich krain. Ci mu swe hołdy przynosili, ci dary pod jego składali stopy, tamci przybywali tajemnie się z nim naradzić, inni, wyprawieni przez dwór wiedeński zdradzać wielkiego męża przychodzili, a pochlebiając jego dumie, śledzić skryte zamiary i knujące się na Ferdynanda spiski. Przyjmował wszystkich Wallenstein z dumą panującego. Dworzanie, lśniący się złotem i srebrem, wprowadzali posłów do szerokiej sali zamku Egierskiego. Tu czekał na nich zbawiciel cesarstwa. Na wysokim tronie siedział z twarzą zasępioną. Ręka najczęściej spoczywała na rękojeści bogatego pałasza. Odpowiadał krótko na przełożenia, a często ruchem głowy lub skinieniem ręki wolę swą oznajmiał, rozrządzał narodami i królestwy. Ponurym wzrokiem spoglądał na otaczających, ale tym wzrokiem zgłębiał duszę każdego, czytał na twarzach poruszenia serca i wyśledzał najmniejsze duszy uczucia. Jednej zdrady nie mógł poznać, bo jej się nie bał, bo nie zadawał sobie nawet pracy do jej wykrycia. Nie lękał się bowiem zdrajców, nie lękał się najzaciętszych wrogów. Ufny w swoją gwiazdę, pogardzał ludźmi i, jakgdyby sam nie był człowiekiem, nie chciał się zniżać aż do nich. Wiek i podjęte trudy swe piętno na jego twarzy wyryły. Blade lica, ścięte usta, smętne oczy nie zgadzały się z pysznym ubiorem. Ale Wallenstein był zawsze wielkim i wola jego, jakby piorun rzucony z niebios, wszystko przynaglała, a opierających się druzgotała. Nie namowami, nie podarkami, nie pochlebstwem postępował do swego celu, ale rozwagą, ale sławą nabytą przez wieloletnie zwycięstwa i wojny. Ciało jego już osłabło, siły osłabły, ale rozum, wszystko podgarniający pod siebie, nie zagasł. Owszem, rozwijał się w całej swej mocy, z nową trudnością nowe wynajdywał sposoby i, wszystko przezwyciężając, torował sobie drogę do potęgi i chwały. Drżeli wszyscy przed bohaterem,

nikt jawnie podnieść miecza nie śmiał na niego i w ciemnościach tylko nocy ostrzyły się sztylety, mające ugodzić w piersi księcia Frydlandzkiego. Naokoło niego stali zbrojni mężе w ozdobnych zbrojach, a zewsząd sypały się roje dworzan i paziów, kornie bijących czołem przed panem, pysznym z swojej wielkości, który ją teraz nie cesarzowi, ale sobie samemu był winien.

Między dworzanami Wallensteina odznaczał się pułkownik Lesle, powiernik jego i największy przyjaciel. Od kilku lat już się przywiązał do księcia Frydlandzkiego i nawet w bitwie pod Lützen uratował mu życie. — Od tej chwili polubił go Wallenstein i ciągle obsypywał dobrodziejstwami. Lesle miał już trzydzieści i kilka lat. Ogromne wąsy i bródka hiszpańska czerniły się naokoło ust jego, twarz miedzianej barwy świadczyła podróże w dalekich krajach odbyte i walki stoczone w Afryce, o których często mówił. Rodem miał być ze Szkocyi. W młodym wieku puścił się na morze i popłynął do Afryki. Tam z Angilkami walczył przeciw tamecznym ludom. Ale nareszcie zachciało mu się wrócić do Europy. A jak tylko stanął na brzegu ojczystym, usłyszawszy o wojnie, wrzącej w Niemczech, wyprawił się na nią, poznał wielkiego wodza i połączył swój los z jego losem. Takie było opowiadanie pułkownika. Zresztą wszyscy znali moc jego ramienia i odwagę, którą świadczyły blizny, krzyżujące się na twarzy. Nie używał on wpływu swego na serce Wallensteina, żeby szkodzić drugim, ale uważał, że często rady, dawane przez niego księciu Frydandzkiemu, nie były najlepszemi. Kochał go jednak dumny Wallenstein i wszyscy, idąc za przykładem pana, kochali go lub udawali, że mu sprzyjają. Wpadał czasem Lesle w czarną posępność. Wtenczas nienawidził świat i ludzi. Zdawało się, jakgdyby pamięć jakiego nieszczęścia wszystkie jego zatłumiła uczucia i serce tylko zemście otwierała. Z nikim nie obcował, nigdy uśmiechem nie powitał przyjaciela, nigdy oka nie zwrócił na hoże dziewice. Sam w sobie znajdując świat cały, głuchy był na wesołość

pienia, na uniesienia radości. Zimne jego serce niczem się nie wzruszyło, chyba kiedy wlewało w niego gorycz przeszłych zdarzeń przypomnienie. Wtenczas zdawał się odchodzić od zmysłów. Oczy jego, zawsze martwe, żywym zapalały się ogniem, podobnym do błyskawicy, która wśród czarnej nocy rozdziera chmury i ogłasza światu grzmot strasznego pioruna. — Chodził po długich zamku korytarzach. Jęczał i wzywał zemsty niebios na wroga. Przysięgając jego zgubę, dobywał miecza i miotał przekleństwa. Sam Wallenstein szanował te uniesienia i nigdy nie przerywał słów, bez porządku wymawianych, między któremi zemstę najczęściej słyszano. Zresztą pułkownik Lesle wykonywał rozkazy Wallensteina z nadwyczajną szybkością. Daremnie nieraz pytał go książe Frydlandzki o przyczynę czarnego smutku. Nic nie odpowiadał Lesle lub mówił: »Nie czas jeszcze, najjaśnicjszy książe«.

A wtenczas włosy jeżyły mu się na głowie, drżał cały, zwracał wzrok ognisty na Wallensteina, a ręką dotykał się sztyletu lub miecza. Nie uważał na te oznaki bohater, ciągle łaskami obsypywał Leslego, powierzał mu tajemnice i często powiadał, że wkrótce Ferdynand jeszcze się uniży przed tym, który go utrzymał na tronie, a za to doznał jego gniewu i niełaski.

VIII.

Ryszard:
Zabij, złoto ci trudy nagrodzi sowicie!
Arnold:
Co! jabym miał tą zbrodnią splamić moje życie?
Nigdy . . . . . .
Szekspir.

Dnie upływały, a Wallenstein, ciągle trapiony chęcią panowania i pragnieniem zemsty, nie mógł się nasycić swoją wielkością i jeszcze świetniejszych żądał zaszczytów. Jednego wieczora, otoczony dworzanami, mając przy boku Leslego, pułkownika Butlera, służącego w jego gwardyi, patrzył z wysokiej zamku Egierskiego wieży na miasto i okoliczne pola, oświecone ostatniemi zachodzącego słońca promieńmi.

Zielone drzewa i kwiaty w ogrodach uprzyjemniały obraz, rozwijający się szeroko przed oczyma.

Zdala czerniały się lasy i Czech niebotyczne góry. Lekki wietrzyk przynosił aż do Wallensteina ulatujące po powietrzu wonie. Wszystko szczęśliwem i wesołem było. Wszystko się uśmiechało. Ale piękne przyrodzenie nie było w zgodzie z sercem księcia Frydlandzkiego. Przypomniał sobie, jak piętnaście lat przedtem podobnież spoglądał z wieży na Egrę. Przypomniał sobie proroctwo astrologa, lecz kiedy stanęły mu ostatnie słowa w pamięci, mimowolny dreszcz po nim

przeszedł i zbladły mu lice. Ale prędko ukrył to pomięszanie. W tej chwili czerwonawy promień słońca odbił się od wieży domu astrologa.

— Pułkowniku Lesle, widzisz tę wieżę?

— To wieża mego... To wieża — odparł żywo Lesle — to wieża astrologa.

— Nie wiedziałem, że znasz jej pana — rzekł spokojniejszym głosem Wallenstein.

— Słyszałem niedawno o Adalbercie de Reichstal.

— I imię nawet? a, to już zanadto!

— Szczególnym dowiedziałem się sposobem.

— Wyjaw mi go! — to mówiąc, skinął książę Frydlandzki, a dworzanie i Butler go opuścili.

— Wyjaw! — powtórzył Wallenstein. — Wątpię, żeby jeszcze pamiętali.

— Żeby jeszcze pamiętali! — krzyknął Lesle z iskrzącemi się od gniewu oczyma. — Jest serce, co pamięta i co za każdą krwi kroplę odda jej strumienie.

— Cóż znaczy ta mowa, pułkowniku? — zawołał książę porywając Leslego za rękę i silnie nią wstrząsając. — Obudź się, bo widzę, że znów w szał zwyczajny wpadasz!

— Prawda, najjaśniejszy książę, często pamięć nieszczęść mięsza mój umysł. Przebacz tej krótkiej zapomnienia się chwili! O Adalbercie de Reichstal i córce jego słyszałem od tutejszych mieszkańców.

— Więc jeszcze nie zatarła się pamięć jej śmierci, po piętnastu leciech zaburzeń i wojen? Lesle, ty, który jeden możesz zrozumieć moją duszę i objąć moje zamiary, przyszedł czas objawić ci zdarzenie, które goryczą napełniło kilka dni w mojem życiu.

Tu siadł Wallenstein i zaczął opowiadać swoją miłość ku Minnie i jej nieszczęśliwe skutki. Za każdem słowem zmieniała się twarz pułkownika, za wymówieniem imienia Minny drżały mu usta i piekielny ogień żarzył się w oczach. Nie mógł zostać na miejscu, chodził wzdłuż i wszerz, ciche

wymawiał słowa i zdawał się walczyć sam z sobą. Wallenstein przyzwyczajony do tego ciągnął powieść i trzymał oczy wlepione w wieżę Adalberta de Reichstal, która się jeszcze czerniała wśród mroku, jak pamięć zbrodni w przeszłości, nie widział przeto, jak Lesle dobył sztyletu, wtenczas kiedy opisywał gniew młodego Alana i pojedynek z nim odbyty i jak go znów do pochwy schował. Nareszcie temi słowy zakończył:

— Mimo największych starań nigdy się nie dowiedziałem, gdzie uszedł lub gdzie przebywa.

— Może dowiesz się kiedy, najjaśniejszy książę — rzekł pułkownik i z uśmiechem szyderczym na ustach pytał się Wallensteina, czy żadnych nie ma do wydania rozkazów.

— Lesle — krzyknął książę — chcę odwiedzić dom astrologa, w którym pierwszy raz uczułem miłość — i ostatni, mogę powiedzieć, bo później cała moja miłość w tem była. — To mówiąc, uderzył o rękojeść miecza. — Nie kochałem nawet córki Starracha, nie, to nie była Minna de Reichstal. Chcę jeszcze raz zobaczyć starego Adalberta, jeśli żyje, a przynajmniej wejść jeszcze na wieżę, skąd mi świetne przepowiedział przeznaczenie. Świetne! Tak, usłałem pod mojemi nogi trony i mocarze, zwalczyłem wszystkich, pokonałem wszystkich. Zostaje się jeszcze jedna część proroctwa, która jeśli się spełni, Adalbert był największym i najuczeńszym astrologiem.

— A jakaż to jest?

— Lesle, powiem ją tobie jednemu: że żelazo zabójcze wytrąci z moich rąk koronę cesarską.

Na te słowa spojrzał na sztylet pułkownik, jakgdyby chciał powiedzieć: »Już to żelazo gotowe«.

— Ale może pomylił się Reichstal — dalej mówił Wallenstein. — A zresztą, powtarzam, że sława pierwszem była mojem życzeniem. A dosyć jej mnie otacza, koronę w drugim już kładę rzędzie; jeśli nią ozdobię moje skronie, tem lepiej; jeśli nie, to i tak przejdę do nieśmiertelności. Ale słuchaj,

Lesle, chcę dziś jeszcze odwiedzić astrologa! Pójdziesz ze mną.

— Nie mogę.

— Ja chcę! — krzyknął książe Frydlandzki.

— Więc niech i tak będzie! — odparł Lesle i rozeszli się.

Już zegar zamkowy dziewięć razy swe brzęki powtórzył. Niebo jaśniało rozsypanemi na jego błękitach gwiazdy. Księżyc na wozie z chmur złotych wznosił się po lazurowem przestworzu. Upał dnia letniego zwalniał się powoli. Słodka rosa odwilżyła podnoszące się głowy świetnych kwiatów, a lekki wietrzyk poruszał liście drzew, otaczających wały zamkowe. Przechadzał się po nich żołnierz, zbrojny w świecący szyszak, w stalowy pancerz, ciężki pałasz i parę pistoletów, wiszących u skórzanego pasa. Twarz jego zamyślenie wydawała; promienie księżyca oświecały ją zupełnie. Czoło zmarszczone, owoc trudów wojennych, i poczerniałe lica oznaczały walecznego wojownika. Wyraz poczciwości jaśniał w oczach, ale łatwo było poznać we wzroku smutek połączony z zadziwieniem. Wtem zbliżył się człowiek w szerokim płaszczu, z kapeluszem, czarnemi ocienionym pióry. Skłonił się żołnierz na jego widok.

— Dobry wieczór, Walterze, cóż tak zamyślony chodzisz wzdłuż i wszerz warowni?

— Zamyślony! mości pułkowniku, a może mam przyczynę do tego? — odpowiedział oddawna znany nam Walter.

— Cóż to może być?

— Oto niedawno widziałem księcia, wychodzącego tą bramą z towarzyszem, którym, zdawało mi się, że jest pułkownik Lesle.

— Lesle? — powtórzył zdziwiony nieznajomy. — Pewno cię wzrok omylił. Książę nigdy o takiej nie wychodzi godzinie.

— Znam ja dosyć Wallensteina — odparł, pokręcając wąsa — wiele razy widziałem go na polu sławy. Widziałem

jak on, podobny do lwa wściekłego, ścierał się z heretykami. Zaręczam ci, pułkowniku Butlerze, że się nie zwiodłem. O Leslem nie mogę twierdzić, bo nie często go widzę.

— Gdzie więc się udali, w jaką stronę?

— Do domu astrologa.

— Do domu astrologa? cóż to za astrolog?

— Zdaje mi się, że słyszałem od Leslego o jakiejś Minnie.

— Od Leslego! — krzyknął zdziwiony Walter. — Ach, to już takiemu dyablu książę tajemnice powierza.

— Nie gniewaj się na mego towarzysza! Ale słuchaj, mam z tobą do mówienia! — I schylił się pułkownik do ucha żołnierza.

— Mów głośno, pułkowniku Butlerze! Nie mam nic do ukrycia na tym świecie. Racz mówić głośno, pułkowniku Butlerze, przecież nikt nie słucha, a ja nie cierpię tych szeptów, tych tajemnic! Prosto, otwarto, szczerze powiedzieć, to ja lubię. To przystoi na poczciwego żołnierza; a potem nikogo się nie boję, bo mam przyjaciela u boku, który wiele razy największej dał mi dowody przyjaźni.

— Tu mury słuchają — rzekł Butler — tu drzewa w każdym liściu natężone mają ucho. — Nagle ze zwyczajnego głosu przeszedł do najsłabszego, ale cichą mowę żywemi wyrażał poruszeniami; znać było, że do czegoś namawia żołnierza. Głośniejsze czasem dawały się słyszeć słowa. — Wierz mi, to nie zdrada! To usługa dla monarchy. Dumny człowiek. Przysiągłeś na wierność cesarzowi. Obsypie cię bogactwami. Zaufaj mnie! Potrzeba dla spokojności państwa.

Twarz żołnierza podczas tej rozmowy rozmaitym podlegała odmianom. Gniew, oburzenie, pogarda, szybko w jego oczach przemijały.

Nareszcie lice jego ognistym pokryły się rumieńcem. Oczy zajaśniały najżywszym płomieniem.

Odepchnął Butlera.

— Milcz — krzyknął — nikczemniku, milcz, szatanie, pokusicielu! Przysiągłem na wierność nie Ferdynandowi, który jak słabe dziecko chwieje się na tronie, ale księciu Frydlandzkiemu. Ty sam niedawno w Pilzen tę samą składałeś przysięgę. Za Wallensteina życiebym oddał. Milcz, jeśli nie chcesz, żebym cię zrzucił z tych wałów! Śmierć jego! Ty śmiesz o tem myśleć? drżyj, nikczemniku!

— Uspokój się, Walterze, uspokój się. Ocal siebie, ocal pułk cały, a za to obiecuję ci nagrodę! Oto masz zadatek wdzięczności cesarza. — To mówiąc, wyciągnął Butler sakiewkę pełną złota i podał ją Walterowi.

Żołnierz porwał pieniądze i rzucił je ponad wysokie zamku egierskiego mury.

— Nie przekupisz mnie, zbrodniarzu! — krzyknął w gniewie. — Odejdź, bo przysięgam, że tym pistoletem życie ci wydrę!

Wyjął broń z za pasa i przyłożył ją do serca Butlera. Cofnął się o kilka kroków zmieszany pułkownik.

— To wszystko żartem było — zawołał, wyciskając śmiech udany na drżących ustach — chciałem doświadczyć twojej wierności. Dobrze, Walterze, dobrze, widzę, żeś wierny księciu.

— Nie tak łatwo mnie oszukać — odparł Walter. — Wallenstein o tem jutro będzie wiedział. Nawet i dzisiaj.

To mówiąc, skoczył z wału i jak strzała pobiegł ku domowi astrologa. Butler odwiódł kurek u pistoletu, skierował broń na żołnierza i wystrzelił. Ale po śmiechu usłyszanym i podwojonej szybkości kroków poznał pułkownik, że jego kula nie trafiła Waltera.

Żołnierz prędko mijał domy Egierskie i po niedługim czasie przybył na wzgórek.

Miłość ku Wallensteinowi sił mu dodawała. Wszedł do domu niewstrzymany, jak niegdyś, zamkniętemi bramy i w cichości długi przeszedł korytarz. Słabe światło uderzyło go w oczy i ujrzał drzwi dawnego pokoju astrologa napół

otwarte. Chciwy usłyszeć rozmowę Wallensteina, stanął przy nich i wszystko pilnem przebiegł okiem.

Słaby płomień lampy, w bladawych rozlewając się promieniach, oświecał Wallensteina, stojącego z Leslem przy łożu, na którem jęczał zgrzybiały starzec z długą śnieżną brodą. Księgi różnej wielkości leżały po stołach, szafach i posadzce. Wallenstein obrócił się ku drzwiom.

— Zostań się tutaj, Lesle — rzekł do pułkownika — i ostatnie jego chwile osłódź twoją przytomnością! — Skłonił głowę Lesle, a Wallenstein odszedł. Jak tylko ujrzał go na dziedzińcu, Walter wyskoczył z domu i silnym zawołał głosem:

— Najjaśniejszy książę, racz zatrzymać się przez chwilę i posłuchać wiernego żołnierza!

— Kto śmie mnie wołać? — odparł Wallenstein. — Kto śmiał śledzić moje kroki w pośród cieni nocy i badać moje zamiary?

To mówiąc, dobył pałasza, ale poznał zbliżającego się Waltera.

— Któż ci pozwolił opuścić straż wałów?

— Twoje niebezpieczeństwo — pocichu odparł Walter; to mówiąc, klął przed bohaterem i rzekł do niego:

— Najjaśniejszy książę, znasz wierność Waltera, wiesz, że zawsze jego męstwo odznaczało się na polu bitew. Przysiągłem tobie na wierność, przysiągłem nie mieć innego pana nad ciebie. Dzisiaj oto, niedawno, pułkownik Butler przybył do mnie, pełną złota ręką chciał namówić do zdrady, do zbrodni. Radził, bym cały pułk odwiódł od ciebie.

Nareszcie zakończył odkryciem największej zbrodni. — Tak, najjaśniejszy książę, on chce twojej śmierci.

— Mojej śmierci? Butler! mojej śmierci? — krzyknął zdziwiony Wallenstein. — Jam go dobrodziejstwy obsypał, łaskami obdarzył. Nie, moje dziecko, mylisz się, wierny mój przyjacielu. Zapewne chciał doświadczyć twojej wierności lub żartować. Ale zresztą dziękuję ci, Walterze, za ostrze-

żenie i za to masz ten worek. — Ale dodał ostrym głosem: — Wracaj prędko na swoje stanowisko, bo żołnierz żaden opuszczać go nie powinien, żeby gwiazdy nawet padały na ziemię. Szczęście twoje, żeś spotkał samego Wallensteina, a nie księcia Frydlandzkiego, bo wtenczas musiałbyś zginąć za karę niedbałości. Wracaj więc, Walterze, i niech nikt się nie dowie, że Wallenstein mógł przebaczyć komu!

Usłuchał rozkazu wodza żołnierz, ale ze spuszczoną głową, ze smutkiem w sercu śpiesznie wracał na stanowisko. Ledwie tam przybył, alić ujrzał Wallensteina wchodzącego w bramy zamkowe.

IX.

Viens donc, viens détacher mes chaînes corporelles,
Viens, ouvre ma prison; viens, prête-moi tes ailes;
Que tardes-tu? Paraîs, que je m'élance enfin
Vers cet être inconnu, mon principe et ma fin.

Alph. de Lamartine.

Tymczasem pułkownik Lesle z założonemi rękoma w głębokiem zamyśleniu stał naprzeciwko łoża boleści, na którem umierał, srogą znękany chorobą i podeszłą osłabiony starością, Adalbert de Reichstal.

Adalbert podniósł się trochę, wyciągnął rękę ku Leslemu i rzekł często przerywanym głosem:

— Jutro już mnie nie będzie; ale powiedz mi, śmiertelny człowiecze, czy to nie marą, nie snem było? Zdało się osłabionym oczom, że widzą Wallensteina. Ah! jakże się zmienił! Dawniej czoło bohatera jaśniało boską pogodą, teraz smętność i zmarszczki go szpecą. — Jednak, choć osłabiony wiekiem, choć trapiony boleściami, poznałem jeszcze te oczy, ten wzrok pełen ognia, który tyle razy zwracał się na Minnę. Słyszałem, że wiele zwycięstw odniósł, a zapewnie teraz pnie się do tronu.

— Do tronu — powtórzył Lesle — do tronu! a któż ci to odkrył! Czyż człowiek przy śmierci może zgłębiać najskrytsze śmiertelnych myśli? czyż dusza, mająca się wkrótce oderwać od ciała, unosi się nad sercami innych?

— Nędzny prochu, słaby człowiecze — znów odezwał się Adalbert — spojrzyj w to niebo, a tam poznasz myśli i zamiary ludzi! Przed piętnastoma laty już wiedziałem, że Wallenstein pokona, zwycięży, wzniesie się wyżej, ale upadnie. Powiedz mu ode mnie, jeśli jego przyjacielem jesteś powiedz mu, że już kres życia dla niego się zbliża, lub lepiej nic nie mów, gdyżby cię nie usłuchał, niech losowi stanie się do woli!

Wtenczas Lesle zbliżył się do Reichstala.

— Przyjmuję — rzekł pocichu — tę wróżbę i tem śmielej postępować będę.

— Dlaczegóż — rzekł po chwili Adalbert — zostajesz się przy umierającym starcu, dlaczegóż pilnujesz osłabionego człowieka?

Nic nie odpowiedział pułkownik.

— Ostatnia moja chwila się zbliża, wszyscy mnie opuścili; żona, córka, syn może w zimnym spoczywa grobie; tyś jeden ulitował się nade mną; zawdzięczę ci za to sposobem, który jeden mi tylko pozostał. Bogactwa złupili protestanci, siłę wiek odjął, ale wiek rozumu i nauki nie wydarł. Wesprzyj mnie ręką, zaprowadź do okna, niech raz jeszcze spojrzę na niebo, a powiem ci, co cię czeka, powiem ci, jak daleka śmierć od ciebie!

Usłuchał Lesle starca; podniósł się Adalbert i, wsparty na ręku pułkownika, słabym krokiem zmierzał do okna, przy którem stało jego krzesło i ogromny teleskop, dawno już nie używany. Usiadł i drżącą ręką przysunął astronomiczne narzędzie. Gasnące oczy przyłożył do szkła, przybliżającego oku śmiertelnemu gwiazdy i nieskończone światy. Długi czas patrzył na niebo, nareszcie pchnął teleskop, który padł na ziemię i na drobne roztłukł się kawałki.

— Tyś już mi niepotrzebny — silnym zawołał głosem — nieszczęścia same mi tylko wskazujesz.

Potem porwał z nadzwyczajną siłą rękę pułkownika i dość długo po niej linie się krzyżujące rozważał; nareszcie

powstał, dobywając sił ostatnich, rzucił się w objęcia Leslego i zawołał:

— To ręka Alana, nikt inny nie miał takich znaków! Zginiesz wraz z Wallensteinem. Wasze gwiazdy się spotkały, ale na śmierć waszą. Umieram, wiesz, gdzie grób naszej rodziny, pochowaj mnie z żoną i córką!

Ostatnie to były słowa Adalberta de Reichstal; jeszcze raz podniósł oczy ku niebu, jeszcze raz ścisnął rękę przerażonego pułkownika i upadł na krzesło. Łzy, płynące z oczu jego, zatrzymała ręka śmierci, a dusza astrologa wzbiła się ku światom, które za życia rozważał.

— I ciebie już niema — cichym głosem rzekł Lesle — wkrótce więc i ja zginę, ale zemszczony.

Całą noc przepędził pułkownik przy Adalbercie, nazajutrz rano wyszedł z pustego już teraz domu. Łza samotna spłynęła na jego lica, ale to ostatnia była, którą miał wylać za życia.

Ciała astrologa nie znaleziono w jego komnacie, a sąsiedzi, zgromadzeni na pogrzeb Reichstala, rozeszli się, mówiąc pocichu, że zapewne Wallenstein kazał go przed śmiercią swoją pochować; niektórzy zaś, wierzący w czary, twierdzili, że duch ciemności przywłaszczył sobie Adalberta.

Ale wkrótce już nie mówiono o tem zdarzeniu, bo chodziła pogłoska, że książę Frydlandzki nie lubi, żeby wspominano o Adalbercie.

Pamięć bowiem nieszczęść, które z jego ojczyzny na rodzinę Reichstalów spłynęły, truła jego spokojność, a nieraz za wymówieniem imienia Minny bladły mu lica. Przestali więc mówić o Adalbercie de Reichstal, a pułkownik Lesle ani słowa nigdy nie wyrzekł o nocy, którą przepędził obok konającego starca.

X.

I w zemsty srogiej okupie
Pastwić się będę na trupie.
Horald — Tragedya.

Tygodniem później siedział pułkownik Lesle w ubogiej chacie, wśród czarnego lasu leżącej. Stały przed nim na stole puhary i konwie, pełne węgierskiego wina. — Kilku wojskowych przechadzało się po komnacie, której okopcone i czarne mury posępność w serce wlewały. Już się zaczynało ciemnieć, a po kilku słowach, niecierpliwość oznaczających, zdawało się, że czekają na kogoś. Lesle oparł głowę na ręku i zarzucił szeroki płaszcz naokoło siebie.

Blada twarz, zmarszczone brwi i ponurość czoła boleści duszy oznaczały. Wlepiał wzrok w drzwi chaty, ale ten wzrok nie miał już dawnej żywości. Martwe oczy, jakby u trupa, już się świetnym nie paliły ogniem, ale serce za to stokroć gwałtowniejszym wrzało. Serce wrzało namiętnościami, a rozpacz nie mogła się utrzymać we wzdętych piersiach; częste jęki z nich wychodziły, często ręką uderzał o stół dębowy, ale na żadne zapytanie nie odpowiadał i czasem się pogrążał w dumanie tak, że można było wątpić, czy żyje, lub czy jego dusza ciała nie stargała więzów.

Już noc ciemna zupełnie pokryła niebo. Już liczne pochodnie zaświetniały w chacie. Wiatr silny starodawne dęby uginał, a przeciskając się przez szpary niedobrze spojonego

drzewa, z przeraźliwym świstem na wszystkie strony poruszał płomienie pochodni. Już niecierpliwość osób, będących w chacie, do najwyższego doszła stopnia. Często dawały się słyszeć wyrazy: »Chyba go szatan porwał«. »Już dziś nie przybędzie«. »Nie wiedzieć, po co tuśmy się zebrali«. »Jedźmy!« — i już nawet chcieli wychodzić z chaty i wsiąść na konie, kiedy Lesle rozkazującym rzekł głosem:

— Czekajcie jeszcze! Zaręczam, że niezadługo tu będzie.

Ledwo słów tych dokończył, otworzyły się drzwi i wszedł pułkownik Butler. Na jego widok skłonili się wszyscy. Niósł w rękach małą szkatułkę, lśniącą się złotem i drogiemi kamieniami, i złożył ją na stole. Lesle nie ruszył się z miejsca i najmniejszego znaku uwagi na zdarzające się wypadki nie dawał.

Butler wystąpił na środek chaty, otarł pot z czoła i rzekł do przytomnych:

— Towarzysze! przysięgliśmy na śmierć Wallensteina. Ferdynand, nasz prawy cesarz, powoływa nas do czynu, mającego nam zjednać chwałę nieśmiertelną i względy monarchy. — Tu krzyki radości: »Niech żyje Ferdynand, nasz cesarz!« przerwały mowę pułkownika, ale kiedy wróciło milczenie, znów dalej mówił:

— Wszyscyśmy gotowi śmierć i niebezpieczeństwo ponieść, byleby spełnić wolę panującego. Towarzysze! nie kryję przed wami, że Wallenstein włada sercami żołnierzy, że wojsko kocha go, jak ojca. Jednak udało mi się przekupić dwa pułki jego gwardyi i przyłączyć do naszego spisku większą część oficerów, którzy przysięgli mu na wierność niedawno w Pilsen. Kilku tylko nie można namówić, ale ci jutro zginą. Zaprosiłem ich na wielką biesiadę. Wśród okrzyków: »Niech żyje książę Frydlandzki!« — śmierć znajdą, a krew ich popłynie zmięszana ze strumieniami wina. Wśród puharów i radości, wśród śpiewów i poklasków upadną. Sam Wallenstein miał zginąć podczas tych godów, — ale na nieszczęście odmówił moje zaproszenie. Dumny książę

Frydlandzki nie raczył zasiąść u stołu pułkownika Butlera, ale za to śmierć mu obiecuję. Tak, bracia! śmierć niech jemu będzie za dumę, za spiski, knowane na Ferdynanda. Pewnym jest korony cesarskiej, ale zamiast tronu znajdzie zimną śmierci rękę. Kiedy jutro u mnie na biesiadę sproszeni wszyscy jego dworzanie radować się będą, trzeba, żeby który z was poszedł i własną ręką zamordował Wallensteina.

— Pułkownik Butler! Pułkownik Butler!

— Odważny nasz pułkownik! — krzyknęli otaczający go woiskowi.

Zbladł Butler na samą myśl zadania śmierci wielkiemu mężowi.

— Nie mogę — rzekł — żadnym sposobem nie mogę. Muszę biesiady pilnować. Już biorę na siebie zamordowanie jego przyjaciół i jenerałów przywiązanych do niego. Ale ciągnijcie na los, czyja ręka ma utopić żelazo w piersi nienawidzonego człowieka! Niech los rozstrzygnie, komu przyjdzie oddać tak ważną oiczyźnie i dworowi usługę!

Na te słowa skoczył Lesle z krzesła, jakgdyby obudził się ze snu głębokiego.

— Ja — krzyknął — ja mu serce tym żelazem przebiję; on ją wtrącił do grobu; ja zemszczę się na nim; towarzysze, wyświadczcie mi łaskę, towarzysze, powiedzcie: »Twoja ręka niech się w krwi jego zbroczy!« — a najwyższe szczęście moim będzie udziałem!

— Pułkowniku Lesle — odparł Butler — nie odmawiamy ci tego. Niech więc twoja ręka w jego krwi się zbroczy.

— Tegom pragnął, tegom żądał — zawołał Lesle — to moim przez tyle lat było celem; nie spuściłem go z uwagi ani w pustyniach Afryki, ani w krwawych z Indyanami walkach. W Anglii myślałem o śmierci Wallensteina; w Azyi myślałem o śmierci Wallensteina. Pod Lützen, kiedy życie mu ocalałem, myślałem o jego śmierci, moją ręką zadanej. Ciesz się, Minno! już blizka zemsty chwila; on cię zabił, on

wlał truciznę w twoje serce. Twój brat go zabije i rozedrze jego piersi żelazem.

Skończył Lesle, usiadł i znów do dawnego wrócił milczenia. Butler wtenczas obrócił się ku niemu i rzekł:

— Pułkowniku, jutro, jak posłyszysz u mnie okrzyki radości i pochwały dla Wallensteina, wymkniesz się z biesiady, a niech się nie omyli twoja prawica, niechaj twoje żelazo nie chybi, ale niech się zanurzy po rękojeść w piersi Wallensteina. Masz wolny przystęp do jego pokoju. Tem łatwiej wypełnić ci ten czyn szlachetny. Ale teraz mam ogłosić wam, towarzysze, że cesarz po śmierci Wallensteina każdego z was wyższym stopniem obdarza. Posłaniec, dziś przybyły z Wiednia, oddał w moje ręce tę szkatułę. W niej mieści się nagroda dla tego, który nieustraszonem sercem pójdzie ocalić monarchę, zrzucając Wallensteina ze szczytu potęgi. Ta nagroda jest wielka i godna cesarza Niemiec, szczęśliwie nam panującego Ferdynanda.

To mówiąc, wziął Butler szkatułę, złożył ją przed Leslem, otworzył i wyjął order złotego runa, wiszący na łańcuchu złotym, lśniącym się złotem i dyamenty.

— Tobie się ten zaszczyt należy, pułkowniku, tobie cesarz go przeznaczył, a wkrótce stopień jenerała...

— Stój, Butlerze! — krzyknął piorunnym głosem Lesle — stój, nie dla złotego runa, nie dla Ferdynanda moja ręka wzniesie się na Wallensteina! Śmierć jego najlepszą dla mnie będzie nagrodą. Zemsta mi nakazuje zabić księcia Frydlandzkiego, nie chcę ani złota, ani zaszczytów. Nie dla złota błąkałem się tyle lat, nie dla złota zniósłem burze morza i spiekłe wschody słońca, nie dla złota bezsenne pędziłem noce, myśląc o zgonie wroga, nie dla złota daleko od ojczyzny w rozpaczy młode strawiłem lata. Wy nie wiecie, co to zemsta. Was złoto, was zaszczyty, was skarby poruszają. Mnie nic prócz zemsty nie wzrusza; wre ona w mojem sercu. Po śmierci Wallensteina wszystko mi jedno, czy zginę, czy na najświetniejszym tronie zasiędę.

To mówiąc, porwał za łańcuch, ofiarowany przez Butlera, rzucił go pod stopy i zdeptał.

— Gardzę tobą, gardzę cesarzem, który cię przysłał, gardzę wami, gardzę światem. Tym jednym nie gardzę — i uderzył o rękojeść miecza — bo w tym jedyna moja nadzieja.

Wyrzekłszy te słowa, wyszedł z chaty.

— On szalony! — krzyknęli wszyscy.

— Tem lepiej — ozwał się Butler — kto szalony, nie trwoży się, stojąc nad przepaścią. Ale, bracia, pamiętajcie dobrze nagotować szable, bo jutro nie tylko Wallensteina krew popłynie.

To mówiąc, wyszedł z chaty a za nim inni. Wkrótce tętent ich koni szum wiatru przygłuszył.

XI.

Któżby to był powiedział, któżby się spodziewał
Kiedy jego tryumfy wschód i zachód śpiewał.

Trembłcki — Powązki.

Dnia następującego jedno skrzydło zamku egierskiego tysiącznemi jaśniało pochodniami. Liczni słudzy ustawicznie wychodzili i wracali w świetne pokoje, zamieszkane przez pułkownika Butlera, a w których teraz wesoła odbywała się uczta. Siedzieli przy długim stole, uginającym się pod dzbanami srebrnemi i puharami ze złota, wodzowie i oficerowie wojska księcia Frydlandzkiego. Większa ich część już za obiecaną nagrodą przeszła na stronę spiskowych czyli dworu wiedeńskiego, kilku jeszcze wiernych zostało nie wiedzących nawet o zamachach podłych zdrajców.

Zanadto Butler znał ich cnotę i przywiązanie do wodza, żeby śmiał przed nimi o spisku napomknąć. Wolał ich się czarną pozbyć zdradą. Na lśniącej się sali bogatemi obiciami stali żołnierze, gotowi na skinienie pułkownika, a miecze błyszczące już dobyli z pochew.

Tymczasem okrzyki: »Niech żyje książę Frydlandzki, nasz pan i dobroczyńca!« — odbijały się od wklęsłych sklepień, a za każdem krążeniem puharów podwajały swojej mocy. Kilka razy Butler nie chciał wziąć w ręce złotej czary, ale kiedy coraz mocniej nalegać zaczęto, kiedy już stronnicy Wallensteina, dobrze winem zagrzani, wyrzucali

mu nieżyczliwość ku księciu Frydlandzkiemu, wziął nareszcie w ręce świetny roztruchan, wzniósł go do góry i silnym zawołał głosem: »Niech tak krew Wallensteina popłynie!« i wylał pieniące się wino. Na te słowa powstali wierni Wallensteinowi. Ale biesiada zwątliła ich siły. Daremno drżącą ręką szukali rękojeści pałasza. Inni udźwignąć tyle razy zwycięskiego w ich prawicach miecza nie mogli. Nogi odmawiały pomocy, oczy dobrze zdrajców rozeznać nie mogły. A choć w sercu wrzała miłość ku wielkiemu wodzowi, napój, bez miary użyty, nieszczęśliwe skutki na nich wywierał.

Na znak, dany przez Butlera, u wszystkich drzwi komnaty ukazali się zbrojni żołnierze z dobytym orężem, a wkrótce miejsce, gdzie przed chwilą śpiewy i lejące się zewsząd wino radość i wesele ogłaszały, zamieniło się na miejsce mordu i rzezi.

Jednak nie bez bronienia się padali mężni. Niejeden z walecznością się opierał, niejeden śmierć własną przeciwnika zgonem pocieszył, ale mała ich liczba wkrótce uledz musiała. Komnata, zasłana trupami, o ich wierności świadczyła i o przywiązaniu do wodza. Krew, pomięszana z winem, miecze, rozrzucone wśród puharów i stalowych naczyń, stawiały widok tem sroższy, że dwie w nim były ostateczności. Polegli, rozciągnieni na posadzce, oblani napojem i krwią własną, przypominali prawdę, że wesela i biesiady, pycha i okazałości tego świata kończą się na trumnie i że grób wszystko pożera oprócz nieśmiertelnej chwały. Ten z wyrazem męstwa na twarzy ściskał jeszcze pałasz w nieżywej ręce, jakgdyby i po śmierci nawet nie chciał ostatniego opuszczać przyjaciela. Drugi trzymał jeszcze złotą czarę w skościałej prawicy i zdawał się wzywać radość na miejsce wesela i godów. — Ale wszyscy głębokie mieli rany to w piersi, to w głowę zadane, z których krew się sączyła i oblewała cały pokój purpurowym potokiem.

Tymczasem Wallenstein w swojej komnacie zabierał się już do spoczynku. Samotny, nieprzystępny nikomu, przez

cały dzień pisał i układał w myśli zamiary i sposoby zaczęcia wojny z Ferdynandem.

Dumne widoki, obrazy sławy i nieśmiertelności, stawiała mu gorejąca wyobraźnia. Już widział swe sztandary, powiewające na murach Wiednia, już lud i kapłani, witając go z drżeniem, stali u stóp zwycięzcy. Tu znowu Ferdynand zstępował z tronu i oddawał rządy tych narodów własnemu wodzowi, pogardzonemu wodzowi, który podniósł się z zapomnienia i ciemności, mieczem zwycięskim rozstrzygnął w jednej chwili, czego ciągła od osiemnastu lat już wojna dokazać nie mogła. Najwięcej zaś działała na namiętności Wallensteina myśl, że pokaże światu, iż cesarz Niemiec nic nie może działać bez niego. Wystawiał sobie książę Frydlandzki zbladłego Ferdynanda, zdejmującego koronę, składającego berło, zstępującego z tronu naddziadów i żebrzącego litości u stóp tego, z którego tyle razy się naśmiewał. Pochlebiały takie obrazy dumie naszego bohatera, zemsta jego lubiła niemi się nasycać.

— Piorun mojej ręki zdruzgoce wrogów — zawołał z uniesieniem, przybliżając się do okna. Czasem odgłosy hucznej biesiady, odbywającej się u Butlera, uderzały go w uszy. Blask rażący setnych pochodni oświecał cały dziedziniec zamkowy. Wpatrywał się jeszcze w mieszkanie Butlera Wallenstein, kiedy okrzyki i szczęk broni dały się słyszeć. Pomyślał Wallenstein, że zapewne spór jaki wszczął się między biesiadującymi. Zawołał więc na żołnierza, strzegącego bram, pod oknem będących:

— Idź, Walterze, zobacz, co się tam dzieje i rozkaż im w mojem imieniu broń złożyć i zaprzestać kłótni!

Pobiegł Walter wypełnić rozkaz wodza, który sam się został.

Wtem usłyszał Wallenstein kroki po schodach i ktoś w klamkę uderzył. W tej samej chwili wypadły wybite podwoje z trzaskiem, a Lesle wleciał do komnaty. Blade

lica, najeżone włosy, pomięszane oczy wydawały okropny zamiar, a miecz zemsty błyszczał w jego prawicy.

— Lesle! — krzyknął z początku Wallenstein surowym głosem.

— Nie Lesle, ale Alan de Reichstal — odparł pułkownik — Alan de Reichstal, szukający przez wiele lat zemsty! Umieraj!

Wallenstein wzruszył się na ten widok, wzruszył się, widząc człowieka, którego obsypywał dobrodziejstwy, na jego godzącego życie. Ale to wzruszenie zamieniło się na wzgardę. Nie mógł się bronić bohater, stał osłupiały, bo nigdy nie myślał, żeby ręka śmiertelnika śmiała podnieść się na niego, który się sam tak wzniósł nad innych ludzi, który postrachem świat napełnił i ludźmi pomiatał, jak ziarnkami drobnego piasku. Nie wymówił żadnego słowa. Z początku szukał oczyma wiernego miecza, ale nie znalazł go nigdzie. — Rozciągnął więc ręce, jakgdyby chciał się rzucić w objęcia przyjaciela, ale zamiast przyjaźni spotkał żelazo przeciwnika i słowa: »Umieraj z ręki Alana!« ostatniemi były, które słyszał na tym świecie.

Wściekły zabójca rzucił się na Wallensteina i wydarł z drżących piersi bijące jeszcze bohatera serce.

Oblany krwią wyleciał z zamku i pędem błyskawicy przebiegł Egrę. Wdarł się na wzgórek, wszedł do domu ojca, spuścił się do grobu rodziny Reichstalów, niepewnym krokiem zstąpił w czarne otchłanie, drżącą ręką otworzył żelazne kraty i wszedł do cichego grobu. Stało tam naczynie z czarnego marmuru, przyniesione niegdyś z dalekiego Egiptu przez Adalberta de Reichstal, w nie złożył jego syn serce bohatera i, podnosząc urnę, klął przed Minną i u jej stóp ją postawił.

Zadnej zmiany nie zaszło w tem miejscu, poświęconem śmierci, od czasu, jak je Alan po pierwszy raz odwiedził. Jedna tylko osoba tam przybyła własnemi jego złożona rękami. Było to ciało Adalberta. Na wysokiem siedzeniu

obok Fatymy tu już od kilku dni spoczywało. Obrócił się do niego Alan. Ścisnął zimną rękę, przyłożył ją do ust drżących i cichym wyrzekł głosem:

— Ha! co? nie mówiłem, zemsta — jest zemsta, zginął!

Po chwili silniejszym zawołał głosem:

— A teraz cóż się ze mną stanie? Dla ciebie, o Minno, zostałem zbrodniarzem. Przyjm wydarte z jego piersi serce! Ale ja gdzież tułać się będę? Spada krew bohatera na mnie, obmierzłego Bogu i ludziom. Krew dobroczyńcy rumieni się na mojej prawicy, uciekać trzeba.

— Zatrzymaj się! — zawołał głos do pioruna podobny; obrócił się Alan i ujrzał męża zbrojnego, który powtórzywszy wyrazy: »Zatrzymaj się, Lesle!« — dobył oręża.

W pierwszej chwili pułkownik nie poznał przeciwnika, ale wkrótce rozeznał rysy Waltera. Walter bowiem, jak tylko zobaczył zabitych stronników Wallensteina i krwią zbroczonego Lesle, pośpieszył za nim, domyślając się strasznej prawdy, a chcąc się zemścić za ulubionego wodza, nie spuścił go z oka. Przybył za nim do domu astrologa, a kiedy Alan zapomniał zasunąć podłogi, która się na jego przyjęcie rozstąpiła, wszedł do grobu i usłyszał słowa wyrzeczone przez ostatniego z Reichstalów.

— Broń się, Lesle, czy raczej szatanie! — krzyknął żołnierz. — Jeśli wszyscy opuścili księcia Frydlandzkiego, przynajmniej mnie zdasz sprawę ze strasznej zbrodni.

— Broń się!

— Zabijaj — odparł, odsłaniając piersi Alan de Reichstal — zabijaj, a wyświadczysz dobrodziejstwo!

— Nie! — krzyknął żołnierz — nie tak poczciwy katolik postępuje, nie tak żołnierz Wallensteina. Dobądź miecza, a wtenczas Bóg rozsądzi, kto z nas ma słuszność!

— Dobrze! — dobywajac pałasza, rzekł Alan — pewno zginę, bo to ramię w krwi bohatera całą siłę straciło. Ale naprzód o jedną cię łaskę proszę.

— O żadną, zbrodniarzu! — zawołał Walter.

— Więc nie będę walczył — rzekł Alan i rzucił pałasz.

— Mów, mów — krzyknął żołnierz — co chcesz?

— Walterze, przysięgnij, że po zgonie ciało moje złożysz obok rodziców i siostry i że tym kluczem zamkniesz drzwi grobu i że nikomu nie wydasz tajemnicy, nie powiesz, że tu nasza rodzina spoczywa! Niech przynajmniej spokojnie to czoło, tyle przez ciąg życia skołatane, w tem ciemnem miejscu po śmierci spoczywa!

— Zrobię, co żądasz, przysięgam na Boga, ale zabieraj się do walki!

Podniósł oręż Reichstal i stanął naprzeciwko Waltera. Za trzeciem ułożeniem pałasz żołnierza aż po rękojeść zanurzył się w piersiach Alana. Upadł pułkownik. Walter ostatnią wolę wroga wykonał, a potem wyszedł z grobu, zamknął drzwi kluczem oddanym przez Alana i z rozpaczą w sercu odszedł od domu, w którym tyle nieszczęść przez pół wieku blizko się zdarzało.

Już dzisiaj niema domu na wzgórku, niema nawet śladu żadnego zabudowania. Ale mieszkańcy Egry twierdzą, że grób rodziny Reichstalów zachowuje się dotąd we wnętrzu ziemi i że tam Adalbert, otoczony rodziną, we śnie śmierci oczekuje na dzień, w którym trąba anioła, wskrzeszając śmiertelnych, ma uwieńczyć cnotę lub ukarać zbrodnię.

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO »GROBU RODZINY REICHSTALÓW«.

Str. 207. Tylli, ściślej: Tilly Jan — słynny wódz niemiecki z czasów wojny 30-letniej.

Str. 207. Eger (czyli Cheb) — miasto w Czechach.

Str. 208. Alchimista (właśc.: alchemista) — w wiekach średnich zajmujący się odnalezieniem t. zw. »kamienia filozoficznego«, zamieniającego nieszlachetne metale w złoto. Sztukę tę nazywano alchemią.

Str. 214. Horoskop — przepowiednia astrologiczna przyszłych losów ludzkich na podstawie układu ciał niebieskich.

Str. 225. Leitmeritz, czyli Lutomierzyce — miasto w Czechach nad Elbą.

Str. 247. Lesle (właściwie: Leslie) — postać historyczna.

Str. 261. Butler — Walter Butler, Irlandczyk — postać historyczna.

243

AGAJ-HAN.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

245

POŚWIĘCONE MARYI.

Bawił Samozwaniec w Kałudze z małą liczbą bojarów, lecz znaczniejszą Tatarów i dońskich Kozaków, przemyśliwając, jakby jeszcze utrzymać się przy tronie. Trafunek zdarzył, iż Tatarzy jego wpadli niespodzianie na rotę Polaków pod rotmistrzem Czaplicem i kilku wzięli w niewolę. — Zwątpiewającemu już o sobie człowiekowi najmniejsze powodzenie zwycięstwem się zdaje. Uradowany niem nad miarę, fałszywy Dymitr wspaniałą wydaje ucztę; po tej obwieszcza łowy, winem i miodem potężnie sanie ładować każe i, wyjechawszy w pole, na zamierzonej między sosnami równinie znów rozpoczyna gody. — W gronie otaczających go Tatarów znajdował się niejaki Urassow, niezbyt dawno z bisurmańskiej na grecką wiarę przechrzczony. — Ten, długo w łasce u Samozwańca będąc, kijem od niego obity i do więzienia wtrącony; — przywrócił go wprawdzie Samozwaniec do łaski, lecz nie wymazał tem pamięci poniesionej krzywdy — żądzy pomszczenia się za nią. Najsposobniejszą do nasycenia jej zdała mu się chwila obecna — zniósł się więc z Tatarami, obrażonemi również za zabicie ich caryka Kazimowskiego — a gdy Samozwaniec dużemi roztruchanami spełnia miody i wino, gdy rozchmielony traci wszelką przytomność, z pistoletem z tyłu przypada Urassow, strzela, rani, ucina mu głowę. — Inni Tatarzy ciało na ćwierci sieką, głowę kładą do sakwy i do Moskwy uwożą. — Boja-

rowie, widząc mord, uciekają. — Trzech tylko pachołąt polskich, słabemi siłami do ostatka broniąc nieszczęśliwego, dowiedli, że Polak odstępować nie umie. — Tak zginął oszust nikczemny i podły, w obyczajach rozpasany na wszystko, co niecne. Znaleziono w jego komnacie Talmud, guzy rzemienne do modlitw i biblię. —

Tymczasem Maryna, dowiedziawszy się o mordzie, zrazu nieszczęściu wierzyć nie chcąca, sama udaje się na miejsce, a znalazłszy rozsiekane tylko szaty i członki bez głowy, pełna żalu i rozpaczy, już nocą do Kaługi wraca. Wśród zgiełku i tumultu, z pochodnią w ręku, z rozczochranemi włosami, z obnażonem łonem przebiega hufce żołnierzy, a miecz przykładając do piersi, z przeraźliwym krzykiem woła o pomstę. Lubo Zarucki z 1500 Kozaków opowiedział się przy niej, atoli Moskale w Kałudze odarli ją ze wszystkiego i do więzienia wtrącili. Z więzienia taki list napisała do Sapiehy, starosty uświackiego:

»Wyzwólcie, dla Boga, wyzwólcie — dwie niedziele mam tylko zostawionych do życia; pełniście sławy, nabądźcie więcej, wybawiając nieszczęsną! — Bóg będzie wiekuistą zapłatą.

Maryna 1611 r.«

Posyłają bojarzy po Michała Romanowicza, syna metropolity Filareta i obierają carem.

W tymże czasie zuchwały, wyniosły, niezmordowany wódz Kozaków Zarucki, nie opuszczający widoków swoich, póki zostawał blask najmniejszej nadziei, Zarucki, mówię, po odstąpieniu Pożarskiego dopadł z kozakami swemi do Kołomny, tam zabrawszy Marynę (z którą niektórzy mniemają, że się już ożenił) i małego syna jej, mieczem i ogniem Razan i Peryasław pustoszył. Wszystko obracając w popiół, wszędzie krew rozlewając, zbliża się do Astrachanu, zdobywa go i wojewodę śmiercią karze. Wkrótce pomnażają jego potęgę kozacy z Terku. — Zuchwałość i szczęście człowieka wszędzie postrach rzuciło. — Oddalenie się Polaków dozwala Moskalom ogromne wojsko przeciw zuchwalcy wyprawić. — Zarucki, zbyt słaby, by się tak przeważnym siłom oparł, uchodzi aż nad rzekę Jaik, długo ścigany, schwytany nareszcie w tych bezdrożnych pustyniach z Maryną i jej synem — sam na polu życie kończy. — Maryna utopiona pod lodem. — Syn jej, mający tylko dwa lata, nielitościwie uduszon.

Niemcewicz »Dzieje Panowania Zygmunta III.«

Amor ch'a nul amato amar perdona.
Dante.

I.

Wieże Kaługi z daleka pod chmur zimowych nawałą coraz szarzeją, bo wieczór się zbliża. — Ale dosyć dnia jeszcze, by oświecić te wzgórki, śniegiem obciążone, które kołem okrążają równinę, z której śnieg zmieciony; a nie wietrzysko go zmiotło, ale ręka ludzi, by na gładkiej ziemi panu lepiej przy uczcie i winie się działo; naokoło gasnące ogniska.

Teraz już po biesiadzie; na stoły zastawione, na porzucone ostatki sączy się topniejący szron ze świerków i sosien.

Przeszła godzina godów, dziwne po sobie zostawując ślady. Płótna namiotów leżą na ziemi, czasem dysząc fałdami, kiedy wiatr pod nie się wkradnie — zagmatwane w ich sznurach i powrózkach siodła, rzędy, kufle, kosze, dzbany, a tu i owdzie na białem tle plama krwi, już sucha — znać, że od kilku godzin pije z niej powietrze — ale jeszcze nie czarna, dotąd czerwona, połyskująca — znać, że dzisiaj wylana.

Stoły jedne za drugiemi jak potężny wał się ciągną na owej zmiecionej dolinie. — Drugie rozrzucone, jak wyspy rozpusty, pomiędzy sosnami, które, idąc od wzgórzów nie gęstemi szeregi, stąpają, otrząsając śnieg z ramion, aż do tego rzędu stołów. Przed niemi, co zostało czystego miejsca

od boru, zachodzącego naprzeciw, to zawalone taborem wywróconych sani; a z tych sani sypią się na dół ćwierci mięsa, beczki miodu, beczki wina potrzaskane, skąd miód i wino już nie płynie strumieniem, ale czołga się skrzepłemi kroplami nad zamarzłemi bryły, z których barwy przebija dotąd barwa miodu i barwa małmazyi.

A naokół, w prawo i w lewo, jakby na pobojowisku, porzucone kożuchy, kołpaki, oręże, strzały; wbite w grudę, tkwią ostrzem, pierzem drgają za podmuchem wiatru. Sajdaki próżne, kubki z drzewa, czary miedziane, rzemienia od chartów i ogarów, sieci i pale, trąbki i torby; — a nad tem wszystkiem znowu plamy krwi gdzieniegdzie — i popiół szary i węgle, co, konając, sypną czasem iskrami.

Wśród tego zgiełku leżą ciała trzech pacholąt; — każdy padł inaczej, inaczej też leży — pierwszy z rozpłataną głową, z rozciągniętemi nogi, drugi z przeszytą piersią klęczy, jedną ręką przymarzł do ziemi, a plecy przymarzły mu do sani z tyłu — trzeci opiera się całym bokiem na grudzie, łokieć wparł w grudę, a czoło zwiesił na piersi. Na ich twarzach świeżość i młodość zestarzała się od bolu i od mrozu. Sine pręgi po szyi i licach, krew, ścięta od zimna, połyskuje, gdyby jakie hafty na sukni — a szaty ich polskie, a uzbrojenie ich lekkie świadczy, że jeszcze nie dorośli wieku do bechtera i szabli. — Roztłuczone klingi, jak szczątki zwierciadła, migają naokoło nich; złote rękojeście zostały w dłoniach i spoiły się z niemi mocno na zawsze. Ich palce, szronem okryte, kręcą się wokoło onych rękojeści, gdyby oprawy ze srebra — a musieli jednak potykać się dzielnie, bo ziemia poryta, i trzeba było dzielnego parcia stopy, by ziemię poryć tak twardą. Nie za pierwszą raną polegli, bo każdy z nich kilka ich liczy — ale żadnego wroga nie zabili, bo niema trupa, coby leżał naprzeciw.

Szata jakowaś mignęła wśród gęstwiny boru, słychać, jak podkowy nurzą się w śnieg, to o lód dzwonią. Przyjechały; — skoczyły na ziemię dwie postaci pośród zmierzchu

wiecznego w borze; — jedna została przy koniach, druga wyszła z drzew i stąpa dziarskim krokiem, aż dojdzie trzech pacholąt, stanie przy nich, czarne okręci oczy i namyśla się.

Szeroka szuba od szyi do stóp zakrywa całą, ale z pod sobolowego kołpaka pierścienie włosów, pod szubą nadymające się dwie fale, na licach gładkość, na ustach wdzięk i ponęta róży wydają, że niewiasta. — Z czoła sądząc i z pychy na niem, to mąż i mąż dużego ramienia.

Przeskoczyła trupy, które w grudę się zamieniły i szła dalej — aż tu nowa zapora ją zatrzyma: w szacie książęcej kadłub bez głowy; — głowy ni dalej, ni w prawo, ni w lewo nie widać — ale na ręce, odwalonej cięciem pałasza, świeci pierścień, a on dobrze znany jej, bo krzyknęła.

Był to krzyk nagły, głośny; znać po nim, że mowa z tych ust zwykle padać musi, jak tony muzyki — ale zarazem w nim odbiła się cała dusza: pełno zniszczonych nadziei — żądza niewstrzymana osiągnienia ich raz jeszcze. Był to krzyk królowej na ruinach swojego pałacu, wojownika na polu przegranej — ale nie żony nad ciałem męża.

Jak tylko ten głos doszedł boru, wnet rzucił się w pogoń dotąd stojący przy koniach. — Leciał, jak strzała, gdyby strzała mogła podnieść się, raz dotknąwszy ziemi, i lecieć znowu — przybiegł i, spozierając, klasnął rękoma, jak dziecię zazdrośne, kiedy widzi drugiego stłuczoną zabawkę — ale razem jak mściwy człowiek, kiedy zemście jego stanie się zadość.

Bo też w młodzianie owym było coś dziecinnego i strasznego zarazem — ani wdzięk dziecinny szkodził w jego rysach wyrazowi odwagi, ani też wyraz odwagi, choć srogi, nie psuł wdzięku młodości — oba mieszały się ciągle lub rozdwajały się, jeden nad drugim brał górą, chwilą później stłumiony wracał i odpędzał tamtego — a oczy jego były żywą tęczą uczuć, zmienną, jak opalowe połyski.

— Witajże mi — zawołał — panie tylu carstw i grodów i gródków — to mówiąc, wstrząsał głową, na której leżała misiurka, złotem okwieciana — potężny i wielmożny kniaziu moskiewski — i igrał z siatką żelazną, spuszczoną od misiurki na kark, ramiona i czoło — najjaśniejszy i niezwyciężony jedynowładco hospodarstw tatarskich — i przebierał palcami po szarfie zielonej, złotem ziarkowanej — panie i dziedzicu wszystkiej Rusi, Dymitrze, Samozwańcze, Zydzie — i tupał żółtemi bucikami z srebrnemi ostrogi — przepadłeś, jako należało się tobie, brzydki oszuście, z koroną na czole, pryszczami zasianem, na głowie potwornej z podłemi rysami, obmierzła duszo, rozpustniku, szalbierzu, opity winem i miodem, pełny mięsiwa i jadła!

To mówiąc, drżał cały od złości, aż łuk, przewieszony na plecach, zabrzmiał o miedź sajdaku, aż szabla starła się z ogniwami łańcuszka, na którym wisiała — a podczas tych słów głos jego przybierał rozmaite tony, przebiegał od słodkiej nuty dziecinnego śpiewu aż do grzmiących dźwięków surowego męża — to ostrym się stawał i zbliżał do świstu, ale znowu słabiał i znowu potem rósł w siłę, a przy końcu tak był okropny, pełny zawziętości i urągania się, że coś w nim podobnego do skowyczeń psa wśród nocy zimowej.

Dzierzyła oczy k'niemu niewiasta niby z politowaniem, niby z pobłażaniem, jakie się ma dla dziecka lub szalonego, ale na jej czole wiele się działo tymczasem — to śnieżna skóra wygładzała się, to marszczyła się w krzyże i kółka podług myśli, przelatujących w mózgu — znać zatem, że nieład i burza w jej duszy.

— Agaj-Hanie, podnieś tę rękę nieszczęśliwą i, zdjąwszy książęcy pierścień, oczyść go i oddaj! —

Gibko schylił się młodzian i porwał za rękę zbroczoną, ale, żeby pierścień wyjąć, musiał dobyć kindżału i popracować wokoło palców, szron odskrobać, krew skrzepłą rozetrzeć, skóry szmaty oderwać, a kiedy z palca sama

kość została, wtedy pierścień wysunął, rękę odrzucił daleko ze wstrętem, złoto i kamień tarł i gładził, dopóki nie zalśniły po dawnemu, i, zbliżywszy się do pani, ujął za dłoń i sam chciał wkładać, ale dłoń go odepchnęła, bardziej jeszcze spojrzenie. —

— Dobrze waszmości grać na cymbałach i kotłach gwoli naszej zabawie — ale Waszmość pamiętaj, kto jesteś, a kto ja!

— Kto jesteś? — zawołał Agaj-Han — myślisz, żeś wdową po dwóch Dymitrach, carową moskiewską, hospodarką ziem i księstw i miast? — Nie. — Jesteś dla mnie Maryną, piękną nad pięknemi, lwicą, panią pustyń mej duszy, gładszą od huryssów, w raju nam obiecanych, urodziwszą nad wszystkie święte greckie i łacińskie, panią moją, wyniosłą i hardą. — Takiej mi trzeba!

Ta mowa nie obruszyła wcale Maryny. — Spogląda w oczy mowcy, ni zmieniła się na licu, jedno wita każde jego słowo uśmiechem, jak pani, co dozwala paziowi żartować, czując się na władzy jego ukarania. —

Twarz Tatara skrzywiła się i z miękkiej, świeżej na chropowatą, nadętą się zmienia. — On poznał bowiem myśl carowej. — Mignęła zawiedziona namiętność w jego oczach, jak błyskawica, kiedy potrójnie się łamie, a, ręką szarpiąc futro na kaftanie, wydał krzyk, na który, zdawało się, że wprzód pęknąć jego piersiom trzeba.

— Wasza uprzejmość i miłość! Hej, lotny mój koń i brzęk moich ostróg i klingi ostrze i strzemion blask i buńczuka powiew i chmura kurzu, w której przelatuję stepy, jako duch i książę ich, lepsze dzisiaj, niż ten kadłub mroźny, ten pierścień marny, to imie carskie próżne, to wielkie państwo, co się rozleci, jak skóra na ciele po ukąszeniu padalca. —

A co mówisz o moich kotłach i cymbale, to, żeś nieświadoma tajemnic Samarkandy i Diarbeku — to, że ci dyament Salomona nigdy nie bił w zrzenicę, choć twoja zrzenica

jego blasku pełna — to, żeś nie słyszała rozmów pomiędzy świątobliwemi i mądremi. — Ale o tem później — teraz znaj mnie, jakim jestem, jakim byłem raczej kiedyś, kiedyś, nimem do Wołgi się dostał, nimem w Rusi greckiej i zimnej służby zapotrzebował. — Allah, Allah! — tak wołam zawsze, kiedy zaczynam mą powieść — bo Wszechmocny strzeże królów i królewskich synów. —

Oparła się o sosnę owdowiała pani przy ognisku palącem się dotąd, pod pokryciami z skór, ostatkami namiotu, wiszącemi na gałęziach — napół słyszy, napół myśl gdzieindziej lata, gdzieś tam ku Kremlinowi, gdzieś tam na tron carów się wspina po głowach bojarów. —

A on zapalony, niewstrzymamy, z czołem, na którem błyszczy tysiąc wspomnień i nadziei, nie już sługa Tatar na dworze Dymitra i Maryny, ale młodzian z krain południowej Azyi, marzeń ognistych rozhuśdany goniec, pustyń dziecko, promieniami słońca karmione, łowczy za tygrysem i lampartem, Farys z szczęśliwej Arabii, kochanek dziewic o czarnem oku i włosie, bohater w walkach na wielbłądzie i dżanecie, ciągnął dalej z żywemi poruszeniami, podnosząc głos jakby do śpiewu, ale śpiewowi nie całkiem folgując, by wyraźniejszemi były słowa.

— Na różańcu mego ojca tyle rubinów, ile tysięcy go słuchało, tyle dyamentów, ile miast pod nim; w haremie tyle dziewic, ile gwiazd na niebie, a jedna tylko królowa, blada jak miesiąc z oczyma jak szafiry, z rzędem pereł w kielichu ust różanych — matka moja.

Namioty ojca, jak fale wielkiego morza, bieleją na stepach, kiedy Azraela wezwie do boku. — Stada koni, hordami rycerzy obsiadłe, latają, gdyby Simumu wiry. — Złote ostrza spis tleją przy jego namiocie w nocy, jak zbiór gwiazd na straży, przy świętej jego głowie — a mnie, dziecku, zmiatają kurz z drogi czoła hanów i paszów, powietrze chłodzą wachlarze dziewic i brzmią u wchodu do życia poetów lutnie, wieszczby proroków, wśród chmur

z kadzideł, w ogrodach z róż, gdzie fontanny biją tęczami, gdzie motyle drogiemi kamieńmi, a kwiaty motylów kochanki, piasek złotem połyska i każde dźbło trawy nad szmaragd jaśniejsze. —

A kiedym wyrósł niemowlęciu nad głowę, klacz mi osiodłali emiry i strzemie srebrne trzymali, kark podstawiając pod stopę siadającemu — i łuk jednorożcowy mi dali, sajdak z kości słoniowej i strzały z drzewa róży z ognistym u ostrzów kamieniem. Każda z nich, lecąc w górę, była wschodzącą, spadając na dół, zachodzącą gwiazdą; i wypuszczałem roje gwiazd takowych z nad siodła z jedwabiu, jakby duch jaki, pan błękitnego przestworu.

A kiedym wybujać zaczął wyżej chłopca, sięgając już szyi ojca mego, wtedy mi lotnego dali bieguna, kolczugę, księżycami zasianą, i oręż farysowy; a miałem serce po temu, skaczące mi w piersi do bojów, jak mleko w łonie matki do ust dziecięcia. — Na polach, ananasami okrytych, zwarliśmy się nieraz — pośród kwiecia padały trupy. — Oh, ty nie wiesz, co to bitwa nasza. Chmury, patrząc z nieba, zazdroszczą nam i lotów i blasków naszych. Słońce wasze jest upiorem naszego; ono wre w środku błękitów nad Kaszmirem, nad Iranem, nad brzegami Kaspii, wokół Stambułu i jeszcze nad górami Krymu jak zrzenica samego Allah, jak koło z topiących się wiecznie dyamentów, których krople w promieniach leją się na nas i życia nam dają więcej, niż giaurom północy. — Drzewa, kwiaty, strumienie, fontanny, kopuły, wieże, pierza ptaków, grzywy lwów i koni, oczy dziewic i mężów zbroje tyle światła przejmują, iż świat mój wydaje mi się teraz chwałą nadludzką, patrząc na świat wasz, hurysso moja.

A skarby carów! Śmiej się z nich, harda pani — to błoto i kurz! — Ich korony naszych krymek nie warte. Ich kamienie nie warte kwiatku polnego na niwach Tekbiru. Z ich szat jaszczurki ruin Daldeku - by się przedrzyźniały.

Gąsienicę z nad brzegów Hindu okręć wokoło palca, a żywiej zajaśnieje od ich pierścieni!

O, chodź ze mną, pójdziem w kraje słońca, gdzie konie skrzydlate, gdzie powietrze jest morzem światła, każda chmura łódką kosztowności, powiew każdy aniołem woni, każda noc miesięczna dniem letnim najpiękniejszym, a dzień każdy objawieniem się Boga! —

Uśmiech uszczypliwy błąkał się na uściech Maryny, niepewny, czy usiądzie na nich, czy odleci, tak, jak zwykle w zadumaniu. Wtem odezwał się tętent — pędzą na dwóch koniach jeźdcy — młodzian rzucił ku nim spojrzenie sokoła.

— To Urassowa Tatarzy — zamordowali męża twego i wracają po ciebie. — Czekajno, hurysso moja!

To mówiąc, oderwał łuk od pleców, strzałę zarazem z kołczanu i nogę wyciągnął przed się. — Nagle, tak nagle, jak cień chmury, burzą pędzonej, odmieniła się twarz jego. Znikło pachole, marzące o kwieciach i słońcu. Dziki stanął, krwi niesyty mąż, dziedzic gengiskańskiego rodu, w postawie naddziada, kiedy pierwszy rzucał w grunt czaszkę zbroczoną, węgielny kamień wieży z głów pobitych nieprzyjaciół. — Biegną jeźdcy naprzeciw — z cierpliwością fakira dopuścił ich na śmiertelną metę; mógł był ich ranić oddawna, ale nie — on zabić chciał. —

Oko w piersiach przodem biegnącego utopił, a chwilą później i strzałę; odwinął rękę po drugi pocisk i ten przyłożył do cięciwy — bliżej mu jeszcze było do piersi drugiego; przez chwilę bawił się pewnością, iż go dosięże — palcami igrał po cięciwie, jak śpiewak po strunach harfy przed zaczęciem pieśni — wreszcie naciągnął ją, aż stęknęły rogi łuku, a Tatar zajęczał i runął z siodła pomiędzy sanie. —

Nawykła znać niewiasta do takowych obrazów; kiedy niebezpieczeństwo przeszło, zawinęła się w płaszcz i znów oparła o sosnę, bo jej potrzeba się namyślić, nim wróci do miasta.

W Agaj-Hanie mord obudził insze wspomnienia, dalej więc mówił, oparłszy się na łuku, ale już nie śpiewnie lały się jego wyrazy, zgrzytaniem zębów każde szarpał słowo:

— Tak, mój ojciec świętą położył głowę w bitwie z Dżarmidem na Kiafelu błoniach. — Darmo przez dziewięć słońc i dziewięć nocy, osaczeni, walczyliśmy, tako, że aż dyamenty pociły się na naszych turbanach. — Sułtan, padiszah, pan żyznych niw, han tysiąców, ojciec mój szablą zagiętą śmigał po karkach nieprzyjaciół, koń rączy podkowami srebrnemi deptał po trupach, na jego szatę przepyszną krew bryzgała, wszystkie na rękojeści kamienie w rubiny się zmieniły...

Patrzę dotąd na las z buńczuków w górze, na morze z grzyw końskich pod spodem, na spisy i dżyrydy, lecące wskróś powietrza, jak ogniste węże, na topazy, brylanty, szafiry, sypiące się na ziemię ze zbroi wojowników, na strzały, bijące w pióra hełmów i w mózgi pod hełmami, w złote hafty kolczug i w serca pod niemi. Dżarmida tłumy czarne, posępne, te stada kruków, bez blasków, jakie sieją ozdobne szaty; — my wracali z łowów — on nas, dawny wróg nasz, obskoczył i na brodzie przysięgał, że ojcu z ramion świętą głowę zdejmie.

W obozie z śnieżnych namiotów, w okopach, aloesami najeżonych, broniliśmy się w małej liczbie; nasze roty blaskiem swoim raziły hufce Dżarmida, bo każde ostrze spisy, każda buława i bułat każden nasz, nim piorunem spadł na wroga, wprzód błyskawicą świetności oczy mu oślepił.

Darmo — darmo! Zarazę nam przyniosły nieczesane Dżarmida tysiące; pot morowy sączył się z ich bród i włosów, jak z pryszczów gadziny. Jęliśmy więc umierać w szańcach pod niebem prześlicznej pogody, dniem i nocą. — Matka moja, perła wschodu, ptak najśpiewniejszy w gajach Hadyru, pierwsza głowę schyliła na piersi i ucichła. Ojciec w bojach się ścierał i ja przy nim, aż straż jego pomarła i, wróciwszy

raz do namiotu, trupy, oparte o sznury i słupy, zastaliśmy, a oręż z sinych wymykał się dłoni.

Eblisa oddech wiał po całym obozie; nie widać, nie słychać Diwa, którego on przysłał na naszą zagubę, bo ten duch złego ciche ma kroki i lekkie palce, jak mała dziewica: — do kogo rączkę przytuli, ten czuje zrazu niby atłasu dotknięcie lub draśnienie piór rajskiego ptaka, a potem oczy mu wyskoczą na wierzch, jak dwa ciemne topazy, krwią rzyga z ust i z nozdrzy, krwią własną się obleje i pada pośród jej fal kipiących. Prorok sam go już nie ocali!

Noc ciemna, hurysso moja — patrz — noc ciemna — sto razy ciemniejsza od tego zmierzchu, ale nie mroźna, nie pochmurna, gwiazdy wokoło księżyca brzęczą, jak pszczoły przy ulu! Zapach trupów miesza się z wonią kwiatów, bo kwiaty na naszych polach, choć kopyta je stratują i posoka je obczerni, jeszcze nie skąpią kadzideł.

Wrzaski dżermidowych grzmią w pobliżu, jak skowyczenia szakalów; we mnie i ojcu wre zemsta i chęć ostatniej rozprawy, w żołnierzach, niewolnikach naszych, serce drzy z bojaźni, bo już w słabej stoją liczbie nad zwłokami przyjaciół. Ojciec duma wśród trupów pomarłych sułtanek, bo matkę tylko moją uczczono pogrzebem — na insze nie mieliśmy czasu.

Płomień i dym, hurysso moja, płomień i dym, a płomień czerwony, jak tysiące krwią zaszłych oczów, oderwanych od czaszek, skupionych razem — dym tak czarny, jak azraelowe skrzydło. Rzeź i jęki. — Śnieg namiotów topi się w ogniu, perzyna lata po niebie, sama nie wie gdzie, jak stado przelękłych wróbli.

Biłem się jeszcze dżyrydem i szablą tej nocy, dopóki na spisie, przy pożarze, nie ujrzałem świętej głowy ojca. Schyliłem czoło i trzy krople krwi z niej spadły na moje włosy, ostatnie jego błogosławieństwo... Przeszli wrogi, nie spostrzegli mnie — wszyscy moi zginęli i leżeli bez ducha.

Zataczałem się po ich ciałach, może po ciele ojca, po ciele braci, ale nie wiem — szalał mózg pod turbanem w głowie, jakby po gęstych puharach opium. Dwóch jeszcze zabiłem, uchodząc z pola, ćwiertowałem ich członki, wyrywałem brody, aż wsiadłem na koń i puściłem się w stepy.

Hordy nasze, rozbite przez Dżarmida, już nie znają mnie. Tron mój runął — ale Allah strzeże królewskiego syna.

— Hurysso moja, to szalbierz, Żyd, oszust — zawołał straszliwym głosem, wskazując w stronę, kędy leżało ciało Dymitra — we mnie płynie krew przejrzysta, jestem potomkiem mocarzów Kiafelu — a ty piękną perłą, a ty konchą mojej nadziei na wzburzonych falach życia, hurysso moja!

Wdowa po dwóch Dymitrach wtedy, odelgnąwszy od drzewa, spojrzała z wysoka na mówiącego.

— Idź przodem Waszmość i potrzymaj konie! Wracamy do Kaługi, a podczas drogi oznajmiemy ci nasze rozkazy względem pogrzebu W. Kniazia.

Uniesienie młodziana skrzepło pod temi zimnemi słowy, a na twarzy rozciągnęła się niemoc, podobna do tej, którą każdy doznał, budząc się z marzeń na jaw rzeczywistości.

Lecz przemijającem było to osłabienie, bo jego dusza, wieczna zmienniczka, wszystkich namiętności i uczuć nierządnica, naprzemiany mdleć umiała i przychodzić do siebie. Teraz znowu w jego oczach igra płomień miłości nad iskrą zemsty, tlejącą pod spodem — i, pojrzawszy na Marynę, szedł, jako rozkazała.

Dumna pani zostawia za sobą zwłoki męża; ale na jej palcu błyszczy pierścień po zabitym. Jego połysk ma być jej pochodnią ku tronowi carów. Piękną jednak była w tej chwili, choć tyle pychy czernieje się na jej czole — piękna świeżością jagód, splotami czarnych włosów, kołyszącemi się w cieniu kołpaka, piękna rumieńcem mroźnym, co się wśliznął na lica, wzrokiem, w którym wdzięk niewieści słodzi nieugiętość męża, wreście spadkiem ramion i ujęciem

kibici, powagą całej postawy i nogą, której krok każden głęboki ślad zostawia w towarzysza duszy.

Ale darmo w niej szukać dziewczyny o powiekach skorych do zniżań, o uśmiechu cukrowym na ustach, o piersiach pełnych westchnień i nieopisanych żądz. Młoda porzuciła matkę, a od tej chwili to siedziała na tronie, to na siodle rumaka. Jej ni motyl, ni pączek róży, ni błędne wieczorne dumania, ni błędne nocne trwogi na myśli, ale państwo i berło, a czasami syn niemowlę, bo jużci jest matką.

Agaj-Han jechał z tyłu, przodem Carowa. —

II.

Pośród nocy setne pochodnie biją w zamek Carowej; potrząsają niemi zbrojne ręce. Dziwnie czerwone połyski biegną po hełmach i skrzydłach hussarzów, po kolczugach pancernych, po sajdakach Tatarów, czepiają się grzyw końskich i buńczuków kozackich, pieszczą się z bogatemi jelcami u szabel.

Lud ten cały na dziedzińcu krzyczy, to grozi, to woła i wita. Myślą, że białogłowę wrzaskiem zastraszą, o żołd wołają, o nadgrody, o rzędy na konie, o zbroje na mężów, o skarbów rozdanie. Dobra pora: męża Dymitra zabili, sama została — niech nam więc sypnie z krużganka kamieńmi z mitry carów, niechaj samą koronę nam rzuci, my toporem posieczem twarde złoto na sztuki! Hej, pani, hej, Carowo, hej, Dymitrowska żono, hospodarko nasza, a prędzej przybywaj, ukaż się nam i udaruj nas!

Zgiełk naokoło bram, zgiełk po dziedzińcu; tłoczą się ku drzwiom, ale tam mąż sam jeden stoi, a jego z tłumu żaden nie zaczepi — bo jemu z tego tłumu żaden nie sprosta.

On czasem potrząsa szyszakiem, jak lew grzywą, a szyszak ma lekki, który dzielnemu cięciu się nie oprze, lecz za to u pasa wisi szabla, co każde cięcie odbije i za cios niedoszły razem śmiertelnym odda — bycze barki marszczą się nad kształtnem ciałem, nogi nie prosto się trzymają, jak zwykle u tych, co częściej na koniu biegną i śpią, niż cho-

dzą i śpią na ziemi — jednak one potrafią i naprzód skoczyć i w tył równie giętko się cofnąć — w otworzystych oczach znać, że i do surowych i do namiętnych spojrzeń zdatne; pokrwawą teraz zaszły ich białka, czy to, że krew do nich bije, czy to, że w świetle pochodni pływają, a w zrzenicy pali się namiętność do boju i łupów i do wszystkiego, co rzuca człowiekiem po szlakach niebezpieczeństwa, u końca których śmierć go lub panowanie czeka. Lica osypane perzyną, spadłą od promieni stepowego słońca, na czole dwie blizny, a nad ustami wąs się jeży gęsty, czarny, ulubiony od wojownika, zapuszczony w pierwszym jego obozie, głaskany pocałunkami dziewczyn, w dniu bitwy zakręcany z chlubą, postrach wrogów, uśmiechów wesela i uśmiechów wzgardy nieodstępny towarzysz.

Na piersiach bechter — i znać, że piersi niezwyczajne takiej zbroi, bo czasem oddech ciężki z nich wyjdzie; one w kaftanie lub koszulce stalowej narażać się lubią, nie dbając o życie spotkawszy się z niebezpieczeństwem, tak, jak kochanek, kiedy zejdzie się z kochanką. U pasa wisi młotek; nim rozbija rycerz pętlice na zbrojach obalonych wrogów, by nie psuć klingi swojej po drodze ku ich sercu.

Ciągle milczy i przy drzwiach gwałt całej tłuszczy na surowem spojrzeniu wytrzymuje, a kiedy przystąpią, jednym znakiem dłoni, jednym wykrzyknikiem odrzuca ich od siebie.

Pośród wrzawy głos odezwał się z góry, podobny do przeciągłego gwizdu:

— Najjaśniejsza Carowa ukaże się wam niedługo — czekajcie! —

I młodzian o szarfie zielonej stał oparty na kracie krużganku; nie rzekł i słowa więcej, ale spozierał na żołnierstwo z uśmiechem czy litości czy goryczy, jakby urągając tłumowi. Może też i dawny zwyczaj przypomniał, kiedy wolno mu było z góry patrzeć na mnóstwa i pogardzać niemi.

— W szeregi się zewrzeć, zstępuje Carowa! — zagrzmiał wojownik od progu, a na ten głos wnet krzyki ucichły wśród szczęku zbroi i stąpań śpieszących na miejsca swoje.

Hussarze, pancerni, Kozacy, Tatarzy w porządku stanęli na podwórcu. Już światło pochodni nie łamie się wśród rozerwanych orszaków, ale po rzędach kirysów jednym, długim płynie strumieniem od jednej bramy do drugiej i na ostrzach dzid zapala płomyki, które błyszczą szeregiem, jak lampy w galeryi.

Jazda porozrzucana na skrzydłach, niewzruszone i konie i jezdcy, milcząca piechota, jedno szmer biegnie po rotach, podobny do szumu gałęzi, śniegiem obwisłych.

Młodzieniec znikł z krużganku i giermkiem przed Carową ukazał się u drzwi. Głębokim był pokłon, którym wódz uczcił schodzącą panią, ale też śmiałem spojrzenie, które na nią rzucił. W niem przebija ufność w własną siłę, obietnica obrony i nadzieja nadgrody nie w łupach i żołdzie, nie w łaskach, padających z wysoka, świetnie jak rosa, chłodno jak szron zimowy, ale w tych względach, któremi piękność osładza trudy walecznego rozkoszy puharem.

Maryna odpowiedziała także spojrzeniem, a więc mąż jął iść za nią z ręką na szabli, strzegąc jej kroków, jak ojciec, rozpływając się w jej widoku, jak kochanek.

A Carowa wyglądała tej nocy właśnie jak trzeba na drażnienie męskiego serca: na licu płonie od namiętnego oczekiwania, na czarnych włosach złota mitra się wznosi, tak kształtnie rzucona, że i jednego pukla nie zasłania i jej blaskom żaden pukiel nie szkodzi; płaszcz odpada od ramion, za każdym krokiem zsuwa się bardziej, już ciągnie się po ziemi — ale za to ramiona błysnęły z pod niego. Szata z nad piersi gwałtownem biciem tych piersi odsunięta, rąbek jeszcze został biały, przejrzysty, słaba opona przeciw rozhuśdanym oczom. I włosy też zwolna spływają w dół, na ramiona, na plecy. Oh, kto na nią patrzy, tej nocy długie zachowa wspomnienie. Statku i urody tyle na

tych licach, tyle hartu na czole, że marmurem wydaje się białym, a tyle ponęty, błagań, rozkazów na ustach, że zdają się liściami róży, drżącemi w powiewie — raz je wiatr mocny rozrywa, znów cichy głaszcze i spokoi.

A jako na panią licznych ziem i grodów przystało, obziera szeregi rycerstwa; czasem też łza spłynie z powieki, niby męża pamięć — to pamięć Kremlinu. Każdego wyniosłość zadziwi, płacz wzruszy. Pierścienie, rozwiązawszy się, lunęły deszczem czarnych włosów, który aż do stóp się spuścił — ona je, podjąwszy, pięć razy dłonią okręci i znów w czarne chmurki zepnie, które wiszą nad czołem, wreście zawoła w uniesieniu, odrzucając natrętne sploty od twarzy, przebiegając szeregi, to uśmiechem nęcąc, to wzrokiem z ognia burząc dusze, gdzieniegdzie sypiąc złoto i srebro:

— Nieszczęśliwej pomoc dajcie Waszmoście! Kiedy patrzę, ja biedna i nieboga, na tyle zbroi i oręża, jeszcze wzrasta we mnie serce; bo wiem, że Polak odbieżyć nie umie. Prawą jestem szlachcianką polską, Waszmoście, prawą carową waszą — i tu oglądała się na hufce Moskwy — ani wy siostry, ani wy pani swojej nie puścicie na śmiech u ludzi, na nędzę u świata! Wielki kniaź Dymitr legł pod żelazem zdrajców, ależ jam i syn mój zostali! On śpi w tych komnatach, niewinne dziecię, nie wie nic o losie ojca; uśmiechało się przed chwilą do matki, a ja mu obiecałam w duchu pomoc i tron należny. Nie odstąpię przeznaczeń boskich, które mi koronę na to czoło dały, by ją to czoło nosiło do grobu! A więc radźcie pomiędzy sobą, radźcie Waszmoście o was samych, bo ja, choćby jeden giermek tylko przy mnie się opowiedział, z tym jednym jeszcze pójdę ku bramom stolicy mojej!

Po tych słowach nagłym zwrotem ręki wyrwała szablę z pochwy Agaj-Hana i klingę obróciła ku piersiom. Zda się przy pochodniach, że wąż ognisty wspina się do tego łona.

— Pomścijcie mnie Waszmoście! Zemsty, zemsty za panią waszą! Tam poćwiertowane ciało leży w borze, tu pani

wasza, a na ostrzu tej szabli waży się jej życie; bo hańby i sromu krew moja nie znała nigdy, nie pozna i dzisiaj. — Ratunku, pomsty ja wołam po was!

I żelazo piersi dotknęło i ręką mocno ściska szablę; a nad tym obrazem śmierci na ustach w górze ulatuje uśmiech niewieści, uśmiech, jakim pierwsza niewiasta nęciła Adama.

Agaj-Hana twarz natężona, oczy wlepione w Carową; nie chce stracić i jednego jej słowa i jednego jej ruchu. Rozpływa się w milczącej rozkoszy i wzrokiem ssie jej wdzięki, jak pszczoła, nachylona nad kielichem kwiatu; może mu się zdaje, iż ten obraz marzeniem, co się stawiło na rozkaz wyobraźni, więc niewzruszony, we wschodniem letargu duma i szaleje. Drugi mąż nie dotrzymał niecierpliwości swojej — porwał za pałasz i mignął dwa razy kręgiem naokolo hełmu.

— Mołodźcy, hej, do mnie! Hej, do Zaruckiego! — Ja przy Carowej, a moi przy mnie!

To mówiąc, zbliża się do niej, wskazuje na szyki, co przybiegły, a oczy wyskoczyły mu na wierzch od namiętności, drzy barkami, drzy ramionami, już mu ramiona podnoszą się od piersi, zaokrąglają się pomimo woli, coraz bliżej jej kibici...

Uśmiech wdzięczności był mu zapłatą — on przestał na takowej teraz, a później inszej zażąda. Wraca Maryna pośród krzyków do zamku, huczy rycerstwo i wita ją swoją panią, potem rozbiegnie się po mieście. — Na dziedzińcu ciemność i milczenie, lecz tam, po ulicach, lecz owdzie, po rynkach, wrzaski i kłótnie, smolne ognie i kagańców błyski.

* * *

Komnata Dymitra nieboszczyka lśni się bogatym sprzętem. Zasłony u łoża, firanki u okien, obicia po ścianach błyszczą haftami, w framugach wiszą bechtery i karaceny, złotem nabijane, a z hełmów zlewają się pióra to białe, to czerwone.

Pośrodku stoi Maryna z lampą w dłoni, z błędnym wzrokiem. Zrana dziś jeszcze porwał się z tej ciepłej pościeli kniaź i zatrąbił na łowy — tu przed łowami jeszcze pił do swoich Tatarów, aż, rumiany od napoju, zataczając się, wyszedł temi drzwiami — już nie wrócił, już nigdy nie wróci!

Zda się jeszcze wdowie, że widzi na srebrnolitej poduszce twarz o srogich i nadętych rysach, oczy pełne chuci i bezwstydu, że słyszy, jak to ciało, rozmarzone po uczcie, przewraca się i pokoju znaleźć nie może, jako drze przez sen kosztowne nakrycia i futra, lub pada na podłogę i jak nieżywe się toczy.

Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Żalu zapewnie żadnego nie czuje, obrzydzenie tylko, a jeśli jaki żal doń się mięsza, to, że dwa silne ramiona odpadły od jej sprawy; może też przyszło jej do serca, że on był ojcem jej synaczka.

Waha się, niepewna, czy pójdzie dalej. Coś, zda się, ciągnie ją ku owym drzwiom, na pół rozwartym obok łoża, za któremi schody blade kręcą się i giną w ciemności. To postąpi, to się cofnie, a kiedy się nie cofa, to się zatrzymuje, gdyby wryta, z oczyma wbitemi w te drzwi, w te schody, dysząca, z rzędem zimnych kropli na czole.

Ale w jej męskiem sercu niedługa bojaźni przewaga, jakąkolwiek ta bojaźń być może. Więc, lampę dzierżąc przed się, weszła na schody i poszła niemi. Dziwne to przejście. Splotami węża wiją się stopnie, czasami w dół wracają, potem w górę się wspinają. Znać po kształcie muru, że się jest w okrągłej wieży — ale nigdzie okna, nigdzie strzelnicy, jedno grube ściany wszędzie, a czasami hak żelazny na promieniu lampy występuje z cienia, a schody wciąż środkiem idą, ledwo ścian się dotkną gdzieniegdzie, zresztą wiszą nad głębią czarną, z której dołu wychodzą szumy i głuche szelesty, niby to woda pieni się w bąbelkach i te bąble pryskają, niby to wiatr zakrada się pomiędzy ciasnoty i bije się z niemi.

Długo błąkała się Carowa, ale to jej nie odstręcza;

równym zawsze stąpa krokiem, trwoga z jej twarzy zniknęła, tylko została wola i ta ją dalej, coraz dalej, wyżej, coraz wyżej popycha. Błysnął zamek żelazny, błysnął łańcuch ze stali u stalowej kłódki — w murze czarnym drzwi się bieliły, a od ich kamiennego progu most, rzucony aż do schodów, wisi nad przepaścią, bez poręczy, cienki, drżący od kroków Carowej, choć dopiero doń się zbliża. — Cóż dopiero, kiedy na nim stanie!

Pojrzała raz tylko w dół i na mostek weszła. Ani wprzódy próbowała jego mocy, wysuwając nogę jedną, drugą na schodach trzymając, ani schyliła się, by ręką pociągnąć po nim, ale odrazu weszła, nie oglądając się z tyłu, ku drzwiom jedynie dzierżąc oczy; deszczka ugina się pod jej stopami, jak fala pod łódką, a jak pod falą jest otchłań, tak i tu dna niemasz.

Śnieżnemi palcami przebiera po łańcuchu, targa ogniwa — rdza została na palcach, nic więcej oderwać nie potrafi; a zatem dobyła z pod szaty długiego sztyletu o błękitnych żyłach, o niezłomnym harcie. Kilka razy uderzyła i łańcuch się przerwał — zawisł, jak długi, na klamce. Przypięła lampę do niego i obuma dłoniami bierze się do kłódki, a lampa, kołysząc się zwolna, kręgiem światła jej postać oblewa, lecz każdy promień, co się zapuści dalej, czy w dół czy w górę, skonać musi wśród cienia — ona jest wyspą bladego światła wśród dwóch otchłani ciemności.

I kłódka nie dotrzymała ciosom sztyletu, bo i ostrzem i rękojeścią tłukła w nią Carowa; drzwi otwarte. Dlaczegoż nie wejdzie natychmiast? Dlaczegoż przynajmniej stopą nie uchwyci się progu? — Wszakże niebezpieczeństwo dokoła, wszak belka coraz gnie się bardziej — już jęczy, bo blizka pęknienia! Nie — ona stoi i patrzy w ciemną komnatę. Blizką celu znów słabość napadła — i nie śmie postąpić, jak ten, co doszedł krat cmentarza i od nich wraca się nazad. Potrzeba jej było skoku, by się wyrwać z zadumania czy trwogi. Rozczuchrana, z pomieszaniem na licu, drżąca, przymrużając oczy, wpadła do komnaty i, podniósłszy lampę,

rzuciła wzrok naokół śpiesznie, błędnie; tym pierwszym wzrokiem nic nie zobaczyła. Dopiero po chwili zmysły odzyskała, a wtedy, kiedy spojrzała, wszystko zobaczyła: i ściany, ubrane w pajęczyny, strzelnic dwie i sklepienie, ostro pnące się w górę, ślady dymu po niem i piec żelazny, szerokie krzesła i stół dębowy z dwoma księgami, z krymką hebrajską, z guzami z rzemienia do hebrajskiej modlitwy. Pokój to skryty zabitego kniazia. Znać na kurzu podłogi stóp jego ślady, szata długa zarzucona w kącie, a na roztwartych księgach pismo niechrześcijańskie, ni greckie ni łacińskie.

Lampa wypuszczona runęła na posadzkę, nie zagasła jednak, owszem, żywszy blask na wsze strony miecie — a piękna wojewodzianka sandomierska załamała ręce w gorzkiej rozpaczy. Patrz na nią teraz, a ujrzysz nie dumną królowę, nie hardą panią, ale kobietę we łzach, marzącą o swojej młodości, o domu ojców, o szlachetnym rodzie, o polskich niwach, o pierwszej miłości, wśród niemych dowodów hańby i poniewierki!

Sprawdziły się podszepty ludzi, Agaj-Hana sprawdziły się słowa. O, patrz na nią teraz, patrz, jako urodziwa w swojej boleści, jako te lica stateczne, rozmiękłe od płaczu, świeższemi się wydają; wprzódy były świetnym ale suchym kwiatem, rosa czułości go teraz oblała, płomień oczu mgłą się otoczył i z za tej mgły milej świeci, jak promień słońca z za wiośnianej chmury, tak lekkiej, że się nie godzi nazywać ją chmurą!

Powieki spuszczone, piersi dyszą smutno, jak u dziewicy, która dotąd nie zaznała świata i z pierwszą boleścią spotkała się na świecie, ramiona opadły na dół z niemocy, ale nie wiszą, jak nieżywe, dotąd w nich jest zaokrąglenie pełne wdzięku; na czole pochmurność, która na łzy stopić się nie może, na czole pozostała duma, ale poniżona, cierpiąca Tysiąc wspomnień w tej chwili tłoczy się w serce, w serce niebogie Maryi, słabej niewiasty, opuszczonej, zdradzonej, przelękłej: i wspomnienie pierwszego męża dziarskiego, hojnego, któremu tak pięknie pasowała korona carów, i towarzyszek dzieciństwa i sadów ojcowskich, gdzie owoców i murawy siła, i kaplicy z grobami Mniszchów, gdzie dzwony tak smętne, gdzie modlitwa tak powabna za dusze przodków i szczęście rodziców; aż tu znów wali się przepych Kremlinu i ślub z błogosławieństwem króla polskiego i dary bogate i tłumy bojarów niewolników i wesele i pierwsza noc wesela z oblubieńcem młodym, walecznym, panem rozległej krainy; a potem — spiski i mordy! Ach, to nic jeszcze — więzienie i wygnanie — ach, to nic jeszcze — ale drugi ślub — drugi mąż! — Ach, to wspomnienie serce jej rozniosło na ostrzu swojem! I znów spoziera na biblią i talmud, na krymkę i szatę czarną; zadrżały kolana, usuwają się ku ziemi, rękę wyciąga, jakgdyby wzywała pomocy, mdło, mdło w piersiach nieszczęśliwej, już pada — wtem ją z tyłu ręka zatrzyma i śmiech szyderczy wróci do życia pychy i gniewu.

— Hurysso moja, a wszak moje słowa nie kłamliwe, jak rosa, co błyszczy zrana: w południe szukaj, a nie znajdziesz jej kropel. Ha, niewierny tu przesiadywał, modlił się pies, a ty jego żoną, ciebie w ramionach trzymał, twoje usta brudził swojemi! Hurysso moja — nie taki, nie taki mąż przystoi tobie!

Łez już nie było na jej twarzy ni rozrzewnienia w duszy — ale, choć obrażona, choć chciałaby karcić młodzieńca, nie może w tej komnacie rozkazywać. Tu służalec, tu giermek jej przewagę wziął nad nią, bo zastał kobietę tam, gdzie trza było jej, by zastał Carowę. Więc milczy i w powagę się stroi, czuje bowiem jeszcze wilgoć po licach i ostatek słabości w sercu. Chwili jeszcze jej trzeba, nim całkiem weźmie górę nad wzruszeniem.

Agaj-Han podniósł lampę i wprost ją trzymał naprzeciw pani; pałają mu oczy żywiej od lampy, na rysach migają uczucia, jak obrączka światła nad pianą potoku; klął Azyanin i, obie ręce w krzyż złożywszy na piersiach, zawołał, zaśpiewał raczej:

— Sułtanko moja, tulipanie piękności, żaglu biały na lazurowem jeziorze mej duszy, o rajski ptaku mój, niech zrzenicy twej piorun nie pada na mnie! Kroków twoich strzedz chciałem w tej pustej wieży, a zarazem jako goniec przybyłem. Hetman kozacki, Igor Sahajdaczny Zarucki, twoim rozkazom się stawił — czeka w sali zamkowej na ciebie, jako na wschód słońca.

Tu uśmiech szyderczy utkwił mu na ustach i dodał z przeraźliwym krzykiem:

— Szablę ojcowską uniosłem z pożaru i rzezi, a szabla to krzywa, do cięcia i do rąbania, z ostrzem bez miłosierdzia, z klingą bez skazy; piętnaście strzał noszę w kołczanie, a każda ma skrzydła, a każda ma żądło, którem ssać krew lubi. Dżyryd też w puściźnie mi został lekki, płytki, z pancerza i piersi pod pancerzem szyderca, a do tego i handżar u mnie, zimny jak wąż, śmiertelny jak wąż, ale bez dzwonków i, jak wąż, ostrzegać nie raczy. Hurysso, czy dosyć na jednego wroga? A teraz powtórzmy: hetman kozacki, Igor Sahajdaczny Zarucki, czeka na swoją panią.

Maryna nie odpowiedziała i słowa; nie wiedzieć skąd, ale przyszło do tego, że giermek zmusił ją do milczenia. W jego ruchach, rysach, w głosie, w odwadze pełnej urągania się, w zapale dziecinnym, w marzeniach wschodnich było coś urocznego — może i ten urok padł na Carowę; nie, żeby dopuścić go miała bliżej siebie, jedno znosi jego mowy i szały, jakgdyby upodobała sobie w jego dziwaczności. Kiedy zeszła do zamkowej sali, musiał Agaj-Han ustąpić — wyszedł, Zaruckiego żegnając wzrokiem tygrysa. Tajemną została na zawsze owej nocy rozmowa. Hetman wyszedł o brzasku, a poznał giermek na jego palcu pierścień, jeden z setnych pierścieni Carowej.

III.

Dzień mroźny z słońcem, które we dwójnasób się iskrzy, z śniegiem, co trzeszczy pod zbrojnemi stopy i wewnątz i zewnątrz zamku. Moskwa zamek oblegla, nie uznaje Carowej i wrzeszczy o Władysławie polskim, to o Szujskim, Moskalu, a huczy i burzą wali się na mury. Dwa działa przed bramą strzelają w bramę, w żelazne rygle i zawiasy, lecz mało dba o nie brama, jeno zadrży czasem, a potem znów niewzruszona nad głębokim rowem tuli do piersi most zwodzony, jak olbrzym małego pacholęcia.

Kiedy działa grzmią, strzały w milczeniu przelatują powietrze — kiedy działa umilkną, na nowo świstać zaczynają strzały, a wciąż dwie chmury ich, jedna naprzeciwko drugiej leci, ta z ulic Kaługi, tamta z murów zamku i z obu gęsta śmierć i rany się sypią.

A zamek dokoła obwiedzion basztami i wałem, u czterech rogów cztery wieże; tych najwyższa w głębi podwórca, otoczona galeryami, schody, z gotyckiemi i wschodniemi ozdoby, na pół twierdzą, na pół minaretem się wydaje, bo naokoło ścian, jak w kościele, wydłótowane świętych postacie i krzyże i róże, tu i ówdzie znów palmy i półksiężyce, dalej krużganki z filarami do zażywania chłodu w lecie, a między niemi rozrzucone baszty, skąd długo bronić się można, a gdzieniegdzie występuie przedsionek, na którym sterczą głazy, beczki smolne, przeznaczone głowom oblężeń-

ców; sam zaś wierzchołek haftem ze strzelnic obrąbiony. Lud wieżę tę »mongolską« nazywa. Na krużganku najwyższego piętra siedzi niewiasta, otoczona kilkuma dworzanami. Rysów nie znać w odległości, jedno połysk bije od kosztownej szaty.

Na murach, gdzie najsroższa walka, gdzie wre niebezpieczeństwo, tam widać męża, który uśmiechem rozkoszy go wita. Stąpa, jakby w biesiadniczej sali — nie raczył pancerzem piersi zasłonić — na kołpaku blacha bardziej świeci jak ozdoba, niż służy za obronę, ale ile razy skoczy lub podbieży, sajdak mu zadzwoni na barkach; z niego czasem wyjmuje strzały i puszcza łukiem — one celu nigdy nie chybią.

Wszyscy pytają się go o rozkazy, on potrzebą zawiaduje, jakgdyby festynem: urządza roty, owych posyła dalej, tamtych woła do siebie z twarzą pogodną, z otworzystemi oczyma.

Jak ryba, pluskająca w wodzie, w swoim żywiole, w własnej, kochanej, przezroczystej wodzie, tak on wśród krwi pląsa, wąsów podkręcając, podnosząc czoło, witając z uniesieniem wystrzał każden, każdy podlot dymu w górę, dowodząc i słowem i przykładem, zachodząc drogę śmierci i zmuszając ją do odwrotu, bo tam, gdzie się on ukaże, wnet rozbite nieprzyjaciół hufce od drabin, od baszt spadają w rów, aż woda kipi od ich spadających ciał.

Tak dnia tego dowództwo sprawował Igor Sahajdaczny Zarucki; czasami spogląda też ku wieży, ku pani swojej, pierś nadyma, oczy wyszczerza, zda się na chwilę, iż zapomniał o hukach, co grzmią wokoło, o walce, której sam jest częścią — ale to trwa przez mgnienie oka, przez jedno bicie serca, potem znowu poruczonej pilnuje obrony. — Mołodźcy ochoczo go słuchają, wielu już ich padło, ale reszta nie zważa na braci poległych; o pogrzebie pomyślą, kiedy walka minie.

Bitwa cały dzień trwała, a ku wieczorowi pomnożona

Moskwa górę brać zaczęła; uśmiechał się jeszcze Sahadajczny, nie już w radości, ale w goryczy męża, który nadarmo roztrwonił swe siły, który dzielnie się potykał, a nic nie zyskał, który długo jeszcze bronić się może, ale wie, że w końcu ulegnie. Kołpaki, brody, spisy, buńczyki tańcują pod murami zamku, skacząc do nich, działa rażą ciągłym ogniem — mołodźcom głodno, cały dzień nie jedli, nie pili; mołodźcom słabo, cały dzień walczyli, a trupów bratnich więcej leży na basztach, niż braci żyjących przechadza się po nich.

Wtem wśród bitwy ukazał się młodzian o czarnym hełmie z półksiężycem na szczycie, podobnym do półksiężyca niebios, zachodzącego w smutku nad cyplem skały, o tak lekkiej zbroi, że się gięła za każdem poruszeniem, iż nieledwo znać na niej muszkuły ramion z pod spodu, o krzywej szabli, która tłucze o zbroję z dźwiękiem srebrnego dzwonu. Bieży po murach, a kiedy trupy gdzie spotka, na palcach po nich przechodzi, jakby się lękał obuwia krwią zmazać, i skacze z zręcznością wiewiórki po łukach, dzidach, hełmach, rozsypanych tu i owdzie. Tyle wdzięku w jego podskokach, że do tańca podobne, bo raz w pędzie ślizga się po baszcie, to znów stąpa jak dziewczyna, a kiedy gdzie ciasne przejście, waży obie ręce i ciało w tę i ową stronę nagina i zdaje się lubo przysłuchiwać się chrzęstowi własnej kolczugi. Doszedł do Zaruckiego, który stał wśród trupów, jak król wśród poddanych, i obcierał pałasz z moskiewskiej posoki, by mu wrócić błyskawicę.

— Ej, Igorze Sahajdaczny Zarucki — zawołał — pani moja i twa, Maryna Carowa, każe, byś się do ostatniego potykał. Dobrze ona widzi z swojej mongolskiej wieży, że wam na ludziach zbywa, ale się spodziewa, iż na męstwie nie zbędzie.

— Giermku — odparł Zarucki, brwi marszcząc i rękę podnosząc do wąsa — próżny twój trud i próżne twe słowa. Bez nich jużem znał moją powinność i miałem jej dopełnić; wracaj więc, dziecię, chłopię, skądeś przybył, bo twój szy-

szak, kirys i szabelka na nic nam się nie zdadzą tu; tam na zabawę pani twojej zdać się na coś mogą!

Nie odpowiedział i słowa Agaj-Han, ale świdrem poszły mu oczy; porwał za łuk, naciągnął i strzałę puścił na nieprzyjaciół; warknęła struna, gdyby od palców olbrzyma, a pocisk przebił piersi jednemu z wodzów Moskwy. Pojrzał wtedy młodzian na hetmana wzrokiem zwycięzcy i oddalił się już nie skokami, ale poważnem stąpaniem.

Ktoby był patrzał na Zaruckiego wtedy, uniósłby się ku niemu zapałem; rzadszym otoczony żołnierzem, coraz dzielniej bronił okopów; wszędzie był, gdzie go trzeba było — zagrzewał i łajał — zachęcał i pochlebiał. Choć zwątpił o zwycięstwie, zdawał się pewnym zwycięstwa. Z pogardą spozierał na tłumy, garnące się ku zamkowi — ni pomieszania ni wątpliwości nie odkryje żaden w jego rysach. — Ciągle twarz spokojna, zdobna rumieńcem walki, oczy ognia pełne, ręka skora w prawo i w lewo uderzyć, zastawić się z przodu i z tyłu; to strzałę posyła dalekim wrogom, to szablą wita bliższych siebie, a kiedy gdzie stanie, a kiedy gdzie postawi nogę, zda się, że ta noga w kamień muru się wryła, bo stoi niewzruszenie, bo sam jeden przeciw kilku walczy i pozbywa się ich w miarę, jak nadchodzą po drabinach, bo, karkiem przenosząc i swoich i tamtych, i na chwilę czoła nie zniży, potu nie obciera — niechaj sobie płynie; krwi nie obciera — niechaj sama zasklepi moje rany; a rany nie ciężkie, jedna na piersiach, druga na lewem ramieniu, zbroję mu farbują. Boleść z nich drażni jego męstwo i do każdego ciosu miecza ciężar zemsty przydawa. — Napróżno! Bramy już wybite; po trupach swoich Moskwa rowy przeskoczy i na podwórzec się dostanie. Dziki wrzask, szalony gwar, szczęki i łoskot; nieprzyjaciele walą ku podwojom Carowej.

Poznał Sahajdaczny, iż zamku nie obroni.

— Rozsypcie się! — woła na mołodźców swoich. — Gdzie który może, niech ucieka, a jutro o białej zorzy bądźcie mi na koniach, przy broni, w Gorczakowym lesie!

Wnet z około męża znikli towarzysze; w mroku czernieją ich ciała, chylone, zawieszające się u strzelnic, czołgające po murach, aż wreście przepadną to za okopem, to za stosem trupów, to za rowem, to wśród nieuważnych wrogów, każde w innej stronie.

Zarucki sam jeden pozostał na murze. Przez chwilę spozierał na zabitą starszyznę wokoło bez żalu, bez litości, wrokiem, jaki się na powszedni chleb patrzy, potem pobiegł przez baszty i zakręty ku wieży, bo tam wołało go coś mocniejszego od powinności żołnierza.

Krótka ale trudna była droga. Sam ją odbywał, bo wiedział, iż jedno tym sposobem ujdzie baczności wrogów; walczyć musi co chwila z trupami, rozorywać ich gęstwinę, by łatwiej przejść było, zrzucać je na dziedzińce, na głowy wrogom, którzy tam krzyczą i hałasują z pochodniami, szukając wdowy po Samozwańcze, tu i owdzie przeskakiwać przerwy, od kul wyłamane, zataczać się po odłamkach pancerzów, hełmów i szabel — lecz im więcej przeszkód, tem srożej wre mu w piersiach chęć dostania się do wieży. Ciągnie go do jej szczytu siła niepojęta, która wszystko insze z mózgu ruguje: jeden tylko tam obraz pani urodziwej zawiesza i kołysze na falach krwi, do czoła bijącej.

Doszedł piętra, równego z murem, w tej samej chwili, kiedy Moskwa wybijała bramę dolną pod spodem. Ramieniem uchwycił się galeryi nad głową, odparł mur stopami, zawisł chwilę w powietrzu, na jednej dłoni dźwigając ciężar zbroi i ciała, drugi raz podskoczył i stanął na schodach. — Biegł potem na górę tak, jak zwykle biegał na koniu po stepie. Biegł, a czasami odwracał głowę, aż tu z okien zamkowych połyski pochodni tańcują na wsze strony, przez szyby znać to oręże, to kołpaki, na dziedzińcach u dołu czarna tłuszcza to pcha się ku wieży, to odstępuje, jak potok, odparty skałą, a wracający do szturmu na skałę, kagańce gasną, to znów się zapalają, iskry od nich sypią się na ziemię, dym bucha w powietrze, a niebo iskrzy się

gwiazdami, a księżyc jak bryła lodu wschodzi nad dalekim borem.

Dopadł ostatniego piętra, kiedy już kroki zbrojnych głucho rozlegały się po wieży, dochodząc od dołu, co chwila podnosząc się w górę. Tam w komnacie, strzelnicami za dnia, a teraz jedną lampą oświeconej, siedziała Carowa z berłem w ręku, z koroną na głowie. Dworzanie ją odbiegli. Dwie służebne panny, Polki, i jeden tylko Agaj-Han przy niej w tej stanowczej godzinie.

Z szablą dobytą, z obnażonem czołem, krwią oblany, Sahajdaczny rzucił się przed oblicze pani i wskazał znakiem, iż wszystko stracone, ale zarazem wzrok jego zapalił się ogniem, jakgdyby gońcem był zwycięstwa, bohatyrem wygranej.

— Toż Waszmość nie taki wypadek z bitwy zwykłeś dawniej donosić Wielkiemu Kniaziowi, ale wdowie wolno, jako słabej, nie mściwej białogłowie. Broń mnie Waszmość, dopóki kroplę krwi masz w żyłach, lub, jeśli bronić mnie odpadła cię już ochota, pożycz szabli i bierz naukę, jako polska szlachcianka walczyć za swe prawa umie!

Wypił ten puhar goryczy Zarucki z stałością męża przeświadczonego, że powinności dopełnił; nic więc nie odpowiedział, ale zastawił drzwi ciałem i rękę wyciągnął wśród ciemności nad schodami, czekając pierwszego, co się nawinie, ostrzem swojego pałasza. Śmiech szyderczy rozległ się z tyłu, a on wwiercił mu się głębiej w dumę, niż słowa Maryny, bo to był śmiech dziecka, śmiech Agaj-Hana. Tymczasem turkoty i hałasy się powiększają od spodu wieży, słychać następnie, jako schody jęczą pod stopami zbrojnych, jako rygle, zawiasy, podwoje pękają pod młotami, pod toporem — coraz wyżej nad ziemią, coraz bliżej do nich. Szukali Carowej po zamku całym, nie znaleźli — więc idą ku ostatniemu jej schronieniu, a z zewnątrz szum tysiąca głosów przebija mury i przylatuje konać u stóp Maryny, potem, kiedy coraz bliższy, już nie kona, ale, każdą wpadając strzelnicą, hasa w komnacie, o sklepienie się przedłuża, odbija.

Była to chwila milczenia, w której u każdego serce drzy, dreszcz biega po ciele, niepewność, co trapiła przez dzień cały, zamienia się w konanie, które męczy piersi, oddech przerywa, coraz mocniej, coraz mocniej ściska za gardło, a słabe mózgi wszelkiej myśli pozbawia. Kto w takiej chwili zachowa przytomność i odwagę, kto jeszcze zdoła szablę trzymać, jak zazwyczaj, bez omdlewań bojaźni w palcach, bez dławień rozpaczy wokoło rękojeści, kto ni oczów nie przymruży dla uniknienia widoku, ani ich wyrzuci na wierzch, jak szalony, by patrzeć bez zmysłów, ten jest mężem okrom wątpliwości. Takowym ukazał się Igor Zarucki. Z nogą naprzód podaną, z wyprostowanem ciałem, z pewnością, że pierwszego i drugiego zabije, z pewnością, że potem sam legnie, a może i z ufnością w zwykłe szczęście, z pałaszem w dłoni, jakby pałasz i dłoń jedną kością były, z lekką paiżą w lewej ręce stał w podwojach, zasłaniając komnatę całą, i zdawało się po jego wzroku wyniosłym, wyzywającym niebezpieczeństwo z cienia, że w sercu żołnierskiem ta chwila jeszcze rozkoszą była. Na licach Maryny zaczyna się słabość niewieścia przebijać. Jej towarzyszki, klęcząc, wzywają Boga w pół otwartemi ustami, z których żaden głos nie wychodzi. Szczęśliwe, jeśli jeszcze jaka myśl dotąd żyje w ich duszy. Agaj-Han dobył szabli i handżaru, potrząsa księżycem na głowie, to spojrzy na panią, to na Igora i wahać się zdaje.

Jakieś straszne myśli krążą mu po mózgu, bo na rysach wystąpiły zewsząd zmarszczki wokoło ust, od skroni na jagodach; w pełni padają jego spojrzenia na Carowę, zukosa na Zaruckiego, z uwagą śledzi połysk sztyletu, zatkniętego u łona Maryny, z uwagą pilnuje, izali Sahajdaczny nie odwróci głowy — a tu coraz bliżej, coraz bliżej huki i gwary wrzaski; podobno jeszcze jedne drzwi do wybicia, a potem tłuszcza wrogów zwali się do komnaty.

Już biją o tych drzwi podwoje, słychać, jak piła wgryza się w belki, jak topór kowadli o rygle; w podwojach, znać, już dziury wytłukli, bo kagańcowe połyski już biegną po ścianach, jeszcze słabe, jeszcze błądzące, ale coraz pełniejsze.

Śnieg bojaźni zwarzył róże na licach Maryny. Ostatkiem dumy wiedziona, powstać chciała; nie powstała — na krześle opadła, schyliła czoło, korona runęła na posadzkę i, tocząc się, pobiegła ku drzwiom, minęła Igora, na schody zbiegła i, pędem z stopnia na stopień zlatując, brzmi głucho, jak kamień, co spada ze skały.

Cichaczem zaśmiał się Agaj-Han i raz jeszcze miłośny wzrok rzucił na Carowę, piękną w swojej niedoli; potem skoczył, gdyby dzikie zwierzę, z handżarem wyżej głowy, w równi z półksiężycem na helmie, i stamtąd go spuścił na kark Zaruckiemu. Nie wiedzieć, jak poszło żelazo, czy głębią, czy płazem, ale Sahajdaczny upadł na ziemię, jęk tylko jeden wydawszy; jeśli ich więcej wydał, utonęły we wrzaskach następującej Moskwy, która po ciele mu przeszła.

Tymczasem giermek złożył pocałunek na skroniach zemdlałej Maryny i, stanąwszy przed nią, zawołał: »Macie, czego szukacie — bierzcie i prowadźcie!« — ale w tej chwili dziecinne miał rysy i w oczach dwie łzy dziecinne.

Jemu nic się nie stało — ni go w powrozy spętano, ni tknięto żelazem; ale Marynę bez zmysłów, jakby senną dziewicę, porwali i znów potokiem zeszli na schody, niosąc ją w zdobyczy, zlali się na dziedzińce. Czuwał nad nią Agaj-Han, czuwał, jako dziecko czuwać może: westchnieniem i płaczem, stąpając za nieprzyjaciółmi

Kiedy oddaliła się ta burza, kiedy już ni szczęku broni, ni świateł pochodni nie było w pustej komnacie o jednem tylko, przed wejściem leżącem ciele, krwią oblanem, ono ciało zaczęło jakby z letargu się budzić, palcami słabo ruszać, rozmazując krew własną na podłodze, nogi wyciągać, to mocniej oddychać, jakby dla zrzucenia ciężaru z piersi,

to się podnosić, aż, znów opadłszy, przez chwilę jako martwe leżało.

Walka to była między życiem wracającem a śmiercią, nie skorą do ustąpienia, walka długa, bolesna, odbyta pośród ciszy, targająca każdą żyłę rannego. — Kiedy wreście młodość i siły przemogły, oparł się na łokciu i spojrzał naokoło: już krew nie płynie, znać, że handżar nie dopełnił zlecenia Agaj-Hanowej ręki, a że, przywykły do omdlewań z zadanych razów, nawykł i budzić się po nich, powstał natychmiast, z troskliwością ojca o dziecię szukał szabli i podjął z ziemi, potem uszy natężył i dalekim szumom pospólstwa się przysłuchiwał.

Żal jakiś przyćmił mu czoło, ale nie trwał długo. Postąpił ku oknu i, słabą kratę wyrwawszy, spojrzał w dół: na dziedzińcu pod nim i pusto i głucho, na dalszych huczno i płoną pochodnie. Nie namyślał się długo, nie raczył ręką sięgnąć do rany, bo czuł, że nie śmiertelna, ani się też wahał, jako zwykle czynią ludzie, stojąc nad przepaścią, ale wdarł się na okno, dobrze znajomy wieży, zaczął spuszczać się po niej, obuma ramionami trzymając się gzymsów, krat, ozdób, filarów, poręczy, nim nogami natrafił na jaką posadę, a wtedy jej chwyta się rękoma, inszej, zawieszony wśród ciemności, szuka w dole stopami. Tę gdy znajdzie, o całe ciało niżej zstępuje, bez trwogi, bez zawrotu głowy, pewny śmierci, jeśli o cal chybi, urągając się z niej, bo wie, że o cal nie chybi, bo tak wczesnego zgonu nie dozwoli mu Bóg, gdyż stepy go jeszcze potrzebują i koń żarłki rży za nim i braci młodzców tysiące czeka na niego i w ramieniu czuje jeszcze sił dosyć na zdobycie państwa, a w sercu miłość ku urodziwej pani.

IV.

Świat słyszał o ludziach, nad któremi zapadł kamień grobowy więzienia — którzy z razu płakali i jęczyli, później do jarzma przywykli, słońca żałować zapomnieli i zasnęli snem myśli na resztę dni swoich, budząc się czasem, by ugryźć kawał chleba, by wodą popić go mętną i potem znów wpaść w letarg pośród milczenia i ciemności, zaprzyjaźniwszy ucho z brzękiem własnych łańcuchów tak, że przy nich im zasypiać tak dobrze, jak przy szmerze strumieni, jak przy szumie borów, jak przy pieśniach mamki dawniej.

Ale oni już znużeni trudami życia dostali się pod czarne sklepienie, nieraz krew z ran im płynęła, nieraz duszę przygniotły frasunki. Mieli może wstąpić do klasztoru, kiedy ich wróg wtrącił do więzienia. Tam na pościel ze słomy padli, a ciężar przeszłości gniecie ich w piersi tak, że wstać już się odechciało. Nadzieje i zamiary umarły w ich duszy, a ten oddech chrapliwy, co się nad ustami unosi, jedynym śladem jest życia, długo trwonionego na polach bitew, w radnych kołach, w samotnych komnatach, gdzie się sami męczyli z swojemi przedsięwzięciami, które stawały wtenczas przed niemi, jako duch Cezara przed dumającym Brutusem. Lecz dziś oni pragną tylko ciszy i snu, a zatem sen i ciszę mają.

Lecz młodej, hożej nad hożemi, cóż wspólnego z kratą u okien, z hakami w ścianach, z kajdanami, wiszącemi

u drzwi, z nudą i pustynią więzienia? Głowa obnażona z korony, ledwo szubę zostawili, by zakryć się od zimna, już na palcu pierścień carski nie błyszczy, dzięki im jeszcze, że obrączek żelaznych na dłoń nie wkręcili; w pośmiewisko obok na stole berło drewniane położyli; ni katolickiej książki do modlitwy nie dali, ni towarzyszki żadnej nie przypuścili do boku — zamknęli w długiej, ciasnej izbie po złoczyńcach i Tatarach. Rzędem na ścianie znać kółka, do których przykuci doczekali się zgonu, wokoło znać ślady ich paznogci, ich palców, które w szaleństwie, długie lata pracując, wydrążyły dołeczki na jedną kroplę wilgoci, na schowanie dla jednego pająka. U dołu na kamieniach bieleje kilka czaszek, z których każda siedzi sobie wśród grona kości, osypanych prochami. Kątem ostrym wiąże się u góry sklepienie, przynajmniej tak się domyślać, bo w połowie ścian poczyna się ciemność i ta zakrywa resztę lochu. Jedno tylko okno strzelnicą wykute w murze; kraty w nim tak gęste, jak druty w przyłbicy rycerza, a promienie słońca, które się odważają przejść za nią, bledną i, niedługo pobywszy, cofają się nazad.

Wieczorem strażnik wchodzi, lampę zatleje, jadło przynosi i, naszydziwszy się do woli, odstępuje. Zaczynała teraz roziskrzać się lampa, wisząca na łańcuchu, jeszcze nie ustał w niej ruch, kołysała się, ale coraz wolniej, coraz płonąć mocniej, za słaba na oświatę lochu, w pełni jednak świecąca nad twarzą Maryny.

Nie zgasły oczy, nie zwiędło czoło, jedno w oczach i na czole znać boleść, nie tę jednak, co odbiera hart duszy, ale ową, co myśli natężenie podwaja, podobną w umyśle do tej, która w ranach ciała gorączkę odwagi zapala i ramie, krwią zbryzgane, zaciętszem na karki nieprzyjaciół czyni. Bo też w Marynie nie patrzeć szlochów i niewieściej słabości — większego domiaru nieszczęść trza na duszę tak hardą, by pękła pod niemi.

Łagodne, dziecinne uczucia, które nie odstępują nigdy

białychgłów i w dojrzalszym wieku, mało miejsca zajmują w niej. Tkliwość matki jedno czasami się ozywa; o niemowlęciu swojem marzyła długo w samotnej wieży, ale nad obraz jego kolebki obraz tronu carów się wznosi, opuszczona kolebka u stóp jego się kołysze, ale on tak wysoki, że ledwo już jej dojrzeć można. Jednak nad wszystkie przeszłości i przyszłości obrazy jeden ponętniejszy umilał jej tęskność więzienia. Młodzieniec to hoży, w skromnej sukni klęczy u stóp jej w ogrodzie ojcowskim; wieczór się zbliża, gaje i sady mruczą od powiewu letniego, naokół widok na niziny i zielone wzgórza, ona zapłoniona, bo jeszcze z niej młodziuchne dziewcze — rękę mu puszcza między ręce, nachyla się ku niemu, sama nie wiedząc dlaczego, łzy rozczulenia kapią z jej ócz na włosy młodziana. Pachole to nieznane nikomu, na dworze pana Sandomierskiego się chowa, mało mówi, zda się marzyć o tajemnicach, zda się często ku przyszłości ciskać ogniste spojrzenia, jakby ta przyszłość miała być inakszą jemu, niż ludziom, z któremi przestaje; z męstwa słynie na łowach, z dowcipu i uprzejmości doma, a córę wojewody ukochało i tak czarownie pierwsze słowa miłości do niej wyrzekło, że ona od matki i pań ucieka w głąb sadów, pośród zarośli idzie za przewodnikiem i nad klęczącym nachyla się w czułości i nabożeństwie. A on, kiedy uczuł blizkie jej tchnienie, zarzucił ramiona na szyję i, usta wlepiając w usta, przycisnął do piersi. Zawstydzona, oburzona, chce się wyrwać i przeklinać jego, ale on jej krzyki uciszył, łzy wstydu zatrzymał jednem słowem, od nikogo wprzódy nie słyszanem: »Ja carować będę«. —

Te pierwsze chwile miłości, wracając do jej pamięci, wonią niw polskich ją teraz owiały — i jagody rozmiękły od żalu za pierwszym Dymitrem. Tysiąc zamiarów, nadziei, zwątpień krąży po umyśle; liczy bitwy, których konieczność, nim do Moskwy się dostanie; ani raczyła wspomnieć i swoich i swojego rycerstwa. Nie na to mocarze bliżsi Boga, by pamiętali o niższych ludziach; a im dalej było jej kiedyś

do tronu, tem szerzej jego przywilejów chce użyć i władzy. Niedaleko i Rożyński książe i Sapieha uświacki z pancernemi roty; oni zbiegną jej na pomoc, bojarów powalą na ziemię, by padli na twarz przed prawą carową — nie wątpić, że i Sahajdaczny już gromadzi swoich naokoło miasta... Ale gdzież on zniknął tej nocy, w której słabość niewiasty przemogła nad statkiem królowej? Czyżby jego słowo i jego spojrzenia zarówno kłamały? Dostojny to mąż, urodziwej postawy, wąs dziarsko opędził mu usta; w godzinie niebezpieczeństwa widziałam go nieraz i pamiętam rysy jego, kraśne odwagą — żaden z polskich rycerzy ni z moskiewskich bojarów nie zrówna jemu w dzielności. Głębokie on nosi piersi pod zbroją, a w nich dosyć miejsca na państwo całe; ubiór jego strojny zawżdy i rycerski, połysk jego pętlic lata mi teraz przed oczyma — i rękojeść wytworna u bułatu — i na bechterze rysunki ze stali, gdyby hafty panieńskie z jedwabiu.

Tu znów myśli inszym udały się szlakiem, posępniejszym, bardziej męczącym: o rusztowaniu — truciźnie — sztylecie. Zaczęły jak mary chodzić po jej duszy — aż dopóki późna godzina nie uśpiła oczów. Duszy całkiem uśpić nie mogła. Patrz na leżącą na twardem łożu, prętami żelaznemi podbitem! Licha pościel i brudne wezgłowie, obok piec żelazny, w którym dogorywają rude popioły. Twarz jej tylko i pierś oświecona, reszta kibici zanurzona w cieniu, jako i całe więzienie, oprócz kilku kroków przed lampą i kilku kroków za lampą.

Do takiejże to łożnicy przyszła córka Mniszcha z Wielkich Kończyc, wojewody sandomierskiego, lwowskiego, samborskiego, medenickiego starosty, carowa moskiewska!

Od wielu dni nietrefione włosy spływają aż na posadzkę, to, w tył odrzucone, snują się na poduszce w cichej swawoli, to u skroni zawisły, to zbiegły do szyi, to dalej jeszcze czarne zagony zapuściły aż na piersi, a teraz leżą niewzruszone, tak, jak każden splot i pukiel ułożył się w chwili,

kiedy zasnęła. Z pośród owych ciemnych ram lica jej wypukle przebijają, bardziej jeszcze blademi się wydając; na ustach krąży ciągle niby pół westchnienia, niby oddech żałośny, ale tak słaby, tak nieznaczny, iż chyba go kochanek zrozumie. Powieki rąbkiem długich rzęsów zasunęły się nad oczyma, jedno zadrgną czasem, na licu znać sen, ależ zarazem znać, iż coś z nim walczy w głębi ducha. Tak śpi oblubienica przed zamęściem, matka przy kolebce słabego dziecięcia. Tak spała Kalpurnia dniem przed śmiercią Cezara.

Późno już w noc zdało się jej, iż wpadła w sen o dźwiękach harfy czy gitary, czy strun jakichkolwiek i o śpiewie znanego głosu. Skądże z pośród tylu ponurych marzeń przyszło jej niespodzianie marzyć o muzyce i pieśniach? A one tony nie brzmią posępnie, nie zwiastują ni pogrzebu ni bitwy, owszem, melodyjnie płyną wokoło, a co dziwniejszego, ona każdy z nich, gdyby na jawie, rozeznać potrafi.

I coraz pełniej jej uszy nabrzmiewają owemi dźwięki; oczu dotąd nie otworzyła, ale myśli jaśniej krążą już po mózgu, choć im jeszcze brakuje związku, choć to jeszcze gwiazdy, błyszczące mgnieniem oka, a gasnące bez powrotu.

Leżałaby długo w tem zawieszeniu między snem a życiem, zdjęta rozkoszą cichego zachwycenia, gdyby dźwięki wciąż równie słodkie, równie harmonijne były — lecz wzniósł się z pośród nich ton jeden głośniejszy, ostrzejszy, w niezgodzie z towarzyszami, podobny do krzyku, który, konając, na jęk się przemienia.

Wzdrygnęła się, podniosła się nagle, a teraz dopiero wydało się jej, że snem zdjęta i na to, co zobaczyła, jak na sen patrzy.

Blaskiem złotym i błękitnawym goreje komnata — pierwszy raz jej sklepienie całkiem otrząsnęło się z cienia. Wśród tego dżdżu jasności stoi młodzian z hełmem i lampą na hełmie, z której buchający płomień starczy na całą przestrzeń więzienia, w dłoniach trzyma naczynie rażącego

poloru, z strunami i kulkami, laseczką po nich przegrywa, czasem o boki naczynia uderzy, a wtedy słychać, jakby rozdzierające stękanie; ubiór dziwaczny składnie leży mu na ciele: kaftan to wschodni, zielony, posypany srebrnem ziarnem, pas z tyftyku i szarfa takoważ, kindżał, sadzony kamieńmi, a nad tem wszystkiem suknia szeroka, przejrzysta, niby muślin, niby mgła, tak jasna, jak wyziewy przy słońcu, w rozmaitych fałdach osuwająca się na dół, pełznąca w górę, kształtnie wisząca u ramion, rozsuwająca się nad piersiami, jedno że i greckiej togi i kastylskiego płaszcza i tureckiej delii wszystkie łączy powagi i wdzięki. Przysłuchuje się, przypatruje się Maryna - owóż on tak jej przyśpiewywał:

— Gdzie niewolniki moje? Już nie stąpam po posadzce z ich karków. Gdzie hufce, którym kiedyś mówiłem: »Zaćmijcie słońce, bo ono mnie pali!« — a wnet z tysiąca kołczanów podnosiła się chmura i, lecąc jak szarańcza, przesłaniała słońce! Walają się ich kości na Kiafelu błoniach...

— Daleko mi do mojej krainy, matki kwiatów i kadzidlanych drzew, daleko do nadbrzeżów, osutych konchami, zarosłych koralem — do piaszczystego morza, na którem żaglem moim bywał namiot biały, tratwą grzbiet wielbłądzi, a łódką siodło rumaka — do miast, gdzie minaretów wieże równe w liczbie sosnom waszych borów, błyszczą wiecznie jako wasze siostry wtenczas, kiedy je zachód oblewa — do nieba o krzyżujących się meteorach nad głowami ludzi, jak u was krzyżują się chmury, o burzach, którym przywodzą Geniusze na Simumu wirach, potopem błyskawic zalewając powietrze, piramidami ze żwiru najeżając pustynię.

— Już mi nawet język rodzinny, język mój cudowny, w którym Allah upodobał sobie, omdlewa w pamięci. Gruba niewiernych mowa osaczyła me uszy dokoła sieciami. Zapomniałem wzdychać serdecznie do proroka, w jednym słowie zamykać zapał duszy — krótsze u was oddechy, ani starczą wam płuca na uczczenie Boga, nie umiecie się wyrywać ku Niemu. My to, my to zdołamy marzyć o Nim i o raju, długo,

świętem natchnieniem przejęci, a wtedy nie miałkie, nie krótkie słowa z ust nam wychodzą, ale przedłużone, pełne pożądliwości ku tym drzewom nieśmiertelnym i niewyczerpanym fontannom, obiecanym po zgonie. — Matka mi umarła, czasu na łzy nie było — ojciec poległ, nie płakałem, lecz przysiągłem zemstę; z szacha spadłem na giermka — nie żaliłem się dotąd nikomu — ale teraz, kiedy zapominam mojej mowy, płaczę, płaczę, hurysso moja! Czuję codzień więcej słów zagubionych na zawsze. Ich wspomnienie trapi, jak mara kochanki dalekiej, której nie ujrzę już nigdy, której twarz mgłą mi zachodzi, a którą kocham jeszcze...

— Wieczorem, kiedy zasypiam, krążą jeszcze po moim mózgu — rankiem, kiedy się budzę, już odbiegły od pamięci mojej. Walczę, jak mogę, nie chcąc myśleć po cudzemu, a wasza mowa wdziera się do mej głowy, wypycha ostatki dawnej, podchwytuje każdą myśl i ubiera w swoje barwy, śmiejąc się z moich żalów i oporu. Jedne po drugich mrą drogie pamiątki; jakaś tam przepaść jest, co czyha pod moim mózgiem; w nią wyraz po wyrazie zlatuje, strącony od waszych twardych, nieużytych, zawziętych. To męka — to rozpacz — płaczę, płaczę, hurysso moja!

I tu uderzył o naczynie — Maryna nie zdołała wstrzymać się od krzyku.

— Zniosę to jednak dla ciebie — bądź mi łaskawą, a niechaj przepadnie język moich ojców we mnie! Bądź mi łaskawą, a stanę się polskim rycerzem lub moskiewskim bojarem — do woli twojej! Kochaj Agaj-Hana, rzuć mu półksiężyc pod stopy, a on, depcąc, przejdzie po nim — kochaj Agaj-Hana, a on ci drzwi lochu postawi otworem!

Po tych słowach nagle zagasła lampa szyszaku — ciemność większą część więzienia zagarnie. Raz jeszcze zabrzmiały struny, ale przypadkiem, nie naumyślnie; potem nic już się nie odezwie: ni stąpań ni oddechu nie słychać, jedno kroki po schodach wieży gdzieś daleko ślizgają, a podwoje nie skrzypnęły ni rygle zabrzękły. —

Maryna wątpi o sobie, wreście poznała, że na jawie — o czarach coś jej na myśl przyszło i piersi ścierpły od przemijającego dreszczu.

Tak co noc bywa. Kiedy zaśnie, budzi ją pieśń Agaj-Hana; wtedy więzienie pełne światła i dźwięków — on do niej przemawia jak kochanek — ona mu jako pani odpowiada — potem gaśnie światło, mdleją dźwięki — Strażnicy, znać, śpią głęboko, kiedy on między niemi tak cało przejść potrafi.

A rozmaite jego śpiewy bywają — to o zemście napomyka:

— Nie spodziewaj się, by ten, który dumny był z sajdaku na plecach, uwolnił ciebie; pierwej, nim tu dostąpić, z grobu wstać mu trzeba! Tyś zapadła w sen, podobny azraelowemu, ale mój kindżał wtedy się obudził i cały w uśmiechach radości z pochwy zabłysnął; poznałem, iż cierpi pragnienie, iż krwi mu trzeba, bo tak nasze handżary, jak nasze wielbłądy, długo wytrzymałe, ale kiedy miara cierpliwości przebrana, i wielbłąd i handżar domaga się napoju. Jeśli go nie dasz, pierwszy zdechnie w szaleństwie, drugi zardzewieje i na zawsze się przytępi. Nie chciałem ja tego, więcem go napoił w strudze czerwonej, która wytrysnęła ze zbroi wroga, jak źródło niegdyś za uderzeniem. — Nikt już nie stanie między mną a huryssą moją!

Marynie się wierzyć nie chce, by tak dziarski mąż zginął od ręki pachołęcia.

— A czemuś nie patrzała? Czyż moja wina, że w tej chwili perła rozumu roztopiła się w tobie, że gwiazdy twoich ócz zagasły? Ha, ciepła krew była w nim — iż mi ścierpłe ożywiła dłonie!

To czasem znów o dziwacznych baje powieściach.

— Patrz, jakiem potężny i wielki — przede mną schylają głowę strażnicy i nie podnoszą jej, aż ranek zabrzasknie Letarg jest moim niewolnikiem i, gdzie go posyłam, tam idzie, żelazne rygle usuwają się pod mojemi palcami, jak

pierścienie włosiannego naramiennika, więzienie anielskimi wystroiłem ci blaski. Ja sam, jak Duch z piątego nieba, zstąpiłem do ciebie. Tajemnice ojców dochowały się w moich piersiach. Żyjący niechaj mnie się lękają, bo i nad umarłemi rozciąga się moja władza! Z złotemi gwiazdami i z czarnemi chmurami mam przyjaźń i spółkowanie.

A kiedy spostrzega niepewność lub drżenie na twarzy Carowej, sądzi, iż chwila nadeszła w serce jej ostatni raz uderzyć.

— Hurysso moja, kiedy senną cię zastaję, lubię wbijać się wzrokiem w twoje lica. I długo stoję przy tobie, dopóki cię struny moje nie obudzą. Lecz mi żywszej trza rozkoszy, to początkiem pieśni dopiero! Czyż jej końca nie doczekam się nigdy? Rzeknij ono jedno słowo: *kocham*, a wnet stąd wyprowadzę cię! Zawiodę na rozległe pola Kiafelu — tam już cynamon wonieje nad mogiłami, tam już migdały zielenią się znowu i kwiaty wyrosły z popiołu, tak, że motyl siada na nich i nie domyśli się wśród gęstwiny tego, co leży pod spodem.

Na to Carowa gdy milczy z pogardą, on gaśnie w ciemności i oddala się pocichu.

V.

Ciemno po tych korytarzach, ciemno po tych lochach, któremi młode pachole wiedzie niewiastę o poważnem licu. Światło kagańca, mrzącego w jego dłoni, skacze do murów, zlatuje w dół i rozbija się, czasem też poigra z pajęczyną lub wystąpi jak czerwona kresa między ciemnemi pasmami, a ciągle cień dwóch osób przesuwa się po ścianach, gnie się we dwoje na zakrętach, płaszczy się dalej, i zawsze postępuje, czarny, olbrzymi, zawsze ten sam, bo ręce niewiasty pod płaszczem zakryte, bo ramiona pacholęcia równo się trzymają.

Jego twarz pochylona, jakby czuł, że uległ po walce, że zgnębiony na zawsze. Jej oczy płoną, duma we dwójnasób jeży się na czole — niktby i na chwilę nie zwątpił, że ona królową.

— Agaj-Hanie, azaż oddałeś list uświackiemu staroście?

— Oddałem — głos odpowiedział zwątlony, jak zwykle bywają głosy po silnem wzruszeniu.

— Agaj-Hanie, azaliż pewno czekają mnie u drzwi?

— Czekają. — To słowo jedno tylko, ale wymówione, jakby konającemi piersiami.

— Dobrze. Wiedź nas Waszmość dalej, a kiedy sprawisz się wiernie i dobrze, na naszej łasce polegaj!

Odwrócił się giermek i spojrzał na Carowę, wymawiając jej wzrokiem, że tak szydzi z niego: »Czyż nie dosyć, żeś

podbiła mnie na służalca, żeś mnie dzieckiem swej woli uczyniła? — O, nie mów o łasce!«

Pół uśmiechu zawisło jej nad ustami — i znakiem ręki, by szedł dalej, oznajmiła.

Jak może najciszej ślizga po bruku, ażeby zbroja nie zachrzęsła, sztylet lub pałasz nie zadzwonił o zbroję — bo z zewnątrz dochodzą często głosy zaspanych strażników i hasło, które sobie odrzucają nawzajem, niekiedy w przelocie wstąpi poza mury i cichaczem zaszepta w uszy Marynie. — Wtedy lekkie znać wzruszenie na jej twarzy, a na Agaj-Hanie inny to wywiera wpływ: podnosi trochę czoła, bo czuje, że w tej chwili jest jedynym jej obrońcą, i rozumie przeto, iż ma wyższość nad nią.

Ale ona nie daje mu się ukrzepiać w zarozumiałości: jednem słowem, jednem skinieniem umie dumę jego na proch zetrzeć. Znać, iż tyle przewagi nabrała, iż on już nigdy nie zdoła przemawiać po dawnemu. — Drzą mu ramiona i piersi, jak członki zdeptanej gadziny, w której jeszcze pozostało dość życia na czołganie się wieczne, nie dość mocy na jeden podrzut, na jedno ukąszenie. —

I wiódł ją z wiernością domowego zwierza przez rozmaite galerye i schody, jemu tylko znajome. To nierozwiązaną tajemnicą, jakim sposobem zapoznał się z niemi, jakim trafem dostawał się do więzienia Maryny. Wtenczas, kiedy w mglistej szacie śpiewał o Kiafelu błoniach, coś wyższego przebijało w nim, niby godność strąconego książęcia, niby władza potężnego czarownika; na chwilę w całej okazałości swoich marzeń łudził się nadzieją zwycięstwa, ale dziś wrócił do ubioru, do zwyczaju giermka. Znać, że jego duszy zabrakło sił na zwalczenie tej, którą kochał, że z uniesieniem miłości rzucił się do przedsięwzięcia, w którem spotkał się z nieużytą dumą. Ta go pokonała, a kiedy uczuł się pod wpływem wyższej siły, zamilkł w głębokiem podziwie i posłuszeństwie. Odtąd musiał dopełniać zlecenia pani, a dziś bez nadziei, bez pociechy, jedno wiedziony urokiem,

któremu oprzeć się nie może, wyprowadza ją z niewoli poniżony, osłabły, czasem jeszcze spozierający na nią, nie już jako rycerz lub kochanek, ale jako dziecię na pół przerażone, na pół zachwycone widokiem meteoru, przelatującego o północy ponad domem ojca.

Wzbudziłby litość każdego — bo namiętność wyssała mu z twarzy barwę świeżości, bo w oczach zrzenice podobne do tych iskier, co ścigają jedne za drugiemi w szarych popiołach, kiedy już węgle sczerniały pod niemi; kroki niepewne, jak u pijanego, który nie tyle zaślepiony, by upadł i zasnął, ale tak słaby, że statecznie nogi postawić nie potrafi. Młodość i siła pożegnały jego ciało, został się z mdłościami starca w piersiach, z wyrazem przerażenia na licu; stracił pychę, która żar pamiątek rozdmuchiwała w nim. Postaw mu teraz przed oczyma zwierciadło: »Synu sułtański, dziedzicu równin Kiafelu, podnieś oczy!« — a on czoła nie podźwignie i weń spojrzeć się nie ośmieli.

Stąpa ciągle przed Carową, iskry kagańca sypią mu się na rękę, on ich otrząsnąć nie raczy. Zaduch wilgoci i zgnilizny wokoło, tu i owdzie odrywają się od ścian wyziewy i ciągną nad głowami przechodzących, jak fałdy całunu. One są zwiastunami wiosny w tych lochach.

Giermek zstąpił w dół, a za nim pani; potem szli oboje płaszczyzną, a słychać w górze, jako dyszy woda w rowach, jak czasami zakipi, rozgrzana od pleśni, i w tysiąc bąbelków się rozpryśnie. Teraz znów wstępują schodami. Dostali się do sieni z nieforemnych głazów. Tu już woń świeżego powietrza zalatuje, a brama dębowa okuta w rygle i trzema opatrzona zamkami.

Agaj-Han dopalającą się pochodnię utkwił w ziemię, a sam ukląkł przed Carową i, załamując dłonie, nic nie mówił, lecz żebrał milczeniem litości trochę, o jedno spojrzenie, o jedno słowo pociechy, by mu nie tak okropnem było oddać ją w ręce młodzców, dopełnić tak ogromnej z siebie ofiary, bo jeszcze teraz on z nią sam na sam. Za tą bramą

ona poddanych spotka i już z wysoka nad nim panować będzie.

Ale Maryna, stojąc na progu zbawienia, niczem odwlec go nie chciała.

— Gdzie klucz Waszmość podziałeś? Rozkazujemy Waszmości jak najrychlej się sprawiać, uwalniając jak na teraz od tych dowodów uszanowania.

Znalazł się na takowe słowa głos w piersiach młodzieńca. Na kolanach czołgając się do niej, zawołał:

— Miłościwa pani, hospodarko moja, nie tłocz mnie tak niewdzięcznie do ziemi, wspomnij na moje usługi. Dla ciebie strzałą przeleciałem od Kaługi aż pod wieże Moskwy. Dla ciebie ja, książe, uginałem karku przed Różyńskim i Sapiehą. Oni tobie nie chcieli pomódz. Ja cię z więzienia wyprowadzam teraz.

— Nużysz mi umysł Waszmość takowemi mowy. Uzyskasz nagrodę, tylo otwórz prędzej!

Błyskawica nie ma skrzydeł dość żartkich na wyścignienie połysku, który zalał oczy giermka i zagasł w jednejże chwili. To słowo »nagroda« całą duszę mu wzburzyło — ale po twarzy Maryny poznał, iż nie o tej, której żądał, napomina, więc wschodnim obyczajem, gwoli większemu uszanowaniu, ramiona założył na piersiach i schylił niżej głowę.

— Lata mi w pamięci, Miłościwa Sułtanko, iż raz widziałem cię u biesiady, wśród bojarów, przy początku jesieni, wtedy, kiedy słońce wasze jest prawnukiem naszego, kiedy owady zasypiają naprzód udaną, potem prawdziwą śmiercią. Tego dnia z złotego stropu spadł na śnieg obrusu motyl przed puharem twoim, o Sułtanko moja. Raczyłaś go podjąć; on miał zwinięte skrzydła i skrzepłe ciało pozbawione blasku. Tyś, miłując się nad nim, do ust go przytuliła, oddechem obwiała, głosem nęciła, by ożył: — »Powstań, powstań, o motylu mój!« — Jemu się zdało, że piękne dni lata już z powrotem, że gdzieś dostał się do róży i do słowika; więc się obudził i, trzepocąc skrzydełkami, podlatywał naokoło, a tyś rzucała za nim dyamentami spojrzeń. Zważ sama: owadowi miłosierna, nad człowiekiem mieć nie chcesz litości! Nie proszę o więcej, jak o względy, świadczone onej drobnej musze.

— Waszmości w pamięci motyl, a z pamięci wypadło, żeśmy otoczeni wrogami i że Igor Zarucki czeka na mnie za temi bramy, jakeś sam mi o tem wiadomość przyniósł w ostatnim liście.

Nagła zmiana nastąpiła w postawie Agaj-Hana; sama wydała się Carowa — i on uwierzył natychmiast. W szczęście trudniejsza wiara, ale w nieszczęście któż z synów ziemi zaraz nie uwierzy? A zatem Sahajdaczny unikł śmierci!

— Ha, pamiętam, raz tylko uderzyłem — za słabo! Oszukali mnie — sam byłem posłem od niej do niego — chociażem jego nigdy nie widział — ale assawułów, mołodźców, towarzyszów jego — nie wspominałem nigdy o nim, i oni też nie wspomnieli i razu, ale on kierował wszystkiem! —

Złość dziecka i zemsta szalona wschodniej, gorejącej duszy odbiła się na licach Agaj-Hana. — Parsknął pianą z ust i kilka kropel krwi z nozdrzy mu brzyzgnęło; porwał się z ziemi, ale nie mógł się prosto trzymać. To zgarbiony, to truchlejący, to o ścianę oparty, to nogę wysunie i założy na drugą — to znów ma przyklęknąć, to znów podrzutem odskoczy od bruku.

— Miałem cię w więzieniu, niewdzięczna, a szanowałem cię, jakby matkę moją! Nie mógłżem zbliżyć się i ręką ślizgać po twej sennej piersi, rozpiąć cichaczem zawoje szat twoich; i błąkać się pośród wdzięków twoich, a nasyciwszy wzrok, z zawrotem głowy rzucić się na ciebie? Budząc się, poczułabyś pierścienie potężnego węża, okręcone wokoło kibici. Wgryzłbym się gwałtem w twe usta, oddechem przepaliłbym ci gardło, pocałunkami podziurawił lica, włosów twych gęstwinę zarzucił na siebie — pod tą zasłoną czarną nogi splótłszy z twojemi nogami, pierś wgniótł w twoje łono ze śniegu, dopókibym nie uczuł na własnej skórze bi-

cia serca twego! — Ha! Co chwila cisnę cię mocniej. Zwyciężam. Tyś moja, tyś moja! Rozciąga się miękkie ciało pode mną, jego dreszcz miesza się z moim, każda żyła twa bije w zgodzie z każdą żyłą moją, palce, co twarz mi kaleczyły, teraz już w obłąkaniu igrają z mojemi włosy... Niemasz raju równego w niebie takiemu na ziemi!

— A teraz gdzie wdzięczność, gdzie nagroda? — Sahajdaczny tam — perłę miałem ze skarbu Allaha i, nieuważny, puściłem ją w morze! Przeklęty — o, już nigdy, nigdy, nigdy noc taka nie wróci!

I w jego oczach paliła się rozkosz wspomnień i chuć niewstrzymana — potem nastąpiło osłabienie. — Zamilkł i patrzy wokoło, jak ten, co pamięć, rozum, nadzieję postradał i wyszedł na zwierzę.

— Nie — ty marzysz! — Hej! do więzienia nazad! —

I schylił się po kaganiec, chciał go podnieść — on, już dopalający się, rozlał się strumieniem smoły po jego dłoni i gęstemi obsypał ją iskry.

Krzyknął z bólu nieszczęśliwy i padł na kolana i znów wyciągnął rękę czarną, spaloną — może sądził, iż łatwiej litości dostąpi. Węgle żarzą się na ziemi, przy nich znać jeszcze Marynę, stojącą wśród cienia; jak duch więzień srogi, nieubłagany, wskazała ku bramie w pełni majestatu swego. Do tego rozkazu pół uśmiechu dodała, jakby z miłosierdzia nad Agaj-Hanem. On poszedł zwolna ku drzwiom i, klucz trzymając w lewej dłoni, prawą chowając pod kaftan, czekał na panią, od której uzyskał, co żądał, bo w tej chwili nie miał sił już na żądanie więcej.

Carowa śpiesznie przy ostatnich iskrach pochodni sama bramę otworzyła.

Księżyc za wiosennym obłokiem, lecz gotuje się do wyjrzenia. Sosnowe krzaki tu i owdzie, z tyłu podnosi się opuszczona wieża i długi mur i rów głęboki, z przepaskami to grubszego, to cieńszego cienia. Dalej pali się Kaługa w nocy rzadkiemi światłami, z przodu równina, a wszystko, co na

równinie, to śpi w zmierzchu i tego rozeznać nie sposób; jużci tam drzewo podobno, jużci z boku to smugi, śniegiem jeszcze przyprószone, ówdzie zda się, że bór czernieje, ówdzie marzy się przed oczyma dzwonnica klasztoru. Za pierwszem spojrzeniem taka postać okolicy; wlep oczy, a nic nie rozeznasz, zwątpisz o każdym szczególe: to nie drzewa, to nie klasztor; nie — to nie bór tam się rozciąga. Takie same wrażenie sprawia na duszy sen, którego w połowie się zapomniało, a w drugiej połowie niejasno się pamięta.

Agaj-Han ręką zdrową dobył kindżału — i oddalił się w bok, gdzieś przepadł w rowie.

Z krzaków powstali mężе, z najbliższego wyskoczył rycerz w zbroi i, ledwo krok postąpił naprzód, już schylił głowę przed Maryną — aliści nie takiem przywitaniem tylko, znać, że pragnąłby ją pozdrowić; nie wiedzieć, co go wstrzymało — może towarzysze, którzy rzędem za nim stanęli.

Rozmawiał pocichu z nią; w poruszeniach jego przebija radość namiętna — ona nie spuściła nic z głosu ni z obyczaju pani. Po chwili przywiedli mołodźcy dwa konie; poddał jej ramie mąż, ona strzemie chwyta.

W tej chwili krzyk przeraźliwy, nieludzki, podobny mieszaninie z wilczych skowyczeń i nocnego ptasiego pisku, przeleciał powietrze — wnet po nim zawarczył kindżał i utkwił w pancerz męża, pełnią księżyca oblany. Znać, iż, długą drogą znużony, głęboko wwiercić się nie zdołał, Sahajdaczny go bowiem strącił na ziemię ze zbroi, jakby pająka lub pszczołę, w milczeniu, z uśmiechem pogardy.

Nie odstępując zdumionej Carowej, gwizdnął na mołodźców — oni się rozbiegli, ale nim doskoczą rowu, już bieży po smugach człowiek, który w cieniu murów się oddalił i dopiero wyszedł na czyste, kiedy go już dognać nie sposób, bo ich daleko ma za sobą i co chwila susami ranionego jelenia jeszcze dalej odsadza się od nich.

Więc jęli z powrotem do wodza, wódz wskoczył na

siodło. Huzdę Carowej obwiązał naokoło ramienia i puścił się z nią stepowym lotem.

Biegną, biegną przy księżycu, wiosenną nocą, nie po bitej drodze ni po gładkiej ścieżce, ale między parowy, doły i chrósty; czasami kłąb śniegu rozbiją podkowy, a on z dołu w górę lunie białym tumanem, czasami o głaz uderzą, a głaz ogniem się odgraża, szybę lodu trącą, a lud pęknie z trzaskiem, gdyby szklanna szyba; teraz przelatują łąkę, w młodą murawę grzęzną kopyta, a wilgoć kipi i smokcze pod spodem; dalej zgnieciona gałąź zaszeleści, kamyczki, odskakując, głucho zapadają w trawę. To znów szorują po roli, głębokie ślady po grzędach wydrążają, rozpłaszczone bryły spychają w brózdy. Zaruckiemu i od biegu i od namiętności serce gwałtem bije, Marynie chłodne powietrze rumieniec po licach rozlało. Teraz obszar tych płaszczyzn jest jej więzieniem, księżyc wśród błękitów jej lampą. — Rada i pełna otuchy, słowami drażni towarzysza, mówi mu o Kremlinie — o bitwach i sławie; a jemu tylo tego słuchać, bo on za nic waży trudy, byleby dorwał się panowania i chwały, a przed śmiercią snu krótkiego w objęciach Maryny.

Do lasu wpadli, przesadzając zasieki z powikłanych krzewów. Ciemność i uroczystość boru dreszczem przejęła Marynę, ale Sahajdaczny raduje się, że się dostał pod dęby i sosny — miło mu pomiędzy niemi, jakby w domu ojca. Lecą pod sklepieniem z liści, między któremi tu i ówdzie czołga się promień księżyca — a wiatr szumi głosem tysiąców gałęzi, niezrozumiale, choć co chwila zda się, iż z tego zamętu pewniejsze wydobędą się tony, na które czeka przez długie godziny młodzieniec zakochany lub pielgrzym, dumający o Bogu — na które i chwili nie czekał Sahajdaczny, bo zrozumiał natychmiast tę mowę.

— To wiatr z północy tak hasa, Miłościwa Pani — on na jutro napędzi chmury, więc gońmy co żywo do spławu i czajek, by pogodną jeszcze nocą odbyć żeglugę!

I jedwabnym kańczugiem konia uderzył. Ten wyskoczy,

co tylko sił mu staje, a Maryny koń, porwany ramieniem męża, równie pędzi szybko. Znów na pole czyste się dobyli, powietrze, zda się, kipi około ich głów, tak głowami i piersią sieką powietrze, ogony ich z tyłu płyną, jak ślad pienisty od rudla, kiedy statek pruje wodę wśród burzy, podkowy podnoszą się i zniżają bez ustanku, jak iskry, co raz błysną, znów zagasną i znowu zabłysną; oni pędzą w zad, świat cały naprzeciw nich wali, a rozstępuje się, by przejście wolne im zostawić. Jeden księżyc tylko niewzruszony panuje nad niemi z wysoka, ależ i on czasami znudzi się pokojem, więc sam się zerwie i bieży ku chmurom, przerzuca się z jednej w drugą, swawoli, jak znarowione dziecię, to znów poważniejszą postać przybiera, zasępia się wśród mgły i jakby w ciężkiem zadumaniu niknie coraz bardziej; wtedy posępno na świecie dokoła.

A oni bieżą, czy chmury czy jasność nad głową. Wkrótce się rozwidni i zmrok podziewa się nie wiedzieć gdzie, tak, jak promienie podziewały się przed chwilą. Ale cóż to zabłysło woddali? Zda się, gdyby kopuła cerkwi, blachą obita.

— Miłościwa Pani, to Pratwa, już na niej nikt nam nie zajrzy w oczy; bystrym nurtem oddzielim się od Kaługi, a jeśli w pogoń za nami do brzegu przybędą, my z czajek zaśmiejem się im w oczy i życzyć będziem dobrej nocy strzałami.

Ledwo domówił tych słów, ściągnął cugle i zatrzymał konia. Przechylony, z głową i pół ciałem wiszącem od siodła, zdał się słuchać czegoś, potem zagwizdał na konia, ostrogą i kańczugiem popchnął w bieg i rzekł zimno, jako na męża dostatniego przystoi, kiedy godzina niebezpieczeństwa dobija nad głową:

— To mściwe pachole pobudziło straż zamku i bojary tuż za nami w lesie.

— Nie słyszałam żadnego tętentu, a jużem przywyknęła ucho do wszelkich głosów, i do tych, których lękać, i do tych, z których weselić się trzeba. — Waszmość się pomyliłeś.

— Nie, Miłościwa Carowo, nie, hoża Maryno! Na pierzach wiatru przyleciały do mnie szelesty, które są gońcami tętentów. Lecz, ażeby je schwycić, kiedy drobne, cichaczem przelatują wokoło uszów, trza wprzód przez całą młodość przysłuchiwać się nieprzyjacielskim podkowom. Dostaniem-li się do rzeki, nim oni ukażą się z boru? Jeślim się nie oszukał na kupnie mojem w Krymie, tośmy bezpieczni — odparł, spozierając z dumą kozacką na biegnące rumaki — ale, Miłościwa Hospodarko, ostatnia to ich gonitwa. Dolecą rzeki, bo wiedzą, iż taka ma wola, wdzięczne za owies i napój, za bogaty rząd, którym zawsze ich grzbiet stroiłem i głowy. Dalej i kroku nie postąpią, rozciągną się na murawie. — Na czajkach, Miłościwa Pani, spuszczałem się Dnieprem i Wołgą i Dniestrem, sułtan z seraju mnie widział i klął mnie, żem mu tak wsie palił, rozwalał pałace. Na moskiewskiej wojnie wzrosłem za króla Stefana i pięć ran w upominek od niej noszę na piersi. W Niemczech z rycerzami, posągami z żelaza, rwałem się za pasy, więcem napatrzył się dosyć mordu — nad człowiekiem nigdy łzy nie wylałem na polu bitwy, a te konie że zdechną, to mnie boli. Sam ich hodowałem, uczyłem napaści, odwrotu, ucieczki — w dzień i w nocy latałem na nich po stepach, one były mojemi orlemi skrzydłami.

Tętenty się odezwały, Marynie mowę przecięły, ale też już im niedaleko. Jeszcze staj kilka i zatoka wylanej Pratwy tuż przed niemi. Już rozeznać mogą jej nadbrzeża.

Rzeka na wiosnę wystąpiła z brzegów i łoże swoje rozprzestrzenia jeziorami. Nie dojrzeć przeciwnych nadbrzeżów, tylko tu i owdzie z łona wód wystaje krzak, drzewo, głaz, język żwiru, który nie dał się pochłonąć, smug, co wysoką trawą jeszcze na świat wyziera, to wszystko mgłą obwiane, cieniem lasów, po tej stronie rosnących, kratkowane, wydaje się błędnym archipelagiem. Pośrodku słychać szum, ale nie dojrzeć nurtów pędzącego koryta, które bieży jak zwykle, gnuśniejąc, tylko po bokach, kędy się pomknęło za swoje granice.

W zatoce, w której stanął hetman z Carową, księżyc w pełni się przeglądając srebrnym ogonem udaje kometę, a że gęstwiny niema w tem miejscu, swobodnie rozsyła promienie, które pośród koła z wyziewów wszerz i wzdłuż oświecają wody; na nich stoją łódki, każda na wyspie własnego cienia, niewzruszona, z śpiącemi wiosłami, z łańcuchem od kotwicy spuszczonym w dół.

Było coś fantastycznego w tym widoku, przypominającym morze, we śnie widziane, w flocie milczącej, bez żywego ducha, tętentach grzmiących coraz bardziej, w larwach, biegnących od lasu na rozhuzdanych rumakach

Jeźdźcy i konie czarne, czasem tylko broń zamignie, jak śniady promień, co wśród nocy krząta się po mogile; podnieś oczy w górę, a księżyc jasny, okazały, wyda ci się mało co mniej od słońca, spuść je w dół, a równina i topiele i drzewa mieszają się z sobą, nie rozpoznasz, gdzie się wody kończą, a piasku początek, gdzie krzaki przepadają, a czyste zaczyna się pole, jakgdyby gwiazda nocy była marą, na którą spojrzeć pięknie, dopóki w niebiesiech, ale z której mało pociechy na ziemi.

Zarucki gwizdnął, jak strzelec na sokoła w chmurach; wnet z każdej łódki podniosły się dwie postacie, w milczeniu porwały za wiosła, a że biją niemi o wodę, to nie przerwało milczenia, bo tak cicho fale odpychają, że ni ciosu wiosła, ni jęku fali odpływającej nie słychać. Snują się statki ku brzegowi, srebrnemi kręgami się obtaczając, ruszając wiosłami, jak orzeł skrzydłami, kiedy zawiśnie w powietrzu, a miesiąc, który patrzy na nich z pod toni, ciągle odsadza się od nich, jak nurek od łódki strzelca na stawie.

Pierwsza czajka wodza dotknęła się lądu, wszystkie inne długim rzędem w poprzek zatoki stanęły; na każdej powstają maszty z rozczuchranemi linami, w mgnieniu oka lekkie żagle zadrgnęły, bujając w powietrzu na wyścigi z wyziewami nadbrzeżów, a bojarzy, goniący w oddali, dziwią się owej mgle, wznoszącej się tak nagle ze środka jeziora.

Zarucki podał ramie Marynie, by pomódz wstępującej na statek, potem miał sam wskoczyć, bo już i pora była ku temu. Kiedy odwrócił się znienacka i dobył czerkaskiego tasaku, konie podług przepowiedni wodza leżały na żwirze, zdyszane, oprószone pianą, jakoby śniegiem, robiąc bokami, tarzając się czasem w swojej niemocy, z żalem krwiste roz szerzając oczy za łódkami i odchodzącym panem. On spojrzał na nich, jak dziki spoziera na przyjaciela rannego, by ostatnią wyświadczyć przysługę — dobiciem.

— Ukrócę wam męki, niewoli oszczędzę i tobie, moja Giemzo, i tobie, Istambule mój — rzekł głosem stłumionym od wzruszenia — i nachylił się nad Giemzą, pchnął raz tylko, nachylił się nad Istambułem, gardło poderznął, a wyrwawszy garść włosów z grzyw obu, na kołpaku zawiesił.

— Wy mi to nie dziś, ni jutro, ale odpłacicie kiedyś — zawołał do nadbiegających żołnierzy; sam jednym skokiem od ciał koni odrzucił się w czajkę i kazał młodźcom gnać śpiesznie za łódką Carowej, która, odpłynąwszy na czele innych, zbliżała się już do koryta Pratwy. Cały brzeg czernieje od jeźdźców, wrzeszczących za Maryną i hetmanem. Księżyc, za niemi wiszący na niebie, ciska ich długie cienie na przestrzeń zatoki, które, to zwężając się, to rozszerzając, garną się za uchodzącym statkiem, w środku którego stoi Zarucki. Podjął burkę i zarzucił na piersi; w jej szorstkich kudłach mięknie żelazo strzał, rzucanych z brzegu, a on, szydząc z nich, potrząsa ręką na znak pogardy. Kilku próbowało puścić wpław konie, ale uwięźli w mule, więc nazad pierzchają. Jeden tylko wyprzedził wszystkich; niemiłosiernie kalecząc rumaka, zmusił go do przejścia brodu, a kiedy dna nie stało, po szalonemu odważył się płynąć wprost ku łódce hetmana, puściwszy cugle, jedną ręką tylko ważąc włócznię, a drugiej z pod szaty nie wyjmując wcale.

Już minął cienie od hufców, wypłynął na czyste, gdzie księżyc twarz mu całkiem objaśnia. Usta ścięte, jakby zęby,

raz zgrzytnąwszy, już rozprzęgnąć się nie mogły i zmartwiały w tem zgrzytnieniu.

Rysy boleścią stargane, hełm, twarz i piersi wystają nad wodą, reszta zanurzona, ale po ruchu piersi znać, że nogami wciąż bodzie rumaka, który głowę niesie jak może najwyżej, parska z rozpaczy wśród mroźnej topieli, tracąc na mocy i na krwi co chwila; już krew wypływa na wierzch w bąbelkach, znać jeździec szeroko rozpruł nieszczęsnemu boki.

Ale mołodźcy odsunęli się daleko, niema nadziei ich dognania, więc Agaj-Han odkręci się nazad i, szląc wściekłym wzrokiem za łódkami, mdlejącemi wśród wyziewów nad korytem Pratwy, zaczyna wracać do brzegu.

Lecz koń mu już nie służy, ledwo że rusza jeszcze nogami bezsilnemi na odparcie dość wody, by posunąć się naprzód. Stoi na miejscu, nie idzie w głąb zaraz, bo pracuje jeszcze, ale ktokolwiek nań patrzy, nie wątpi, że już po nim. Kilka minut trwała ta walka, wreście on spuścił głowę, wciągnął ostatnim oddechem pełno wody w nozdrza i poszedł na dno. Młodzieniec splątany w strzemionach i cuglach, zniknął również, a krzyk przerażenia, który bez dołożenia się ludzi w takowych chwilach z piersi im wylatuje, tak, że sami zdumiewają się, przysłuchując się jego dalekim echom, rozległ się po brzegu.

Nieco dalej od miejsca, gdzie koń i jeździec zapadli, zamąci się woda, głowa pluśnie na wierzch, jedna tylko ręka fale rozcina i sunie przed głową. Nikt z patrzących nie wierzy, by tatarskie pachole zdołało do brzegu się dostać. Ciekawie wyszczerzają oczy, patrzą pilnie, tak, jak w innych krajach lud patrzy na aktora, grającego w okropnej sztuce.

On, szczęściem, pozbył się szyszaku; włosy zroszone połyskują w promieniach miesiąca, twarz jego do trupiej podobna, wszystkie mdłości konania na niej się odbijają, pasuje się rozpacznie w czystej, srebrnej wodzie, która go otacza dokoła, w której głębi księżyc się złoci, ozdoba grobu, zgo-

towanego na dnie — ale on w tej chwili na nic już nie zważa. Jeszcze zostało się drżenie zazdrości w piersiach, lecz zapchnięte w głąb, bo dreszcz śmierci wziął górę, instynkt życia jedyną stał się namiętnością, pełną energii, wzywającą każden muszkuł, każdą żyłę do działania, rządzącą siłami ciała tak, jak miłość rządzi myślami mózgu, ostatnią zbawicielką w godzinie niebezpieczeństwa, kiedy rozum, nieprzytomny sobie, ustępuje z własnego tronu, z głowy człowieka. Coraz prędzej, coraz mocniej, potem coraz wolniej, coraz słabiej darł się ku brzegowi. Z początku przebiegały mu na licach konwulsye boleści, teraz już tylko omdlenie, a czasem jeszcze podrzut życia wyskoczy na nich. Głowa chyli się, pociągnięta ciężarem namokłych włosów. Drugą rękę dobył, ale ta, bezsilna, błąka się po wodzie w tę i ową stronę, jak sucha gałąź na nurtach potoku. Już dwa razy fala pokryła mu czoło, dwa razy podźwignął się ostatkiem sił, a dziwno wszystkim obecnym, że tyle ich w tem wysmukłem ciele.

To nurząc się, to podskakując, jak raniona ryba, jeszcze upłynął kilka kroków.

Już niedaleko do lądu. Powiązali rzemienia od siodeł i od kołczanów, rzucili mu na czas właśnie, bo zaledwie uchwycił się zębami i dłonią, aliści zemdlał zupełnie; ale, choć bez zmysłów, trzymał się sznura, jak trup trzyma się trupa, z którym, walcząc, razem upadł na wieki — i tak dociągnął się aż do brzegu między towarzyszy.

VI.

Już niemało czasu ubiegło od tej nocy miesięcznej, w której wojewodzianka sandomierska, uszedłszy z więzienia, odpłynęła na kozackim czółnie.

Wielkie państwo moskiewskie pali się wciąż i dymi pożogami Polaków. Rozbiegli się hussarze i, potrząsając skrzydły, jako drapieżne orły ulatują ponad gruzem i gęstym trupem. Wycieczki straceńców, nie wstrzymane u Kaukazu, w głębie azyatyckie się zapuściły, każdy rabunkami pnie się do bogactw, rycerskim czynem do chwały; miasto zburzyć, wieś spalić jest ich chlebem powszednim. Z niewolnicami pląsają nad stosami popiołów, grzeją się pośród mrozu na zgliszczach pałaców, winem i miodem sączą się wąsy — tem lepiej im potem usta kleić z ustami Azyanek.

Jak wiekiem wprzódy na drugim końcu ziemi Hiszpanie hasali po odkrytym świecie, tak dziś Polacy wysypują się na Moskwy obszary. Patrz: Kortez Montezumę ściąga z tronu, Żółkiewski Szujskich prowadzi; Meksyk płonie kagańcami wśród czarnych jezior i wzywa pomsty za skrzywdzonych bogów, Moskwa o tysiącu kopuł burzy się o świętych swoich i znieważone cerkwie.

Nowy to świat był Polakom, wschodni, szeroki, otwarty na stratowanie końskiemi podkowy. Co tylko spało w Lechii hartownych dusz i dzikich serc, to przyszło obudzić się i żyć zażarcie na niwach od Moskwy do Astrachanu. Żyją

więc bez spoczynku, walcząc dniem i nocą, z hełmem, wbitym na czoło, z bechterem, przykutym do piersi, wolni, śmiejąc się z próśb i rozkazów, nie dbając o dom, rozmiłowani w gonitwach i żeglugach, swobodni przez wszystkie dni swoje, póki śmierć nie zaskoczy. Jej, jako pani, czołem z siodła biją o ziemię. Towarzysze przesadzą trupa i lecą dalej.

Ciągnącym z cieplic nieraz zima zajrzy w oczy; z szalów, przewieszonych na plecach, z winogron, u siodła wiszących, z kamieni wschodu szydzi sobie mścicielka północy; mróz im członki ćwiertuje i powieki spuszcza nad oczyma. Tak wśród wozów i koni całe padają hufce, a Moskwicin, który jeszcze wczoraj o południu lękał się ich wąsów, kiedy przejeżdżali obok chaty, dziś śmiało, klaszcząc w ręce, depta po nich i błogosławi niebu.

Ginęli prędko w onych czasach książęta i hetmani z rozkoszy i z bojów. Ale nad świeżą ich mogiłą powstawali drudzy, równie dzielni, równie zapaleni, by z życiem wcześnie się rozstać, w kilku latach zawrzeć wiek cały chwały i rozpusty. Nie szło im o to, dziś, jutro-li padną, ale pragną umrzeć królami, dalekim niwom polskie dać w znaki imie, zapuścić się w kraje bajeczne pomiędzy góry i morza, innych widzieć ludzi, za niebezpieczeństwem ścigać, tchu mu nie dając, i, zapchnąwszy w ostatnie schronienie, tam ostatnią, ogromną zwieść walkę, jak z tygrysem w jaskini.

Przed wieki takimi bywali bohatyrowie, zwycięzcy Rzymu, którym wolność wrzała w piersiach tak, że, od niej pędzeni naprzód, kochali się w błędach, zjawiskach i wiecznej walce ze wszystkiem, co ich otaczało, z ludźmi i żywiołami, zmagając się z burzą po oceanie, tratując po gruzach na lądzie, a kiedy i ludzi i burz nie stało, klnący w rozpaczy, że odetchnąć im trzeba.

Patrz na Aleksandra z Lissowa! Nie ujrzysz go nigdy całkiem, bo zawsze ci go stos ciał lub kłąb dymu z przed oczów wyrwie w połowie. To mignie szabla wśród ogniów,

to poła burki zakręci się na rozwalinach, to głowa czasem wyjrzy, broda, wąs, zroszone iskrami, czoło zwęglone, oczy pełne żaru, a reszty ciała nie widać, bo gdzieś zanurzone w gruzach i popiołach.

Tam na łożu w namiocie umiera książe Rożyński. I jemu też piękne dni świtały kiedyś, ale teraz przyszło do ostatniej chwili, w kwiecie młodości, wśród niesfornych hufców. Ich krzyki i odkazywania dochodzą uszów wodza, jak muzyka pogrzebowa, w trapiącym śnie słyszana, na twarzy jego coś miększego przymieszało się do wyrazu odwagi i twardości. To nie gladyator starożytny, konający z energią rzezi na licach, z groźbą i natrząsaniem się z ludu, który piętrzy mu się nad głową i oczami krew z ran jego żłopie, ale bohatyr, żegnający życie bez żalu, z żalem żegnający złudzenia żywota, dziarski i nieugięty, póki chwała mu kochanką wierną była, a w westchnieniach rozpływający się za tą, którą tyle czcił i lubił pieścić na łonie, a która go wśród uścisków niemiłosiernie zdradziła. Rozpamiętywa on teraz marność ludzkich zamiarów — na nowych powzięcie już nie stanie czasu, a wieczność mało znana jego duszy. Ziemi już prawie się nie trzyma, a do nieba ramion wyciągnąć nie umie. Łoże śmierci jest własnym jeszcze, ostatnim jego światem, w tych kilku belkach, lamparcią skórą zarzuconych, ściągnęły się królestwa, o których marzeniem upijał się długo. Jeszcze hełm i buława stoją niedaleko, ale już może sięgnąć ręką nie potrafi! Ich połyski w promieniach słońca szydzą z umierającego. Więc smętno tej żołnierskiej duszy na progu nieznanej krainy, gdzie myślić i modlić się trzeba, a władać ludźmi i gonić po bitwach, tam, gdzie wiedzie serce, nie sposób — pierś jego coraz bardziej, coraz bardziej mdleje!

Ale postrach Azyi, ale rycerz dawnych wieków, Chrobrych i Śmiałych dziedzic w spuściźnie sławy, na arabskim dżanecie, w słonecznej zbroi, jeszcze panując swoim rotom, z chyżością Tatara przelatuje pustynie, z głęboką sztuką

zachodnich wodzów bitwy wygrywa, nigdy zwycięstwu nie dając się wymknąć z rękojeści szabli, gdzie go więźniem trzyma od pierwszego dnia, w którym wystąpił na boje; nie spodziewaj się śladu słabości na licach uświackiego Sapiehy — smutek go nie zwątlił! Do ostatniej chwili będzie tłukł mieczem o bechtery wrogów, do ostatniej chwili będzie się pasował z ludźmi i przeznaczeniem, z swojemi i cudzemi, a kiedy zgon przed nim stanie, powita go ze zgrozą na twarzy, z zmarszczonemi brwiami, jako przystało na męża, który nie wie, co trwoga i co ukłon komu, ale wie, że go się lękają i że po bojaźniach ludzkich wedrzeć się można do tronu. Pełny myśli swoich, obojętnie poczuje, że śmierć już w nim, i, dumając o zamiarach, dzierżąc hardo głowę, bawiąc się rękojeścią miecza dla nauki, jak berło trzymać przystoi, dech wyzionie w postawie króla, zasiadającego na tronie w pierwszym dniu panowania swego. Ta ogromna burza, co z Lechii ciągnęła na Moskwę za gwiazdą swoją, nadobną Mniszchówną, teraz już na osobne rozsypuje się chmury, a każda chmura szamota się w kącie widnokręgu. Gdzieś między niemi gwiazda ich zniknęła.

Oddawna nie słychać już o Carowej — inne imiona pną się na stolicę carów.

To Zygmunt wskazuje na syna, a myśli o sobie. To Władysław słyszy zewsząd przysięgi narodu i drży, niecierpliwy dostać się do berła. To w kostromskim monasterze przy szlochach matki, synowi Filaretowemu czołem próg zmiatają bojary, prosząc, by objął jarzmo nad ich karkami, by ocalił wiarę błahoczesną i państwo Ruryków.

Zamieszanie, jakby w dzień sądu ostatniego, powstaje wśród tylu wojsk i pokoleń. Nie ustają pożary i mordy, ale nie wiedzieć już, kto daje do nich hasło po nocach. Każdy szlachcic, każdy młodzieniec wodzem się mianuje. W ostatnich chwilach chce się każdy nacieszyć choćby jedną godziną władzy, nie już jako prosty żołdak w dzikiej postawie pląsać we krwi i zataczać się w perzynie, ale jako pan,

siedząc na dżanecie, patrząc zubocza, jako gród się pali, użyć spokojnie rozkoszy pożogów.

Języki, oręże, obyczaje, powikławszy się, zgiełkują z sobą. Ciur obozowy wschodnie śpiewa powieści; na hełmie hussarza półksiężyc złoty połyska; mową polską Tatar się odzywa; Moskal nie wie, komu służy: hufce Władysława i hufce Pożarskiego pełne jego.

Na błoniu otworzystem biegnie rota zbrojnych i wrzeszczy o dwa razy zabitym Dymitrze, że on zmartwychwstanie jeszcze. Tam naprzeciwko sunie zbłąkany tłum, jak gromada leśnego zwierza, i o Szujskim wspomina. Aż tu rycerz, stalą okryty, nadbieży i, kopią wysuwając, w pędzie zawoła: »Niech żyje Laszka Maryna!« Z boru wystąpi pułk straceńców i śpiewa żale o umarłym wodzu, Aleksandrze z Lissowa. Ze wzgórza spuści się chmara perekopskich, na plon zajadła, sobie żołdująca, nie komu. Aż tu nadjedzie hufiec sędziwych panów, zbrojny jak inni, poważniejszy od innych, z pachołętami z tyłu, z sztandarem koronnym, i surowemi głosy wzywają przed stopnie Władysławowego tronu.

Na rzece, co płynie w pobliżu, na czajkach błysną młodzcy, lecący ku Czarnemu morzu. Nurty ich podchwycają i fale przerzucają sobie. Oni pędzą, gdyby na stepie, radośni nadzieją łupieży, śmiejąc się ze skał, co czasem ku nim wyskoczą z pod wody, z dłonią przykutą do steru, z dumką na ustach, z czołem wypogodzonem na burze, przeciw którym śpieszą. Na grobli, wykręcającej się wzdłuż tego jaru, ciężkim pochodem zbliża się szwedzka piechota, w milczeniu idąca do boju, pilnująca swoich szeregów jak swojej płacy, z zapalonemi lonty, berdyszami najeżona. Między temi kępami i krzewy czołgają się szkockie strzelce z łukami, które jedno wyspiarskie ich dłonie naciągnąć potrafią, z strzałą, co gałąź leszczyny rozczyknie w gęstwinach boru i pióro z każdego hełmu strąci w dół niemylnie.

Tymczasem po drodze, środkiem równiny, odezwą się hymny; w mitrach i ornatach postępują czerńcy z krzyżem,

co jaśnieje rzęsistemi połyski, z obrazami świętych, od których woń cedrów się roznosi, z gromnicami w dłoniach, a dym gromnic baldachimem wije się nad niemi; na siwe brody, nagie czoła, na drogie kamienie i szaty, na lamowane chorągwie promienie słońca padają i mgłę jasności z nich słońce ciągnie ku sobie, tak, iż wydają się boskiem zjawieniem, co, zstąpiwszy na ziemię, przesuwa się zwolna przed oczyma ludzi, śpiewając o wielkim patronie moskiewskim i o zbawieniu Moskwy przez kapłańskiego syna.

Nagle trąby i bębny zagłuszą pieśni kościelne, tu chmura strzał wyniosła się, tam las z dzid wyrósł nad głowami, owdzie szable, atagany, kindżały kręcą się w powietrzu. Owi taborem się opasują, tamci wolą zdać się na chyżość stóp swoich, inni głaszczą koniom grzywy i śmieją się z pieszych. Każdy do walki się gotuje podług wrodzonego obyczaju. Polak nuci o Bogarodzicy, pokręca wąsa i długą szablę pieści w dłoni, by mu dobrze służyła. Przybylcy z azyatyckich puszcz trącają łuków swoich struny i ich brzękiem dodają sobie wściekłości. Niemcy na cel biorą wrogów i mierzą w nich długo, spokojnie, wparłszy kolbę w obojczyk. Kozacy zeskakują z siodeł i za niemi gotują rusznice. Owdzie Tatarzyn kładzie w usta kryształki opium, by mu bitwa przeszła, jak sen, a śmierć, jeśli ją spotka, wydała się wstępem do bram Edenu. Aż tu huki i wrzaski dadzą się słyszeć. Dym pełznie nad głową walczących i poległych. Z hufców, dotąd spokojnych, porobiły się wiry ze stali, które się kręcą po równinie — zgrzytają kordy o pancerze i hełmy.

Wszyscy, jedni po drugich, to zwyciężą, to przegrają, to się cofną, to znów pomkną się naprzód, a każden walczy za kogo innego. Sto haseł buja w powietrzu i głuszy się nawzajem; sto imion, sto zamiarów, wcielonych w głos, ulatuje ponad walczącemi, miesza się w nieładzie, żadne wygórować nad resztą nie zdoła i wreście wszystkie opadną w dół na martwe głowy tych, z których ust wyszły. Głucho,

samotno — chyba, że słychać jeszcze pluskanie krwi z żył trupów.

Takie codzień po całej Rusi odbywają się boje. Rozsypała się już wieża babilońska Dymitra, a jeszcze ci, którzy ją dźwigali, nie mogąc dać sobie pokoju, rozbiegli się na jej gruzach, miotani szałem to sławy, to plonu. Ten, który dziś naspętał więźniów gromadę, jutro ręce poczuje krzepnące w kajdanach nieprzyjacielskich. Ten, co dziś tratuje po ciele wroga, jutro sam dostanie się pod czyjeś podkowy i stratowan będzie. Cieszą się całą noc marami państwa — o brzasku już odleciały, a samym głód dokucza lub miecz wisi nad głową.

Tak wyginął cały ród bohatyrów.

W ich ślady mało kto już ważył się wstępować, bo w tych śladach krew czarna krzepnęła i prochy z starych buław książęcych leżały. Zdawało się, że już usypiają bałwany tej powodzi, która z polskich równin wylała się na moskiewskie błonia, bo jedne wyschły, drugie cofnęły się w zad od tłuczonych nadbrzeży, kiedy krzyk usłyszano, podobny do tych, które ucichły niedawno, grożący burzą krzyk męża, wyciągającego szablę w własnej sprawie: »Z tej szabli mojej, tak płytkiej i cieńkiej, musi wylecić dla mnie królestwo«. I wnet ujrzano, jak młodzców hufiec pędził ku wschodowi za wodzem i niewiastą przecudnej urody, trzymającą dziecko w ręku, nad siodłem rączego rumaka.

Właśnie w tym samym dniu dzwony cerkiew Moskwy rozrywały chmury swojemi brzękami, bo syn Filareta tron Kremlinu zasiadał wśród bojarów, krzyżem leżących.

Ten krzyk nagły, z dziarskich piersi wypuszczony, wpadł im na głowy leżącym, a w uszy młodemu carowi.

— Kto — zapyta — miesza naszych państw spokój?

Ej, carze, to Igor Sahajdaczny Zarucki, to wódz dużej ręki, rozkochanego serca. On czekał długo, póki padną wszyscy rówiennicy wokoło niego, póki nie zostanie na stepach i w miastach ruskich nikogo, coby śmiał zajrzyć mu

w oczy; bo takich było kilku przed laty, ale dziś, kiedy sam się zobaczył panem nad mogiłą tylu zamiarów i chwały, panem nad trumnami Rożyńskiego, Sapiehy, Strusia, Aleksandra z Lissowa, po odwrocie Chodkiewicza i Żółkiewskiego, ostatnim człowiekiem z pokolenia, co, rodem z Polski, żyjąc wśród pożarów i bojów, przeszło prędzej od pokoleń ludzkich, ale też głębsze ślady za sobą zostawiło, niż zwykły ludzkie pokolenia — puścił cugle na grzywę koniowi i popędził w zawód, na którym groby poprzedników służą mu za słupy drogowe. Nic go nie wstrzyma, póki wróg stalą nie osadzi mu serca, bo, dumny, że sam jeden został na starym pobojowisku, świeżą krwią odmłodnić go pragnie, wierząc głęboko, że gorączka, która nim rzuca, jest przeznaczeniem nieba; a zresztą przestałby i na tem, że to chęcią Maryny, tej Laszki cudzoziemki, nie znużonej trudem i klęskami, która dotąd z pychą rozpamiętywa dzień, kiedy jej i Dymitrowi mężowi cała Moskwa przysięgała na wiarę. Ku stepom, ku górom, ku Azyi leci więc z dobytą szablą, a pochwa gdzieś się osunęła i w biegu zgruchotały ją końskie podkowy.

VII.

Kto i razu nie oglądał miasta, panującego nadbrzeżom Kaspii, ten chyba sny miał okazałe, ale przepychu nie widział na jawie; niechaj więc porwie za kij pielgrzymi i pójdzie oczy nacieszyć przed śmiercią!

Wołga, jak matka, ramionami otacza Astrachanu mury i u piaszczystych piersi go trzyma. Z pomiędzy jej nurtów podnoszą się dachy, nad niemi królują wieże, minarety, półksiężyce pogan i greckie krzyże, a kiedy słońce o południu jaśnieje, owe blachy srebrne i złote żywym ogniem płoną — rzekłbyś, iż nad każdym gmachem zawisł meteor nieba!

A po ulicach, korytach, rynkach dzieci stref rozmaitych biegną, w łódkach płyną, gwarzą, krzyżują się tłumnie; owdzie Tatar z Ajdoru przesuwa się w czółnie z roztwartym kaftanem, z wartkim wiosłem, któremu żaden z innego plemienia nie podoła. Tam Geber z pasem narodowym na piersiach gibko przemyka pomiędzy ciżbą i wchodzi do świątyni, kędy wieczne płomienie goreją. Perskie kupcy w deliach stąpają poważnie, zamyśleni, głaszcząc sobie brodę, odwracając się groźnie, kiedy Turka spotkają o białym zawoju, o kindżale przy boku, szemrzącego modlitwę do proroka; owdzie na krużganku stoi Hindus z Lahoru, słodycz żarzące oczy mu cukruje, rysy twarzy prześlicznej łagodności zaciągnięte miedzianą barwą, w jednym ręku trzyma jaśminu gałązkę, w drugim złote medale — na kwiat i na złoto

spoziera uprzejmie, aż zda się, że omdleje z rozkoszy. Wszystkich hord Tatarzy spotkali się tutaj. I owi, co w rozsypkę po wnuku Tamerlanowym się rozbiegli, i ci, którzy osiedli w Krymie, by hołdować sułtanom, i ci, którzy, dotąd wolni, paszą konie piołunem stepów. Greckiej wiary ludzie, wielkiego państwa moskiewskiego syny, przechadzają się dumnie, jako chrześcijanom i panom godzi się wobec pogan i poddanych. Ich kościół brzmi dzwonami i jaśnieje przepychem, a zatknięty krzyż na nim wyżej od wszystkich minaretów sięga w powietrze. Rzadziej zdarzy się spotkać człowieka przybyłego od krain zachodu. Czasem jednak przejdzie po rynku wyspiarz z owej ogromnej wyspy zamorskiej, w czapce z piórami, z wstążkami u trzewików, z szpadą u boku, krokiem sążnistym, nie śpiesznym jednak, patrzący przed się, a niekiedy wokoło, lecz już wtedy z nieużytą dumą. Włoch też uwija się po ulicach, wymokłej twarzy, z ognistemi oczyma, z koturnem na nodze, z sztyletem zatkniętym u brudnej koszuli — a na odnogach Wołgi, które wciskają się do miasta, poznasz Wenecyanina po kształcie łódki, którą sobie przypomnieć chce adryatyckie mielizny, po czarnym płaszczu, po złotym łańcuszku na szyi, a najbardziej po zmarszczkach, które chęć zysku i bojaźń ojczystych sądów na czole wyryła. Niekiedy na zakręcie kanału ozwie się dźwięk gitary i wschodnich grzechotek, czasem też zabrzmią cymbały i naczynia z spiżu, o które biją wonnemi różdżkami Iranu dziewice. Śpiew rozlega się czasem w portykach domów, ciągnących się nieprzejrzanie, przepychem azyatyckim wystrojonych. Pomiędzy niemi tu i owdzie stoją chaty Tatarów, okute szynami żelaza, panów koczujących drewniane namioty wśród stolicy bogactw i handlu. Zewsząd powiewają spuszczone kobierce. Zda się, jakby od krużganków, od okien leciały hurmem kwiaty i, zatrzymane, kołysały się w powietrzu; nad galeryami, nad płaskiemi dachy rozciągnięte opony z jedwabiu, pomiędzy ich rysunki i hafty promienie słońca biegają, gdyby wśród ogrodu, pełnego róż

i motyli, a ogrody i winnice zielonym wieńcem okrążają miasto.

Świat to z tysiąca kolorów i uczuć złożony, pełny życia, brzmiący setnemi języki, okazała tęcza wszystkich narodów Azyi, jaśniejąca wiecznie nad falami Wołgi, od reszty ziemi pustyniami odcięta i morzem.

Ale czem są pustynie, kiedy lotne rumaki młodźców, spragnione, kurz miasto wody piją i lecą dalej z wodzem na czele! Wpław tumany piasku przepłynęli, Tatarów i Moskali rozbili, na ich trupy nie oglądali się nawet i nad Wołgą stanęli.

Tu Sahajdaczny kazał ściągnąć wodze i odpocząć ludziom swoim, potem spoziera ku północy, skąd Wołga płynie, i czeka; niedługo czekał, bo tam, gdzie nurt rzeki miesza się z oddalą, zda się, że czarna chmura przysiadła na wodzie i, nie roztapiając się w niej, pędzi, jak gwałtowna burza.

Im bliżej, tem prędzej bieży, aż słychać jęk fal.

— To czajki nasze! — krzykną Kozacy.

Wódz nic nie odpowie i skinął ręką, by zachowali milczenie. Potem zbliżył się do lektyki, przesłonionej kosztownemi firanki, nad którą korona carów z szczerego złota się wznosi, i odsunął boczną zasłonę.

— Hospodarko! — rzekł.

A ona obudza się ze snu i w rozmarzeniu jeszcze, blaskiem kopuł na przeciwnym brzegu olśniona, pyta się, czy to Moskwa i Kremlinu szczyty.

— To nowa twoja stolica, królowo Azyi — odparł hetman i wskazał nad wody, okryte czółnami. W tej chwili wzrok jego pałał dumą zdobywcy i szczęściem kochanka.

— A więc każ Waszmość do szturmu, bom strudzona podróżą wśród piasków i w pałacu odpocząć mi trzeba!

Słońce ku stepom stę spuszczało, ale mniejsza o to!

— Astrachan moim dziś będzie — krzyknął Zarucki i ku swoim zdąża.

spoziera uprzejmie, aż zda się, że omdleje z rozkoszy. Wszystkich hord Tatarzy spotkali się tutaj. I owi, co w rozsypkę po wnuku Tamerlanowym się rozbiegli, i ci, którzy osiedli w Krymie, by hołdować sułtanom, i ci, którzy, dotąd wolni, paszą konie piołunem stepów. Greckiej wiary ludzie, wielkiego państwa moskiewskiego syny, przechadzają się dumnie, jako chrześcijanom i panom godzi się wobec pogan i poddanych. Ich kościół brzmi dzwonami i jaśnieje przepychem, a zatknięty krzyż na nim wyżej od wszystkich minaretów sięga w powietrze. Rzadziej zdarzy się spotkać człowieka przybyłego od krain zachodu. Czasem jednak przejdzie po rynku wyspiarz z owej ogromnej wyspy zamorskiej, w czapce z piórami, z wstążkami u trzewików, z szpadą u boku, krokiem sążnistym, nie śpiesznym jednak, patrzący przed się, a niekiedy wokoło, lecz już wtedy z nieużytą dumą. Włoch też uwija się po ulicach, wymokłej twarzy, z ognistemi oczyma, z koturnem na nodze, z sztyletem zatkniętym u brudnej koszuli — a na odnogach Wołgi, które wciskają się do miasta, poznasz Wenecyanina po kształcie łódki, którą sobie przypomnieć chce adryatyckie mielizny, po czarnym płaszczu, po złotym łańcuszku na szyi, a najbardziej po zmarszczkach, które chęć zysku i bojaźń ojczystych sądów na czole wyryła. Niekiedy na zakręcie kanału ozwie się dźwięk gitary i wschodnich grzechotek, czasem też zabrzmią cymbały i naczynia z spiżu, o które biją wonnemi różdżkami Iranu dziewice. Śpiew rozlega się czasem w portykach domów, ciągnących się nieprzejrzanie, przepychem azyatyckim wystrojonych. Pomiędzy niemi tu i owdzie stoją chaty Tatarów, okute szynami żelaza, panów koczujących drewniane namioty wśród stolicy bogactw i handlu. Zewsząd powiewają spuszczone kobierce. Zda się, jakby od krużganków, od okien leciały hurmem kwiaty i, zatrzymane, kołysały się w powietrzu; nad galeryami, nad płaskiemi dachy rozciągnięte opony z jedwabiu, pomiędzy ich rysunki i hafty promienie słońca biegają, gdyby wśród ogrodu, pełnego róż

i motyli, a ogrody i winnice zielonym wieńcem okrążają miasto.

Świat to z tysiąca kolorów i uczuć złożony, pełny życia, brzmiący setnemi języki, okazała tęcza wszystkich narodów Azyi, jaśniejąca wiecznie nad falami Wołgi, od reszty ziemi pustyniami odcięta i morzem.

Ale czem są pustynie, kiedy lotne rumaki mołodźców, spragnione, kurz miasto wody piją i lecą dalej z wodzem na czele! Wpław tumany piasku przepłynęli, Tatarów i Moskali rozbili, na ich trupy nie oglądali się nawet i nad Wołgą stanęli.

Tu Sahajdaczny kazał ściągnąć wodze i odpocząć ludziom swoim, potem spoziera ku północy, skąd Wołga płynie, i czeka; niedługo czekał, bo tam, gdzie nurt rzeki miesza się z oddalą, zda się, że czarna chmura przysiadła na wodzie i, nie roztapiając się w niej, pędzi, jak gwałtowna burza.

Im bliżej, tem prędzej bieży, aż słychać jęk fal.

— To czajki nasze! — krzykną Kozacy.

Wódz nic nie odpowie i skinął ręką, by zachowali milczenie. Potem zbliżył się do lektyki, przesłonionej kosztownemi firanki, nad którą korona carów z szczerego złota się wznosi, i odsunął boczną zasłonę.

— Hospodarko! — rzekł.

A ona obudza się ze snu i w rozmarzeniu jeszcze, blaskiem kopuł na przeciwnym brzegu olśniona, pyta się, czy to Moskwa i Kremlinu szczyty.

— To nowa twoja stolica, królowo Azyi — odparł hetman i wskazał nad wody, okryte czółnami. W tej chwili wzrok jego pałał dumą zdobywcy i szczęściem kochanka.

— A więc każ Waszmość do szturmu, bom strudzona podróżą wśród piasków i w pałacu odpocząć mi trzeba!

Słońce ku stepom stę spuszczało, ale mniejsza o to!

— Astrachan moim dziś będzie — krzyknął Zarucki i ku swoim zdąża.

Ze statkiem doświadczonego męża dawał rozkazy nie zbyt wyniosłem, ale stanowczym głosem; każde jego słowo głęboko zapada w pamięć towarzyszy. Niedługo też przemawiał, bo tyle bojów razem przewalczyli, że oni już teraz wprawili się do jego chęci i celów.

— Jak tylko wpadniecie, a już mrokiem, podpalić dom jaki u wnijścia, pierwszy lepszy, byleby gorzał, jak smolna beczka na stypie; przy nim snadniej obaczyć, izali nieprzyjaciel zginął naprawdę lub dyszy jeszcze. Łupy sam wam rozdzielę, a znacie mnie, żem sprawiedliwy. Tej pierwszej nocy nie tknąć mi się dziewki ni wina, ale strzedz się zasadzek i rąbać, dopóki sił stanie! Starcom, dzieciom i białogłowom zda się przepuścić, przecie my nie Bisurmany!

Potem wsiadł na czółno i podobnie mówił do nowo przybyłych. Lektyka złocona kołysze się już na Wołdze, przy niej on stoi — to czasem spojrzy na Marynę, to znów spogląda na szyki swoich. Konie z spętanemi kopyty zostawili na brzegu — jutro, jeśli Bóg da, po nie się przeprawią, a one skaczą i rżą za odpływającymi jeźdźcami.

Na wyspie przed niemi w zmierzchu gmatwają się Astrachanu wieże i mury dziwacznie się łamią, to wyskakując, to cofając się w tył; słychać brzmienie wieczornych modlitw, gdzieniegdzie światło zamignie, to lampa wejdzie na szczyt minaretu, to latarnia gdzieś błyśnie na wieży, z nad okolicznych trzęsawisk mgła się podnosi i leniwo wlecze się w górę, na brzegach wicher się zakręci i wzbije tumany białawego kurzu, gwiazda zalśni wśród błękitu, poniżej meteor przeleci nad wyziewami; choć robią cicho wiosłami, czasami się pożali uderzona fala. Niekiedy pomiędzy tyloma zbrojnemi chrzęst pancerza się ozwie, szmer takowyż słychać, złożony z przytłumionych głosów, podobny brzękowi owadów nad błotami, czółna się zetrą z sobą w pędzie i stukną. Na każden z tych odgłosów rysy wodza pomimowolnie zadrgną, bo jemu dreszcz biega w piersiach, jak młodzieńcowi, który się skrada pod okno lubej kochanki.

I zbliżyli się do wyspy — już mielizny pochwytują spód czajek i one więzną w mule. Wtedy z owego milczenia zgodnie, razem wydobyło się ogromne »*hura*«, które nad wodami się rozległo i, pędzone wichrem, uderzyło o mury Astrachanu.

Wnet cała tłuszcza wali się ku miastu. Wśród kilkunastu zbrojnych statków została lektyka, a wódz pożegnał jej panią obietnicą zwycięstwa i poszedł do walki. Nie uszło chwil kilku, aż tu buchnie pożar, Wołgę ozłoci, niebo łuną rozkrwawi — ogień to wesela, przy którym hasają młodzcy!

Kopuły, księżyce, krzyże, jako gwiazdy mordu, czerwono zablysły nad miastem, między niemi pędzą kłęby dymu, które je przesłonią, to odkryją naprzemian. Burza to pełna dziwów między niebem a ziemią, poniżej czarne postacie pląsają wśród płomienia, co chwilę znikając, jak duchy, to znowu wracając na widok, podług tego, jak wicher przesłoni ich kurtyną z popiołów lub obwiedzie kręgiem z ognia. Wciąż grzmi wrzask najezdników i nie daje krzykom broniących się, jękom rannych przedrzeć się aż do uszów Maryny, która stoi na przodzie statku, otoczona swoim dworem, starając się utaić wzruszenie, udając męskie oblicze, by nikt nie wątpił, że zrodzona do berła. Czasami jednak zadrżą jej kolana i słabe westchnienie wymknie się z piersi. Królowa twoja, o Astrachanie, płacze nad tobą pierwszej nocy panowania swego!

Wtem z pośród wyziewów, drzemiących nad zatokami Wołgi, od morza żagle się ukażą i suną po wodzie, jak mary po darni cmentarzów: na odsiecz miastu, znać, śpieszą majtki, wracający z kaspijskich połowów, a że miasto już płonie, by zemścić się, wprost pędzą ku czajkom Carowej.

Wtedy ona do młodzców się odezwie bez drżenia, z powagą i wdziękiem niewieścim pospołu; kazała podać sobie kolczugę i zarzuciła przez piersi, jakby chustkę jaką, i sta-

nęła pod koroną złotą, przy śpiącym synie; pośród błyskawic, lecących od pożaru, zaczęła się walka — ale wnet zupełna ciemność walczących ogarnie, to znów łuna ich oświeci.

Ale na czajkach kozackich błysnęły gromnice. Straszne to gromnice, od których dalekiego połysku Stambuł drżał nieraz — matki tysiąców iskier i wężów z płomienia, skaczących do oczu, pełznących po drewnie i żelazie, nie zgaszonych niczem. Z rąk mołodźców wyrzucone, spadły na pomosty rybaków — i pożar na falach Wołgi syczy i bucha w odpowiedzi na szumy pożaru, którym Astrachan płonie.

Cała przestrzeń się rozwidniła, słupy dymu nad wodą się wzbijają. Wicher gwiżdże pośród masztów i lin, coraz wyżej, coraz szerzej pcha ogień, który wdziera się od pokładów, liże krwawymi języki białe żagle i na perzynę je rozmieca. Tymczasem mołodźcy przyklękli na swoich łodziach, ale nie do modlitwy, choć milczą tak uroczyście, jak przy podniesieniu Bożego Ciała. Milczą i celują, razem wypalili; świsnęły kule — słychać jęki zrazu — czarny kadłub tu i ówdzie pluśnie w nurt i pójdzie na dno. Nastąpiła cisza głosów ludzkich na przeciwnym okręcie; nie wyginęli jednak do ostatniego, ale ci, którzy zostali przy życiu, oniemieli z przerażenia.

Ich wysoki okręt na wolę Wołgi i wiatru się kręci; już ludzkie ręce nim kierować nie zdołają, bo maszty węglami się stały, płótna w dym poszły. Naokoło niego, jak drapieżne ptaki, krążą małe czajki, usuwając się zręcznie i nagle z pod walących się belek i masztów, a, jak tylko owa zawieja przeleci, wracają do szturmu. Maryna ciągle rozdawa rozkazy. Tysiączne blaski łamią się w pierścieniach jej kolczugi, kołpak zukosa leży na skroniach, pół tylko włosów zakrywa, reszta buja sobie wśród iskier i burzy. Ktokolwiek na nią spojrzy, radby rzucił się do stóp i uczcił panią, a potem skoczył ku wrogom i dał gardło w jej sprawie, by jutro nad tem pięknem czołem weszła korona.

Po łoskotach i po jękach wielu łatwo poznać, że nie-

przyjacielskiego okrętu ostatnia dobija godzina; na pół zgorzałe ciała czołgają się na pomoście — czasem dym się przerzedzi i widać oczywiście ostatnie podrzuty umierających. Wtem zerwał się wicher ogromniejszy, niż przedtem, i popędził palący się ogrom precz od czajek. Jako piramida z ognia, wirem się kręci i odsuwa, od jego boku leją się strugi roztopionego ołowiu i z głuchym szumem padają w wodę; słychać też po niejakim czasie, jako, wpędzony na brzeg, rozłamuje się do szczętu. Jeszcze kilka czółen od niego błąka się po Wołdze bez wioślarzy, bez sterników, jako męczenniki dawne, zataczające się po drogach z wypalonemi oczyma.

Wtedy czajki znowu skupiły się naokoło Maryny i stoją w milczeniu; wszystkich oczy zwrócone ku miastu, ale dym rzucił zasłonę między miastem a niemi. Z za tej opony słychać wrzaski i szczęki, niekiedy strzelbę i łoskot walących się murów, ale nic nie widać. Niewieścia niecierpliwość przemogła w Marynie: ręką znać dała, by płynąć ku miastu.

— Już późna godzina, za długo u bram naszej stolicy stojemy — rzekła z uśmiechem i poprawiać zaczęła rozwiane pukle, głaszcząc je i trefiąc, jakby na gody śpieszyła. Wpłynęli w dym i zniknęli wśród niego.

Owóż jest wam powinszować czego, Igorze Sahajdaczny Zarucki, żeście w tak poważnej potrzebie górę wzięli i pod swoje stopy cisnęli miasto najwspanialsze po Moskwie, wznoszące się wśród pustyń, jako czarodziejskie zjawisko. Dobrze wam tu odpoczywać będzie po trudach i jedwabiem perskim i muszlinem Indyi znój obcierać z czoła. Ale gdzież się podziało to plemie, które niedawno skakało i połyskiwało, wzorem lubieżnych jaszczurek, po twoich ulicach, Astrachanie? Dziś wśród zgliszczów leżą pomięte winnice, a z nich dym czołga się w niebo nie już kłębami, ale niciami, jak zwykle bywa nad spalonemi gmachy, w których głębi tleją węgle jeszcze, przysypane gruzem i deszczem przemiękłe; na rynku obcy żołnierze, od progu Dniepru

przybyli, ciągną na los szaty twoich mieszkańców i twoich domów obicia, a w sali zamkowej zdobywca rozdaje kosztowności towarzyszom, twojego wojewodę, spętanego w łańcuchy, kazał stawić przed sobą; biada jemu, bo nie umiał zginąć, jako na walecznego przystało!

Przez okno widać rozwaliny, przeszłej nocy dzieło, i pół miasta i Wołgę woddali; na podłodze tarcze, sajdaki, spisy, włócznie, hełmy, zawoje, siodła perskie, rzędy, płonące od rubinów, leżą w nieładzie, a między orężem i zbrojami połyskują tu i ówdzie szaty niewieście, welony gwiazdkami przetykane, naramienniki, wachlarze z drogich piór, futra, kobierce, makaty, roztruchany ze srebra, misy, dzbany miedziane, meszty wschodnie, zdarte z cieniuchnej nóżki, oplatane kwieciem ze złota i kwieciem z jedwabiu, bursztyny, kanaki, korale. Pośród owych łupów, to walających się na posadzce, to ułożonych w stosy, siedzi w krześle wódz mołdźców, otoczony swojemi, i patrzy z pogardą na jeńca, który stoi przed nim wśród strażników z głową schyloną, ze spuszczonemi ramionami, bo je ciężar kajdan ciągnie ku ziemi.

Grek to, co się urodził żebrakiem na archipelagu wyspie, a spanoszył się na dworze carów i wczoraj jeszcze panował nad Astrachanem, jak trzytulny basza. W oczach tleje ostatek piękności naddziadów, ale na twarzy wśród pryszczów od wina i zmarszczków lubieżności lata bojaźń śmierci. Dotąd suknia wojewody na nim połyska; wprawdzie jej hafty rozerwane, podziurawione rękawy, pas osunął się na piersiach z zgruchotaną klamrą turkusową, czarne włosy kręcą się nad czołem, skąd zeszła pycha — ona do tego czoła już nigdy nie wróci.

Zarucki namyśla się w milczeniu; rysy, z początku surowe, wypogodniały, znać, że litość czy wzgarda przemogły nad prawem zdobywcy, nad zwyczajem owych wieków. Już usta się jego roztwierają, wnet wyrzeknie, by jeńca wypuścić — wtem spojrzał przypadkiem na poduszkę przy krześle. Na niej leży jego bułat, karacena i kołpak się wznosi czarny, stalowemi obszyty pierścieńmi, sobolowym rąbkiem obwiedzion, nad którym świeci topaz, w złoto oprawny — i u owej klamry dziwnie wygląda zatknięty kędzior jakowyś, spiekłą krwią i brudem zmazany.

Wyrwał go syn stepów i skoczył z siedzenia, w pochmurności czoła zagasł już wschodzący nań brzask miłosierdzia; pomiędzy łupami przechadza się żywym krokiem, deptając zawoje, szaty, klingi, mnie w dłoni sierć ową i ciągle milczy wśród towarzyszy, którzy, zdziwieni i przelękli, usuwają się przed nim.

— Widzieliście — wreście zawoła — widzieliście sami, jako rącze były na suchym i na mokrym polu, w trzęsawiskach nie grzęzły, z kępy sadzały na kępę, w nurtach rzek pływać umiały, gdyby dzikie wydry. Iwanie, byłeś ze mną, kiedy Istambuł uniósł mnie z pożaru Kołomny — wszak on potu nie żałował wtedy, by ocalić pana, od dymu i iskier nie odwracał nozdrzy. Leciał na zabój przez płomienie i rżał z odwagi.

Tu się zatrzymał i zdał się szukać kogoś wśród stojących kozaków.

— A ty, Sobolewski — mówił dalej, wskazując na jednego z nich — służyłeś mi za giermka w owej potrzebie z Achmetem Gierajem; pamiętasz li, jako biedna Giemza dokazywała pode mną? Trzy razy wskróś przez rzędy Bisurmanów przebiłem się wtedy, a zawsze tak chyżo mnie niosła, że czasu nie miały ich oczy dobrze mierzyć, ich dżyryty dolatywać mnie! A mur on wysoki na uboczu łąki zielonej! Dobiegła, przesadziła, spadła na wszystkie cztery kopyta, parsknęła i biegła dalej. A dziś z nich obojga białe kości na brzegach Pratwy! Przeklęta owa noc, owa pogoń, owe tatarskie pachole, przeklęci Moskale, niewierni Marynie, zmienniki, służalce Michała, popowskiego syna — oni mnie pozbawili najlepszego konia, najlepszej klaczy mojej!

I tu przestał; po chwili się odezwał, ale już gwałtowniej:

— Ja wam powiadam — słuchajcie, mołodźcy, słuchaj i ty, Greku, choć nie rozumiesz i słowa, boś nigdy nie bieżał po stepie, jadłeś, piłeś, ssałeś winograd na sofach — ja wam powiadam, że już nigdy nie zobaczycie nic równego! Jako psy do mnie przywiązane były, a jaka maść, a jaki polot ogona, a jaka falista grzywa — oczy gdyby węgle, szczery ogień buchał z nozdrzy! Istambuł miał gwiazdkę białą między uszami, ale Giemza cała czarna była. Kiedym świsnął, przybiegały do mnie, kiedym pogłaskał, z radości tarzały się w piasku, a krzyknąć, to klękały, by łatwiej siąść było. Nie raz, ale sto razy ostrzegły mnie rżeniem, że nieprzyjaciel za borem, za wzgórzem, w borze — nie raz, ale sto razy życie im winienem. Cóż powiecie na to?

Nikt nie śmiał się ozwać.

— A ja wam powtarzam, że lepszych rumaków świat już nie obaczy.

To mówiąc, porwał za puhar z kryształu, stojący wśród łupów, i, rzuciwszy o ziemię, roztłukł na drobne kawałki.

— Przysiągłem owej nocy, odpływając na łódce przed patronem moim, św. Igorem, że bojara moskiewskiego gardło przypłaci śmierć Istambuła i Giemzy. Wojewoda astrachański za bojara ujść może.

Umilkł i zdawać się dumać głęboko; kiedy po czwarty raz się ozwał, znać było drzenie w głosie.

— Chciałem przebaczyć. — Tu przez chwilkę mowę i oddech zatrzymał: — Żołnierze, prowadźcie go na śmierć!

Zemdlonego wynieśli z komnaty, a wódz niepewnym krokiem poszedł ku siedzeniu, sierść z grzyw końskich na nowo zatknął u kołpaka, ale zatłoczył głębiej, pod klamrę, by już nie wyzierała więcej.

VIII.

Przez całe lato gody w Astrachanie odprawiali mołodźcy. Czasem na wycieczki wylatują, lecz niedługo bawią, z plonem i z moskiewskiemi głowami wracają, plon dzielą między siebie, głowy pokażą Sahajdacznemu, potem w Wołgę rzucą, zawiesiwszy kamień u szyi miasto kijowskiej relikwii, która gdzieś na pobojowisku została. W pałacu, na wzgórzu zielonem, nad rzeką, przesiaduje pan i pani. Tak bowiem ich zowią od zdobycia Astrachanu.

Po salach, po galeryach nieraz widziano, jako się przechadzała Maryna, oparta na ramieniu Zaruckiego, jako on do niej przemawiał już nie kłaniając się, jak dawniej, jak ona odpowiadała bez zwykłej dumy. A jednak w owym żołnierzu, który więcej nocy przespał pod niebem niż pod dachem, który w obozach ssał pierś mamki, nauczył się imienia Boga i mordowania ludzi, pozostało uszanowanie dla piękności, która w nieszczęśliwej godzinie powierzyła się jemu.

On, choć dzisiaj wszechwładnym jest panem w Astrachanie i rozkazów żadnych już nie słucha z ust, które niegdyś krótkiem witały go i żegnały słowem a później do jego własnych się zbliżyły, choć wie dobrze, iż imię »carowej« jest marą bez znaczenia, choć mógłby, koczujących wojowników obyczajem, znudzić się jej wdziękami i wypowiedzieć jej wierność, a niktby się za nią nie ujął — dotąd jednak

słucha jej słów, jako dawniej bywało, kiedy w pokorze zbliżał się do tronu Dymitrów, dotąd namiętnem spojrzeniem rozkoszuje w jej licu i gotów zapomnieć o chwale i łupieży, byleby zyskać uśmiech dziękczynienia i słowo miłości.

Przepych wschodu ich otacza. Sułtańskie sofy i wezgłowia, kobierce Seraju, najrzadsze kwiaty, kamienie, konchy, perły naokoło błyszczą. Światła się palą w wazonach z przejrzystego alabastru i barwę rozkoszy po ścianach rozwodzą; makaty, tkane w kwiaty ze złota i srebra, kształtnie się fałdują u okien i u drzwi; z piór ptasich u sufitu rozwieszona tęcza; na stole całkie krzewy róż i jaśminu, a w ich cieniu napoje azyatyckie, owoce, śniegiem zaprawione cukry, archipelagu wina; po kątach palą się w misach pustyni balsamy; u stóp Maryny walają się porozrzucane po jedwabiu i atłasach korale, wachlarze, naramienniki i muszle.

Gdzieś w dalekich salach odzywa się muzyka, której tony wpływają do komnaty i, jak ostatnie fale u brzegu, zwolna pluskając dźwiękami, umierają w jej i Zaruckiego uszach. Owym nutom nic nie zrówna w słodyczy, a jednak jest w nich siła ukryta, co powoli, jak krople wieczornej rosy, których się nie czuje, wsiąka w mózg i piersi, pierwszy zawraca, drugie mdłą rozkoszą rozlewa; przy nich dziecko płakać przestanie i uśnie, a wojownik szablę upuści na ziemię; przy nich pamiątki przerabiają się w poezyę, chwila teraźniejsza staje się wszystkiem, a o przyszłość się nie dba, bo gdzież już szukać milszej nadziei nad to, czem teraz napawa się serce? Aż wreszcie człowiekowi zacznie się marzyć o harfach aniołów i zechce się konać.

Przy takowych dźwiękach wódz młodźców opowiada swoje wyprawy, zwycięstwa i klęski, jako na lipowej czajce przesuwał się między Dniepru wiry i, śmiejąc się, przepływał nad bezdennym grobem, skałom się umykał i z fali przeskakiwał na falę, przy grzmotach gromów, lejących się z wysoka — jako na szerszej łodzi morze Czarne nawiedzał i żagle, rozdarte od burzy, w odłamkach padające widział

wokoło siebie, gdyby zlatujące przybitki po wystrzale, a jednak płynął dalej z jańczarką w prawej, z lontem w lewej ręce, a przybiwszy do brzegu, wsie palił niewiernym i zdartemi z turbanów szalami pierś gołą obkręcał — jako do boju sprawiał roty swoje, kiedy wodzem został, i na czele ich z bułatem nad głową pędził w sam środek nieprzyjaciół — pożary miast ludnych, odwroty o głodzie i zimnie, kiedy co krok w słupy przemarzali towarzysze, a on chuchał w palce i śpiewał dumkę stepów — gonitwy po stepach na rączym koniu, przy świście wichru i targającej się burce u szyi, w nocy, kiedy gwiazdy jednej nie było w górze ni robaczka jednego świętojańskiego na ziemi, tylko piasku tumany, a czasami trzepotanie się wrony nad głową, w oddali skowyczenie wściekłych wilków — pochody w bagnach, kędy murawa nad topielą zwodzi żołnierza, grunt trzęsie się za każdem stąpaniem, jakby zapaść się miał, woda zielona i żółta dyszy pomiędzy kępami, na których leżą gadziny, serdecznie splecione z sobą, z oczkami, podobnemi do iskierek, z żądłem migającem, gdyby płomyk śniady — rozpaczne szermierstwa z napotkanemi wrogami z potu i krwi niemałym przelewem, ran odniesionych boleści — nudy leż długich podczas niemocy, mdłości w konaniu, bo on już kilka razy konał, to w lepiankach na słomie, to na polu bitwy między trupami — trudny powrót do życia, nim siły znów się zjawią i konia się dosiędzie — a wtedy na nowo gody i uroczystości przy buchających płomieniach, wśród szczęków i łoskotów, krzyku i tętentu za sztandarem, powijającym w powietrzu — dniem i nocą szturmy, harce, błędy, owdzie chwały, owdzie złota dla siebie a obroku dla rumaka się nabędzie. Tu zginie przyjaciel, tam kochanka się zdarzy, a niebezpieczeństwo w każdej chwili, a rozkosz idzie za niebezpieczeństwem, bo wtedy dreszcz lubo gra po sercu, drażni piersi, poddaje mocy i pędzi wśród zgliszczów, wpław przez rzeki i piaski, na zabój środkiem hufców — zawsze

naprzód. Takiem życiem bodajby żyć wieki całe i nie umrzeć nigdy, mogąc umrzeć codzień!

Podczas tych słów twarz jego pałała uniesieniem, a jednak nic nie było dzikiego ni w mowie, ni w tem uniesieniu; ani razu nie spojrzał wzrokiem, w którym patrzał w bitwie lub wśród pożaru, ani też głos się nie wznosił do owych ryków, któremi oznajmiał wolę swoją na pobojowisku, ale patrzał i mówił jak bohatyr, który skromnie opisuje swe czyny, jednak ciągle wie, że mało ludzi tyle razy życie ze wzgardą na łup śmierci rzuciło.

Maryna słucha ciekawie i podoba sobie w bezdrożach lasu, po których błąkał się Zarucki — w niej samej zarazem tysiąc pamiątek się budzi. Dumanie rozwiodło łagodną barwę po jej licu i czoło krasi wdziękiem niewieściej słabości. W oczach zjawiają się spojrzenia, świętością nieszczęścia zamglone i tem ponętniejsze, iż w nich ciągle błyszczy ogień żywej duszy, która tyle cierpień przebyła, nie żaląc się nigdy, nie spuszczając nigdy z swojej hardości, aż dopóki wśród kwiatów, kadzideł i harmonijnych dźwięków upamiętała się w swoim statku i rozczulić się dała.

Ku wodzowi, który ją uniósł z więzienia, który dotąd jej broni i służy, wzrok i serce zwróciła. Niestety, i pierwszy Dymitr podobnie kwitł przy jej boku młodością, odwagą i szczęściem, podobnie i w jego objęciach marzyła, że całe życie będzie dla niej okazałą uroczystością, a nie podróżą z gruzów na gruzy — a gdzież się podział ów potężny mocarz? gdzie się podział ów drugi, który chciał stąpać jego śladami? Proch z nich obu dzisiaj, a z Igorem może to samo będzie, bo jemu ta sama przyświeca gwiazda, co wiodła tamtych: gwiazda nieszczęścia i dumy!

Na ten ostatni wyrzut sumienia zbladła wojewodzianka sandomierska i wyciągnęła ręce ku Zaruckiemu, jakby przerażona chciała tulić się do niego, jakby udręczona chciała głowę schylić na jego piersi i wstyd swój przed Bogiem

zakryć. On jej odpowie westchnieniem — dziwnem było to westchnienie, wydobywające się z jego szerokich piersi.

Ale bo też w owem twardem łonie, na którem każdy pierścień kolczugi znak swój wygniótł oddawna, bije serce, którego krew i bitwy same zaspokoić nie zdołają. Trza mu chwil odpoczynku i chwil rozkoszy! Któżby wierzył? — w oczach wodza młodzców łza nabrzmiewa i pada na rękę ulubionej — on niby się jej wyrzec chce i marsem spoziera wokoło, aż tu druga, równie cicha i niespodziana, zaszklni zrzenicę, znów spłynie po licu, zatrzymując się na zmarszczkach, trudami wyrytych, zsączając się w bliznę od tureckiego bułatu, miga na twarzy, jak kropla rosy na zgliszczach pożaru.

Smętność wkrótce jednak inne myśli przerwą i wodza znowu pyta się Maryna, kiedy zamierza wracać w głąb Moskwy, by osadzić ją na tronie carów.

A rankiem biją przed niemi czołem hany pustyni i perskie bogacze. Zarucki rozsądza sprawy, tego na śmierć, tamtego na życie w łańcuchach skazuje, rozdaje towarzyszom ziemie i domy, siodła i rumaki. Sam zaś obok lubej płynie po Wołdze na statku, obitym złotemi kobiercy, i miasta wały nawiedza, to w mieście przechadza się pod baldachimem, jako na wschodniego króla przystało.

Czasami także na zamku palą się tysiączne światła i brzmi muzyka — nie owa pełna słodyczy, dolatująca uszu, jak dźwięki w śnie wymarzone, ale huczna, wszystkie przejścia, altany, galeryc, portyki zapełniająca, a jeszcze jej nie dosyć, bo i po dziedzińcach się rozlega, mury przeskakuje i dopiero kona z jednej strony na kopułach minaretów, z drugiej na falach Wołgi.

Wtedy niewolnice zdobytych haremów tańcują przed tronem pana i pani, każda podług obyczaju swego, każda w stroju swej ojczyzny, skąd złotem przepłacone wdzięki przyniosła nad brzegi Kaspii na łup wyznawcom proroka. Świeże, jak róże Edenu, z okiem rozżarzonem wiecznie,

kołują, splatają się w wieńce, to rozrywają swoje szeregi. Lica niektórych dotąd świeżość niewinności krasi, inne już poznały, co rozkosz, i nadal rozkoszy tylko żądają; ona je przepsuje, przepali, na zgniliznę i popiół rozsypie — ale długo jeszcze będą pięknemi, a dziś żaden kwiat zachodniego świata nie zrówna im w postaci, lekkości, urodzie. Po tych błękitnych kobiercach, wśród owych makat lazurowych snują się nieprzerwanie, ich muślinowe szaty trzepocą się wokoło ich kibici, jak skrzydła u ramion aniołów. To chmury letnie, przesuwające się wśród błękitu, tkane w słońca połyski. Raz osobne płyną, niby błądzą w niepewności, aż się zjednoczą i mgła różnofarbna z nich powstanie wśród sali. Ta burza promieni, uśmiechów, puklów, szarf, welonów, skupiona razem, pędzi na skrzydłach wiatru, lunie deszczem róż i mirtów, zagrzmi dźwiękiem strun i głosami fletów, wreście opadnie u stóp Maryny i rozpryśnie się w tęczę jasności od jednej ściany do drugiej. A niekiedy z kosztownego puharu popija Sahajdaczny wino, zaprawione wonią i słodyczami, bo mu trosk brzemię cięży na sercu i nie dosyć tańców, lamp, muzyki, by ta pierś hartowna pamięć stracić mogła na chwilę. Trza napoju, by mózg przewiercić do dna, a wtedy lepiej mu patrzeć i słuchać. Wie on bowiem, iże blizkie niebezpieczeństwo, i jego uniknąć nie raczy, choć nie ma nadziei, by go odwrócić mógł lub pokonać, jak tyle razy zdarzało się za młodu. Całe państwo moskiewskie wali się naprzeciw niemu. Wczoraj jeszcze goniec przyleciał i padł z koniem na bruk pałacowego dziedzińca — dobywając ostatniej siły, wyrzekł: »Zbliżają się wrogi twoje, Igorze« — i koń i jeździec rozciągnęli się raz jeszcze, konając, a potem już leżeli bez ducha.

On byłby dawniej porwał za szablę, zawołał na swoich: »Do siodła i zbroi!« i poszedł wprost naprzeciw burzy dla spróbowania losu. Dziś równie śmiały, ni go lata ni wczasy nie garbią ku ziemi — ale już nie ufa szczęściu. Dziwne przeczucie każe mu powtarzać pocichu: »Ostatnie to chwile

panowania mego« — bo ludzie, wyżsi nad gmin natchnieniem duszy lub czynami ramienia, bliższe mają spółkowanie z światem duchów i jego poszeptom wierzą głęboko. Zdarza się często, iż takowe przeczucie we śnie się urodzi, czasami we dnie, przy blasku słońca, czasami wieczorem wśród tańców i muzyki, nie wiedzieć, skąd zleciało, ale to pewna, iż rozgości się w duszy i z niej już się nie oddali, dopóki się wraz z życiem nie rozemdleje w chwili dopełnienia. I w tem przeczuciu jakowaś rozkosz przebywa, niepojęta, ale pełna smętnego powabu. Bo nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi, a dusza, przywykła do niebezpieczeństw, nie lękając się zaguby, nim nadejdzie, pewna, że jej uniknąć nie sposób, to używa uciech życia z podwójnym zapałem, to z uroczystością gotuje się na śmierć, a pośród tych przemian, co godzina, co chwila siła przeznaczenia mocniej ją krępuje. Nie tylo szczególni ludzie, ale całkie ludy w takowy sposób konają czasami.

Śpiesz się więc, śpiesz, Igorze Zarucki, nasycić oko wdziękami lubej, usta jej ustami, nacieszaj się przepychem i zbytkami wschodu, nie dbaj o to, że za kilka dni może z owych bogactw i całego królowania twego jedna ci pozostanie żelazna koszulka, — szczęśliwy, jeśli ci własny miecz nie rozpryśnie się w dłoni! — Bohatyry są posłańcami przeznaczenia, wieszczami, których natchnienie wywraca miasta i wytępia ludy — od kolebki do grobu siła ich pędzi nieznana, wszechmocna, której ani wrogi się nie mogą oprzeć w chwili zwycięstwa, ani oni sami w godzinie upadku. Pospolitym ludziom przystało się trapić, kiedy śmierć przewidują, ale nie temu, który z wyższego zrządzenia umiera, a żył w taki sposób, że, choćby legł w pustyni lub w głębinie morza, stamtąd imię jego zmartwychwstanie jeszcze, by ziemię oblecić.

A Marynie dotąd śni się o berle i Moskwie; niewieścia wyobraźnia żywszemi farbami świat wystroić umie i jeszcze wśród burzy tęczę nadziei rozwieść po chmurach. W jej ob-

jęciach Zarucki innym człowiekiem: posępność z czoła mu precz uchodzi, w ramionach, któremi kibić jej oplata, zdusiłby wszystkich wrogów swoich — ale kiedy przejdzie chwila uniesienia, kiedy nastąpi omdlenie rozkoszy, wtedy znów czuje, iże go śmierć czeka.

Żal mu jednak zamiarów, nad któremi wiele nocy przeczuwał i doczekał się białego ranka; wreście schylił głowę przed Bogiem, dalej łudzić się nie myśli — dzieckiem na to, nie mężem być trzeba. »Do upadłego się bronić i upaść«— oto jego ostatnia pociecha, bo w tej ostatniej walce rozwinie wszystkie siły swoje — poznają nieprzyjaciele, jako lew osaczony kona!

Już też i jesień nadchodzi. Słońce nie tak wspaniale krąży po niebie, wichry od kaspijskiego morza śpiewają hymn śmierci kwiatom i drzewom, falc Wołgi pienią się od wściekłości, wokoło Astrachanu piramidy piasku wznoszą się i przechadzają w pustyni, niby ruchome mogily. Po zachodzie ogromna łuna widnokrąg rozpala — rzekłbyś, iż miasto wielkie goreje woddali; meteory latają w powietrzu i rozpadają się na iskry czerwone, słychać szumy w powietrzu, a chmury biją się na niebie, jak wojska na ziemi. Gmin tymczasem szepce o wróżbach i znakach, o powodzeniach i upadku mocarzy i wodzów.

IX.

Kozaków z Siczy i kozaków z Terku wyginęła moc. Do ostatniego bronił się Zarucki, wreście konia dopadł i z hufcem młodźców zniknął w stepach.

Wojska moskiewskie zalały oba brzegi Wołgi — Astrachan wrócił pod panowanie carów. Szejn Nikomko Horbrokow przywodzi owym tysiącom, które się rozbiegły za Zaruckim, za Maryną. Po pustyniach pędzą Tatarzy i upatrują ślady uciekających, ale nieraz z tej pogoni już do wodza nie wrócą — mróz jeźdźców i konie do ziemi przykuje.

Szwed, który dał się namówić do dalekiej wyprawy, dotrzymuje, jak może, kroku zimie i z ciężką rusznicą brnie po śniegach, brnie w piasku pod spodem.

Moskale śmieją się i powoli stąpają; im nie mroźno, im dobrze, im doma wśród zawici i śniegów. Zaludniły się puszcze — obozy co chwila przesuwają się po nich; wielbłądy stąpają z białemi namioty, gdyby z skrzydłami na grzbietach, świstom wichru naprzekór grają trąby i kotły, pod szaremi chmurami błyszczą hełmy, tłum bród moskiewskich, podobnych z daleka do zgrai buńczuków, posuwa się naprzód. Coraz głębiej zapuszcza się wojsko w manowce pustyni. Tak bowiem car Szejnowi kazał, a Szejn przykazuje im teraz.

Ale też trupów niemało śladami ich lęże na śniegu.

Kruki i sępy tańcują nad niemi w powietrzu i rwą ciała na sztuki wśród burzy, popijając śniegiem.

Nigdzie nie mogą wykryć śladu męża i niewiasty, za któremi się uganiają; wiatr, co pląsa w pustyni, ślady owe zaciera. Zaraza szerzy się po wojsku, głód nastanie wkrótce, a zatem wódz każe stanąć, sobie szopę wystawić, przedniejszym rozbić namioty bojarom, nory w ziemi wykopać żołnierzom i pokryć je sitowiem, co po jeziorach tu i owdzie rośnie, a że na siłach opadł, kładzie się na skóry niedźwiedzie i rozmyśla, jakby sobie i carowi dogodzić.

Dzień minął, noc minęła, żadnego powziąć nie zdołał zamiaru. — »Wyginą owe tysiące bez żywności i o takim mrozie, mniejsza o to, ale i ja może gdzie padnę na piasku; lub, jeśli ujdę zgonu, a wrócę z niczem, w domu zastanę niesławę, co mnie u progu przywita; ale mniejsza i o nią — więzienia i gniewu Jego Wieliczestwa się obawiam; żadnych mi nagród nie będzie«.

A zatem zwołuje podrzędnych wodzów i bojarów; oni stoją w poszanowaniu naokoło łoża, wśród ścian, trzęsących się od wichru, obitych skórami, porozwieszanych orężem.

— Radźcie — wolno każdemu zdanie powiedzieć! Przysłużycie się mnie, a ja, wiecie, żem u cara pierwszy na urzędzie i względzie.

Naciągną się twarze, najeżą się brody, słychać szelest szat, bo każdy rękę podnosi ku czołu i długim rękawem o rękaw sąsiada się zetrze. Radzą i rozważają, jako każdy może: ów rozpacza i zmrożoną pokazuje rękę, tamten spuszcza głowę i mruczy pod nosem — najdzielniejsi uśmiechają się, ale śmiechem zwątpienia.

Horbrokow wstrzymuje gniew, ale znać, iż wkrótce wybuchnie; więc kilku głos zabierają i wystawiają trudy, które ponieść trzeba: »Nie słyszano nigdy nad brzegami Kaspii o tak ciężkiej zimie; nocy długie, gwiazd jakgdyby nigdy nie było na świecie, toż samo z księżycem. Tumany śniegu, jak larwy, szturmują do obozu; we dnie chmury czarne,

nieporuszone, chociaż wicher dmie z całej mocy. Jako słońce wygląda, zapomni się wkrótce, przynajmniej u nas, kiedy mróz, to słońce okazałe, a gwiazd nie policzyć, tyle się ich skrzy w górze. Gdzież w tej obszerności szukać garstki ludzi? Zostawmy ich na jadło czarnym lisom! Już oni nie wrócą nigdy, by zaburzyć państwo nieprzezwyciężonego Michała — może już dotychczas przemienili się w stos kości, a tych nie znajdziemy. Dnia sądnego czekać, aby na jaw się wydobyły!«

Zgrzytnął wódz i spojrzał surowo; wtedy młodzi się odezwą z przechwałkami: »Pójdziem aż na koniec świata, lecz wprzód wrócić do Astrachanu trzeba — żywności i prochu zabrakło. Potem gotowiśmy pomrzeć za cara chrzesne całowanie«.

Nastąpiło milczenie. Płowe oczy Szejna żarzą się, jak u chorego tygrysa, w ich spojrzeniach dzikość wojownika, chytrość doradcy zwyczajnie przebija; teraz dzikość wzięła górę. Zadrzeli przytomni, on zagrzmiał potężną piersią, nazwał ich nikczemnikami, ale boleść przerwała mowę; musiał spuścić głowę i jęknąć. Wyrwał sobie siwych włosów garść i sypnął niemi w oczy otaczającym. Wtem usłyszano głosy straży, kłócącej się u progu, potem skrzypnęły drzwi szopy i wszedł młodzian, bez pytania się o pozwolenie. Ta zuchwałość wszystkich spojrzenia ku niemu obróci.

Nosił się dziwnym strojem, ni szwedzkim, ni moskiewskim, zarywającym trochę na ubiór wschodnich emirów. Szyszak miał stalowy, wygładzony jak lustro, niewyczerpanych połysków, koszulkę z posrebrzanych drutów, spiętą czarnemi klamrami, a na każdej wydłótowana głowa niedźwiadka z arabskim wokoło napisem; z pod niej przeziera szata błękitna, kindżał u lewego, bułat u prawego boku, z pochwą o mnogich ozdobach; na ramionach rękawice z futrzanem obszyciem, a nogi żelazem okryte.

Wszedł i nie zatrzymał się, czekając, by mu przystąpić

kazano, ale przesunął się między bojarami i stanął o dwa kroki od Horbrokowa.

— Nuradynie Murzo, Nuradynie Murzo, skąd ta zuchwałość? — szeptali mu do uszów otaczający, a on się uśmiechał tak, jak dziecko, radujące się z własnej swawoli.

— Niejednego już Tatara kazaliśmy zasmagać na śmierć w karę za krnąbrność — zawołał Szejn, podnosząc się na skórach niedźwiedzich i wlepiając oczy w twarz Nuradyna, jakby go przestraszyć chciał. — Wara, choć dowodzisz tysiącem ich i ubranyś, gdyby odaliska serajów!

Twarz młodzieńca nie zachmurzyła się na takową przemowę; założył ręce na piersi i czekał, aż przeminie burza, potem rzekł z urąganiem:

— Przez proroka, przez Allaha, Szejnie Nikomko Horbrokow, chłopie i sieroto Cara Michała, Hospodara naszego, tym bojarom, tym zmarzłym wojakom precz każ iść stąd, bo ja z tobą rozhowor mieć chcę!

Tu już krzyk wodza, uniesionego wściekłością, i groźby przytomnych wstrzęsły belkami szopy; słychać brzęk sztyletów, wyskakujących z pochew.

Nuradyn Murza rozśmiał się, ale już nie po dziecinnemu. Był to śmiech człowieka, gardzącego podłą czeredą, znającego swój cel i dążącego k'niemu z niezłomną wiarą w przeznaczenie.

— Wodzu, kiedy oni chuchają w palce, ja moją rękę wystawiam na zęby mrozu; kiedy o odwrocie zamyślają, ja wnoszę, by pędzić dalej, kiedy zwątpili o pojmaniu żony Dymitra, kochanki Zaruckiego, ja przysięgam, że mojej pogoni nie ujdzie. Teraz komu z nas stąd wyjść przystoi? Czy drżącym od bojaźni i zimna, czy temu, który z pustyni i chmur się śmieje, prędzej lata od sępa, zjadliwiej, niż sęp, ciało ofiary rwać będzie na sztuki? Ha, przysięgam, że tę niewiastę wykryję i pojmę! Dziś już mi donieśli, gdzie ona!

Z krwią najzimniejszą Horbrokow skinął na otaczających, by się oddalili; potem rzekł do Nuradyna:

— Głowa twoja, Tatarze, lub głowa Maryny! — i, wsunąwszy się między skóry niedźwiedzie, słucha ciekawie, co tamten powiada.

— W takowej pustyni o takowej porze zgniją wasze namioty, zmarzną żołnierze, na sitowiu ducha wyzioną bojary i sam wódz może skona; nie z obozem, gdyby miasto wojować tu trzeba, ale z garstką, w której każdy jeździec jak strzała, a rumak każden jak pierze u strzały. Maryna już za Jaikiem — na łodzie go przebyła z ostatkiem mołodźców.

Obyczajem rozjuszonego zwierza tarzał się Szejn na łożu, zwarł pięści, nogą pchnął szyszak, stojący w pobliżu, i zrzucił go z łoskotem.

— Uciekła i car mi się nie pokłoni! Wszelkiemu pospolitemu motłochowi pośmiewiskiem będę! »Jaki z niego bojarzyn!« — powiedzą z mnożnem natrząsaniem! Łeb twój z karkiem rozbrat weźmie, Tatarze, za taką nowinę!

— Do moich tysiąca przydaj dwa tysiące kumańskich, a twoją Maryna, a twoim Zarucki!

W głosie młodzieńca nie było żadnego wahania się, żadnej wątpliwości. Nie śpieszył się z odpowiedzią Horbrokow; znów skórę niedźwiedzią naciągnął po szyję i dumał.

— Na słońcu mojej waleczności żadnej chmurki niemasz, od kiedy wam służę, wojewodo. Przypomnij owe pachole, co przybiegło do ciebie, kiedyś stał pod św. Trójcą — a dziś wodzem jestem! Czemże wyniosłem się? Oto błyskawicą mej szabli.

— Wracaj do Astrachanu, tam odpoczniesz lepiej, tam i wino kipi w czarach, tam oczy dziewczyn wrą w powiekach — a mnie poślij za zbiegami! Po bezdrożach, po manowcach, dniem i nocą ich nie odstąpię śladów — ścigać będę za Carycą, jak kochanek za kochanką, a choćbym miał gryźć piasek i popijać sokiem piołunu, wytrwam i dogonię!

To mówiąc, ruszał rękoma i całem ciałem, znać, że jego

chęci tak żywe, iż nie dosyć mu słów na ich wydanie, a twarz, wycieńczona przez rozkosze i opium, zabłysnęła nadzieją i szczęściem — nie owem szczęściem błogiem, które jest snem namiętności, cichą pogodą bez żadnego wichru, ale owem, co duszę człowieka, jak piorun chmur, zarazem boskim ogniem obleje i rozerwie na sztuki. Oczy jego rozpłomieniły się nad zapadłemi rysami i buchające z nich spojrzenia budują Szejna.

— Dwa tysiące kumańskich przydawam do twoich ludzi, ale przysięgnij: kiedy ją i jego, związanych powrozem, przyprowadzisz do stóp moich, bym ich zawiódł przed hospodara naszego, że przed hospodarem naszym za to o nagrodę bić czołem nie będziesz! Ja, bojar Szejn Nikomko Horbrokow, klnę się przez błahoczesną wiarę naszą, iż sam soroków sobolich trzysta dam tobie w zapłacie.

Uśmiech niewymownej pogardy skurczył usta młodzieńca.

— Przysięgam przez proroka!

— A zatem dziś zazaz wyruszyć możesz.

— I wyruszę!

Po tych słowach poszedł ku drzwiom szopy.

Odwołał go Szejn.

— Pamiętaj, młody jesteś, byś nie zabył obietnicy swojej! Ta wszetecznica, która się carową nazywać śmiała, skarbów z Astrachanu, jak gmin gwarzy, uniosła mnożno. Soroków trzysta!

— Śmiech mnie bierze z twojej przenikliwości — przerwał Nuradyn. — Dowiedz się, iż twe zrzeniceby zgasły na zawsze, gdyby tylko połowę tych kosztowności, któremi ja gardziłem, jak piaskiem, oglądać im przyszło!

— Ha! — zawołał Horbrokow — o twoim rodzie Tatarzy twoi dziwacznie bają; słyszałem, słyszałem!

I zamilkł, choć chciałby dalej mówić, i nie oburzał się, choć gniewem nabrzmiały mu lica.

Nuradyn znów ku drzwiom postąpił; śpieszy się, jak

człowiek, który pragnie wyjść na świeże powietrze z sali godowej, gdzie napój mózg mu zawrócił i rozpalił serce.

— Jeszcze jedno przykazanie, człeku pogański, weź na drogę! — i odwołał go do siebie skinieniem ręki.

Młodzian tupnął nogą o ziemię.

— Po morzu naszej cierpliwości żeglujesz bezpiecznie, a gdyby to nie morze było, lecz tylko jezioro? — zawołał, klaszcząc rękoma, obyczajem znudzonego dziecka.

— Owa Maryna Laszka czarownicą jest niepospolitą. Bogomodlca archiepiskop Lerygiej ogłosił mi zdanie swoje o tej nierządnicy; krasa jej najchrobsze serce zmiękczy, a ty młody i niewierny!

Na te słowa dreszcz porwał wszystkie członki Tatara, kolana zgięły mu się ku ziemi, sto rozmaitych wyrazów weszło mu i znikło na licach; głos jego, dotąd ciągły, dźwięczny, osłabł teraz i przerywa się co chwila.

— Nie bój się, niechaj mi się pokaże, jak huryssa wśród pustyni! Ona rajską rosą oblana, rajskie wonie wokoło niej płyną, piasek, śnieg, tumany, ona krzewem róż edeńskich wśród głuchej puszczy, nad solnem jeziorem, co dyszy pod białą skorupą! Przebrzydła owa okolica — i rumak pieni się od strachu i jeździec nie dotrzyma siodła przed okropnością obrazu. Natura w dzikości swej dzieci swoich się wyrzeka, patrz — trupy leżą na zwirze, ot, sama podusiła swe dzieci! Ale ani mój koń, ani ja nie zginę! Jej wzrok będzie mi gwiazdą, jej głos harfą w pustyni — może i to być, że oboje przepadniem na wieki. Polegaj na moim słowie, przywlekę ci ją za włosy, polegaj, do Astrachanu, do pałacu twego... z szczerego jedwabiu jej pukle... Przysiągłem...

Ani zadrgnął żaden rys na twarzy Horbrokowa, ale słuchał uważnie, bo chciał podejść młodzieńca i wyrozumieć jego tajemnice.

— Nuradynie, nie przy wszelakich zmysłach zastaje cię

pierwszy dzień twej wyprawy. Wracaj pod namiot swój i legnij — kogo innego poszlę na brzegi Jaiku!

Zgryzł sobie wargę Nuradyn. Znać w nim żal, iż popuścił cugle językowi, a zatem przybierze barwę spokojności i zarazem uszczypliwym przekąsem usta nastroi:

— Czasami się zdarza, iż mnie żarty porwą. Zawżdy niebezpieczne wycieczki i błędy zaczynam od tego; bądź zdrów wojewodo, o mojej wierności nie wątp i chwili. Nie poznałeś się na mnie.

Lica jego w tej chwili cechę obojętności przywdziały, znikło gwałtowne wzruszenie, co nim miotało; bawił się to frendzlą od szaty błękitnej, to rękojeścią kindżału.

Nie wiedział, co wyrzec, Horbrokow, ale boleści coraz bardziej mu dolegają; wicher nabiera siły i tłucze o ściany, słychać w obozie jęki i odkazywania, a czasami głuchy szczęk rydla o kłęby śniegu i bryły lodu. Znać świeżym trupom świeże doły kopią.

— Tatarze, idź! Rozkazy wydam. Pamiętaj: głowa twoja lub głowa Maryny!

Rękę położył na sercu młodzieniec, zadrżał cały, ale umiał wnet pokryć wzburzenie duszy i ukłonił się nizko ukłonem niewolnika, obiecującego panu wypełnienie jego woli. Tymczasem w oczach jego świetnieje, że dopiął zamiaru i że on, a nie kto inny, od tej chwili jest panem.

Nazajutrz obóz moskiewski zwinięty, wojska wstecz wracają ku Wołdze, a trzy tysiące jeźdźców oddziela się od niego, jak kłąb śniegu od śnieżnej zawały, i w przeciwną stronę się udaje ku brzegom Jaiku. Na czele Nuradyn z przepychem szacha jedzie na arabskim koniu; nie pyta się o wicher, ni o mróz, co pod kopytami trzeszczy, ale pędzi z uniesieniem wojownika, który jedzie na pewne zwycięstwo, z zapałem kochanka, co za lubą goni, z szałem człowieka, przepalonego od namiętności, który długo udawał, ale dziś już udawać nie potrzebuje, bo zbliża

się do ostatniej sceny żywota, gwoli której wszystko poświęcił.

Twarz jego otoczona połyskami hełmu, bijącemi z góry, i połyskami pancerza, bijącemi z dołu. Cała siła młodości, wszystek ogień nadziei pała w zrzenicy; rzekłbyś, iż on szczęśliwy i chwały i nadgród przeczuciem — ale przypatrz się lepiej, a odwrócisz spojrzenie od tego uśmiechu piekielnej rozkoszy, który do ust się przyczepił, jak nienasycona pijawka!

X.

Za Jaikiem ciągną się błonia, przeklęte od Boga. Wicher jedynym ich jest panem — on tylu niewolników ma na swoje rozkazy, ile ziarn piasku drzemie w pustyni, przeciągłemi świsty budzi je i ożywia, potem, jak mu się spodoba, posyła na wsze strony świata.

Wznosi z nich budowle jednym zamachem skrzydeł i rozsypuje wnet drugim. To piramidom każe lecieć na zabój i kręcić się bez ustanku, to cały przestwór zarzuci mogiłami i z głuchym jękiem przechadza się po cmentarzu, to znowu głos wyżej podniesie i wirami przestrzeń zamąci. Sypią się jedne z za drugich bałwany piaszczyste, jak spienione fale na morzu, a jako ze szczytów fal oderwana piana bryzga deszczem w górę, tak i z owych bałwanów wzlatuje proszek białawy i mgłą niebo przesłania. Biada żeglarzom, których ta burza napotka, bo wyjdą na rozbitków wszyscy! Zwir, jak ołów stopiony, zaleje im gardła, zrzenice wypali, a ciała pójdą na dno, w sypkie, wiekuiste otchłanie. Kiedy opadnie zawieja, cała pustynia w gładką równinę się układa; rozrzucone po niej wysepki z piołunu, tu i owdzie czołgają się ciernie, a pomiędzy niemi węże okręcają się z sobą, przeciągłym gwiżdżeniem ogłaszając swą miłość.

Taki obraz okolicy, kiedy słońce wre nad nią latem w pełni swoich promieni. Ale teraz śnieg obsypał piaski, rzeka stanęła, szron wszędzie połyska; kilka dni sokołowi

lecieć ponad temi stepami, a wzroku mu nie stanie, zatrzepocze skrzydłami, raz jeszcze się podrzuci i padnie, olśniony, na biały śnieg wśród gwiazdeczek z lodu. Tam, gdzie pustynia, zda się, przylgnęła do nieba, podnoszą się wzgórza, dalej podnoszą się skały bez drzew, nagie, chude, jakby szkielety olbrzymów, których ród wyginął, a skamieniały kości. Tu dopiero zaczynają się manowce i bezdroża, czernieją paszcze jaskiń, z których snuje się para zjadliwa, granitowe słupy się ciągną, a między niemi kopce ze śniegu; lody, jako blachy, przykuły się do grzbietów i do piersi skał, wąwozy idą naprzód, obracają się w prawo i w lewo, to długim łukiem wracają wstecz i kręcą się bez ustanku. W tym zamęcie pamięć na mało się zda: raz wszedłszy, długo wyjścia szukać trzeba o pocie czoła, o krwi, z nóg ciekącej — coraz inne przechody wabią ku sobie — tyle skał, ile drzew w borze, wszystkie podobne do siebie, jak liście do liści. Po męczących błędach wreście zatrzyma się pielgrzym i obejrzy się w rozpaczy, a one zdają urągać się jemu, bo te same, które minął od godziny, dotąd stoją naokoło, jakgdyby, cichaczem stąpając za nim, posuwały się, kiedy on idzie, stawały, kiedy i on stawa; mózg w głowie mu się zakręci, wyda mu się, że one kołem tańcują, wirem go porywają i wciąż niosą pomiędzy siebie, bez odpoczynku, bez końca; ale jeśli odzyska zmysły i ochotę, jeśli szczęście mu posłuży, po żmudnej drodze wyjdzie z labiryntu i znów ujrzy pustyni obszar — za nim już zielone błonia.

Nuradyn zdąża ku owym skałom, bo mu szpiegi donieśli, że lew pustyni tu szuka schronienia; ale czyż on za sobą, by drogi nie zatracić, tak liczne porozstawił czaty? Co kilka staj koń przyległ do ziemi i jeździec na siodle niewzruszony się trzyma; zdala miga zbroja, zdala marsowa postać wojownika, ale przystąp, ktokolwiek jesteś, wróg-li czy przyjaciel, on cię puści bez szkody, bo ramiona przymarzły do piersi i już od niej się nie oderwą.

Ani raczy się młodzieniec obzierać na towarzyszy, którzy

z głuchym stękiem padają, potem już milczą na wieki. Mgły się rozeszły gdzieniegdzie, słońce wyjrzało. Tysiące udanych iskier błyszczą nad śniegami i, przepadając pod kopytami, trzeszczą, jako prawdziwe iskry, gasnące w powietrzu. Nuradyn bez litości hufce swoje porywa za sobą, tak, jak chmura w burzy, która, wyskoczywszy z ogromu wyziewów, zaprzęgnie się do nich i ciągnie je po niebie.

Wreście oparł się o skały i wrzasnął z radości. Bułat wyrywa z pochwy, śmiga nim w powietrzu i okręca wokoło szyszaku.

— Naprzód — woła — naprzód! Oni tu i huryssa moja i przeklęty jej mąż, potępieniec mojego gniewu!

Ale Tatarzy ściągnęli wędzidła, kroku dalej nie postąpią, zaklinają się na grób proroka, że im na siłach zbywa, oczy odwracają i wyciągają ręce ku stronie, od której przybyli. Tam czarne słupy wyzierają z białego śniegu: »To bracia nasi! Nuradynie Murzo, odpoczynku wołamy! Nuradynie Murzo, przespać się noc jedną pod namiotem daj sługom twoim! Dozwól, by na pół zmarzłym ogień zajrzał w oczy, skórę oblizał ciepłym językiem!«

— Ha, nikczemniki! — zawoła młodzieniec. — Skąd wam śmiałości takowej przybyło? Żeście tu na pustyni wszyscy, to mnie jednego zastraszyć myślicie? Snem to, snem, niewolniki moje, a nie prawdą! Niechaj który przystąpi, a głowę zdejmę mu z karku, tak, jak dziewica serajów pączek róży z gałązki odrywa — pierwszy lepszy! I ty, Abadzie Sahali — ot, zginiesz jak marny owad; i ty, Mechmecie, już mój koń drzy niecierpliwy — lepiej mu deptać po tobie, niż po śniegu i lodzie. Zbliż się, Akbareju, a dusza twoja nieboga na mróz się dostanie! Mrugnij okiem, kiwnij palcem, nogę wysuń z strzemienia, Hadżadynie, ruchem ust tylo mi się nie spodobaj, a stąd kindżał wświdruję ci w czaszkę!

I, to mówiąc, damasceński tasak wysuwał z dłoni i chował naprzemian, jakby zabierając się do jego rzucenia.

Głowę schylili przed wodzem w milczeniu, ale nie ruszyli się z miejsca.

Nuradyn szablę wyniósł do cięcia, konia spiął ostrogami, by wpaść na nich — wtem klinga w drobne kawałki się rozłamie, rękojeść tylko zostanie w prawicy: huk od strzału janczarkowego zagrzmiał pomiędzy skałami, kula leży na śniegu wśród szczątków pałasza.

— Przez Allaha, za mną! — krzyknął i, nie obzierając się nawet, czy go usłuchali — za mną, to Zarucki!

Ale kiedy dopadł skał, rumak na nic mu się zdać nie mógł; skoczył na ziemię i z tasakiem w dłoni szedł dalej. Kilkudziesiąt ochotnika pośpieszyło śladami jego, reszta została wokoło wielbłądów i namioty ściąga z ich grzbietów.

Od tego dnia szczękiem szabel, strzelbą janczarek rozlegają się wąwozy, pośród skał i filarów z lodu ścierają się męże; hurmem Tatarzy walą w bezdroża, ale źle im na nogach, do siodeł wzdychają — o siodłach ani myśleć, bo, gdzie tylo spojrzeć, przepaść lub cypel, pieczara lub pochyłość.

Dzielnie broni się Zarucki w ostatnim przytułku. Znać jego wszędy na czele młodźców, wychudłych od znoju i niedostatku, ale serca w ich piersiach nie zdrobniały. Garstka pozostała przy wodzu, reszta wojsk, co niegdyś Moskwę zbiegły pod jego rozkazem, Pereasław w perzynę rozdmuchnęły, Astrachan zdobyły, uciera się, jak może, każdy z nich śmierci niechybnej dniem wcześniej, dniem później się spodziewa; ale nie żal ginąć wobec tak dziarskiego hetmana — on trupa uczci spojrzeniem żalu i słowem pochwały.

Prochu jeszcze wystarczy im na kilka dni, żywność ściągają z pod chmur, strzelając w dzikich gęsi stada, mech, przyczajony pod szronem, z głazów zdzierają, kłębkami śniegu odwilżają usta, opatrują rany, a czasem jeszcze wśród bitwy dumkę stepów zaśpiewają; śpiewaka nieraz pocisk wskróś przeszyje, on pada ze skały w przepaść, a pierwszy bliższy zaczętą zwrótkę donuci.

Tak różnym losem wiodą wstępne boje: to nagle wpadają na Tatarów i chmura nieprzyjaciół w krew się roztapia, to, przyciśnieni, rozsypują się, owdzie stali hufcem przed chwilą, a teraz już żadnego niemasz. Tam, gdzieś z tamtej strony opoki, odzywają się szelesty, jakby sto wężów, razem pełznąc, szurowało piersią po ziemi.

Nuradyn pieni się od wściekłości, wyrzuca swoim, że bić się nie umieją, i hojnie ich życiem szafuje to w ciężkich pochodach, to w codziennych harcach. Z obojętnością spogląda na rannych i na poległych, tak, jak wielki człowiek, co nie dba o gminu zagubę, bo czuje, że przez zgon tysiąców dopnie myśli swojej ogromnej. Ale w nim owa myśl nie w głowie, jedno przesiaduje w sercu, nie wywrze ona skutków na cały naród, może zaginie razem z nim w pustyni, ale dusza jego się śpieszy, by się jej pozbyć i walkom swoim koniec położyć, nie dbając o to, czy piekłem czy rajem, byleby ustały, byleby pokój, rozkosz lub kara nastąpiła; przynajmniej już dzisiejszych uczuć w niej wtedy nie będzie.

A zatem śmierć bliźnich na sumieniu jego nie ciąży. Onby kraj cały rozniósł końskiemi kopyty, wszystkich ogniem i żelazem wygubił bez zgryzoty, bez bojaźni, nie opowiadając się ni szatanom, ni aniołom, byleby mógł usiąść na rozwalinie i raz tylo do piersi przygnieść tę, która go pozbawiła litości, rozumu, sumienia.

A potem niechaj przed sądem Boga niemowlęta, drobniuchne rączki wyciągając, dziewice, zalewając się łzami, skarzą na niego — on gotów, on nie wie, co to jest sąd Boga, ale wie i czuje, co płomień, który piersi mu pożera!

XI.

Na łożu z mchu do piersi ciśnie dziecię niewiasta. Sklepienie jaskini zakrąża się nad nią, tu i owdzie draśnięte blaskami płomienia, dogorywającego na szerokim ognisku, zasypanem popiółmi, zasianem węglami.

Niekiedy połysk i na nią padnie, a wtenczas z cienia wychodzą na chwilę rysy, wyniszczone chorobą ciała i duszy. Jednak uroda ociąga się, nie chce opuścić twarzy, którą tak długo krasiła, woli chronić się do oczu, których jasność chyba wraz z życiem zemdleje.

Ale czemuż synek uściskom matki nie odpowie uśmiechem, nie wyciągnie rączek do niej, lub, jeśli mu zimno i słabo, nie pożali się westchnieniami i płaczem? Może to sen głęboki? Nie, onby się obudził na pocałunki tej, która go trzyma. — Ot, błyskawica konającego ognia oblała twarz maluczką, rysy skrzepłe, drobne ciało, sztywne, gdyby drzewa kawał. Opuściła go matka, ono spadło na ziemię, potoczyło się trochę i leży, jak szary posążek. Nieszczęśliwa skłoniła głowę na piersi i kilka chwil przebyła w zupełnem otrętwieniu, potem wstała i poszła ku ogniowi. Rozciągnęła ręce nad węglami, by się rozgrzać. Szaty tej zawianie płomień wzbudziło i ten wyskoczył ze środka popiołów, złotym słupem podniósł się ku jej twarzy.

Znać w rysach walkę ducha z cierpieniem, stopniami jednak wyraz rozpaczy ustępuje miejsca wyrazowi tkliwszego

żalu, uroczystszej powagi — pamięć o Bogu zda się rozciągać barwę pociechy na czole, powoli kolana naginają się ku ziemi. Uklękła, a w czarnych oczach, spuszczonych w dół, cichą modlitwę odmawiają spojrzenia, ostatnie głosy duszy, której boleść przymknęła usta. Potem wzięła ciało w ręce i znikła w ciemnościach jaskini — niedługo wraca z zawiniątkiem i znów siada przy tlejących żarach; na kolanach złożyła dziecię, zawiniątko rozwiązała, połysk drogich kamieni wyjrzał ze środka, słychać pod jej palcami szelest szmat jedwabnych, taśmy złote i srebrne wyśliznęły się i pełzną naokoło.

W jej ręku cienki sztylet błyszczy; raz jej za igłę, drugi raz za nożyce posłuży, różne kosztowności spaja, wiąże z sobą razem, to rozdziera, pruje, dziurkami przeszywa. Czasami też bierze miarę ciała, ramion, nóżek, wstążką piersi, główkę, szyję obwiązuje i, odejmując, zważa pilnie na długość i szerokość. Z ostatków dawnej carskiej pychy giezłeczko, lamowane srebrem, na trupa uszyła Maryna.

Niełatwo odziać niem skościałe członeczki; nachyla się matka, całuje zimne powieki: »Pozwól, niechaj matka, Carowa, ciebie, dziedzicu Dymitra, ubierze, jako na cię przystało. W jednym grobie i ty i nasze państwo legniecie razem, na wieki, synu mój, syneczku mój, syneczku mój drogi«. I chwyta za rączkę, rączka gdyby z marmuru, i tchnieniem stara się ją rozmiękczyć i twarz pociera i trze piersi, a kiedy się zmęczy, znów całuje, przyciska i prosi.

Wreście suknią błyszczącą przyoblekła syna i zaraz do nowej bierze się roboty: z czarnej szkatuły wyjmuje koronę, nad płomieniem trzyma, a kiedy złota oprawa topić się zaczyna, odrywa z niej szafiry, dyamenty, rzuca w popioły, gdyby iskry nowe, potem coraz to okrąg ścieśnia i niekiedy przykłada do skroni dziecięcia; ale jeszcze za duża, więc znów nad ogniem ją topi i sztyletem wygina; teraz już pasuje mu do skroni. Następnie rząd pereł nawlecze i zawiesi u szyi wraz z krzyżykiem rażącego blasku.

Uśmiech smętnej rozkoszy na chwilę usta poruszył, kiedy go ujrzała otoczonym mnogiemi połyski — chwała Kremlinu, jak wspomnienie dzieciństwa we śnie dorosłego męża, myśl jej drasnęła. Złożyła ciało na pościeli z mchu i, marząc, że śpi jej Carewicz, naciesza się okazałością jego.

Ale śmierć na twarzyczce, szydząc z kamieni i pereł, ze złota i srebra, naprzekor ich barwom sine plamy i zmarszczki coraz głębiej wyciska. Kroki wchodzącego męża ocknęły ją z dumania.

— Dopełniają się losy Igora i twoje pójdą za niemi — rzekł głosem pełnym stałości. — Dziś ostatni moi towarzysze polegli, kilku, ranami okrytych, zostawiłem w jaskiniach po drodze. Ah, ty płaczesz, moja luba?

I spostrzegł leżące dziecię.

— Błogosław niebu, że na anioła go dzisiaj wezwało do siebie! Jutro byłby cara niewolnikiem.

— Boże, bądź pochwalon! — krzyknęła Maryna, podnosząc się nagle. — Masz prawdę, Igorze, on umarł spokojnie, z cicha, bez cierpień; osłabione ciałko nie pasowało się z odlatującą duszą, a ona teraz, suto promieńmi uwieńczona, przyśpiewuje w chórach anielskich i spogląda ciekawie na gwiazdzistą koronę Przenajświętszej Dziewicy. Śpij, śpij, synu mój! Ty wrzkomo znaku życia nie dajesz i co chwila na twarzy czarniejszym się robisz, ale ty żyjesz ponad temi skałami — śpij, śpij, synu mój — hańby nie poniesiesz, pogardy nie doznasz! Sługi twoje dawne nie przyjdą pętać cię w łańcuchy ni urągać się tobie, królewiczu mój! Żyłeś w kolebce jako dziedzic potężnego pana i umarłeś, nim dzień poniżenia zaświtał. Igorze, zapal pochodnię! Grób mu wykopiemy w głębi jaskini, tam, gdzie leżą twe zbroje.

— Dziś ja synowi twemu, a mnie jutro kto? — rzekł wódz posępnie i, łuczywo porwawszy z ognia, szedł naprzód, ona z tyłu, niosąc dziecię w ramionach.

I szli, milcząc, przez długie przejście, kędy sklepienie, wyrobione trzęsieniem ziemi i pracą czasu, w dziwne to

zwęża się, to rozgina otwory, to zdaje się lecić ku ziemi i w słupie wiszącym zatrzymuje się nad nią, to znów wzbija się w górę i ginie w ciemności, to prosto, gdyby wykute, się ciągnie, to co kroków kilka łamie się kątem, zakręca się kołem.

Wreście doszli miejsca, podobnego okrągłością swoją do kaplicy. Stąd wstecz się tylko wrócić można, dalej iść nie sposób, bo wszędzie zakrąża się opoka. U sklepienia przyczepione stalaktyty naśladują gotyckie ozdoby, krzyże, filary, arkady, a pomiędzy niemi przerwy dziwacznego kształtu, to połamane, jakgdyby kamień się rozprysnął, to znów haftowane, znać, że długo kropla po kropli tu spadała z wysoka, ale dziś już nie słychać kapania i wyschło już źródło.

Niżej, w wydrążeniach ścian, Zaruckiego rynsztunek wojenny starannie ułożony, kordów kilka, sajdak i łuk, skóra niedźwiedzia i druga lamparcia wiszą u żelezców strzał, dwie janczarki leżą na kamieniu, przy nich bechter stoi, a dalej hełm na siodle, obok siodła karacena, nabijana srebrem, z rzędami drogich kamieni.

Sahajdaczny wyciągnął z głuchym brzękiem pałasz szeroki, obosieczny, prosty i nim zaczyna w środku jaskini dół kopać. Matka nad ciałem tymczasem odmawia modlitwy. Jej drżącemu głosowi wtórują bryły ziemi, rozsypujące się pod żelazem. Niedługa praca — domek ostatni małemu mieszkańcowi rychło stanął w pogotowiu. Rączki na krzyż złożyła Maryna, rączki przylgnęły do piersi; w całun go potem obwinie, a nim twarz zaciągnęła, jeszcze raz, kończąc »Zdrowaś Marya«, pocałunek złoży i wyrzeknie: »Amen«.

Teraz go troskliwie obwiązuje i drogą suknią okrywa, lęka się, by piasek nie zaleciał między fałdy, by żwir gdzie nie gniótł dziecięcia, i własną ręką wygładza dół grobu. A potem głowę odwróci, zatknie uszy i gorąco Bogu się modli.

Kiedy znów spojrzy, już wyrosła mogiła i wódz mołodźców, oparty na szabli, duma nad nią. Mogiła czarna, niewysoka, obnażona; serce matki, że jej nie dostaje czegoś, natychmiast poczuło.

— Igorze, miej litość nad nim, znak zbawienia zatknij nad jego grobem! Wtedy uwierzę, iż szczęśliwy, lecz teraz mu jeszcze skrzydeł u ramion nie widzę.

To mówiąc, oczy trzymała wlepione w górze, jakby pomimo wiązania z głazu ścigała za duszą syna w przelocie od ziemi ku niebu.

Zarucki obziera się naokoło i myśli, jakby można zadosyć uczynić jej żądaniu. Przez chwilę jeszcze stał niewzruszony, potem idzie ku ścianie i łuk zdejmuje z niej.

— Hospodarko moja, to mój stary towarzysz! Miałem ich dwa — jeden dziś pękł mi w dłoni i rzuciłem go w przepaść, drugi również prysnąć musi.

I, zdjąwszy cięciwę, nogą tłoczył drewno, dopóki nie rozłupał na dwoje.

— On mi służył po licznych ziemiach. Tatarskie, moskiewskie, szwedzkie z niego przewierciłem gardła. Brzęk tej cięciwy był muzyką dni mojej młodości, najdumniejszy wąż pustyni nie umie tak gwizdać, jak strzały, które z niej puszczałem... Ale dajmy pokój temu, co minęło, a nigdy nie wróci!

To mówiąc, handżarem strugał i ciosał drzazgi łuku; wióry padały na ziemię, jako puchy ptasie.

— Słyszałem od wiarogodnych ludzi, że, kiedy śmierć blizka, łatwiej człowiekowi przyszłość przewidzieć i duchy ujrzeć w postaci widomej. Czy wierzysz temu, o moja dziewojo?

Podniosła głowę, schyloną nad grobem dziecka.

— Wierzę.

Zadrżał wojownik i rękojeścią sztyletu zadzwonił o własną zbroję. Dźwięk, który się rozległ, miłym był jemu.

— Tyle razy tratowałem po ciałach, spałem po zburzonych cerkwiach, po cmentarzach, kędy z rozwalonych kurhanów blade wyzierały koście; pod Smoleńskiem, siedząc

na zmarzłych trupach wokoło ognisk z polskim rycerstwem, piliśmy roztruchany miodu noc całą.

— Nieraz w puszczach z gwiazdami nad głową sam jeden błądziłem. Dziwne wprawdzie słychać było szumy to w zaroślach, to po bagnie, to wyżej, między gałęźmi drzew; nie był to wiatr, nie było to skowyczenie wilków ni jęki puhaczów — z temi głosy znało się moje ucho. Było to coś lekkiego, urywającego się — ledwo się odezwało, a jednak dreszcz, gdyby tysiąc mrówek, biegał mi po barkach i plecach; wytężałem oczy, nadstawiałem uszów, bo ciekawy byłem stworzeń Boga, wyższych nad ludzi, błąkających się po świecie, którym noc jest dniem, mogiły mieszkaniem, wichry są skrzydłami, na których przelatują całe w bieli, z oczyma błyszczącemi, jak próchno, milczące lub w krótkim słowie oznajmujące wyroki nieba, karę, potępienie... Czasem też, jak pospólstwo gwarzy, stoją u łoża, na którem grzesznik umiera i straszne przeczucia w duszę mu kładą.

— Niemało też i po zamkach bywałem; w ciemnych komnatach, pośród starodawnych malowideł, w burkę się obwinąwszy, zasypiało się wtedy. Dziwne sny mnie trapiły, lecz na jawie nigdym nic pewnego nie spostrzegł.

— Lubiłem jednak zawsze słuchać o marach i widmach, bo wtedy nieznane uczucie miękczyło mi serce; rozpływałem się w niem, jakgdyby w rozkoszy jakiej. Łzy do powiek się cisnęły, choć to nie było ni miłością, ni żalem, ani też bojaźnią; nie potrzebuję chlubić się z odwagi, insi wiedzą o mnie.

— Nieraz jeńcom kazałem zdjąć okowy, wyrok śmierci odwołałem, bo godziną wprzódy starzec lub białogłowa jaka opowiadała mi o duchach, wstających z mogił, kiedy wszyscy zasną a na cerkwi północ uderzy.

Krzyż już dokończony: cały z drewna, a u końców jego ten sam róg, w któren wgryzała się cięciwa. — Wódz złożył go w ręce lubej, ona, klęcząc, posadziła go na grobie i, wstawszy, przypatruje się w milczeniu, a małe ramiona

krzyża cień rzucają, który spływa, gdyby wstęga czarna, po bokach mogiły.

Igor odpiął przebity pancerz i pyszną go zastąpił kolczugą, szablę wyszczerbioną odpasał i zawiesił pałasz o klindze bez skazy, nabijanej hartownemi żyłkami. Hełm wziął z kamienia i wsadził na głowę.

— Gdzież się wybierasz, Igorze?

— Gotuję się na jutrzejszą walkę — ostatnią. Dawniej na gody wdziewałem tę zbroję.

Wtedy zmiana zaszła nagle na licach Maryny. Kibić zgarbiona prostuje się, jako dawniej bywało, i, jako dawniej bywało, w oczach, naokoło ust, na skroniach wydatnem się staje, iże ona jest panią, której świat hołdował, jako zamożnej w potęgę i urodę.

Wyciągnęła rękę ku mogile i pożegnała, jako się żegna z brzegu odpływających łódką w dalekie strony; potem wychodzi i stąpa przodem, za nią Sahajdaczny. A kiedy wrócili do pierwszej jaskini, ona głosem niewzruszonym się zapyta:

— Czyż wąwozami przemknąć się nie możem? — Znasz mnie, jako biegnę po górach i pragnienie umiem wytrzymać w pustyni.

Zarucki nic nie odpowiedział; przez chwilę trzymał głowę schyloną — nie rozpoznać, czy on goni myślą za środkiem jakim, czy też poddał się zupełnie zwątpieniu.

Wreście podniósł czoło. Wyraz jego twarzy był świetny w tej chwili, choć nie mówił o chwale ani też o szczęściu; pałała w nim żądza ostatniej rozprawy, zmiękczona przeczuciem, że już po niej cisza nastąpi, przeznaczona za grobem w nadgrodę skołatanemu życiu, cisza ducha, panującego ziemi z wysoka i przysłuchującego się głosom ludzkim, szemrzącym o jego sławie woddali.

Porwał Marynę za rękę i wywiódł z jaskini. Zewsząd wieńcem, ciasnemi przejściami rozerwanym, okrążają ich skały. Ramieniem wskazał w górę: po wszystkich szczytach

buńczuki tatarskie zatknięte, pływają przy powiewach wiatru, jak grzywy biegnących rumaków, a nad niemi żarzą się półksiężyce, oblane światłem czerwonem — bo tam gdzieś za górami zachodzi słońce.

Wzrok obraca dokoła: co wierzchołek, to znak nieprzyjacielski; słychać czasem wrzaski w odległości. Zrozumiała, ale przeto nie cofnęła się przerażona, ni płaczem niewieściej dowiodła słabości.

— Taki więc miał być koniec Maryny Mniszchównej — rzekła wolnym głosem, bez goryczy, bez żalu, z powagą, która wodza młodźców do jej stóp rzuciła.

— Maryno — krzyknął z uniesieniem, a twarz mu jaśnieje od męstwa, w prawicy miecz ściska — i ja kiedyś byłem wielkim i mnie dni pychy się zdarzyły, ale nigdym, czy w złych czy w dobrych losach, twej nie zrównał duszy!

I rękę jej do ust przycisnął. Nie było to gorącem pocałowaniem kochanka, ale hołdem uwielbienia. Oboje wrócili do jaskini. Igor tlejące węgle mchem rozżarzył, dwa sajdaki rzucił i pęk strzał w ognisko.

— Niegdyś byłbym, to czyniąc, kilkudziesięciu wrogów udarował życiem... Palcie się, palcie, strzały moje, płomieniem przysłużcie się panu, kiedy już wasze żelezca i pióra na nic się nie zdały — w dym i perzynę lećcie, strzały moje, mróz z członków mi zdejmcie! Jutro jeszcze ich kilku trupem obalę.

Przy ognisku zasiadł, a na jego ramieniu głowę oparła Maryna; za każdem słowem tchnienie jego po włosach jej buja, ręką opasał jej kibić, niekiedy po cichu na uściech pocałunek złoży. Ale już minęły owe czasy miłości, pijanej rozkoszą chwilową i nadziejami bez końca! Wtedy żywe bywały rozmowy, iskry w oczach nie gasły, rumieniec gorączki nie schodził z lica, do uścisków mieszały się westchnienia, pośród nich mózg się zakręcał, drżały kolana, serce to biło, jakgdyby od piersi oderwać się chciało, to znowu, ciszej się kołysząc, omdlewało, jakgdyby na wieki. Dziś

on ją kocha równie mocno i jej miłość wyżej ceni, niż kiedykolwiek wprzódy, ale o kilka kroków przed grobem zadumał się o grobie. Uroczystość, zwykła tym, którzy nie lękają się zgonu, a wiedzą pewno, że gardło dać trzeba, zastąpiła dawny jego zapał. Śmierć jest świętością nad świętościami. Jej zasłona, migająca w cieniu, nim człowieka obmroczy dokoła, już mu dostojność nadaje — bohatyr w ostatnich chwilach żywota jest kochankiem wieszczów — a kiedy opona zapadnie, pod jej całunem na wieki wieków giną drobne plamy, wróg sam nie śmie ich wspominać, siedząc na zabitego mogile, a promienie chwały zostają w górze i unoszą się nad światem.

— Dlaczegoż widma nie snują się naokoło — ozwał się Zarucki — przecię już niedaleko do wschodu słońca, które ostatni raz moją szablę obaczy w powietrzu? Dzisiaj jeszcze pora wam, duchy — dajcie przestrogę pielgrzymowi, który się wybiera w nieznane manowce! Nie byłem ja owadem podłym na tej ziemi, nie czołgałem się pomiędzy ludźmi, ale wyżej od ich głów rozpuszczałem moje loty. Znacie mnie więc, jako znacie błyskawicę wśród burzy!

Umilkł, bo uczuł głowę Maryny, cisnącą się do jego łona, jakgdyby, nie mogąc się oprzeć trwodze, przytulku szukała.

— Nie drzyj, hospodarko moja miła! Zbliżamy się oboje ku nieznanym krainom — jakom cię strzegł i bronił po ziemi, takoż i w nich nie opuszczę ciebie, jeśli Pan Bóg dozwoli.

Tu zamilkł powtóre i długo milczał. Palą się pociski, już ostrza się rozczerwieniły, dym w żałobnych chmurkach wznosi się w górę i gdzieś między szczeliny opoki się wkrada.

Milczenie zaległo całą okolicę. Ani Tatar ani szakal się nie odezwie, ognisko tylko brzmi różnemi głosami: to rozłupie się drzazga i sypnie iskrami, to stopione żelazo zaszumi, padając na węgle, to płomień syczy, okręcając się naokoło drewna, to popiół zsuwa się niżej z tłumionym szelestem.

— I jeszcze was niema — zawoła hetman niespokojny — w godzinie upadku i klęski nie raczycie spojrzeć na mnie! Czyż i wam, jako ludziom, trza przepychu i fortunnych losów? Towarzysze moi, synowie stepów, jako ja, wy, którzyście odpadli od mojego boku w setnych bitwach na wzór liści od pnia dębowego, pokażcie mi się!

— Bohatyry, mistrze mojej młodości, których widziałem krótkiemi gośćmi po rozlicznych tronach i ziemiach, Dymitrze, Rożyński, Sapieho, pokażcie mi się! Pamiętam owe dnie, kiedy głowy z karków nieprzyjaciół, chorągwie z wież miejskich zlatywały ku waszym stopom, ale i wam też powodziło się do czasu tylko. Jako ja po was marnie, takeście wszyscy przede mną zginęli!

— Wrogi, które własną ręką pomordowałem w boju, żadnegom z was nie zgładził ni trucizną ni handżarem w plecy, ale strzałą z daleka lub pałaszem z blizka! Teraz już między nami winna nastać zgoda. Zstąpcie ku waszemu zwycięzcy, który w tę samą wybiera się drogę, w jaką sam popchnął was przed laty!

Jęk z zewnątrz wleciał do jaskini i rozległ się żałobnie pomiędzy jej ściany. Maryna oczy wlepia w otwór naprzeciwko, słupem stanęły jej oczy; wyciągnęła ramiona, jakby coś odepchnąć chciała, lecz nie rzekła i słowa, nie wydała żadnego krzyku.

Na progu jaskini, wśród słabych połysków ognia i pasm cienia miga zbroja i widmo jakoweś czernieje — chwilkę postoi, potem wlecze się ku Zaruckiemu krok za krokiem, potykając się i jęcząc, a im bardziej się zbliża, im w jaśniejsze okręgi wstępuje, tem okropniejsze się wydaje.

Stąpa, jakby co chwila w dół zapaść się miało. Twarz blada i krwią zbryzgana, włosy przypłaszczone do skroni, chrzęst zbroi na piersiach się odzywa, ręką jedną bok trzyma, drugą wstrząsa gwałtownie, jakgdyby grozić chciał lub wzywać ratunku.

Igor wzdrygnął się cały.

A ten, który szedł ku niemu, już stoi z tamtej strony ogniska, czerwoną jasnością oblany; szmaty blachy kołyszą się u ramion, u szyi, u piersi i, odrywając się, padają na ziemię. Zrzenice, jak szron, przystygły do oczu, usta się ruszają, ale ich głosu nie słychać. Nachyli się dwa razy i dwa razy się wyprostuje z przeraźliwym stękaniem. Ziewnął i głowę podał w tył, ramię wyciągnął, jakby dla odzyskania równowagi, i głowę podniósł, ale nie zdoła jej utrzymać i spuścił na piersi.

— Atamanie, jutro o świcie pogany tu... Nasi w jasyrze u nich. Wziąłem szablą w łeb, włócznią w biodra, kulą w bok — cały nie mogę...

I podrzucił w górę oba ramiona, na wzór tonących.

— Hrehory umiera, niechaj żyje Igor Sahajdaczny!

I upadł na plecy. Ostatni krzyk jego był pożegnaniem wodza i odgróżką wrogom — on rozbił się o głazy, jak łoskot pancerza, co pęka od tęgiego razu.

Porwał się Zarucki i obszedł ognisko. Na ziemi leży Kozak, rozciągniony jak długi; krew jeszcze pluska z czoła i z piersi, ale zresztą żadnego ruchu nie dostrzedz w ciele. Wódz pojrzał nań wzrokiem, przyzwyczajonym do takowych obrazów. Barwa oczekiwania z twarzy mu zeszła — on myślał, że to duch, który rozwalił mogiłę, by gońcem innego świata stawić się jego wezwaniu, a to człowiek, co się przywlókł, by donieść o ziemskiej wieści, i umarł.

Ale ten człowiek wśród bolów konania o hetmanie swoim pamiętał, jak syn o ojcu, po śniegu się zataczał cały w ranach, by raz jeszcze wykrzyknąć jego imie przed nim samym.

Za tę wierność i kochanie Zarucki ścisnął rękę martwemu i rzekł, jako zwykł był mawiać nad trupami swoich: »Wieczny odpoczynek tobie, Hrehory! Byłeś dzielny w boju«. Potem znów się położył na ziemi przy struchlałej Marynie.

— Anioły i duchy przymknęli uszy na moje wołania. Znać, grzechy moje stanęły wałem między niemi a mną. Życie jest marną bitwą, w której człek nigdy z konia nie

zsiada i, walcząc bez ustanku, wreście przegrać musi. Nie żałuję życia — ale ty, dostojna i hoża, zrodzona, byś ludziom panowała, krwawisz mi serce widokiem tylu wdzięków, które zaginą przed czasem, bo na jutro pewna zaguba.

— Ci, którzy państwami rządzą, nie wschodzą i nie zapadają gwiazd codziennych trybem — odrzekła, wstrząsając pierścieniami włosów z płomiennem spojrzeniem — nasze urodzenie i śmierć zarówno jest podziwem dla ludzi; w tem niechaj będzie nasza pociecha! — ale tu głos się zmienił nagle i reszta dumy odpadła od czoła. — Na mąz i głód nie brakło mi wytrwałości, na zgryzoty i utęsknienia szerokie nosiłam serce, a teraz, kiedy rozleciało się ono państwo obszerne i prześliczne, obfite w zboża i męże i złoto, kiedy komory pałaców moich na jaskinię się przemieniły, nie płaczę, nie szlocham, ale poczekam odrobinę jeszcze, póki przyjdzie zwycięzca i mnie urągać się będzie, a wtedy uniżony pokłon oddam Panu w niebiesiech i z tego świata usunę się na wieki.

Kiedy świtać zaczynało, wódz młodźców porwał za szablę i rusznicę, objął ramieniem kibić Maryny i w głąb jaskini się zanurzył; ani brał się już drogą, wiodącą ku mogile dziecięcia, ale inną zupełnie, w bok tej pierwszej. Słabe światło zaziera przez otwory i szczeliny, gruzów pod nogami niemiara, zgiełk wiszących urwisk nad głową, słupy, szronem okryte, jak larwy bieleją. Czyż on żywcem do grobu zstępuje z kochanką?

Wtem jaśniej się robi, płachta światła, jakby oderwała się od niebios i skałę przebiła, leży na dolnych głazach, zewsząd otoczona cieniem; nad nią rozerwane sklepienie i widać przelatującą chmurę.

Tu Zarucki ścisnął rękę Carowej i, wstępując schodami, które czas wydłótował w ścianie lochu, wiódł ją za sobą, przebył otwór w górze i wdarł się na wierzchnie sklepienie.

Niebo całe szare od obłoków, u wschodu tylko zorza ognisko rozpaliła swoje i czeka słońca; gdzieniegdzie błękit

przebija, chmury już się nie trzymają razem, ale jedne za drugiemi pędzą, przeczucie wiosny w powietrzu rozlane. Wszędzie naokoło podnoszą się skały, śniegiem ubielone.

Hetman wie dobrze, dokąd zmierza, ani śpieszył się, jak zbieg, ani zastanawiał się, jak zbłąkany wędrowiec, ale równym stąpa krokiem, pilnuje towarzyszki, a zarazem okolicę przebiega oczyma. Jeszcze buńczuki powiewają na tych samych cyplach, dotąd nie słychać ni głosów ni szczęków. »A więc dalej, a więc dalej, ku tej skale, co się stromemi piętrami wzbija nad jaskinią, jak wieża nad zamkiem — u jej szczytu raz ostatni walczyć i zginąć chcę!«

I, jakgdyby fale ogromnej powodzi, lecącej z góry, nagle skamieniały, w takowy sposób piętrzy się skała, to wydymając pierś swoją, to wziewając ją nazad; po tych szczeblach z głazu wdzierali się oboje. Doszedłszy krawędzi najwyższej, zasiedli i patrzą na świat, co się pod niemi i nad niemi rozciąga, wzrokiem pożegnania. Stąd objąć mogą tę całą warownię natury, która wznosi się z łona pustyni. Cisną się tłumem opoki, rozdzielone tu i owdzie przepaścią. Ich ostrza to skupione, to rozerwane, to ząbkowane, jak baszty, to spiczaste, jak minarety, to wzorem kopuł spłaszczone. Największa ich część nie naśladuje żadnych kształtów, ale pną się w górę, obwisłe śniegiem, najeżone lodami, łamiąc się w kąty, zaginając się w łuki, z dziką wspaniałością. Wschodzi słońce nad krańcem pustyni, piaski zapłoniły się, zatliły się szczyty — a ono ogromne, krwawe pośród pożaru chmur się wznosi.

Wtedy jedną razą ozwały się krzyki, nawoływania i hasła. Głosy te grzmotem rozlegają się pomiędzy skałami i, jak burza, owiały hetmana dokoła.

— To dzwony pogrzebu naszego — rzeknie z cicha i rusznicę opatrzy, lufę obciera z rosy, by składniej celować mógł.

Z okolicznych gór sypią się hufce, z okolicznych wąwozów występują roty; to idą naprzód, to się cofną, to gro-

madzą się do kupy, to rozchodzą, to ciągną jednym szeregiem, to małemi oddziały, znać, że wodza szukają. Jemu, spoglądającemu z wysoka, zda się, jakgdyby ludzie owi, nagle tknięci ślepotą, zataczali się, drogi znaleźć nie mogąc.

— To orszak naszego pogrzebu — rzeknie z cicha i zaśmieje się gorzko, szablę wyciągnie z pochwy i położy przy sobie, kindżał przymocuje, by nie zleciał w chwili zapasów, i oczy utopi w Marynie, by przed zgonem nacieszyć się jeszcze ową gładką twarzą, na której niebezpieczeństwo i jednego zmarszczka wycisnąć nie zdoła.

Wrzask nagły podniósł się od dołu; wnet strzał chmura i garść kul rozbiła się o skałę pod stopami Zaruckiego.

— Zobaczyli nas — rzekł spokojnie.

Wzdrygnęła się pomimowolnie Maryna i krzyknęła w obłąkaniu:

— O Polsko, Polsko, gdzież jesteś, o ojczyzno moja!

Ale ta słabość chwilkę trwała tylko. Podniosła się i, promieniami słońca oblana, spogląda na zbliżających się wrogów. Oni wdzierają się, którędy mogą, i znów milczą tak, jak chmury przed burzą.

Wdzierają się i po ślizkich tarzają się głazach; niejeden runie w dół, by nie powstać więcej, odwalają gruzy, czepiają się wystających słupów, rozbijają ostrza lodu, pasują się z urwiskami, dobywając sił wszystkich, jakgdyby na polu bitwy z wrogiem. Napróżno; co ujdą kroków kilka, zsuwają się nazad na kłębach śniegu — wyginają ciała, rozciągają ramiona, by się utrzymać, klną proroka od złości i bolu. Napróżno, napróżno — skała odpiera ich ciągle; obchodzą ją i szukają z innej strony przystępu, nie znając drogi, którą przeszedł Zarucki. A on, siedząc na wysokości, spogląda na nich, jako człek, zwyczajny pracom ludzkim, w pocie i krwi odbytym, a które długo na nic się nie zdadzą. Zresztą nie znać w jego oczach, by się unosił weselem dlatego, iż oni męczą się i konają; on wie, że wcześniej czy później po wielu trudach i zgonach dojdą cyplu, na

którym ich czeka, a nie tyle kocha się w życiu, by cieszył się przedłużonem o godzinę.

Wrócili się i u stóp skały stanęli niewzruszeni; słychać głos jakiś, co do nich przemawia, a w ostatku jego dźwięków, które wiatr przynosi do Zaruckiego, znać jeszcze wyraz gniewu i pogardy, potem przerywane wołanie, niby rozkazy, niby odezwa do każdego po imieniu. Teraz już wszystko ucichło; ale z pomiędzy czarnej ich massy występują męże i w mały hufiec się gromadzą, jak odrywająca się chmura od gęstwiny zbitych obłoków, kiedy się jej zachce własnych lotów spróbować po niebie.

I w mgnieniu oka, rozsypawszy się na szereg długi, zaczną się wdzierać, wszyscy czarni, po białym śniegu. Co chwil kilka przerzedzają się: ów zniknął i śladu po nim niemasz, tamtemu głowę jeszcze widać nad śniegiem, ten potknął się i leży bez ducha, ale kto szczęśliwszy, ale kto zręczniejszy, ten wspina się w górę. Już zbroję na każdym rozeznać można — rysów jeszcze nie.

A ten, który drze się na czele, dziwnie szybko uwija się pośród przeszkód niebezpiecznej drogi. Skacze na zabój i nie padnie nigdy, ślizga po lodzie i bieży po śniegu, jakgdyby anioł stróż trzymał go za włosy; rzadko spojrzy pod się, ciągle oczy w cypel skały wlepia, a gdzie otchłań z boku, on nachyla się ku niej, a gdzie doły, tam nie odwraca się od nich, ale pędzi prosto i przesadza je w pędzie — w ręku trzyma szablę. Towarzysze podpierają się na włóczniach i bułatach, on jeden swojej klingi śniegiem zmazać nie chce, ale wstrząsa ją nad czołem i poi w słońca promieniach. Zawój lśni mu się futrem i połyska dyamenty, kolczuga to samo, a co chwila woła na swoich ostrym, przeraźliwym głosem, każe śpieszyć za sobą, szydzi z ich ostrożności, a kiedy który się obali i zlatuje w dół, on jeszcze głośniej się urąga.

— Bądź mi zdrowa na wieki! — rzekł Zarucki, podno-

sząc się z siedzenia i przykładając rusznicę do oka; ale wnet ją spuścił w dół.

— Czas jeszcze przypomnić się Bogu.

Przykląkł, strzelbę odsunął, pałasz złożył na ziemi, kindżał odpasał i rzucił o dwa kroki od siebie:

— Słyszałem, że Zbawiciel, który dał się ukrzyżować za nasze winy, nie lubi tych, co Go orężnie wzywają.

Przy nim w milczeniu uniżyła się także przed Stwórcą Maryna.

Modlitwa hetmana krótką była: w pokorze schylił czoło, dłonie ścisnął gorąco, prosił o przebaczenie w duchu, ale mało słów wyrzekł, jako przystało na żołnierza, co przewalczył życie i pacierzy zapomniał wśród bojów.

A kiedy powstał, z lepszą otuchą pojrzał ku następującym wrogom i wziął się do broni. Dwa razy wystrzelił — dwa jęki usłyszał i dwa trupy ześliznęły się na dół, jak pnie ścięte, spuszczone z góry; niema już czasu nabić rusznicy, a zatem rzucił ją w przepaść — ona to głucho szurnie po śniegu, to z brzękiem rozbija się o głazy.

Szablę wyciągnął przed się, Marynę własnem ciałem zakrywa. W tej chwili bił mu z oczu blask płomienia, jaki boje w sercach wojowników zapalają. Nie była to wściekłość ani też krwi pragnienie, nie był to zawrót mózgu w niebezpiecznym razie, ale wyższość umierającego bohatyra nad zwycięzcami, ale przeświadczenie duszy u progu wieczności, iż nie napróżno błąkała się po ziemskiem wygnaniu. By stanąć przed Tym, który ją zesłał, jednego trza podrzutu jeszcze. Patrzcie, jak z nieustraszonem sercem zabiera się do niego: piersi wystawił na groty, nogę wrył w ziemię i posągiem stoi! Dojrzyj na licach jednego znaku wahania lub trwogi, a lutnię moją rozbiję na wieki! — Lewą ręką z tyłu dłoń ukochanej trzyma — chwila jeszcze, a osaczą go wrogi.

Wódz ich dochodzi już cypla, ale żadnemu strzały wy-

puścić ni kuli nie daje. Znikł pod wysuwającą się opoką — uchwycił się wiszaru i wnet ukazał się na niej.

— Poddaj się, Igorze Sahajdaczny Żarucki!

I to, mówiąc, szablę spuścił w dół, swoim przykazał to samo, ale nie miłosierdzie ni uwielbienie ku zwyciężonemu przebija z jego liców; zasępione ma czoło, a namiętność jakowaś goreje w zrzenicy.

Hetman zbył go milczeniem i wynosi ramie do cięcia — wtem uczuje drętwiejące palce Maryny i pomimowolnie się odwróci, a ona, blada, oczy przesłoniła ręką i powoli nachyla się, mdlejąc. Rozśmiał się Nuradyn Murza i klasnął w dłonie.

— Ha, poznała! Bierzcie go, bierzcie ją! Dla niego męki, dla niej czwarty mąż.

On spuścił głowę na piersi i rzekł głosem rozpaczy:

— Bóg wie, czem karze grzechy mojego żywota — śmierci się nie lękałem, aż On zesłał na mnie hańbę niewoli!

XII.

Jak mogli, tak zmykali Tatarzy od skał, od wąwozów. — Już też pogodniejsze niebo, słońce przygrzewać zaczyna, śnieg topnieje i wsiąka w piasek pod spodem — nadzieja, że u brzegów Jaiku zastaną gońców z Astrachanu i ujuczone wielbłądy, dodała im ducha.

Przebyli rzekę po lodzie. Na tamtej stronie wódz kazał położyć się obozem, wielbłądy i gońce z Astrachanu już czekali na nich — a zatem rozbiją namioty, ogniska rozpalą, biorą się do mięsa i ryżu, wina i wódki nie żałują sobie, wrzeszczą, a kiedy godzina modlitwy nadchodzi, bluźnią Bogu, śmieją się z proroka i piją dalej.

Na piaszczystym wzgórzu, z którego wiatr zmiótł śniegi, stoi namiot Nuradyna, podparty słupami, długi i szeroki, obity skórami, z kopułą malowaną w połyskujące barwy, z półksiężycem nad nią.

Stąd widok na cały obóz się roztacza, na pustynię aż do krańców widnokręgu i na brzegi Jaiku, snujące się w bezustannych zakrętach ku morzu, i na szare morze woddali.

Dotąd wódz nie rozmawiał z swojemi jeńcami, przynajmniej nikt nie widział go razem z niemi; on jechał na czele swoich hufców, ich prowadzono z tyłu: męża w łańcuchach, niewiastę w taśmach z jedwabiu, jako był przykazał na cyplu skały.

A kiedy stanął na miejscu, krótkiem słowem oznajmił swą wolę, by każdy odpoczął i hulał; sam wszedł do swego namiotu i już nie ukazał się więcej. Nadedniem tylko kilku śpiących u stóp wzgórza Tatarów wokoło ognia, wśród rozrzuconych ostatków biesiady, przebudził nagle hałas jakowyś; ciekawie, na pół rozmarzeni, wytężyli uszy: brzęk kajdan słychać było i głos Nuradyna, ale słów żadnych nie można rozeznać — potem głuchy jęk nastąpił. Wzdrygnęli się słuchacze i wszyscy razem pomimowolnie zawołali: »Allah!« — Łoskot padającego ciała na nowo przymknął im usta.

Wszystko ucichło, oni czekali jeszcze, ale niczego się nie doczekali, zatem każden wychyli czarę i znów oprze głowę o siodło, by zasnąć.

Teraz to południe, słońce na niebie z chmurami się zabawia, to do piersi je tuli i napół świeci tylko, to rozgania je i błyszczy w całej okazałości. Środkiem obozu zbrojni strażnicy wiodą niewiastę, długim zasłonioną welonem, broniąc ją od ciekawych spojrzeń zagrodą z dzid i szabel, śpiesząc się, o ile tchu im stanie. Przeszli obóz cały i wstępują na wzgórze, zakołaczą do namiotu; podniesie się opona i wypuszczą z pomiędzy siebie tę, którą dotąd trzymali, potem, za usłyszanym rozkazem, oddalą się nazad i rozsypią na różne strony. A ona weszła z głową schyloną, jako przystało królowej bez królestwa, niewieście bez towarzyszki, chrześcijance wśród pogan, Polce wśród służalców Moskwy — ale czyż to sen objął nagle jej zmysły? czy już świat pożegnała i, zapomniawszy o śmierci, dostała się do krainy czarów? Zewsząd wiązki świateł różnofarbnych krążą, zlatują, śmigają, woń kadzideł oblewa ją, raj kwiatów otacza dokoła.

Pod jej stopami kobierce naśladują zieloność murawy, dyamenty rosy przejrzystość i krople — u ścian piętrzą się obicia, przetykane wieńcami róż, fiołek, jaśminów i gałęzi, na których malowane ptaki prześliczne roztaczają pióra,

a z góry pada światło dzienne, ale nim dojdzie oczu, przekrada się pośród muślinów i jedwabiów, długo błądzić musi po haftach ze złota i srebra, ślizgać na perłach, wyssać błękit z ametystów i rubinów purpurę, a wtedy, całe pijane od farb i połysków, na dół się stoczy i pląsa w drżące łuki, którym końca niemasz; one biegną dołem i wspinają się nazad, wypuszczając z siebie okręgi, iskry, rozkwitania i życia pozór owym udanym haftom nadając, a promienistemi sieci cały namiot kratkują, od góry do dołu zalewają potokiem jasności, która płynie szkarłatem i błękitem, zieleni się, jak szmaragd, to złoci, jak pomarańcza i do oka wpływa mile, bez rażenia, bez olśnienia, gdyby tysiąc motyli, igrających razem po trawniku, kiedy słońce już nie parzy a zachodzi w złocie, księżyc zaś naprzeciwko się podnosi lamowany srebrem, a między niemi dwoma ujęte chmury hożym wieńcem oplatają niebo. O takowej godzinie chciałoby się zasnąć w rozkoszy na wieki.

Jakoż temu, który leży na owej sofie w głębi pod oponą z jedwabiu, znać z oczów, że marzy o miłości i śmierci; bo, choć lubieżny uśmiech usiadł mu na ustach, bo, choć tyle wzruszony, iż blizkim rozczulenia się wydaje, dosyć raz przebiegnąć owe rysy naciągnięte, rozognione rumieńcem gorączki, by wyczytać, iż śmierć niedaleka mu grozi, a to nie łagodna, na spokojnem łożu, ale taka namiętna i rozpasana w boleściach, jak rozpasanem było jego życie w chuciach i czynach.

Leży na posłaniu, ale trudno mu doleżeć jeszcze chwili na niem, choć pragnie się wstrzymać i krwi zimnej dowieść, bo wie dobrze, iż spotkał się z duszą, pełną statku i hartu, bo chce inakszym się pokazać, niż był przed laty — nie już po dziecinnemu prosić i domagać się, ale, jako na męża przystało, znaglać i rozkazywać.

Napróżno, napróżno! Jakąż siłą potrafi zaprzeć w sobie ten dreszcz, który po nim bieży? Krwi bijącej nie odpłoszy od serca, od skroni żadnym sposobem; on, syn pustyni,

ssał promienie jej słońca w kolebce i z nich spieka na zawżdy pozostała w łonie. A zatem zgrzytnie i, rękoma uderzając o łoże, odeprze się od niego — skoczył, stoi wśród namiotu naprzeciwko niej. Tu jeszcze drżące załamywał dłonie, chcąc im nadać pozór niewzruszoności, ale krew coraz zażarciej wre mu po żyłach; by zmysły odzyskać, głowę na chwilę odwrócić usiłuje. Ale nie potrafił, bo siła namiętności trzyma zrzenicę jego wlepioną wprost naprzeciw. Poznał, że nie poskromi ognia, który w nim bucha — a zatem rzucił się, jak wściekły, zasłonę rozdarł i oderwał z jej skroni i zatrzymał się, dysząc, z potem na czole, obłąkanym wzrokiem, do szczętu znękany.

A ona wciąż zachowuje milczenie i z zwykłej powagi nic nie spuszcza. Wprawdzie na jagodach znać ślady łez i smutek, ale kiedy te łzy wylała, o tem nikt nie wie, a teraz suche ma powieki i oczy posępne od wzgardy. Nuradyn wpatrywał się w nią i długo i długo. Dziwna, że tak nagle się uciszył — głos mu zaschnął w piersiach, ruch zasnął w twarzy i ramionach, jedno spojrzenia, zawsze równie mocne, sypią iskrami na lica Maryny i z czoła mu wyczytać snadno, iż w duchu głęboko się namyśla; zapewnie nie trybem ludzi, którzy ważą na szali roztropności zamiary i, doszedłszy brzegu przepaści, wahają się nad nim, ale tak, jak godziło się jemu, który nigdy żadnego uczucia nie rugował z duszy, o przyszłość nie dbał i duszę za pole bitwy oddał namiętnościom, a tej, co zwyciężyła, dał dowód zawsze i sercem i ciałem.

Zapewne teraz w nim podobna odbywa się walka, a promienie różnofarbnego światła, igrając po zielonej szarfie, ziarkowanej złotem, po kaftanie i mieniącem się futrze, po białym zawoju, twarz mu najmilszemi oblewają tęczami. Wreście lica jego znów wyrazu żywego, zmiennego nabiorą, głos do ust się ciśnie i mówić zaczyna. Słowa jego muzykę naśladują, ani jednej ciągle trzymają się miary, ale przechodzą od tonów pieśni słabej, ginącej woddali, do dźwię-

ków wojennego pienia, brzmiącego ponad szczątkami broni i zwłokami poległych w ustach zwycięzcy.

O Agaj-Hanie nikt nie słyszał oddawna — pamięć pacholęcia zaginęła, jakgdyby to pachole przypomnić się nigdy nie miało; prawda — on był lękliwym, kochał panią i służył wiernie, śmierci za nią się nie bał, nawiedzał ją pod czarnym sklepieniem. O jakież z niego dziecię było wtedy! Precz mi z tem wspomnieniem, niech ono będzie dla mnie, jak skóra dla węża, kiedy ją odrzuci, a w nowe ustroi się szaty! Hej, wąż wtedy śmiga i syczy w radości, bo mu jadu przybyło, bo w pierścienie ze srebra i złota oblekł giętkie ciało — biada ptakom, co nadlecą, biada wędrowcom, którzy nadejdą: w pysze chwały swojej nie daruje nikomu! O Agaj-Hanie nikt nie słyszał oddawna, ale on nie przepadł, jak gwiazda, co zlatuje na dół w głębiny świata, jak koncha, co z brzegu zsuwa się w bezdenności morza — on wybrał się sam jeden i przez pustynię życia do Medyny serca swojego pielgrzymował długo, o skwarze i pragnieniu, urągając się z przeszkód i trudów, aż wreście poszedł, a choć spalone ma czoło, nadwątloną siłę, nie żałuje tego, bo to dla ciebie uczynił, hurysso moja!

A teraz chwila szczęścia nad nim zawisła, jako zbawienie nad grzesznikiem, co długo błagał proroka, aż prorok zlitował się jego wołaniom.

— Losem wojny — odrzekła surowo — w ręce sługi swego dostała się pani, ale nie przeto znikł rozdział między Carową a giermkiem. — Tu się zatrzymała, ale zaraz potem zawoła: — Nie — zanadtośmy blizkie śmierci, ażeby się jeszcze pysznić z darów, które niegdyś Bóg zlał na naszą głowę, a w upodobaniu Swojem odjął nam za to, żeśmy jego przykazań we wszystkiem się nie pilnowały. Wśród tej pustyni, w której, jako przeczuwamy, grób nas czeka, zapomnijmy o Kremlinie i dniu owym, kiedy nie byłbyś śmiał oczu podnieść aż do poręczy naszego tronu, ale imie, na chrzcie nadane, ale drugie imie, od przodków wzięte,

tobie dobrze znane, twoją hardość ukrócić powinno. Owem pierwszem chrześcijanką jestem, owem drugiem Polką — uchyl czoła, pohańcze, pamiętny klęsk i wstydu swojej braci, ucisz się, Tatarze!

— Udajesz, chytra, bo znasz moje dzieje, one były muzyką twojego więzienia. Tam obsypałem cię perłami i dyamenty z skarbnicy chwały moich naddziadów.

Uśmiech goryczy wykręcił mu usta.

— Nie mów już mi o tem, co przeszło — potem będzie sprawa i z nim i z niemi; ale mów, że mnie kochasz, ale mów, że chcesz być morzem jasności i rozkoszy, w którem zatonę! Tyś mi życie przepsuła na niwecz — jako gwiazda, co wróży nieszczęście, ukazałaś mi się i drasnęłaś promieniem, a potem zniknęłaś, o gwiazdo moja, porwały cię wiry z ognia i uniosły daleko ode mnie, a ja zostałem w ciemności, klnąc proroka, szarpiąc włosy. Językiem moim stały się przekleństwa, napojem łzy i krew, sącząca się z potłuczonych skroni. Ha, nagle porwałem się do biegu, ten, który cię uwiózł, nie ujdzie mej zemsty! Ścigałem pieszo i konno, podliłem się przed ludźmi, klękałem przed bojarami, a śmiałem się w duszy; oni myśleli, że to dla nich, a to dla ciebie było.

Kiedy to mówił, ciemniały mu rysy i pański głos przybierał, ona milczy i zdaje się nie słuchać.

— Ha, patrzcie: syn padyszachów, mocarz nad emirami, synowiec słońca, darmo żebrze miłosierdzia u Laszki! Gdzie twoje wojska, gdzie dwory, posągi, potęga, gdzie Dymitr, gdzie Zarucki? Opuściło cię wszystko, liść po liściu opadł z drzewa, strumień szczęścia fala po fali wysechł na żwirze niedoli. W kim dufasz, na czem się oprzesz? Spojrzyj wokoło, sama jesteś wśród hufców moich!

— Wiem o tem, że sama, i dlatego na śmierć się gotuję. Giermku, nie przeszkadzaj myślom moim, bo długi wątek życia muszę okręcić wkoło chwil tych kilka, co mi jeszcze pozostały, a potem rozkazy Cara wypełnisz! —

— O, zważaj, zważaj na moje słowa! Pokochałem ciebie, najcudniejszą wśród urodziwych, kiedy anioł, zesłany od Allaha, przelatując powietrze, zatrzymałby się w locie, roztoczył nad tobą skrzydła i przypatrował się tobie, tak samo, gdyby jaką nową spotkał gwiazdę, w chwili, kiedy na rozkaz Stwórcy wznosi się z otchłani i pierwsze, najświeższe promienie rozsyła po świecie.

— Dziś, hurysso moja, po długiem niewidzeniu znów oglądam ciebie, ale mgła żałości obwija twe czoło, jad głodu i nędzy wgryzł się w rysy twoje, pył długich błędów i bitew przyprószył kwiecie jagód twoich, od zimna skrzepła twa zrzenica, na powiekach dźwigasz ciężar bezsennych nocy. Byłaś, jak chmura, ukochana od słońca: na całem niebie żadna insza jej nie zrówna, ona jedna ciągnie oczy k'sobie, bo do niej całego nieba zbiegły się jasności, szkarłaty i złota, wiatry jej się przymilają i śpiewają w chórze podczas błękitnej żeglugi. A teraz zda mi się, jakoby zaszło słońce, a owa piękna została z tyłu. Księżyc wznidzie i srebrem ją wieńczy, ona cała srebrna, przetykana gwiazdami, i patrzę na nią dotąd i kocham dotąd. Zerwij się do lotu, chmuro, przebiegnij od morza do morza, gdzie takiego drugiego znajdziesz, coby zarówno cię ubóstwiał, czyś w pełni, czyś o zmierzchu twej chwały!?

— Zważaj, zważaj na moje słowa! Car tu jest niczem; z potęgi jego śmieje się Agaj-Han jak z kurzawy, którą z nóg otrząsa. Ja tu panem na całą pustynię. Zapomnij o przeszłości, jako o ptaku, co przeleciał i nigdy nie wróci! Na rączych koniach uchodź ze mną razem! Za temi piaski murawy się zielenią, kwiecia niemiara i ocean rozkoszy. Tam, hurysso moja, nas dwoje będzie, a świat cały naszem łożem miłości. Precz mi z ojczyzną, Bogiem, prorokiem, sławą i ludźmi! Żyć będę w objęciach twoich i skonam na twojej piersi.

I zbliżał się do niej z drżącemi ramionmi, jakgdyby ciało zabierało się do gwałtownego rozprzęgnienia. Rozhuź-

dane chucie szarpią mu rysy na twarzy, skręcają usta, na których pożądliwość się pieni. Zęby dzwonią, lica biją od krwi, co do nich napływa. W tej chwili wszelki ślad boży odpadł od niego i stał się człowiekiem na podobieństwo Szatana.

A ona, zawsze równie poważna i nieulękniona, wzrokiem, którym go hamowała przed laty, wstrzymuje i dzisiaj. On ślepego był męstwa na polu bitwy, odwaga w nim stawała się namiętnością, nieraz rzucił się jeden pośród tłumu nieprzyjaciół, nieraz, choć słabszy, okręcił się giętko naokoło wroga i nagiął ku ziemi; nie z rozwagą, nie z zimnym statkiem szedł naprzeciw śmierci, ale z wściekłością i obłąkaniem; a teraz do tej, którą ścigał tak długo, przystąpić nie śmie, wyciąga ramiona, opadają ramiona, rzuca się ku niej, radby ją porwać w objęcia i przygnieść do piersi i tarzać się z nią po ziemi, jako wąż z gadziną, ale, zawsze odparty owem spojrzeniem napół dumnem, świętem napół, w którem i wstyd niewieści i uroczystość duszy, myślącej o zgonie, i ślad cierpień miesza się do czegoś dawnego, do okazałości, pozostałej z tylu powodzeń i potęgi, nie wiedząc, co czynić, to płacze, jak dziecko, to zgrzyta, jak potępieniec.

Ale bo też na czoło Maryny Mniszchównej dziwna zstąpiła uroda, nie owa ziemska, której hołd składają ludzie westchnieniem i pocałunkami, w której przypadek zdarza, iż róże zakwitną na licu a gwiazdy zaiskrzą się w oczach, ale owa niebieska, co, jako cień znikomy, czasem objawia się na twarzy, a rysów się nie trzyma, a z płcią się nie zlewa, ale jest córką duszy, niepojętą i boską jak dusza.

Agaj-Han śpiesznym krokiem przeszedł namiot i stanął naprzeciw łoża. Tam u makaty, haftowanej w najśliczniejsze kwiecia, wisi sznurek jedwabny z błyszczącą gałką; porwał za nią i zawołał:

— Ha, doszedłem tajemnicy twojej! Ty sądziłaś, że to perła, ukryta w morzu. Igorze Sahajdaczny Zarucki, sam ukaż się lubej i rozwiąż ją od przysiąg wierności!

Rozśmiał się całem gardłem, jak śmieją się owi, co zmysły stracili, i ściągnął sznurek. Wnet podniosła się kurtyna i coraz wyżej się podnosi i zwija.

A otóż na czarnej pościeli leży człowiek w zbroczonych szatach. Twarz blada i ręce białe, na szyi skrzepła krew się czerwieni, jak naszyjnik z korala, ale świeżości życia śmierć jeszcze dotąd całkiem wyssać nie potrafiła, choć już rysy rozwątliła i sinością powlekła. Nachylił się Tatar, rękę oplótł włosami głowy — i głowa poszła za ręką bez żadnego oporu. Przez chwilę kołysał ją w dłoni, urągając ściętym ustom, spuszczonym powiekom, rozkoszując w śmierci niecierpianego, kiedy nie mógł rozkoszować w miłości kochanki, potem rzucił ją pod stopy Marynie i wtedy utopił w nią wzrok przenikający, zacięty, jakby dla wyśledzenia, czego mógł się spodziewać z niej po takim widoku.

Niegdyś byłaby wszystek ogień oczów wypłakała nad ciałem kochanka, przekleństwami, zemstą ścigała mordercę, sama, do oręża i konia się wziąwszy, w tropy za nim poleciała wśród ciemnej nocy, po bezdrożach, napotkanego zmusiła do walki.

Ale dziś insze i myśli i czasy. Ręce wychudłe od nędzy, osłabłe od ciężaru kajdar, nikt nie stawi się na rozkaz, nikt nie poda ni sztyletu ni szabli, a też już pono i ostatnia chwila się zbliża, o ziemskich uczuciach zapomnieć się godzi, gwoli świętszym marzeniom duszę puścić trzeba w niebieskie szlaki, w drogę, u której początku się stoi, a której końca nie domyśleć się, Panie Boże!

A zatem, nieledwo że konająca z wzruszenia i żałości, uklękła nad ową śniadą głową i spuściła ku niej oczy, a czem jednem mogła przysłużyć się jej, to za nią ofiarowała: modlitwę szczerą i niepokalaną, którą polecała duszę zmarłego opiece aniołów. A potem wstaje, drżąca od osłabienia, z równym jednak blaskiem w zrzenicy, łzami nie zamglonej. Łzy są dziećmi przelotnego smutku; jak z chmury wiosennej na lica spadają i wróżą pogodę, ale, kiedy zetnie

ich mróz boleści, wtedy nie pytaj się o słońce, bo ono może już nigdy nie wróci!

W Agaj-Hanie wre ciągle namiętność i mózg szaleje. Znów przeszedł namiot, jak długi, hetmana głowę pchnął nogą — ona potoczyła się ku ciału — i zapuścił kurtynę, potem zdjął z nad łoża tesak, oprawny w szmaragdy i, niosąc go w ręku, zbliża się do Maryny.

— Nie igraj ze mną, niewiasto, iżby chwila miłości rączo ne uleciała, a wtedy nadciągnie godzina zemsty i kary; bo zemsta, jako miłość, weselem jest sercu, które przesiąkło rosą południową! Każda kropla takowej rosy od waszych iskier gorzej pali i roziątrza; różane w niej wonie i trucizna piekielna zarazem; ogień, co krąży po mnie, jest wieczną ci ajemnicą, córko północy. Ale z nim tak ostrożnie, jako z płomieniem Allaha — bo on równie zabijać umie!

Tu nagła zmiana zaszła w jego rysach i postawie: raz jeszcze udaje się do prośby, raz jeszcze schyla przed nią czoło, jako przed panią, spojrzeniom swoim żaru ujmuje i ma drżące, czułe zamienia, głos zniżył i płyną jego dźwięki, jako dumka, przez dziecię śpiewana.

— Zmiłuj, o, zmiłuj się nade mną, hurysso moja! Gwoli tobie całe poświęciłem życie, potok lat młodych, który mógł huczeć i pienić się po świecie, rozwalać skały i wykorzeniać lasy, zmusiłem do płynienia za twemi śladami, a on się stał drobnym strumieniem, który wyschnie w pamięci ludzi.

— Ostatni jestem z mojego szczepu. Mamże się rozbić marnie na skale twojego miłosierdzia i zaginąć bez sławy, bez rozkoszy, jako wyspa na morzu? Patrz: występuje z łona kipiących bałwanów, dniem i nocą złote miota ognie, nikt jej nie widział i nie dziwił się jej; samotna wśród pustyni wód, wylała całą okazałość i znów zapada w otchłanie. Tak i ze mną będzie. Śmierć ci grozi wszędzie, piołun rośnie, gdzie spojrzysz tylko, a tam, gdzie ci wskazuję, wonieją róże i jaśminy. Skosztuj, hurysso, puharu miłości mojej, służyć ci będę, jako duchy w niebie służą Allahowi — w ja-

sności oczu twoich jako motyl ulatywać będę, dopóki olśniony upojony, spalony nie padnę u stóp twoich, a wtedy popić ze mnie i kurzawa, a wtedy deptaj po mnie i przeklinaj mnie, ale teraz bądź moją, roztwórz objęcia twoje i synowi padyszachów daj spocząć na liliach twej piersi, na białej piersi!

I rysy młodocianą przybierały barwę. Jako kwiat, o skwarze słońca zwiędniały, a wieczorem podnoszący liście, tak i on w tej chwili rzeźwił się w nagłej czułości; uśmiech miłosny, swawolny usta mu krasi — założył ręce i błaga.

— Nuradyna Murzy żaden z jego ludziby nie poznał w tej chwili; myśląc o tobie, zatraciłem i język i naukę moich ojców; z duchami już nie umiem rozmawiać, ludziom rozkazować nie potrafię! — Wymknął mu się tesak z dłoni i podnosił oczy ku Marynie, jako chrześcijańskie dziecię, klęcząc, podnosi oczy ku obrazowi świętej.

— Morderco, pohańcze bez wstydu i bojaźni bożej, nie każ moich myśli twojemi gwary! Możesz mnie męczyć i zabić. Maryna Mniszchówna śmierci nie lęka się, byłbyś umilkł i chwil kilka do modlitwy zostawił.

Głos jej posępny, wzgardliwy przeszył wskróś Agaj-Hana. Schyla się niżej, ale nie w pokorze, jedno by podnieść szylet opuszczony, a kiedy go podniósł, wyrwał z pochwy, pochwę cisnął pod nogi, a rękojeść okręcił palcami, aż mu żyły ręki nabrzmieją, a do oka, do rysów ciśnie się wyraz wściekłości. Całem ciałem trzęsie się gwałtownie, ścisnął zęby, jakgdyby chciał się wstrzymać, ale głos, w któren wcieliła się namiętność duszy, usta mu rozerwie.

— Miłość twoja była dla mnie jako ten most ślizki nad otchłanią, po którym wszyscy w godzinę sądu przechodzić mamy do nieba; ale teraz dostałem się do raju — do raju zemsty!

I klingą tesaku śmigał wokoło jej skroni, wokoło piersi; ona zbladła, lecz do prośby się nie zniży, krzyku nie wyda, a, na klindze rozbite, promienie wiązkami światła błądzą

po jej licach i szyi, jak błyskawica, którą lustro śmignie, kiedy w niem odbije się słońce.

On igra z nią i po jej puklach, po czole rozwodzi sztyletu połyski powoli, z przerwanym oddechem, z jaskrawemi oczyma, jakgdyby w tem czuł lubieżność jaką.

— Hurysso moja, jakżeś mi piękną w godzinie śmierci! A wieszże, dokąd idziesz i gdzie dostać się masz? Bez duszy, bez życia wiecznego, maro, stworzona ku uciechom mężów, w proch się rozpadniesz i nic z ciebie nie będzie. Czemuż tak się kwapisz do snu i ciemności grobowej? Mniejsza o śmierć dla nas, którzyśmy nieśmiertelni, ale ty, niewiasto, nie ujrzysz nigdy pałaców Allaha; jako lampa, którą duch bagnisk zawiesza na swoich kępach, świecisz trochę i umierasz na wieki. Ty i róża, obie nie macie duszy, jedno wasze barwy i zapachy mózg zawracają ludziom; a kiedy zwiędniecie, nikt nie troszczy się o was na ziemi ni w niebie.

Wzdrygnęła się na te słowa niewiernego; ona stoi nad grobem, a on jej przepowiada, iż nie odżyje więcej! Mróz przejął serce nieszczęśliwej — bo, choć wierzy dusza w obietnice Pańskie, ciało drży zziębłe i osłable, kiedy chwila zgonu nadchodzi.

Ależ anioły stróże pilnują chwil naszych ostatnich i powiewem skrzydeł swoich rzeźwią nas w konaniu; ona też wraca do wiary i ufności, na Agaj-Hana spojrzy, jak na złego ducha, i, milcząc, każdem biciem serca modli się do Boga.

Agaj-Han lewą ręką porywa ją za szatę, prawą tesak podniósł i trzyma nad jej piersiami; ona oczy przymknęła; ale powoli jego ręka mdleje, ramie zgina się i opada na dół stopniami, wreszcie opadło zupełnie, a sztylet wisi u palców i ledwo się ich trzyma.

— Giermku, dlaczego przedłużasz konanie Maryny Mniszchównej? Jużem myślała, że, zawarłszy powieki, dopiero się obudzę gdzieindziej, nie w tym namiocie — nie na tej ziemi. Izali czekasz jej próśb za życiem, jej ukłonów tobie? Próżna

zwłoka, próżne i płonne nadzieje! Daj mi pokój, Tatarze, i kończ, coś zaczął, bo ci Polka zaprawdę powiada, iż przed tobą nigdy się nie uniży! Panie Boże i święta Bogarodzico, zmiłuj się nade mną!

Jęk rozpaczy wyrwał się z Agaj-Hanowej piersi. I ścisnął tesak i znów podnieść chciał, ale nie potrafił; ten drobny oręż nad miarę ciężał jego dłoni. A zatem go upuścił i zdeptał gniewnie, potem w milczeniu po namiocie się przechadza, to krok za krokiem wlecząc się, gdyby na siłach mu zbywało, to podskakując, jakgdyby nagle kula mu w piersiach utkwiła. Bladość śmiertelna po licach mu się rozlewa. Zda się, że namiętność, co miotała nim i życiem jego była, z przesilenia skonała. Padł na kobierzec i, gdyby nie oddech głuchy, ciężki, przerwany, miałbyś go za trupa.

Po chwili podnosi się wpół i, wyciągając ramiona, przemówi głosem człeka, co, draśnięty światłem miesiącznej nocy, we śnie się odzywa.

— Garnijcie się do syna waszego sułtana, emiry pustyni, bo on dziś piękną pojmuje żonę! Długo błądził i chleb gryzł suchy u niewiernych i psem był chudym u ich żłobów — ale teraz weźmie za rękę tę, którą ukochał, i pójdzie z nią.

— Horbrokowie, nędzny bojarze! Tyś myślał, że ci tę perłę rzucę pod stopy, abyś ją zgniótł i u cara za to miłościwej łaski nabył!? Gnij w Astrachanie, stary, i nie pytaj się o najurodziwszą z córek Adama!

Tu uśmiech gwałtowny usta mu opanował tak, że przez chwilę dalej mówić nie mógł.

— Ojcze mój, gdzie jesteś? Trzy krople krwi z głowy twej spadły mi na skronie... Hurysso moja, we śnie i na jawie panią byłaś Agaj-Hana. Co to za imię? Ktoś go nosił przed laty... Królom i szachom dyament potęgi pali się na zawoju, ale to znikoma gwiazda! Oni dziś panują, a jutro ich synowie skowyczą z głodu po ulicach miast!

— Widziałem, zważałem, kiedym przechodził a zimno usypiało nogi, wiecznie tam lodu niemasz, otwór... Pchnąć —

zleci — Moskalom się nie dostanie — oniby ją rozćwiertowali! Tu głowa się toczy, tam skacze ręka, drgają ówdzie piersi — nie — nie, przez Allaha, przez Haruna — cała, nieskażona, jako piękna jest na ziemi, tak piękna zstąpi w dół — a w głębi miękki piasek — i rozciągnie się na nim, jako na łożu rozkoszy!

Podczas tych słów zrzenica jego nabierała stopniami coraz więcej obłędu. Z początku latała prędko, a była zimną i szklniącą, potem zajęła się suchym ogniem, przestała się toczyć, wryła się w białko. Już nie rozmaite uczucia, jako dotąd bywało, unoszą się na różne strony w jego spojrzeniach — myśl jedyna, po której żadnej drugiej już nie nastąpi w jego duszy, przebija we wzroku. Powstał, jak zwierze, pędzone instynktem, i ujął za ramię Marynę i szedł ku tylnym drzwiom namiotu; ani, wychodząc, przypasał bułat lub wziął kindżał swój, szedł, wlepiając oczy w nią, ściskając za rękę tak, że jęczyła z bólu, lecz ani już grozi, ani się przymila — w milczeniu prowadzi ją zdala od obozu, po piaskach, ku brzegom Jaiku.

Słońce już ma się ku zachodowi i, jako zwykle w pustyni, im bardziej spuszcza się na dół, tem bardziej krwią się zalewa; powietrze wiosenne, ciepłe, śnieg tu i ówdzie wyspami się jeszcze trzyma, w górze klinem suną żórawie, za niemi ciągną kuliki i ostrymi głosy rozmawiają podczas podróży.

Stanęli nad Jaikiem. Z piasku i żwiru ulane jego brzegi, a rzeka cała, dotąd ścięta lodem, połyskuje czerwienią zachodu ale można już dojrzeć woddali walące się ogromy, nurtem pędzone, gromadzące się u zapory z lodu, nie przerwanej jeszcze, trzymającej się obu nabrzeży, które właśnie w tem miejscu zbiegają z góry i wstępują w koryto, jakby na pomoc lodowi, ale już słychać z daleka huki łamiącej się kry, roztrzaskujących się brył, a bliżej głuche szumy, które podnoszą się z głębi wód — to niby kipią tam pod spodem fale, to znowu stękają, przyparte ciężarem. Znać,

że się rzeka zabiera do buntu, a wiatr, ulatując nad nią, poklaskuje ciepłemi skrzydłami.

O, sił nie staje Marynie — zawróciła się głowa wśród odmętu przyrodzenia. Jeszcze raz palce podniosła ku czołu i, tam znak święty składając, szepcze: »W imię Ojca« — i wargi nie zbiegły się, usta napół otwarte zostały, ale głosu już się nie spodziewaj po nich!

Agaj-Han porwał ją siłą olbrzyma i, niosąc w objęciach, na zabój się rzucił pomiędzy urwiska i cyple. Zlatuje na dół bezpieczny, bo duch szaleństwa czuwa nad nim, jak nad synem swoim. Piasek urywa się pod stopami, a on nie pada, o głazy się potyka, a nie nachyli się nawet, skacze i pędzi, żwir z pod jego nóg leje się strumieniem coraz niżej — coraz niżej, wreszcie dobiegł, kędy ląd się kończy a lód poczyna; wstąpił bez namysłu, bez wahania i, jako biegł po ziemi, tak ślizga po lodzie bez żadnego szwanku — wśród zawałów śniegu.

Oba brzegi cienie swe na Jaik rzucają, pośrodku nich, gdzie już zetknąć się mają, wstęgę krwawego światła rozciągnęły zachodzące promienie; do tej kiedy doszedł Agaj-Han, stanął i szukał czegoś wokoło — ale nie złożył Maryny, choć dyszał i kroplami potu oblane miał czoło. Czego szukał, znać, że dojrzał, bo skoczył i znów w bieg się wprawił i leciał w stronę morza, w cienie już nie zbaczając, ciągle się trzymając drogi, którą słońce wytknęło.

Niedługo znów stanie. Coraz huki się powiększają, gdzieniegdzie lód już pęka, a on jeszcze stoi na bezpiecznem miejscu, choć u samego brzegu otworu, w którym tryska woda; znać, iż tam źródło odwieczne, bo naokoło wszystko zmarzło, a ono czyste, wirem się kręci i parą bucha.

— Obudź się — obudź się, hurysso moja!

I ręką tarł jej skronia i kroplami wody twarz jej obsiewał.

Otworzyła oczy i, milcząc, z ramion jego wysunęła się ostatkiem mocy. Chciała krokiem postąpić dalej, padła na lód kolanami, ale już nie mdleje; widzi, słyszy, zrozumiała,

jaki los ją czeka, i w tej uroczystej chwili jeszcze raz podniosła głowę, jakgdyby chciała umrzeć z godnością królowej.

Klęczy na samym brzegu przepaści — on stoi nad nią z wzrokiem szaleńca. I on może nie wie już, kto ona, skąd przyszła, może zapomniał swej miłości, swoich cierpień i trudów; ale on wie, że tu jej zginąć trza, i objął ją ramionami bez wściekłości, bez wyrazu zemsty na twarzy, pomimowolnie prawie, jakgdyby tajemnicza siła władała nim i on jej oprzeć się nie mógł.

Poszła na dno i fale zakipiały nad nią, wróciła raz tylko, ręce podniosła nad wodą i znów fale je zaleją, ani słychać, by już mocowała się z niemi. Źródło wre, jak pierwej, ale żaden inny głos nie przymiesza się do jego szumu — jedno na niem, wśród czerwonej jasności igra między bąbelkami czarna wstążka z haftem złotym. Głowa, która go nosiła za życia, kędyż leży teraz?

Agaj-Han niewzruszony patrzy na topielę i czasami ręką pociera czoło. Niełacno rozum odwołać, kiedy opuści duszę i zostawi pustkami, jako świątynię, z której wyszli bogi. Stoi i czeka, jakby się spodziewał, że owa, którą kochał, nazad podniesie się z toni świeża i młoda, a w powtórnem na świat przyjściu zapomni o przeszłych dolach i jego miłości wysłucha.

I oczy wytrzyszcza i natęża ucho, jako strzelec w kniei. — Tymczasem wokoło powstają hałasy rozmaite, dziwaczne, które, z dołu się podnosząc, zdają się ostrzegać o niebezpieczeństwie. To jęk z oddali przylatuje — to wiatr gdzieś wpadł między kłęby śniegu i wzdycha, jak dziewczyna — to niby skowyczenie gromady szakalów, co, uciekając, ku nadbrzeżom pędzi, aż tu znowu ścierają się gdzieś bryły lodu i chrobocą, jak piły, nagle zahuczą, jakoby wysadzone w powietrze, potem słychać szum fal, wartko płynących, i wrzaski ich wściekłe wokoło przeszkód biją się, potem znów szumią — znać, że tamę przeparły.

A bliżej wokoło niego lód się ugina i warczy, pokrywa się rysami, to dziurki się wyłupią, to cały kawał się oderwie i, kołysany przez wodę, tłucze o przyległe ściany; świsty wiatru się wzmagają, pomiędzy niemi gęsi dzikich z góry zlatują głosy i jastrzębiów przeraźliwe krzyki — z tyłu coraz więcej gromadzi się lodu, już nie bryłami, ale wzgórzami, które oblegają zaporę, co dotąd się nie ruszyła i walą w szeregach z łoskotem piorunu. — Ich ostre szczyty połyskują żarem od ostatnich promieni słońca. I, by chciał nawet odjąć się zagubie, już zapóźno — ale on o tem nie myśli. Ku miejscu, gdzie zniknęła niewiasta, wciąż dzierży oczy, ani zważa na to, co się dzieje wokoło, bojaźni żadnej twarz jego nie pokazuje, stoi, gdyby wryty, i nie zadrży ni razu, stoi i czeka wciąż, a w jego mózgu szaleństwo odprawuje tajemnice swoje.

Słońce zapadło w głąb gdzieś za krańcem pustyni, pożar ogromny po sobie zostawiło na niebie; tam palą się chmury i wzbijają się dymy, a tu roztrzaskują się lody. Nurt, płynący z góry, je rozbija i miele, co chwila się przysuwa, a posada, na której Agaj-Han duma, trzęsie się od jednego brzegu do drugiego, w wirach podniosły się śniegi i latają w powietrzu, jako mgły jakie, wicher pomiędzy niemi harce odbywa swoje i żałośnie jęczy, grzmoty jedne po drugich się rozlegają coraz bliżej, coraz bliżej. Zda się, jakgdyby na nowo archanioł ciemności zwoływał swe hufce i gotował się do walki przeciw wszechmocnemu Bogu.

Wszystko rwie się i pęka; chwil kilka uszło jeszcze, na krę cały lód się podarł, a on został na szerokim cyplu i oddala się od źródła, kędy zginęła Maryna. — Błyskawicą pędzi pomiędzy bryłami, a ręce wyciąga i jeszcze patrzy na niego wzrokiem bez życia, świecącym, jako świeci próchno.

I z tyłu i z przodu pędzą za nim, pędzą przed nim lody, on na swojej wyspie, okolony słupami, wzgórzami, ostrzami, leci wśród odmętu; co chwila topnieją, kruszą się jej brzegi, to w kliny się [illegible] się okrągło, ale coraz

[illegible]

ich mniej, coraz mu ciaśniej. Trzyma się na środku, ręce na piersi założył, zawój bogaty mignie jeszcze czasem w promieniach zmierzchu. Nadbrzeżów Jaiku nie dojrzyć już, bo filary, zawały, kopce z lodu je przesłaniają — woda i lód oto świat jego — ale on tego nie poznaje świata, bo dziwaczne otaczają go kształty, bo płynie, jak strzała, i te kształty płyną z nim przy ciągłym huku, przy ciągłym szumie. — To mu się wydaje, że kręci się na jednem miejscu, to znowu, że olbrzymy krainy nadziemskiej podają mu dłonie i ciągną go z sobą, a zimno, a okropnie, a coraz ciemniej, lecz pośród cieniów znać ciągle, jako te duchy skaczą i suną wokoło. Raz tylko podniósł głowę i to nie z namysłu — przypadkiem, nie wiedzieć, dlaczego, a nad sobą dojrzał gwiazdę, z którą biła się czarna chmura. To mu przypomniało, że kiedyś bywał w okolicy, skąd takie gwiazdy i takowe chmury widne bywały, że w tej samej okolicy urodziwa postać przechadzała się niegdyś, i chciał dalej przypominać sobie, ale gwiazda zniknęła, rysów tej postaci doszukać się nie mógł — i głowę spuścił na piersi.

Ku morzu, ku morzu kra Jaiku pędzi i z nią Agaj-Han. Żegnaj mi na wieki, dziecię mojej wyobraźni — za chwil kilka pochłoną cię fale i przerzucać sobie twoje ciało będą! Życie ci przeszło na mękach, a mściłeś się zbrodniami na tych, których nienawidziłeś, na tej, którąś kochał. Teraz i ty i ona jednymżeście porwani pogrzebem; a wasze dusze kędy się podziały? Nie słychać było, jako z waszych wykradały się piersi, nie słychać było ich lotu w przestrzeni, ale ona, konając, modliła się Maryi...

Królowo Polski, daj jej zasiąść u stóp Twoich, bo korona carów była dla niej wieńcem cierniowym, życie całe długą pielgrzymką, daleko od ojczyzny, wśród obcych i zawistnych! Królowo Polski, zlituj się nad córą Twoją!

Własność Czytelni „SFINKS"
za całość książki ponosi W. P. całkowitą odpowiedzialność materialną
Czytelnia „[illegible]ITA"
Warszawa-Grochów

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO »AGAJ-HANA«.

Str. 281. Motto: miłość, która kochanemu miłości nie przebacza t. j. miłość, za którą miłością się płaci).

Str. 282. Sajdak — kołczan na strzały.

Str. 282. Bechter — zbroja, pancerz.

Str. 284. Misiurka — czapka żelazna, rodzaj hełmu.

Str. 285. Huryss lub huryssa — mityczna dziewica w raju mahometańskim.

Str. 285. Samarkanda — miasto w Turkiestanie.

Str. 285. Diarbek (właśc. Diarbekr) — miasto w Mezopotamii.

Str. 286. Kremlin — twierdza na wzgórzu w Moskwie, rezydencya w. książąt.

Str. 286. Dżanet, dżamet lub dzianet — koń krwi szlachetnej.

Str. 286. Azrael — anioł śmierci u Mahometan.

Str. 286. Simum czyli Samum — wiatr pustynny.

Str. 287. Łuk jednorożcowy — t. j. wyrobiony z zębu jednorożca.

Str. 288. Hind czyli Ind — rzeka w Indostanie.

Str. 288. Gengiskański ród — t. j. potomkowie słynnego władcy Dżingishana, zdobywcy i okrutnika tatarskiego.

Str. 288. Fakir — asceta indyjski.

Str. 289. Dżyryt — dziryt, krótki pocisk.

Str. 289. Bułat — szabla turecka.

Str. 290. Eblis — zły duch, szatan u Mahometan.

Str. 290. Diw — demon, duch.

Str. 293. Jelce u szabel — garda, ochrona ręki u rękojeści.

Str. 295. Kirys — napierśnik.

Str. 297. Zarucki — wódz kozacki, postać historyczna.

Str. 297. Karacena — rodzaj pancerza.

Str. 300. Wojewodzianka sandomierska — Maryna.

Str. 303. Szujski — Wasyl Iwanowicz, obrany carem po zgonie fałszywego Dymitra.

Str. 303. Minaret — smukła wieżyczka maurytańska.

Str. 309. Paiża — rodzaj tarczy.

Str. 314. Pan sandomierski — wojewoda sand., Jerzy Mniszech, ojciec Maryny.

Str. 315. Sapieha — Jan Piotr Sapieha starosta uświacki.

Str. 317. Tyftyk — bogata materya wschodnia, przetykana złotem.

Str. 325. Assawuła — dowódzca kozacki niższego stopnia.

Str. 328. Huzda — uzda.

Str. 331. Larwa — widmo, mara.

Str. 334. Stracońcy — oddział ochotników polskich, zwanych od imienia dowódcy, Lisowskiego, Lisowczykami.

Str. 331. Kortez Montezumę itd. — zestawienie dwu zdarzeń dziejowych: zdobycie Meksyku i strącenie króla Montezumy przez Ferdynanda Korteza (1519 r.) i wzięcie do niewoli przez Żółkiewskiego cara Wasyla Szujskiego i jego braci.

Str. 335. Aleksander z Lissowa - Lissowski, wódz Lissowczyków.

Str. 338. Monaster — klasztor.

Str. 338. Syn Filaretowy — Michał Fiedorowicz, car moskiewski, głowa rodu Romanowych.

Str. 339. Pożarski — kniaź Pożarski, wódz i patryota moskiewski.

Str. 339. Chmara perokopskich — t. j. Tatarów.

Str. 339. Czerńcy — zakonnicy prawosławni.

Str. 340. Atagan, czyli jatagan — sztylet.

Str. 342. Struś Mikołaj — starosta chmielnicki.

Str. 343. Kaspia — morze Kaspijskie.

Str. 313. Geber, czyli gweber — czciciel ognia u Persów, wyznawca Zoroastra.

Str. 344. Tamerlan, czyli Timur — słynny zdobywca azyatycki (XIV w.).

Str. 344. Wyspa zamorska — Anglia.

Str. 350. Roztruchan — puhar.

Str. 350. Meszty — pantofle.

Str. 350. Kanak — naszyjnik.

Srt. 350. Trzytulny basza — wielkorządca turecki, mający prawo używać trzech buńczuków.

Str. 351. Michał, popowski syn — t. j. car Michał Fiedorowicz.

Str. 255. Janczarka — strzelba turecka.
Str. 370. Jaik — rzeka Ural.
Str. 376. Giezłeczko — koszulka (starop.).
Str. 393. Allach — Bóg u Mahometan.
Str. 396. Medyna — święte miasto w Arabii, miejsce śmierci Mahometa.
Str. 405. Harun, t. j. Harun-al-Raszyd, słynny kalif, czyli monarcha arabski (786 † 809).

SPIS RZECZY.

	Str.
O biedna...	3
Jeśli mi kiedy...	5
Bóg mi odmówił...	6
Mogłem być z tobą...	7
Chciałbym anioła widzieć...	8
Do...	9
Serce mi pęka...	10
Dla ciebiem wszystko...	13
Jak kawał lodu...	15
Jak anioł spadły..	18
Ledwom cię poznał...	20
Czyż z tobą wtedy...	22
Znasz co namiętność?...	24
Z nad wód...	29
Rozpacz — szyderstwo — wiara	35
Nie kłuj mnie w serce...	40
Wzywam cię...	50
Do...	51
Znów żegnam ciebie...	53
Ot, duch mój cały...	55
Znów wraca wiosna...	57
Kiedy kwiaty...	59
Zimny rozsądek..	60
O życia ranku...	62
Rok mój, rok szczęścia...	64
Poeta	65
Ja cię nie żegnam...	72
Do Moskali.	73
Dwie piosnki.	76

Str.
Kampania rzymska . . . 78
O ziemio włoska... . . . 80
Do D... . . . 82
Zawsze i wszędzie . . . 85
Do duchów — przy świetle księżyca . . . 86
Do D. Po śmierci . . . 89
To miasto wiecznem... . . . 93
Listku, dziś suchy... . . . 94
Tak więc ciągle... . . . 95
Nad morzem na skale . . . 97
Ukląkłbym może... . . . 98
Nadgrobek Z. K. . . . 99
Lecz wszystko świeckie... (Na sprowadzenie zwłok Napoleona) 100
Myślałem nieraz... . . . 102
Gdybym dziś, jutro... . . . 103
Niech moja dusza... . . . 105
Jedną cię tylko... . . . 108
Adamowi Sołtanowi . . . 109
Im dalej idę... . . . 111
Smętnej nocy... . . . 116
Tam, gdzie spokój... . . . 118
Wspomnienia . . . 120
Na skale . . . 123
Do Cezarego Platera . . . 129
Na grobie K. Danielewicza . . . 130
Fryburg (Po śmierci K. Danielewicza.) . . . 131
Fala . . . 138
Tęsknota . . . 139
Zwrotki do muzyki . . . 141
Jeszcze kielich... . . . 143
Dla Elizy . . . 144
Po mękach życia... . . . 146
W albumie Konst. Gaszyńskiego . . . 147
Do K. B. . . . 148
Do kobiety . . . 149
Przy branzoletce, w dzień św. Katarzyny . . . 150
Do A. P. . . . 151
Pod Chrystusem, w niebo wstępującym . . . 152
Módl ty się za mnie... . . . 153
Na »Francesko« Scheffera . . . 155
Na Sybir! . . . 156
Przepasana złotą szarfą... . . . 147
Resurrecturis . . . 159

Str.
Do przyjaciela . . . 166
Czas ma nadzwyczaj... . . . 167
Oblężenie Wiednia w 1848 r. . . . 169
O, wiem, że Polska... . . . 171
Cośmy kochali... . . . 172
Pytasz się, czemu... . . . 173
Darmo świat ziemski... . . . 174
Burzy grom... . . . 175
O, nie zrywaj... . . . 177
O Piękna moja... . . . 178
Do Kajetana Koźmiana . . . 181
Ziemskości cień... . . . 182
Do Elizy . . . 184
Hymn . . . 186
Cokolwiek będzie... . . . 188
Do Elizy . . . 189
Ułamek, naśladowany z Glossy św. Teressy . . . 193
Grób rodziny Reichstalów . . . 205
Agaj-Han . . . 273

ALFABETYCZNY SPIS RZECZY

DROBNYCH UTWORÓW POETYCZNYCH.

Str.

Adamowi Sołtanowi . . . 109
Bóg mi odmówił... . . . 6
Burzy grom... . . . 175
Chciałbym anioła widzieć... . . . 8
Choć lód serc ludzkich... . . . 184
Choć pierś twa żywych... . . . 151
Choć serca znęcisz... . . . 149
Co u ciebie... . . . 109
Cokolwiek będzie... . . . 188
Cośmy kochali... . . . 172
Czas ma nadzwyczaj... . . . 167
Czemu, Mistrzu, masz siwiznę... . . . 181
Czy pomnisz jeszcze... . . . 9
Czy ty słyszysz... . . . 138
Czy ty widzisz... . . . 125
Czyż z tobą wtedy... . . . 22
Darmo świat ziemski... . . . 174
Dla ciebiem wszystko... . . . 13
Dla Elizy . . . 144
Do 9
Do 51
Do A. P. . . . 151
Do Cezarego Platera. . . . 129
Do D. . . . 82
Do D. Po śmierci . . . 89
Do duchów — przy świetle księżyca . . . 86
Do Elizy . . . 184
Do Elizy . . . 189
Do K. B. . . . 148

Str.

Do Kajetana Koźmiana . . . 118
Do kobiety . . . 149
Do Moskali . . . 73
Do przyjaciela . . . 166
Dwie piosnki . . . 76
Fala . . . 138
Fryburg (Po śmierci K. Danielewicza) . . . 131
Gdy czyhał na mnie... . . . 166
Gdy się przeszłość 120
Gdy wkrótce, droga... . . . 89
Gdybym dziś, jutro... . . . 164
Gdziekolwiek pójdę... . . . 134
Hymn . . . 186
I w piekle nie jest... . . . 155
Im dalej idę... . . . 111
Ja cię nie żegnam... . . . 72
Ja was wyzywam... . . . 86
Jak anioł spadły... . . . 19
Jak kawał lodu... . . . 15
Jam marzył niegdyś... . . . 189
Jedną cię tylko... . . . 108
Jeśli mi kiedy... . . . 5
Jeślim ci kiedy... . . . 129
Jeszcze kielich.. . . . 143
Kampania rzymska . . . 78
Kiedy kwiaty... . . . 59
Królowo Polska... . . . 186
Kto mi ją wróci... . . . 37
Ledwom cię poznał... . . . 20
Lecz wszystko świeckie 100
Listku, dziś suchy... . . . 94
Łzę rozpaczy roń . . . 141
Łzy wiecznej pragniesz . . . 150
Módl ty się za mnie 153
Mógłem być z tobą... . . . 7
Może ja umrę... . . . 147
Myślałem nieraz... . . . 102
Na »Franceskę« Scheffera . . . 155
Na grobie K. Danielewicza . . . 130
Na skale . . . 123
Na sprowadzenie zwłok Napoleona . . . 100
Na Sybir! . . . 156
Nad miastem chmury... . . . 169

Str.
Nad morzem na skale . . . 96
Nadgrobek Z. K. . . . 99
Nie kłuj mnie w serce... . . . 49
Nie tak, jak dawniej... . . . 152
Niech moja dusza... . . . 106
Niech śmierć i stokroć... . . . 130
Nieraz żądałaś... . . . 144
O biedna... . . . 3
O Boże, Boże! Wyciągnę ramiona . . . 96
O Lindo moja... . . . 99
O, nie mów o mnie... . . . 85
O, nie zrywaj... . . . 177
O Piękna moja... . . . 178
O, wiem, że Polska . . . 171
O ziemio włoska... . . . 80
O życia ranku... . . . 62
Oblężenie Wiednia w 1848 r. . . . 169
Od łez moich... . . . 76
Ona się tylko... . . . 39
Oni mówili... . . . 43
Ot, duch mój cały... . . . 55
Po mękach życia... . . . 146
Po śmierci . . . 98
Pod Chrystusem, w niebo wstępującym . . . 152
Poeta . . . 65
Przed życiem czuję... . . . 193
Przekleństwo podłym 51
Przepasana złotą szarfą... . . . 157
Przy branzoletce, w dzień św. Katarzyny . . . 159
Pytasz się, czemu... . . . 173
Rankiem, wieczorem... . . . 77
Resurrecturis . . . 159
Rok mój, rok szczęścia... . . . 64
Rozpacz . . . 37
Serce mi pęka... . . . 10
Smętnej nocy... . . . 116
Szyderstwo . . . 39
Świat ten cmentarzem... . . . 161
Tak więc ciągle... . . . 95
Tam, gdzie spokój... . . . 118
Tęsknota. Zwrotki do muzyki . . . 134
To miasto wiecznem... . . . 93
Troje nas było... . . . 133

Str.
Ty wiesz, żeś piękna... . . . 148
Ukląkłbym może... . . . 98
Ułamek, naśladowany z Glossy św. Teressy . . . 193
W albumie Konstantego Gaszyńskiego . . . 147
W starożytnym tym kościele . . . 82
Wiara . . . 43
Wiem, dla mnie Sybir . . . 73
Wiersz, wyryty na fortepianie Delfiny Potockiej . . . 175
Wierzę w nadzieję... . . . 67
Wspomnienia . . . 120
Wzywam cię.. . . . 50
Z nad wód... . . . 29
Z przed ócz wam zniknę . . . 156
Zawsze i wszędzie . . . 85
Ziemskości cień... . . . 182
Zimny rozsądek . . . 60
Znasz, co namiętność?.. . . . 24
Znów wraca wiosna... . . . 57
Znów żegnam ciebie . . . 53
Zwrotki do muzyki . . . 183, 139, 141.

Biblioteka Pedagogiczna Radom
58446

Czytelnia „Wisły"
Warszawa-Grochów